

Dodatek niedzielny do „Dziennika Poznańskiego”.

---

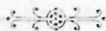
# Lucyan Doreęba.

Powieść poetyczna w 10 pieśniach

osnuta na tle stosunków wielkopolskich

(r. 1862—1865)

przez \* \* \*



**POZNAŃ.**

Nakładem i czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.

—  
1901.

Wojewódzka  
Biblioteka  
Publiczna  
w  
Poznaniu

313

LOC

1488

1488



## Wstęp.

---

Jak to lubo mieć kącik cichy, a ustronny,  
Rezedowym zapachem lat wiosennych wonny,  
Pełen dawnych pamiątek, ale zawsze świeży  
I swojski, jak sylwetka parafialnej wieży!  
Kiedy zamieć życiowa wstrząśnie nas do głębi,  
Lub obce otoczenie żar w sercu wyziębi,  
Dość wejść tam i na drogie spojrzeć relikwiarze  
I powitać znajome na portretach twarze,  
Którym czas fałd nie przyda, nie zmieni wyrazu,  
A ciepło lube pierś nam rozgrzeje od razu  
I mir w duszę zbolałą z słoneczną pogodą  
Wróci, iż znów na chwilę poczuje się młodą.  
W taką kapliczkę wspomnień, wśród mroków wieczora,  
Kto łaskaw, niechaj wstąpi z pochodnią autora.



0522  
Wojewódzka Miz  
Biblioteka Luc  
Publiczna 1488  
w  
Poznaniu

1488

# Pieśń I.

## Wilja.

Słońce zgasło, lecz nieba blask karmazynowy  
Cudnie zabarwia senny krajobraz zimowy.  
Miękką uśpionej ziemi oponcza ze śniegu  
Z wstęgą lasu na wschodnim widnokreśa brzegu  
Promienieje wspaniale, jak królewska szata,  
Tysiącem dyamentów i perel bogata.  
Długi trakt starych klonów z wyniosłemi czoły  
Niby szarfa odświętna przepasał ją w poły,  
A girlanda czerwonych sielskich chat w oddali  
Sutym sznurem naszymylnych zda się być koral.

Na trakcie śliskie toru migocą koleje,  
Jakby trwożne, iż wiatr je swawolny zawieje,  
Co dmucha od północy i w srebrzyste kiście  
Stroi drzewa, chcąc zdarte nagrodzić im liście.  
Wnet przecie świetny połysk wróci strunom drogi,  
Bo od lasu prychając mkną dwa wiatronogi,  
A za nimi saneczki szlifowanym torem  
Lekko płyną, jak łódka sunąca jeziorem.  
Z nezdry rumakom dymią kłęby pary siniej,  
A z pod nóg śnieżne grupki rwą się, jak ptaszyny;  
Lecz daremnie woźnicy zajrzeć w twarz się siłą,  
Bo rozpięte opony zawsze lot ich zmylą.

Na wytwornych saneczkach dwóch podróźnych siedzi:  
Jeden z nich w pięknej szubie utonął niedźwiedziej;

Drugi, w skromniejsze *szopy* szczelnie otulony,  
Dla kolan w derce szuka przed zimnem ochrony.  
Obaj sztorcem szerokie podnieśli kołnierze,  
Bo powietrze grudniowe za katy dziś świeże!  
Ledwo im twarze widać z pod czapek futrzanych,  
Lecz po śmiałym wejrzeniu i licach rumianych  
Snadno poznać, że obaj młodzi oraz zuchy,  
Pełni jakiejś niezwyklej werwy i otuchy.

I nie dziw, iż w gruchawek zasluchani dźwięki,  
Miłe, jak nuta rannej skowronka piosenki,  
Patrzą przed siebie rzeško, z świątecznym nastrojem  
I myśl swą mar ponętnych zaprzatają rojem.  
Bo skoro pierwsza gwiazda weszła na błękitcie,  
Dokoła, jakby inne zbudziło się życie.  
Senne klony z powagą wstrząsły białe głowy  
I chórem szept tajemnej zaczęły osnowy,  
Jak mnichy w refektarzu, kiedy po wieczery  
Ksiądz przeor do dziękczynnych da hasło pacierzy.  
Wraz żółto brzuche trznadle od żwawego tańca  
Porwały się ze śniegu, aby do różańca  
Siąść w drzew gałęziach, niby rój dziewcząt ochoczy,  
Które w wieczór sygnarka głos w płasach zaskoczy.

Piękna gwiazda wieczorna, co na nieboskłonie  
Przez chwilę sama jedna, jak pochodnia, płonie,  
Dzisiaj z poza obłocznej siatki przezroczystej  
Leje blask niezwyčajny, to jasno-złocisty,  
To znowu fioletem zabarwiony lekko,  
Jak dziewczę, co ócz szafir przymruży powieką.  
Krocie błyszczących źrenic ku sobie w tej chwili  
Zewsząd widzi zwróconych, a więc jak najmiliej  
Uśmiecha się i wdzięczy. Jeśli zaś pożyczym  
Ócz niewinnych od dziecka, to wzrok tajemniczym  
Rozradujem widokiem cudownej niebianki,  
Co w śniącej szacie, w krasne przystrojona wianki,  
Na złotej nici z gwiazdy spuszcza się ku ziemi,  
Dzierżąc w dłoni choinkę z cackami ślicznymi.

Ach! bo to dziś rocznica nocy wiekopomnej,  
Kiedy ongi w stajence Betleemu skromnej  
Bogarodzica-Panna w żłób złożyła mały  
Tego, którego wszechświat nie ogarnie cały. —

O ty, co już oddawna do snu pacholeta  
Kołysałaś nadzieją, witaj, wilio święta!  
Komuż twe tchnienie błogie trosk nie spędzi z czoła,  
Gdy srebrny twój dzwoneczek do pasieki zwoła  
Wszystkie pszczołki pokrewne, rozpierzchłe po świecie,  
Iżby w jej nieprzekwitłym serdeczności kwiecie  
Nektar ssaly ożywczy? Któż w rodzinnym gwarze,  
Nie odtaje, promienne w koło widząc twarze,  
Gdy *gwiazdka* po wieczery przy blasku choinki  
Z rańtucha swego sypać zacznie upominki?

Coraz ciemniej! już miesiąc po niebiosach płynie,  
Więc pospieszajcie młodzi, bo was *gwiazdka* minie!  
Toż trzask bicia się rozległ i wraz żwawszym krokiem  
Pomkły konie, wieczornym otulone zmrokiem.  
Za chwilę, gdy mineli łańcuch drobnych wzgórzy,  
Z bliska się cel przed nimi ukazał podróży.  
Wiś piękna i rozległa w zimowem odzieniu  
Przy cudnem księżycowej tarczy oświetleniu  
Widniała, jak na dłoni. W pośrodku srebrzyste  
Lśniło krągłe jezioro, by lustro przejrzyste.  
Z obu stron schludne domki światełek oczyma  
Mrugały; w dali kościół z powagą olbrzymia  
Mierzył je z poza świerków samotnej swój góry.  
Cóż, kiedy cały ciemny, senny i ponury!  
Za to hen przy jeziorze widno i wesoło  
Wielki biały dwór świecił, ośnieżone czoło  
Wysoko nad wspaniałą gumien swoich świtą,  
Jak pióropuszem, dymu obwiewając kitą.

Rozgłośnie w nim i ludno. Stary dom szlachecki,  
W którym znać było pewien wykwił staroświecki,

Zda się dzisiaj odmłodził przedświątecznym gwarem,  
Jak dziadek, co przy miodku spłonie dawnym żarem.  
Górne jego komnaty, zwykle zimne, ciemne,  
Z długiej drzemki zbudziło dziś ciepło przyjemne.  
Wszędzie w nich na kominkach sosnowe polana  
Syczą w ognia uściskach od samego rana  
I złote, tajemnicze smugi światła niecą  
To na ściany, gdzie rzędy ram odbłaskiem świecą,  
To w łózek śnieżne łona odkryte na poły,  
Lub czerniejące w kątach podróżne toboły.

Podczas gdy wyższe piętro zaciszne, w półcieniu  
Majacząc, w słodkim zda się zatapiać marzeniu,  
Błyszczy rzesistem światłem rząd dolnych pokoi  
I wesołym brzmi zgiełkiem, jak ul, co się roi.  
Tylko, w jednej komnacie jest puściej i ciszej,  
Gdzie się li wykrzykniki używane słyszy:  
„Ze czterdziestu!“ „Ultyma!“ „Areszt“. „Mam pam-  
fila!“ —

Hasła, któremi maryasz rozbrzmiewa co chwila.  
Przy tej grze bowiem stariej nad lampeczką wina  
Siedzi z księdzem proboszczem właściciel Chwalina,  
Imci pan Marcin Barski, matador powiatu,  
Radca ziemstwa, dalszemu nawet znany światu  
Jako poseł do sejmu oraz mówca stały  
Na sejmikach i wiecach w Wielkopolsce całej.

Opodał, blisko pieca, ze szklanką ponczyku,  
Przy obłożonym szczelnie kartami stoliku  
Pan Cyryn Oślinowski cichuteńko siedzi  
I z zaiskrzonym okiem jakąś dwójkę śledzi.  
Na obliczu słodziutkiem, ogolonem gładko,  
Wybił mu się niepokój lekki, lecz nierzadko  
Mignie na niem radości blask jak błyskawica,  
Poczem mu znów komicznie posepnieją lica.  
Stary rezydent dworu tak utonął cały  
W zawitych konjunkturach swej lubej kabały.

Że nie spostrzegł, jak zwolna kosmyk włosów płowy,  
Co go na hipotekę brał z ubocza głowy,  
Osunął mu się z czoła, które wraz też śmiało  
Jak rzeka po zerwaniu grobli się rozlało  
I cmentarz bujnej niegdyś przed laty czupryny  
Zamieniło w jezioro olbrzymiej łysiny.  
Nie słyszał nawet, jak się drzwi bocznej komnaty  
Otwarły, jak kobierzec lekkim szmerem szaty  
Zachwarszczał i tuż przy nim przystojna kobieta,  
Acz niemłoda, stanęła. On bo jak poeta,  
Co rym trudny odnalazł, w mig rozjaśnił lice,  
Krząknął i nieruchomą dotychczas prawicę  
Po zwichrzonych kart sztykach w ręczy puścił taniec,  
Aby jedną po drugiej nieść na asów szaniec,  
Usypany na brzegu. — „Wyjdzie pasyans pewnie!“  
Rzekła doń pani Barska. — „Mam nadzieję!“ śpiewnie  
Odparł z niskim ukłonem i słodkim uśmiechem.  
A gdy resztki czerwieni z widocznym pospiechem  
Do wspólnego sprowadził niby mianownika,  
Zatarł ręce z radości: „Pani dobrodzika“,  
Rzekł, grzecznie cedząc słówka — „zawsze ze mnie  
sztydzi,

Gdy mi wyjdzie kabała, a dziś sama widzi,  
Żem nic nie pomógł karcie. Więc pewnie uwierzy,  
Iż *dzisiaj* Adaś z nami siądzie do wieczery.“

„Doprawdy, mój wróżbito? Tereferę kuku! —“  
Rzekł pan radca ze śmiechem; „Strzela baba z łuku,  
A pan Cyryn z pukawki. Za te gusta nowe,  
Niechby ci też ksiądz proboszcz dobrze raz zmył  
głowę.

Jakże Adam ma zdążyć na wilią, gdy sanki  
Powróciły już próżne? W żadne niespodzianki  
Nie wierzę. Wszak z Berlina w nocy o dziesiątej  
Drugi pociąg przychodzi, a my punkt o piątą  
Musim zasiąść do stołu, bo wyznam otwarcie,  
Choćby nawet mój rozum chciał zaufać karcie,  
To żołądek po słódku i żurze bez treści  
Strasznie niewierny Tomasz, zwłaszcza że mu wieści

Jakieś miłe kolega nos niesie z daleka  
O karpniu w piwnym sosie, co już na nas czeka.“

Po tych słowach pan radca sakiewkę z kieszeni  
Wyjął w kolorach polskich, w bieli i czerwieni,  
I wyliczył trzy złote, mówiąc: „To z Chwalina  
Zwykła księdza proboszcza dworska dziesięcina.“  
Potem wstał, zapinając pętllice czamary,  
A założywszy na nos srebrne okulary,  
Rzekł: „Zaraz zresztą cała wyjaśni się sprawa,  
Gdy wezmę na przepytki pana Bolesława.“  
W sąsiedni zatem pokój szedł poważnym krokiem,  
W którym wnuki igrały pod swej nianki okiem;  
Lecz minął go wraz z salą, kędy z inspektorem  
Pan zięć o sączkach z wielkim rozprawiał ferworem  
I poprzez sień przestronną z kamiennymi schody  
Wszedł do salonu, gdzie się świat zabawiał młody.

Tutaj wrzało w najlepsze. Śmiechy i okrzyki,  
Stuk krzesel, rozbrzęk blachy i odgłos muzyki,  
Wszystko to się zlewało w zgielk, coby złowieszczy  
Zdał się śledziennikowi i nabawić dreszczy  
Mógł nawet niechorego na nerwy, lecz który  
Miał zarazem czar dziwny, jak każdy natury  
Głos rodzimy: szum morza, ryk burzy nawalnej.  
Był to zdrowia, młodości okrzyk tryumfalny.  
Ale nie dziw, że taki tartas wśród salonu.  
Radca bo patryarchą był licznemu gronu  
Dzieci starszych i średnich. Prócz Adama syna,  
Architekta, co dzisiaj wrócić miał z Berlina,  
I prócz córki zameżnej, dwie dziewice hoże  
Niby róże w chwalińskim kwitły jeszcze dworze;  
Dalej aż dwa podlotki, które już ciekawie  
W świat patrzyły i młodszy syn na szkolnej ławie.  
Nadto bawiła tutaj panna Anna Wrzeska,  
Jako elewka pani, w końcu młodzież rzeska,  
Trzech kolegów Adama, przybyłych przed świętem,  
Co najsilniejszym gwaru była tu fermentem.



Pan radca, przystanąwszy u progu salonu,  
Zawołał: „Hej, doktorku!“, nie podnosząc tonu.  
Nie widząc przecie skutku, „Panie Bolesławie!“  
Krzyknął głośniejsz po chwili; lecz gdy w strasznej  
wrzawie

I ten okrzyk utonął, w głąb postąpił krokiem  
I dłoń zwinawszy, z głosu zniżeniem głębokiem  
Huknął; „Panie Roterman!“, zgłosce przedostatniej  
Dając przycisk dobitny. Taki strzał armatni  
Zapanował od razu nad całym rejwachem.  
Toż w pół taktu fortepian zamilkł, gdy z przestrachem  
Wzrok na ojca podniosła z nut panna Celina.  
Cała też swe chichoty przerwała drużyna,  
A pan Bolesław, który z krzesła w sposób gracki  
Właśnie tańczącą chwycił pokrywę z posadzki,  
Nadbiegł, w dłoni ją dzierżąc, jak Hektor trojański  
I zawołał: „Ot stoję tu na rozkaz pański.“  
Pan Bolesław Roterman w czamarce wytworniej,  
W atlasowym żupanku, wzrostem mniej pozorny,  
Zczarnym, miękkim wąsikiem, wzrokiem płomienistym,  
Utrefioną czuprynką, chodem posuwistym,  
Nie przypominał sławnych herosów Iliady.  
Był za to pierwszym walca lwem i galopady.

Pan radca, że swym głosem, jak sławnem „*Quos ego*“,  
Tak uciszył w mig burzę, rozśmiał się do niego  
I powiedział: „Przepraszam za przerwę, panowie,  
Lecz pewnie już wam samym zgiełk ten huczy  
w głowie.

Jakże to, mój doktorku, z Adasia przybyciem?  
Kiedyż chciał on tu stanąć?“ — Pan Bolesław z życiem  
Zaczął zdawać relacyą, gdy wtem z za firanki  
Oczko panny Celiny tuż dojrzało sanki.  
Nie nie mówiąc, pomknęła z lekkością gazeli  
Do sieni i nim inni w domu się spodzieli,  
Już bratu, co na progu otrząsał się z śniegu,  
Zarzuciła swe białe rączki w chyżym biegu;

Lecz jeszcze chyżej wstecz je cofnęła, jak świeża  
Zapłonawszy jagoda, bo z szuby kołnierza  
Miał modrych oczu brata, bródki młodocianej,  
Dowcipnie uśmiechniętej twarzy, poci rumianej,  
Wybłysło inne zgoła, śniadawe oblicze,  
W jakieś męskiej zadumy cienie tajemnicze  
Ubrane, z wzniosłem czołem i wąsem pokrętnym,  
Ciemnym jak oko, lśniące blaskiem trochę smętnym.  
„Pan Lucyan! . . . pan Doręba!“ krzyknęła Celina  
I cofnawszy się nieco, smagła jak kalina,  
Z szyjką ślicznie wygiętą, z szkarlatem rumieńca,  
Z skrami w piwniej źrenicy patrzała w młodzieńca.  
Ten nie mniej pomięszany, widząc dziewczę cudne,  
Chciał ją przeproszać, ale w tej chwili zbyt trudne  
Było to dlań zadanie, bo się sam czerwienił  
I ledwie coś o brata przyjeździe nadmienił.  
Szczęściem, że Adam właśnie, odprawivszy sanki,  
Wszedł w sień po cichu, nie chcąc zepsuć  
niespodzianki.

Lecz już było za późno. Gruchawek pobrzęki  
Zdradziły w dworze gości. Najpierw Czesz maleńki  
Wbiegł ze sali, wołając: „Wujek!“ na głos cały.  
Wraz się też i inne drzwi pootwierały  
I niebawem zawrzało w sieni. Wśród powitań  
Zarzucono podróżnych obu gradem pytań.

Lecz dopiero z mniej żwawej w salonie rozmowy  
Wypłynęła relacya z drogi tej osnowy:  
Że kurjer, nazbyt wolno brnąc przez wielkie śniegi,  
Nie zastał już młodszego na torze kolegi  
Z bocznej linii, dla czego obaj podróżnicy  
Musieli ekstrapocztę wziąć z dalszej stannicy.  
Co do pana Doręby zdał zaś Adam sprawę,  
Że tenże właśnie z chlubą ostatnią przeprawę  
W inżynierskim zawodzie odbywszy w Berlinie,  
Dał się skłonić, by święta przepędził w Chwalinie,  
Dokąd niegdyś z Adasiem, jak inne koleżki,  
Jeździł, kiedy mu w studyach deptał jeszcze ścieżki.

Przy ciepłym, słodkim ponczu nasi podróżnicy  
Zwolna się pozbywali dotkliwej zimnicy,  
Jaka im mimo sute futrzane osłonki  
W długiej jeździe wniknęła w nieruchome członki.  
Adaś, chluba rodziny i jój ulubieniec,  
Co już przed pięciu laty z szkół jako młodzieniec  
Ośmnastoletni poszedł, wbrew tradycjom rodu,  
Mniej znanego rodakom próbować zawodu,  
Stał się ogniskiem zaraz ogólnej rozmowy,  
Sypiąc koncepta, albo z ust śląc jaki nowy,  
Jędrny, własnej inwencji frazes, jak rakieta,  
Który ogół, by dobrą w lot chwycił monetę,  
Witając go na razie homerycznym śmiechem,  
By go później powtarzać wielokrotnem echem.

Drugi gość trochę obcym poczuł się na chwilę  
W licznym gronie rodzinnem, które rzeczy tyle  
Niedotkniętych listownie w lot omówić chciał,  
Lub szkielety już znanych faktów w krew i ciało  
Ubrać wśród pogadanki urywaną, żywą.  
Lecz usterk ten nie uszedł przed bystrością siwej  
Zrenicy Oślinosia. Już też do Lucyana  
Zbliża się rezydentów perła niezrównana  
I dyskurs z nim oddzielny zagaja na stronie.  
„Panie Dorębo!“ — rzecze, ściskając mu dłoń —  
„Przepraszam, chciałem mówić, panie inżynierze!  
Ze pana znów tu widzę, raduję się szczerze.  
Lecz jakżeś się pan zmienił, jak rozrósł i zmeźniał!  
Jak ów niewinny meszek w wielki wąs spoteźniał!  
A pamiętasz pan Bugaj? Jeszcze dziś was widzę,  
Jakżeście tam z Celinką poszli raz na rydze.  
Niesiecie chustki grzybów pełne; z wielką chlubą  
Składacie je przed panią Połomowską grubą,  
A ta, co jeden weźmie i nożem przekraja,  
To go rzuci przez okno i przytem was łaje.  
My się wszyscy śmiejemy do rozpuku w sieni,  
Potem zaś przy kolacyi patrzymy zdziwieni,

Jak Smielowski przed wami półmisek olbrzymi  
Zastawia, gdzie się raptem para rydzków dymi.“

Pan Cyryn już gościowi chciał przygodę drugą  
Przypomnieć, gdy w drzwiach sali nagle postać długą  
Ujrzał w liberyi, z twarzą chudą i pomiętą,  
Z maleńką wąsów kępą, z obu stron podciętą,  
Co sterczała pod nosem niby kupka siana,  
Zżółkła, z wierzehu tabacznym kurzem posypana.  
Był to stary Smielowski, wspomniany w tej chwili,  
Co rękawiczki białe na cześć przywdział wili,  
Pończoszkowe, i głosem, jak echo w stodole  
Bezdzwięcznym, wraz oznajmił, że zupa na stole.

Hasło to nader mile wpadło wszystkim w uszy,  
Bo głód był i niejednen z młodych w głębi duszy  
Trochę na „staroświecki“ sarkał rygor, który  
W dniu tym daje na obiad z śledziem kwaśne żury.  
Jakoż szybko się w pary zebrano i w salę  
Długi orszak biesiadny ruszył okazale.  
Tu w kandelabrow kilku rozblasku rześistym  
Jaśniał stół wielki, *jednym* kryty, jak śnieg czystym  
Obrusem; na nim liczne, by zagrody sioła,  
Grupy sreber, talerzy lśniły się dokoła;  
W środku zaś do kościoła dla swego ogromu  
Podobny, sterczał strucel, chluba pani domu.  
Siana, które pod obrus kładzie się zwyczajnie,  
By przywieść w dniu tym na myśl betleemską stajnię,  
Nie było, bo je pani Barska już przed laty  
Wygnała z wilijnego stołu, gdy bogaty  
Garnitur szkła rzniętego doznał przez nie szczyby,  
Strojąc obrus czerwonym winem w barwne herby.

Podczas gdy z dużej wazy w talerze rozliczne  
Strumień mlecznej polewki lał się, balsamiczne  
Szerząc tartych migdałów zapachy po sali,  
Staropolskim zwyczajem wszyscy się łamali  
Oplątkiem na pamiątkę snąć *agap* odwiecznych,  
„Do *siego* roku!“ mówiąc wśród ściśnień serdecznych.

Ksiądz proboszcz, dawnej mowy polskiej skamielinę  
Chcąc tłomaczyć, już wspomniął Dosię starowinę,  
Lecz słuchaczów nie znalazł, bo wszyscy w tej chwili  
Nieciekawi wywodów, żwawo się raczyli  
Wyśmienitą polewką, co ma przeznaczenie  
Pierwszy głód koić, mile drażniąc podniebienie.

Kiedy ją zaś sprzątnięto w takt szarży huzarskiej,  
Pan Doreba otrzymał głos, by pani Barskiej,  
Co się z uprzejmą twarzą zwróciła ku niemu,  
Opowiedzieć, gdzie wilią spożywał rok temu.  
„Ach, pani dobrodziejko!“ rzekł jej dźwięcznym głosem,  
„Niestety już od dawna było moim losem  
Wieczór ten uroczysty spędzać na obczyźnie.  
Przed rokiem budowałem w Stolp na Pomorszczyźnie  
Most, alem w wilią ztamtąd prysnął do Berlina,  
Kędy się nas małeńka zebrała drużyna  
Mimowolnych wychodźców. Siedliśmy wieczorem  
Do stołu wilijnego z wybornym humorem.  
Ach! jakież nas czekały tutaj niespodzianki!  
Zupa i ryby uszły, lecz z kaszy krajanki  
Odrzucono, gdyż były na mięsnej podlewie.  
A kluski! No, o takich zapewne nic nie wie  
Słynna pani Lucyna. Pызate i tłuste,  
Z jakimi u nas zwykło się żenić kapustę,  
Posiane były z wierzchu nieutartym makiem.  
Kto je przełknął, nie lada poczuł się junakiem.  
Niezawodnie instrukcyi złej to była wina.“  
„A czy był też opłatek?“ — spytała Celina.  
„I owszem był opłatek“, ciągnął Lucyan dalej,  
„Lecz myśmy się nim, pani, wcale nie łamali.  
Garson bowiem wysłany poń, jak mędrzec z Aten  
Podumał, szepcząc z cicha: „Oblaten! Oblaten!“  
Wtem mu na twarz błysk strzelił jakiejś myśli rzadkiej,  
Wybiegł i przyniósł drobne do listów opłatki.“

Wśród śmiechu, jaki zabrzmiał wraz w biesiadnem kole,  
Karp w sosie z rodzynkami zjawił się na stole.

Pan radca krząknął z lekka i pogładził białą  
 Wąs swój sumiasty. Gdy zaś owe specyały  
 Napoczął, [wszystkich wzrokiem obiegił uśmiechnięty  
 I grożąc tajemniczo, mruknął: „Pan Walenty!“ —  
 „Pan Walenty?“ — Doreęba szepnął do sąsiadki. —  
 „Już mi wyszła z pamięci osnowa tej gadki,  
 Którą kiedyś słyshałem.“ — „To był szlachcic stary“,  
 Rzekł Adam — „karyolki pan i siwków pary,  
 Który strzegąc swych koni, jak w oku źrenicy,  
 Przed pół wiekiem koczował w naszej okolicy.  
 Mój ojciec różne figle o nim opowiada.  
 Był to tchórz, gadatywus i krzykacz nielada,  
 Co kłamał, że aż belki trzeszczały w posowie,  
 A słuchaczom gorąco robiło się w głowie.  
 Otóż ów rycerz blagi w naszym właśnie domu  
 Skończył swój zawód, padłszy niby wśród wyłomu.  
 Przy obiedzie zaręczał bowiem w tej tu sali,  
 Że wjechał raz był w tęczę i w świetlanej fali  
 Kąpiąc się, czuł, jak każdy kolor jej promienny  
 Z lekka mu członki łęchał na sposób odmienny.  
 Gdy zaś wszyscy wybuchli śmiechem, pan Walenty  
 Powstał od jakiejś ryby, właśnie napoczętej,  
 Klnąc się na rany Boże. Wtem się zacerwienił,  
 Charknął straszliwie, cały wstrząsł się i zapienił,  
 Ość mu bowiem ogromna uwięzła w gardzieli.  
 Skoczono na ratunek, ale wnet go wzięli  
 Ci, których zwykle całe rozrzucal furgony.  
 Jak Ananiasz biblijny został wyniesiony  
 I przy naszym kościółku znalazł swój przytułek,  
 Kędy z krzyża dziś jeszcze „były dziedzie Pszczółek,  
 Jan Walenty Bilgoraj, prosi o westchnienie.“  
 Ojciec, co dzieckiem całej był obecny scenie,  
 Imię nam jego zawsze na pamięć przywoździ,  
 By przestrzedz, iż przy rybach gadać się nie godzi.“

„Wybornie, mój Adasiu“, — rzekł radca z uśmiechem, —  
 „Widzę, że wcale wiernem potrafisz być echem,

Lecz nauka u ciebie z bajki bez ochyby  
Poszła tam, kędy echo mieszka, boś do ryby  
Właśnie ją za przyprawę podał. Teraz przecie  
Już przy śliwkach suszonych może nam powiecie,  
Jaka sanna pod miastem? czy dobre na drogę  
Dał wam konie i rydwan pan mistrz poczty Rogge?“  
„I owszem!“ — odrzekł Adam — „nie małam się  
zdziwił,

Że się na me żądanie prawie nic nie skrzywił,  
Ani w chudy policzek swój nie puścił *drziela*,  
Którym naszą Brygite tyle onieśmiela,  
Gdy długo każdą paczkę ogląda na stronie.  
Dosyć grzecznie rzekł nawet, że swe wszystkie  
konie

Już wysłał z przywózkami poczt, lecz do Chwalina  
Da podwoję od pana amstrata Fregina.  
Jakoż wcale nie długo potem pyszne sanki  
Stanęły zaprzężone w dwa tegie kasztanki.“

„Tak to?“ — zawołał radca — „A więc z innój beczki  
Zaczyna nasz bicz Boży i z Chwalinem sprzeczki  
Nie szuka. Snać już ze mną dosyć miał mitregi,  
Że na nowe nie pragnie narażać się ciegi.“

Po karpniu z rodzynkami dwie nowe potrawy  
Stół okrzyki zwołna, lecz radca ciekawy  
Nie był owych przysmaków, racząc się węgrynem,  
By głos krzepić i rybę złotym zalać płynem.  
Trudno bo w równej mierze wszystkie uczeć dania,  
Których liczbę kanony starego podania  
Podniosły do dziewięciu, zwłaszcza, że dostatni  
Dom soli z pieprzem w numer nie wlicza ostatni.  
Wreszcie kulminacyjny punkt nadszedł wiecerzy,  
Kiedy szmerem radosnym dzieci i młodzieży  
Powitane wpłynęły na stół kluski z makiem.  
Któż z nas śmiałby prawdziwym zwać siebie Polakiem,  
Gdyby gardził tym miodu wytworem i ciasta,  
Którym pewnie Rzepicha już raczyła Piast ?  
Czem pączek bez nadziei, święcone bez szynki,



Śniadanie bez nalewki, bez tańców dożynki,  
Czem jarmark bez pierników, bez intrygi dramat,  
Biesiada bez toastu, twierdza bez kazamat,  
Czem mędrzec bez systemu, a ptaszek bez pierza,  
Tem jest bez klusek z makiem wilijna wieczerza.

To też apetyt wszystkich, choć w długim turnieju  
Biesiadnym zemdlął, niby lampa bez oleju,  
Na widok ich ostatnim buchnął jeszcze błyskiem;  
Tak tancerz całonocnem znużony igrzyskiem,  
Zaledwie mdle już nogi w takt walca układa,  
Lecz niech przez okno sali zajrzy jutrznia błada  
I mazur biały zagrzmie, wraz żwawo podskoczy  
I znów, holubce bijąc, w płąs idzie ochoczy.  
Za to nietknięte prawie inne przeszły dania.

Nareszcie się rozległo hasło do powstania  
I z chaosu, co zawrzał w tej chwili dokoła,  
Z szelestem znów par długi wypłynął wąż Boa,  
By do salonu świetne swoje wtoczyć kregi.  
Tutaj starsi w kanapach z biesiadnej mitręgi  
Otrząsali się, gwarząc spokojnie przy winie.  
Natomiast znów w młodej zaczęło drużynie  
Kotłować, co w zrzuconych pętach etykiety  
Zdrój zdwojonej do zabaw znalazła podniety.

Niebawem służba wniosła dwie tace ogromne,  
Gdzie się, jak gmin, leszczyny swojskiej galki  
skromne

W stertach pierników kryły, podczas gdy migdały,  
Daktyle, figi dumnie ślicznych czar kryształy,  
Wyrzeźbionych misternie w fantastyczne kwiatki,  
Napelniały po brzegi, jak arystokratki.  
Lecz próżno dziś te dzieci skwarne go południa  
Nęcą synów północy wpośród mrozów grudnia.  
Li marcepan, ów strojniś lukrem wymuskany,  
Z rubinem wiśni, cały pachnidłami zlany,  
Zmiękczył serca młodzieży może z tej przyczyny,  
Że go wczoraj paluszki różane Celiny



Ulepiły, by pono patent jej mistrzowski  
Na gosposię z rąk grubej zyskać Połomowskięj.

Tylko dziatwa, co zawsze, jak ptaki niebieskie,  
Dzióbki skore do żeru ma i stopy rzeskie,  
Korzystała sownie z przywileju gwiazdki,  
Znalazłszy karmelkowy niby dom z powiatki.  
Mała Lesia z złotemi włosy od łakoci  
Pobiegła na kolana do jednej z swych cioci  
I mizdrząc się, jak kotek, z zawstydzoną minką  
Zapytała, czy gwiazdka przybędzie z choinką.  
Radca, słysząc to, rzekł jej: „Ej, kuropatewko!  
Czyś ty niemieckie dziecko, że pragniesz mieć  
drzewko?”

Potem do księdza dodał: „Szwabskie to wymyśły,  
Przeszczepione nad brzegi Warty oraz Wisły.  
Za mych czasów nikt malcom nie stroił chojenki,  
Lecz nad stołem wilijnym na niteczce cienkiej  
Ojciec z białych opłatków kolebeczkę śliczną  
Z taką gwiazdką u góry zawieszał mistyczną,  
By przypomnieć dziecinę Bożą w Betleemie  
I światłość, co trzech króli w judzką wiodła ziemię.  
Od tej gwiazdki podarki wzięły swoje miano,  
Które już po wieczery pod nią rozdawano.  
Co do mnie“ — kończył radca — „stokroć więcej wolę  
Betleemskiego cudu z opłatków symbole,  
Niż drzewko obwieszone cukrami i szychem,  
Co nie licuje z żłóbkiem skromnym — swym prze-  
pychem,  
A cudactwem w dziecięcych umysłach gotowe  
Rozbudzić apetyty i mrzonki niezdrowe“.

„Ej, panie radco!“ odparł proboszcz, trzęsąc głową,  
„Ta opinia o drzewku może zbyt surową.  
Gdy mąż żonie u Niemców choinkę zapali,  
By nastrzepić ją czepcem lub sznurem koralu,  
Za co żona mu tuzin dzianych w tajemnicy  
Pończoch wieszka lub lulkę tuż obok szlafmycy,

To przyznaję, że także farsy śmiechu warte.  
Lecz ta moda nie zbłądzi nad Wisłę ni Wartę.  
Dzieciom natomiast małym mem zdaniem się godzi  
Zapalić drzewko w nocy, w której Bóg się rodzi.  
Wszak one i tak żyją w świecie pełnym cudów,  
Kędy wróżki się snują obok wielkoludów,  
Gdzie zaklęte zwierciadło do królowej gada,  
A ślinka ludzkim głosem z szyby odpowiada.  
Ztąd ich nie zbalamuci drzewko fantastyczne,  
Lecz wyobraźni skrzydła da na polot w śliczne,  
Jak baśń złota, a wsparte na prawdy granicie  
Dzieje tego Dzieciątka, któremu w rozświcie  
Ery naszej hymn nuca aniołów legiony,  
A mędrye niosą mirę, złoto i pokłony.  
Boć przy drzewku zazwyczaj wznosi się i szopka,  
Kędy wół i osiołek stoją obok żłobka,  
A pasterze Maryi, czeząc jej Dziecię Boże,  
Kantyczkowe podarki składają w pokorze.  
Zresztą czytałem niegdyś w gazecie warszawskiej,  
Że to nie jest niemiecki, ale skandynawski  
Zwyczaj, co z średniowiecznych zrodził się jasełek,  
Odgrywanych wśród strojnych chojen i jodełek.  
Kto więc drzewko i w Polsce ma zapalić śmiałość,  
Niech wie, że to nie żadna szwabska naleciałość,  
Lecz podarek północy“.

Wtem dalsze plebana  
Słowa przerwała z sali odsiecz niespodziana.  
Dzwonek tam bowiem zabrzmiał raz, drugi i trzeci,  
Nastąpiła cisza; ku drzwiom rzuciły się dzieci  
I wraz przed ich oczyma błysła smukła chojna,  
W chorągiewki, girlandy, złote nici strojna,  
Pełna cukrowych ozdób i w promiennym blasku;  
Pod nią zaś w daktylowych palm schowana lasku  
Stała szopka maleńka z złotą gwiazdą w górze,  
Z pastuszkami, bydełkiem, królami w purpurze.  
W tęż chwilę z fortepianu wypłynęły dźwięki  
Dziwnie proste, a rzewne przesławnej piosenki,

Którą Polska rok rocznie, jak długa, szeroka,  
Wita Boga w kolebce, z łzawym blaskiem oka.  
Ksiądz proboszcz tę serdeczną nutę pierwszy basem  
Pochwycił, za nim sopran dziewic, a za czasem  
Wstydliwie się przyłączył i tenor młodzieży  
I już głośno rozbrzmiewa hejnał: „W żłobie leży“.

Czy to niewysłowiony czar pieśni choralnej,  
Czy zachwyt na dziecinnych twarzyczkach widzialny,  
Czy też urok to sprawił gorejącej chojny,  
Dość, że radca zaniechał dalszej z drzewkiem wojny.  
Zrazu, machnąwszy ręką, wąs swój gładził siwy  
I ciekawie w nieznanne wpatrywał się dziwy.  
Za chwilę przecie krząknął raźnie i w potężny  
Bas huknął na wtór księdzu, niby niebosiężny  
Dzwon, co się wpierw w milczeniu przysłuchuje  
z wieży

Dźwiękom procesyi, zanim w głos gruby uderzy.

Wtem zamęt wśród drużyny zrodził się małeńkiój,  
Kiedy po drugiej zwrotce pieśni z za chojenki  
Z cicha się wysunęły dwie dziwne postacie.  
Pierwsza z nich cudna, w jasnej, powłoczystej szacie,  
Smaglej, kształtnej kibici, w spuszczonej welonie  
Twarz swą na poły kryje. Nad czołem jej płonie  
Blaskiem od świec odbitym śliczna gwiazda srebrna  
Na znak widomy dzieciom, że to ta podniebna  
Szafarka cacek, co już przez całe tygodnie  
Sledziła je, czy zawsze sprawują się godnie.

Druga postać siwego dziada z długą brodą,  
Ze śpiczastym kołpakiem, z twarzą dziwnie młodą,  
W wilczurze przewróconej na wspak, całkiem inne  
Niepokoje rzuciła w serduszka niewinne,  
Bo wisząca u pasa jego różga spora  
Od razu w nim groźnego zdradziła *Gwiazdora*.  
To też dziadki wnet sznurkiem klękły i pobożnie  
Zaczęły swój paciorek, jednym oczkiem trwożnie

Patrząc na ową różgę, drugim zaś w krzeselka,  
Gdzie się piętrzyły lalki, trąbki i pudelka.  
Sliczna Gwiazdka z buziaczkiem, świeższym od maliny,  
Z ruchów dziwnie podobna do cioci Celiny,  
Jedno dziecko po drugim brała za rączęta,  
By wskazać przeznaczone każdemu prezenta.  
Gwiazdor tymczasem, słowa mruknawszy przestrogi,  
Zabrał się do odwrotu, lecz w połowie drogi  
Zahaczył się o jakąś gałąź chojny krzywą,  
Co mu z twarzy zerwała brodę z waty siwą.  
Nazajutrz mała Lesia powiadała z rana,  
Że wówczas w nim poznała pana „Lotelmana“.

Nim Gwiazdka w ślad za swoim towarzyszem z sali  
Uszła na błękit nieba, śliczną klatkę z stali  
Wraz z czyżem wzięła z stołu, gdzie lśniły prezenta.  
By ją w ręce starego złożyć rezydenta.  
Pan Cyryn rozpromieniał, jak majowy dzionek  
I wyśpiewując dzięki czulej, niż skowronek,  
Chciał uściskać serdecznie drobną dłoń niebianki,  
Lecz ta spieszy się dalsze sprawiać niespodzianki  
Panu radcy fez daje do tureckiej fajki  
I poduszkę dzierzganą w niezapominajki,  
Księdzu zaś, co w oddali siedział uśmiechnięty,  
Stawia butelkę starki, dobrze wypoczętej,  
I słój tabaki z firmą przednią Gintrowicza.  
Reszty się tu podarków mnogich nie wylicza.  
Dość, że niebawem całe domowników koło,  
Wzajem sobie dziękując, gwarzyło wesolo.

Wśród radosnego zgiełku pan radca tymczasem  
Wyszedł chyłkiem, a wkrótce wpadł Ignas z hałasem,  
By oznajmić, że ojciec w głębi kancelaryi  
Czeka swej pierworodnej córki, pani Maryi.  
Nie długo przecie trwało owo posłuchanie.  
Pani Włodzka wróciła, przynosząc wezwanie  
Dla Adama, by również stanął przed rodzicem.  
Po Adamie Celina, co z płonącym licem

Właśnie przybyła udział wziąć w wspólnej zabawie,  
Otrzymała zapozew w tajemniczej sprawie.  
Potem radca, starszeństwa pilnując najściślej,  
Wezwał pannę Helenę z dużym, pełnym myśli  
Okiem, dalej Ludwinię, ślicznego podlotka  
I najmłodszą Michasię, wesołego trzpiotka.  
Wszyscy po małej chwili wracali z pospiechem,  
Drażniąc ciekawość gości szczególnym uśmiechem.  
Wreszcie Ignas, monetą brząkając z pustoty,  
Zdradził, że w kancelaryi radcy deszcz spadł złoty.

Hojna gwiazdka humory i tak już różowe  
Podnieciła widocznie. Toż młodzieży nowe  
I dość śmiało niebawem zaświtały plany.  
Połysk bowiem posadzki gładko wymuskanój,  
Instrument, w którym skocznych nut drzemały burze,  
Wreszcie i wianek dziewic, krasnych niby róże,  
Bezwiednie tak myśl płasów zrodziły w salonie,  
Jak w upał chęć kąpieli szklanne rodzą tonie.  
Zaczęły się więc szeptu wśród drużyny młodój.  
Panny zrazu niejakiś stawiały przeszkody,  
Mówiąc, że w dzień wigilii tańczyć nie wypada.  
Lecz prędko te skrupuły kawalerska swada  
Stąpiła, tak jak słońko topi śniegu płaty,  
W które psotny Boreasz ubrał wiosny kwiaty.  
Pozostawało jeszcze formalne na tany  
U gospodarstwa domu wyrobić firmany.

Panna Celina zatem, mamy faworytka,  
Gorliwa z przeciwniczki tańców neofitka,  
Z liczką zarumienioną od szermierki świeżej  
Zaniósła jej nieśmiało orędzie młodzieży.  
Pani Barska, co z zięciem przy drzemającym Czesiu  
Rozmawiała o wnukach, rzekła: „Ależ, Czesiu!  
Któż widział tańczyć w wilią? Rzecz to niesłychana!  
Zresztą dzisiaj samego mamy tu plebana;  
Idź do niego! wszak różne dyspensy on daje,  
Może skakać pozwoli, ale wpierw cię złaje.“

Pannie Celinie przecie zabrakło otuchy  
Prosić tego, przed którym akty swojej skruchy  
Zwykła czynić, więc z minką wraca skłopotaną  
Zdać sprawę przed młodzieżą zkonfederowaną.

Pan Roterman głos pierwszy zabrał w radnem kole:  
„Ja“ — rzekł — „poproszę księdza, na którego czole  
Wyższa jakaś myśl świta. Wszakże w wieku pary  
On pojmie, że odmłodnicę winien Kościół stary.  
Posty i umartwienia były li dla świata,  
Który wierzył, że słońce w koło ziemi lata.  
Obecny rozwój nauk obyczaj życiowy  
Odmienił w podwalinach. Jakże bo płas zdrowy  
Może obrażać Bóstwo dzisiaj, a w dzień inny  
W młodzieńczych mięśni odruch zmieniać się niewinny,  
Gdy *corocznik* nasz ziemski, kalendarzem zwany,  
Nie istnieje dla nieba?“ — „Bolesiu kochany,  
Daj pokój“, przerwał Adam, „bo panięskie uszy  
Wiedną od twych herezyi. Czy twój wywód wzruszy  
Serce proboszcza, wątpię. Może prędzej w sidła  
Złapiesz świerszcza, lub pieska namówisz do mydła.  
Bo nasz ksiądz dobroduszny, choć patrzy przez szpary  
Na figielki, to nie zna żartów w rzeczach wiary.  
Gdy indult nam na tańce chcesz wyrobić szczerze,  
Z innego tonu zacznij. Mów, że jak pasterze  
Chcemy uczcić żłób święty za Dawida wzorem,  
Co przed arką przymierza z całym tańczył dworem.“

„Rzecz to już mojej głowy! Licz jak na Zawiszę!“  
Odparł tamten. — „Zobaczysz, ksiądz *placet* podpisze.“  
Jakoż, kręcąc siarczyście swój wąsik pieśczoney,  
Pomknął wraz do proboszcza, który z drugiej strony  
Salonu właśnie wykład miał, że Wielopolski  
Jeszcze odnowicielem stać się może Polski,  
Skoro szczerze z Zamojskim zapragnie przymierza.  
Widząc, że młody medyk wprost ku niemu zmierza,  
Uprzejmie doń okrągłą twarz obrócił swoje,  
Która przez ciemnych włosów ocieniona zwoje,

Zaciszną miała jezior śródleśnych pogodę,  
Uśmieszek jowialny i podwójną brodę.

Ciekawie młódź śledziła zdala ich rozmowę.  
Najpierw proboszcz łagodnie w bok przechylił głowę,  
Wzniósł rękę i z wyrazem ojcowskiej dobroci  
Zdawał się perswadować, jakby do łakoci  
Psuł gust choremu dziecku. Gdy zaś szturm zawzięty  
Tamten przypuścił, księżyk, jeszcze uśmiechnięty,  
Coraz cięższe na wały jął zataczać działa.  
Raz nawet twarz proboszcza całkiem spoważniała,  
Snać w skutek teologii medyka tatarskiej.  
Lecz nagle w śmiech wybuchnął, a za nim pan Barski,  
A nawet i pan Cyryn oblicze swe słodkie,  
W przelotnego uśmiechu fałdy ściągnął wiotkie.

Pan Roterman do rady jeszcze bezskutecznie  
Jakby rekurs zakładał, potem wstał i grzecznie  
Pokłoniwszy się, kwaśny wrócił do młodzieży.  
„No, jakże, mój Zawiszo? Zamiast wawrzyn świeży“,  
Rzekł Adam, „wpleść do wieńca krasomówczej sławy,  
Niesiesz nam pono ciernie sromotnej odprawy.  
Lecz powiedz, z czego w końcu powstały te śmiechy?“  
„Czy ja wiem?“ — odrzekł medyk. — „Ot z prostej  
uciechy!“

Lecz traf nieszczęsny zdarzył, że panny Heleny  
Ucho słowa ostatniej dostyszało sceny.  
Więc rzekła: „Pan Bolesław za radą Adama  
Wspomniał arkę, lecz przed nią puścił Abrahama  
W płas skoczny. Na co proboszcz rzekł: „Widać  
niepotem  
Mam wydanie wulgaty, bo nic nie wiem o tem!“

Jeśli w senacie starszych ów usterk fatalny  
Śmiech wzbudził, to w młodzieży izbie kapitalny  
Zgiełk wzniesił wesołości, zwłaszcza gdy Michasia  
Dość głośno z śmiechem rzekła do brata Ignasia:  
„Numer w historii świętej: Ledwie dostatecznie.“  
Pan Roterman się na nią aż zachnął niegrzecznie,

Lecz zaraz, jak gracz zręczny, by uciszyć śmiechy,  
Zrobił wolte, wołając: „Stawiam dla pociechy  
Po tańcach nieudałych wnioszek, by z kolei  
Opowiadać zabawne przygody. W nadziei,  
Że państwo się zgadzacie, zacznę.

„W druhów gronie  
Tego lata z Berlina raz przez Sprewy tonie  
Lekką sunąłem łódką. Jak ptaszkiwie leśni,  
Szybując, śpiewaliśmy raźnie pieśń po pieśni.  
Lecz, że słońce nas piekło, wśród szklanych topieli,  
Użyliśmy wprost z łódki doraźnej kąpieli.  
Niestety! wnet spostrzegłem, że boginki wodne  
Skradły mi z palca pierścien, na którym dziś modne  
W otoku lśniły słowa: „Wybaw Polskę, Boże!“  
Wilczy głód nas zniewolił wkrótce rzeki łożę  
Rzucić i do bliskiego zawinąć ogródka.  
Zmiotliśmy tam jaj tuzin w mig. Wtem inna łódka  
Tuż staje, a z niej jakiś *wysłużeniec* stary  
Częstuje nas szczupakiem dość niezwykłej miary.  
Bez targu kupujemy rybę, a ja żwawo  
Sam ją do kuchni niosę, gdzie się jej wyprawą  
Wraz zajęto. Nóż ostry wniknął w srebrne ciało.  
I cóż, panno Heleno, w niej się pokazało? „  
„Pierścień pański!“ z wyraźnym akcentem radości  
Zawoła zapytana. — „Gdzie tam?“ odparł „Ości!“  
I znowu wśród salonu zabrzmiał śmiech rozgłośny,  
Ale w nim jak wodospad huczała donośny  
Męskich chichotów gama. „Gdzie się spryt i ostry  
Twój dowcip podział, Helciu?“ — rzekł Adam do  
siostry —  
„Żeś nie przeczuła zdrady, w Polikratesowy  
Samotrzask biegnąc gruby i wcale nienowy,  
Z gatunku *odgrzewańców*, którym w Niemczech miano  
Kalauerów od Kalau miasteczka nadano.“

Panna Helena, śmiechem cokolwiek zmieszana,  
Spiekła raczka i z lekka pana Rotermana



Trącając swym wachlarzem rzekła: „Pod Philippi  
Zobaczmy się wpierw, zanim samowar wykipi.  
Panowie zaś przestańcie śmiać się z parafianki,  
Ze jej obce są figle oraz niespodzianki,  
Jakie humor niemiecki rodzi nad kufelkiem.  
Słabszego lepszą bronią zwalczyć nie jest wielkiem  
Bohaterstwem. Ztąd dalsze dowcipu igrzyska  
Niech nam raczej zastąpi jaka towarzyska  
Gra znana, jak na przykład gra w różne zwierzęta,  
Którą każdy z dawniejszych lat pewnie pamięta.

Nad tym wnioskiem zaczęto radzić. Lucyan przecie  
Nie mieszał się do obrad. Najszczęśliwszym w świecie  
Był teraz, bo nareszcie znalazł się tuż blisko  
Przy tej, co zdawna była jego snów humoryską.  
Z dziwną lubością patrzył w śliczne, pewne oczy  
Panny Celiny, w owal jej liczka uroczy,  
W bujne splety jej ciemnych włosów, z których mała  
Modna ku brwi lukowi grzywka wybiegała.  
Dwa lata jej nie widział; przez ten czas jej wdzięki  
Rozkwitły w całym blasku. Jakiś nastrój miękki  
Ogarniał go też na myśl, że teraz cieleśnie  
Jest przy tej, którą dotąd widywał li we śnie.

Jakoż wcale serdecznie o dawnych w Chwalinie  
Czasach zaczęli mówić i miłem w Berlinie  
Spotkaniu niespodzianem w obrazów galerii,  
Gdy wtem panna Helena do swej menażeryi  
Zaprosiła obojga. — Pan Lucyan bociana  
Chce brać rolę na siebie, lecz ona: „Ktoś pana  
Uprowadził.“ — szepnie. — „Owca niech pan będzie  
raczej.“

Rzekłszy to, potem siostrze coś długo tłumaczy  
Cichym głosem i zaraz dalej idzie w koło.

„Bocianem pan być chciałeś?“ — Celina wesóło  
Spytała: „Czy dla tego, by nadal jedynie  
Przelotnym, jak on, gościem być w naszej krainie?“

„O nie, panno Celino! Skończył się czas próby.  
Już na dobre powracam do ojczyzny lubej.  
I nie uwierzysz pani, jak mi dziś z uciechy  
Drżało serce na widok pierwszej polskiej strzechy,  
Lub gdym na dworcu znowu po tak długim czasie  
Rodzinne dźwięki złowił w wrzawie i hałasie.  
Aż Adaś śmiał się ze mnie, mówiąc, że się może  
Wyściskam z jakim Maćkiem, co odstawia zboże.  
Z obcej pleśni się obmyć czuję dziś potrzebę,  
By wnet jak dąb głęboko w swojską wrość znów  
glebę.“

„Lecz może panu“ — Cesia z minką krotochwilną  
Szepnie — „dla tego dębem dziś zostać tak pilno,  
By słać na nim wraz gniazdko dla ptaszki nad-  
sprewskiej,

Jak to świeżo Adasia druh zrobił, pan Krewski?“

„Panno Celino!“ — Lucyan rzekł, sępiąc oblicze, —  
„Czy wiesz pani, do jakiej kategorii liczę  
Tych, co jak Krewski krewią? To są dudki  
biedne,

Którzy urojonego szczęścia chwilę jedną  
Całym życiem goryczy skrytej płacić muszą,  
Rozterką wieczną w domu i zbolalą duszą.  
Co do mnie samotnika wolę chleb jeść raczej,  
Niż zatrutych kosztować małżeńskich kołaczy.“

Dalszą rozmowę przerwał głos panny Heleny,  
Co, wpierw zebrawszy młodzież w półkole areny,  
Ku starszym szła, wołając: „Panowie i panie!  
Menażerya zjechała z miasta niespodzianie.  
Właśnie pora karmienia. Zaraz w różnorodne  
Głosy zwierzęta moje odezwą się głodne“.  
Skinęła ręką, tłumiąc śmiech, a w tejże chwili  
Pół tuzina się piersi młodzieńczych rozkwili  
Melancholicznym bekiem, jakim brzmia owezarnie.  
Równocześnie się panny przed młodzią figlarnie  
Pokłonią, mówiąc: „Koncept płaci się konceptem,  
Ości odkryte w rybie baranem poszeptem“.

Młodzieńcy, których panna Helena fortelem  
W trzodeę zmieniła niby Cyrce zdradnem zielem,  
Mieli tak śmieszne miny, że nawet pan Barski  
Rozśmiał się w głos, wołając: „Figiel pensyonarski  
Udał się!“ a ksiądz proboszcz przywłóczył mu z cicha  
Basem, jakim gąsiorek gada do kielicha.  
Pierwszy się pan Roterman zerwał, krzyżując: „Zdrada!  
Panowie, rękawicę rzuconą wypada  
Podjąć nam i otwartą wypowiedzieć wojnę!“  
Zaraz się też formują dwa obozy zbrojne.  
Próżno pan Cyryn zacny chce zażegnać burzę,  
Próżno panom tłumaczy, że powtórzyć w chórze  
Głos tak niewinnych stworzeń jak ciche owieczki,  
To fraszka, a nie powód rozsądny do sprzeczki.  
Źle się nieborak wybrał, bo chichot złośliwy  
Chóru panien do ognia li dołał oliwy.

„Wojna! wojna!“ krzyknęto. Niebawem wśród salki  
Zbiera się młodź, by tajny plan ułożyć walki.  
Pan Roterman, do boju czując zapał dziki,  
Stanął i w głos zawolał: „Adasiu, w pierw *émiki*  
Daj, bo dalipan bez nich aż nam mdło na duszy.  
Prędzej też wśród chmur sinych ktoś dowcipem  
ruszy“.

Wraz błysnęły siarniczki, a za małą chwilę  
Trysły wonne błękity; wśród nich jak motyle  
Gonia się w lot pierścionki, udzierżgane z dymu,  
Które puszcza pan Ludwik, prawnik, kaplan rymu.  
Jak te kółka misterne, tak i plany bitwy,  
Krzyżując się w powietrzu, szły niby w gonitwy.  
Pan Roterman, ów Parys drugi, sprawca wojny,  
Kręcąc oburącz wąsik, biega niespokojny,  
Nagle staje i woła: „Panowie! *Heureka!*  
Wystraszyć panny trzeba! Niech kto na nie czeka  
W sieni, w śmiertelnem gnieźle, niby pan Walenty,  
Ów szlachcic, co od ości umarł źle polkniętój.“  
Pan Maryan chce wyprawić kocią serenadę,  
Lucyan milczy, a Adam coś na każdą radę

Kręci głową; wraz rzecze: „Siostry me to ćwiki!  
Nie złapać je na plewy! Chyba że muzyki  
Duchów spróbujem. Ignaś! idź do Połomosi  
I powiedz, że pan Adam o linki ją prosi,  
Potem z niemi“..... Tu bratu zaczął szeptać w ucho,  
Co słów jego z rosnącą wciąż słuchał otuchą.  
Uśmiech zaś jego chytry i w oku jaskrawy  
Płomień ręczyły widzom, że nie pokpi sprawy.

Niebawem trzask się biczów rozległ i przed ganek  
Zajechała w odstępach krótkich para sanek.  
Na pierwsze ksiądz wsiadł, w futro otulony długie,  
Państwo Barsey zaś z zięciem i Cyryn na drugie.  
Do Srebrnolasek spieszą, kędy ksiądz wikary  
Z północą miał do świętej przystąpić ofiary.  
Teraz się też i młodych skończyła zabawa.  
Gdy w sieni się żegnano, trzykroć: „Zemsta krwawa!“  
Zabrzmiało z męskich piersi. Lecz okrzyk złowieszczy  
Jakoś odważnych dziewięc nie nabawił dreszczy,  
Bo w dwa chóry się łamiąc, także trzykroć „Strachy“  
Zawołały wśród śmiechu z dośpiewkiem: „na Lachy!“

W narożniku na piętrze był obóz młodzieży.  
Własną kwaterę tylko gość otrzymał świeży,  
Pan Doręba, w pokoju średnim od ogrodu  
Z oknami, co zarazem jako drzwi do wchodu  
Służyły na balkonik. Jeszcze na kominku,  
Tlały głównie, więc nim się zabrał do spoczynku,  
Dorzucił kilka polan, by patrzeć w ich żary  
I przy złotym rozblasku jasne roić mary.  
Tyle dziś przed nim osób przemkło się i zdarzeń!  
Ale z nich wątku nie brał do swych cichych marzeń  
On ciągle przed oczyma miał scenę jedyną,  
Kiedy to w progu sieni spotkał się z Celiną  
I gdy zapłot jej rączek poczuł na ramieniu,  
A potem wstyd i radość dostrzegł w jej spojrzeniu.  
I czyliż dziw, że teraz fantazyja młodziana  
Ten moment, co przeminał ja *Fata morgana*,

Odtwarzala na nowo wciąż w zachwyty szale,  
By doń coraz cudniejsze dorabiać *finale*?

Dotąd piękna dziewczica, jak jutrznia na niebie  
Świeciła mu, łagodnym li duszę do siebie  
Nęcąc blaskiem; dziś poczuł, że jej miękkie dłonie  
Stokroć gorętsze żary roztlify mu w łonie.

„Boże!“ — szepnął do siebie — „czyż ten sen uludny  
Mógłby rzeczywistości ciało przybrać cudnój?

Miałbym znów kiedy ciepłem twarzy jej uroczej  
Ogrzać się i tak z bliska w śliczne patrzeć oczy?“

Pan Lucyan wstał i pokój jął przebiegać żwawo,  
Bo na myśl tę mu w piersi jakby buchło lawą,  
A w głowie wśród rozkosznych, tajnych dreszczy ducha  
Szumiała błyskawicznych myśli zawierucha.

Wszak masz dziś stanowisko — szeptał — chleb  
dostatni;

Między rówieśnikami nie jesteś ostatni;  
Zapewne też i panien na Chwalinie wiano  
Nie takie, by za śmiałość krok twój poczytano.  
Jedną rzecz wprowadzie tobie stoi na przeszkodzie!

Dziecię miasta, nie miałeś antenatów w rodzie.  
Czasy przecież dziś inne! Brak herbowej tarczy  
Może rodzicom sporo skrupułów dostarczy,  
Lecz w końcu ci nie zamknie wstępu do rodziny,  
Byleś tylko wzajemność pozyskał Celiny. —

Już więc dzień zaczynało w umyśle młodziana,  
Gdy nagle go w mrok chmura wtrąci ołowiana.  
Zapomniałeś — wraz jęknął — smutków twych powodu!  
Zapomniałeś nieszczęsnej tajemnicy rodu!

Próżność przed nią zasłaniał oczy już od dziecka!

Ona w chwilach radości, jak mara zdradziecka,  
Stawała obok ciebie, by szpony w twej duszy  
Zatapiać i myśl w niemój pogrążyć katuszy!

Ona ci skroń w przedwczesne ubierała cienie,  
Ona posępnym blaskiem barwiła spojrzenie!

Dzisiaj twój dręczycielce spojrz w chwili rozłomu  
Oko w oko, nim na się przyjmiesz wyrok sromu. —

Tutaj młodzian przy oknie stanął nieruchomy  
 I wzrok wysłał przed siebie w wszechświata ogromy,  
 Kędy się gwiazd paliły światła tajemnicze,  
 A księżyc z za chmur blade wychylał oblicze.

Okiem ducha znów ujrzał to mieszkanko ciche  
 Zakrystyana przy farze i te sprzęty lice,  
 Wśród których wzrastał — smętne, samotne pachole.  
 Chudą postać rodzica widział, co swawolę  
 Li słowem zwykł był karcić, lecz też nigdy za to  
 Pieszczot go serdeczniejszych nie darzył zapłatą.  
 Matki nie zaznał prawie, ztąd ów wiek dziecinny  
 Dziwnie mu zdał się szary i prawie pustynny.  
 Dalej stanął mu w oczach dworak wygolony  
 Z szyderczą twarzą, strojny w złociste galony,  
 Co się w pewnych odstępach czasu zjawiał w domu,  
 Z ojcem szeptał, pieniądze wręczał pokryjomu,  
 A przytem nie omieszkał nigdy i z „paniczem“  
 Pogadać po krząknięciu jakimś tajemniczem.  
 Dalej wspomniał, że zanim Maryi Magdaleny  
 Zakład począł odwiedzać, zaszły jakieś sceny  
 O papiery tyżące jego urodzenia,  
 W których niby inaczéj był nazwan z imienia.  
 Wreszcie zkađ się ów w banku wziął po niespodzianéj  
 Rodzica śmierci fundusz, z którego kochany  
 Opiekun i duchowny ojeiec, ksiądz Symplicy,  
 Opłacał studyów jego koszta na wszechniicy?

Biedny Lucyan, w pamięci zebrawszy te fakta,  
 Z rozdartem sercem zamknął przeszłości swéj akta  
 I z wyrazem boleści cichéj, lecz bezbrzeżnéj,  
 Z wyżyn niebieskich spuścił wzrok na trawnik śnieżny.  
 Zrazu źrenice jego, jak ciemne zacisze  
 Przyrzędu, gdy zeń czułą usunięto kliszę,  
 Żadnych refleksów w duszy cudowne zwierciadła  
 Nie zdolne były rzucić. Wtem jakieś widziadła  
 Zaczerniały w miesięcznym blasku tuż na śniegu  
 I zwolna ode dworu sunęły w szeregu.

Nim znikły na przydwornój esplanady stoku,  
Już się z swój drzemki zbudził nerw w Lucyana oku  
I w mig duszy świadomem uczynił zjawisko.  
Co to? W ogrodzie ludzie, a północ tak blisko?  
Młodzian klucz w drzwiach przekreślił i wyszedł  
z komnaty

Na balkon, co miał mrozem wysrebrzone kraty.  
Od domu ślad potrójny w śniegu widniał szary.  
Przytem zdawało mu się, jakoby dwór stary  
Na lewem skrzydle, kędy panien są pokoje,  
Skośnie spuścił ku ziemi trzech warkoczów zwoje.  
Zdziwiony Lucyan patrzy i trze swe źrenice,  
By przy świetle miesięcznem zbadać tajemnicę.  
Wtem go brzęk z owej strony zaleci złowieszczy,  
Jakby tam wszystkie okna wraz dostały dreszczy.  
Sam też zadrżał bezwiednie na ten rozbrzęk dziki,  
Aż w nich *duchów* tajemnej nie poznał *muzyki*.  
Posepnie warczą szyby, wtem z nich lilią białą  
Tu, tam wykwita rączka, a za chwilę małą  
Rwą się warkocze wszystkie i znów w ciszy sennój  
Drzemie dwór, od poświęty księżycy promienny.

## Pieśń II.

### Boże Narodzenie.

Jeszcze gwiazdy na niebios błyszczały przestworze  
Gdy znów życie w chwalińskim zbudziło się dworze  
Najpierw jakoweś gnomy wychodzą z podziemi  
I w mrok zaciszny komnat z kagankami mdłemi  
Wkradają się ostrożnie; piece niezadługo  
Szemrzą z cicha swój ranny pacierz, jasną smugą  
Rozwieszając na ścianach sztuczne jakby brzaski.  
Mieszkańcy, przebudzeni złocistemi blaski,  
Patrzą senną żrenicą w snop światła przez chwilę  
I w miękkich puchach toną znów, by drzemać mile.

W salce tymczasem nowa postać okazała  
Zjawiała się w negliżu rannym, wprawdzie mała  
Co do wzrostu, lecz za to tuszy niepośledniój,  
Coby i w Marienbadzie numer wzięła przedni.  
Choć nie pierwszej młodości, świeża i rumiana,  
Miała wdzięk ujmujący. W twarzy jej rozlana  
Była prostota ducha i życzliwość szczerą,  
Co sobie pierwszem słowem już serca otwiera.  
Pani to Połomowska! na imię jej Marta,  
Gospodyni, lecz więcej, niż szeląga warta.  
Ona bo w maszyneryi domowej sprężyną  
Tajną, co koła pędzi, by zegar z godziną  
Na czas zdążył, by nigdzie w kurnikach ni dworze  
Nie zbrakło powszedniego chleba w żadnej porze.  
Choć w ciało tak zasobna, dziwnie żwawa; wszędzie



Zagląda sama, biega, aż w swym chyżym pędzie  
Nieraz się zdyszy cała, lecz przy tym pospiechu  
Ma słoneczną pogodę zawsze w swym uśmiechu.

Zajrzawszy już w podwórku do każdego kąta,  
Obecnie się około rannej kawy krząta.  
Ustawia więc na stole tace rozmaite,  
Na których z przednią mokką placki wyśmienite  
Ma dziś z rozkazu pani rozesłać w sypialnie,  
By zbyt długie wywczasy przerwać i moralnie  
Wypłoszyć śpiochów z łóżek. Troskliwie i bacznie,  
Jak hetman swe chorągwie, zanim bitwę zacznie,  
Sprawia każdy pułk ślicznych, różnobarwnych czarek.  
Wie, gdzie miast babki słodki położyć sucharek,  
Gdzie wyższą wznieść ze strucla piramidę, kędy  
Wzmocnić płaskich plecionek ze śmietaną rzędy.  
„Zaspała dziś panienka!“ — szepnie sama sobie,  
Biorąc wielki, błyszczący sagan w dłonie obie,  
By zeń w mniejszych imbryków otwarte gardziele  
Czarno-złocistej kawy lać wrzące topiele.

„Przepraszam, właśnie idę“ — zabrzmiał głosik  
dźwięczny

I w drzwiach Anusi Wrzeskiej ukazał się wdzięczny  
Profil liczka. W salonie przy Ludce uroczej  
I przy pięknej Celinie twarzyczka ta w oczy  
Nie bila. Dzisiaj przecie rysy jej łagodne,  
Plec jasna, kształtny nosek, wejrzenie pogodne  
Miłą tworzyły całość, zwłaszcza że jej cerze  
Śliczny ranny czepeczek dawał blaski świeże,  
Strojąc ją nawet w odcień kokieterji lekki,  
Od której duch jej zresztą całkiem był daleki.  
Najstarsza wpośród licznej niezmiernie rodziny,  
Córka dziedzica Wrzosów, skromniuchnej wioszczyny,  
Nie miała Andzia żadnych pretensji do świata.  
Mówiła, że niepiękna, ani też bogata,  
Nie znajdzie nigdy męża; więc serce dziewicze  
Nieczule na nadzieje chowała zwodnicze.

Przy tem wszystkim w wesołym zazwyczaj humorze, Dobra i szczerą, licznych już w chwalińskim dworze Miała przyjaciół, gdzie się w sztuce gospodarskiej Świeżo jęła pod okiem kształcić pani Barskiej.

„Jeśli się spóźniam“ — rzekła — „to paniusi wina! Po co to straszyć w nocy?“ — „W imię Ojca, Syna!“ Zawoła ochmistrzyni, znacząc krzyżem czoło.  
„Ja straszyłam po nocy?!“ — „A kto to?“ — wesoło Odeprze jej Anusia — „wydał te powrozy, Od których szyby drżały, a my marły z zgrozy?“  
„Słodki Jezu! co słyszę? Alem winna sama, Zem chłopcu linki dała dla pana Adama, Nie myśląc, że tak skory Ignaś do niecnoty.“  
„A gdyby sam pan Adam był sprawcą pustoty?“ — „Pan Adam?!... Panie, odpuść. Czy go za studenta Ma panienka i o tem wcale nie pamięta, Że pan Adam pod nosem ma już wąs, nie mleko?“  
Wtem się znów drzwi od sieni otworzyły lekko? — I jak wilk w bajce, Adam, wezwany do matki, Zjawił się, by rozmowy usłyszeć ostatki.

Zdziwiony, rzekł od progu: „Zaszczyt to niemały, Zeście panie o moich wąsach rozmawiały.“  
To mówiąc, jął je kręcić z figlarnym uśmiechem. Wraz popłoch wszczął się. Pani gosposia z pospiechem Chwyliła za pęk kluczy, zwracając się bokiem Ku drzwiom, by młodzian bystrem nie dopatrzył okiem

Wdzięków zbyt wybujałych wśród rannej swobody I jak kula na dolne stoczyła się schody.  
Przez tę dezercyą panna Anna sama jedna Pozostała na placu. Nie dziw więc, że biedna Zmieszła się po trochu i wbrew swej naturze Naraz w ślicznej rumieńca błysnęła purpurze.  
Wnet przecie odzyskała zwykłą swą swobodę I rzekła: „Pani Marta we wąsach przeszkodę Widzi, by panu koncert szyb przypisać dziki.“

„A jednak jam jest sprawcą tej duchów muzyki,  
Co pewnie i na siostrach, choć tak doświadczone,  
Nowością swą wrażenie sprawiła szalone.“ —

„Szalone, prawda! Dawka była nazbyt wielka!  
Tak ostro się drobnego nie karze figielka.  
Myśmy struchlały prawie, gdy Pańskie klawisze  
Z okien wystąpiły jęk swój smętny w nocną ciszę.“

Biedna Andzia, zdradzając nocną tajemnicę,  
Nie wiedziała, że właśnie chwalińskie dziewice  
W głębi górnej komnaty, biorąc ubiór strojny,  
Układały po cichu plany nowej wojny.  
Mądra panna Helena, która w sióstr drużynie  
Rej wodzi, przedłożywszy wpiery projekt Celinie,  
Objaśniała go młodszemu, potem temi słowy  
Ozwie się, bujne splety wijąc wkoło głowy.

„Co do nocnej muzyki, to taka ma rada.  
Nie nam o niej nasamprzód mówić nie wypada,  
Gdy zaś panowie złączą stroić z nas swe drwinki,  
Mówmy, że nam niejasne zgoła ich przycinki.  
Skoro zaś rzecz wyłuszczą, my wszystkie zdziwione  
Pytajmy jedna drugiej, kto z nas brzęki one  
Przez sen słyszał. W ten sposób fatalna przegrana  
Będzie poniekąd starta i zamaskowana.“ —

„Dobrze, Helciu!“ chór krzyknął, a Cesia, co jeszcze  
W swym tołubku przed lustrem w rozpalone kleszcze  
Brała śliczne kędziorki, rzecze: „Sama tylko  
Dodam od siebie, pierwej podumawszy chwilką,  
Że w istocie, już drzemiąc, zasłyszałam dźwięki,  
Które za proste wzięłam sennych much pobrzęki.“

Fortel Heleny niezłym okazał się wkrótce! —  
Gdy bowiem młódź wśród sali przy struclach i wódce  
Jęła na panny miotać drwin i żartów grady,  
Pytając, czy kontente z duchów serenady,  
One tak dobrze grały niewiniątek role,  
Że pan Włodzki, co później zjawił się przy stole,



Nie aktorem, lecz prostym byłem tylko świadkiem  
Koncertu duchów, stojąc przy oknie przypadkiem. —  
„Czemu się pan nie udał weżeśniej na spoczynek?“ —  
„Rój myśli, pierś wzburzona, płonący kominek  
Sen ploszyły, dalekich wspomnień budząc zamęt,  
Z którego w końcu wynikł wielki ducha lament.“ —  
„Czy być może? więc Chwalin nasz działa tak smętno,  
Iż na wstępie już panu w duszy zaraz mętno?“ —  
„Nie Chwalin temu winien“ — odparł Lucyan cicho,  
„Ale fatalistyczne w losach moich лихо.  
Wyobraź sobie, pani, wędrowca, co zdala  
Ujrzał górę błękitną, do niej się zapala,  
Spieszycy ku niej wytrwale wśród kurzu i spieki,  
Ciesząc się, gdy w zieleni szczyt błysnie daleki,  
Gdy już okiem rozróżni szałety i drzewa,  
Wśród których pewnie zięba śliczną piosnkę śpiewa.  
I wraz mu skacze serce, gdy woń górską chłonie;  
Wtem przepaść ujrzy straszną i posępne tonie  
Rzeki, co go w początku już wstrzymała drogi.  
Jakże nie ma narzekać wtedy na los srogi?“  
„Panie!“ rzecze Celina, strojąc głos w dźwięk tkliwy,  
„Przypowieść ta współudział budzi we mnie żywy,  
Lecz nic jej nie rozumiem“. — Wtem się palba z biczu  
Rozpocznie i rozhovor przerwie tajemniczy.

Tuż pod dworem przemykać zaczęły rumaki;  
Nad niemi pióropusze wiewają, jak ptaki.  
Staje tabor, co wiernych w dom Boży zawiezie.  
Teraz się i pan radca w nowym zjawia fezie.  
Z długiej tureckiej lulki dym puszczał modry,  
Wita gości, w uściski dłoni nader szczodry.  
Z uśmiechem żartobliwym rzecze: „Państwo młodzi,  
Widzicie, że na zapas robić nie zaszkodzi.  
Jam w nocy na pasterce zmówił już pacierze,  
To dziś tu przy kominku mogę dumać, świeże  
Snując wciąż kłęby dymu, gdy wy do południa  
Parę pykać będziecie wpośród chłodów Grudnia.“

Wnet z przed dworu saneczki, w dywany spowite,  
Jęły się rwać, jak stado kuropatw rozbite ;  
A nuta ich gruchawek, wdzięczna i wesola,  
Świąteczny nastrój zwiększa wśród cichego siola.  
Słonko precudnie świeci, chat wiotkie warkocze  
Biorą połysk złotawy, płynąc w nieb przezrocze.  
Jezioro falą blasków igra, jak zwierciadło,  
Perłami skrzy się śnieżne ziemi prześcieradło.  
Przebiegłszy przez wieś całą, w boczny mimo krzyża  
Gościńiec wpada sanek karawana chyża ;  
Dzwonki brzmią, konie suną przez utarte śniegi ;  
Z obu stron lip przydrożnych gonią się szeregi.  
Wiatru niema, lecz aura mroźna panien leczka  
Krasi ponsem, iż każda kwitnie, jak różyczka,  
Panom zaś, co w kołnierzach szukają osłony,  
Na młodociany zarost wczesne rzuca szrony.

Z lasu, dokąd wpłynęła wkrótce czwórka sanek,  
Jakby ciepłej zawiało. Drzewa w biel firanek  
Strojne dziwacznie, niby Żydy w synagodze,  
Toną w zadumie sennej. Zacisznie na drodze ;  
Dopiero poza borem ruch się na niej wszczyną.  
Tu długim rzędem spieszy pobożna drużyna ;  
Słyszac dzwonki, na stronę schodzi w śnieg i czeka,  
Aż torem kalwakata nie przeszumi lekka.  
Coraz ludniej wśród drogi, już i dzwon z oddali  
Słę uroczyste tony po powietrznej fali.  
Zewsząd też cheszą sanie i bosc kolaski,  
Tuż bowiem z za pagórka błysły Srebrnolaski.  
Na prawo sznur żelaznych prętów w tył ucieka,  
Poza którym pałacu fasada daleka  
Miga w drzewach, na lewo gumna okazałe  
I schludnych wiejskich zagród domki świecą białe.  
Wreszcie sanki dobiegły kresu. Wpośród placu  
Obszerneho w wsi centrum naprzeciw pałacu  
Poważnie się rozsiadła srebrnoleska fara,  
Strojna wieża, chwalińskiej filii macierz stara.

Ocierając szron z wąsów u cmentarniej bramy,  
Młódź z szykiem kawalerskim z sań wysadza damy.  
Li pan Ludwik, któremu zarostu złośliwy  
Łos poskapił, zostawia *szadź* srebrną, szczęśliwy,  
Że go zimny dech mroźny choć na chwilę darzy  
Męskim wdziękiem, o którym dniem i nocą marzy.  
Kościół obszerny pełnym był niemal po brzegi,  
Chociaż jeszcze w głąb jego wciąż wiernych szeregi  
Płyną zwolna od wniścia, aż kłosem przy kłosie.  
Łan głów ludzkich się chwieje, lśniąc by w rannej rosie.  
Dla chwalińskich przybyszów zaraz się łaskawe  
Odemkły drzwi zakrystyi, z której w średnią nawę  
Sznurkiem panie do bliskiej puściły się ławki,  
Jak motyle się wznosząc nad wieśniacze trawki.

By nie utracić złotej poruszeń swobody,  
Młodzież z portu na pełne nie wypływa wody;  
Tylko Lucyan w ślad panien wiotkie pruje fale,  
Ale w pół drogi staje, widząc, że już wcale  
W archipelagu ławek nie znajdzie przystani.  
Spojrzał wstecz, tór zaginał; w koło się bałwani  
Różnobarwna powierzchnia chust, krymek, warkoczy  
I twarzy, z dziwem w niego wlepiających oczy.  
Jak statek, co w pobliżu ugrzązł swej ostoi,  
Tak on sterczy nad wiejskich drużyną dziewoi.

Lecz z kolatorskiej ławki dwie czarne źrenice,  
Przewiodłszy wpierw na miejsce chwalińskie dziewice,  
Nie napróżno nad pięknym zawisły młodzieńcem,  
Który bezwiednie lekkim oblał się rumieńcem.  
Młoda, hoża brunetka z blaskiem ócz płomiennym,  
Noskiem rzeźbionym, rasy wytworem znamiennym,  
Szepce coś z cicha ojcu, co w szubie niedźwiedziej,  
Jak senator w kurulnem krześle swoim siedzi.

Pan hrabia najpierw w szkiełko oko swoje zbroi,  
Potem wzrok przez kłęczących puszcza łan dziewoi,  
By w końcu nim przelotnie ogarnąć młodziana,  
Którego twarz mu niby znana i nieznana.



Wyniosła postać tegoż, typ czysto słowiański,  
Twarz myśląca, sarmacki wąs i wygląd pański  
Korzystnie świadczą o nim; więc hrabia Leliwa,  
Musnąwszy krótką brodę, nieznacznie nań kiwa,  
Okiem i ruchem ręki wskazując laskawie  
Wolne miejsce przy synu w kolatorskiej ławie.  
Lucyan zrazu się zmieszał niezwykłym faworem,  
Lecz za drugą zachętą przecina z oporem  
Ostatnie już przy kratkach przed ołtarzem wały  
I zarzuca kotwicę w ławce okazałej.  
Tutaj, przed grzecznym hrabią skłoniwszy się nisko,  
Nim zasiadł, z cicha swoje wymienił nazwisko,  
„Budowniczy Doreba“ mówiąc, poczem z szuby  
Wyjął psalterz łaciński, maleńki, lecz gruby.

Tymczasem słowa jego hrabiemu, o uszy  
Obiwszy się, wraz ferment wywołały w duszy.  
Na uprzejmej i całkiem czerstwej jego twarzy  
Widocznie odbłask myśli zwichrzonej się żarzy,  
Jakoby w lot rozpierchłych wspomnień chwytał cienie  
I szybko jakieś świeże sprawdzał przypuszczenie.  
Głaszcząc brodę na sposób Egmonta przyciętą  
I z lekka już garsteczką szronu przytrząśniętą,  
Ledwie widział, jak proboszcz w kapie okazałej  
Wyszedł, a przy nim orszak ministrantów cały.  
Gdy ksiądz „asperges“ basem zaśpiewał donośnym,  
Cała gmina z szelestem powstała rozgłośnym.

Wnet, jako fale morskie z rozkazu Mojżesza,  
Na dwoje w środku nawy zbита pęka rzesza,  
A kapłan z swym lewitą w wąziutkiej szczelinie,  
Rosodajną prawicę wznosząc, żwawo płynie.  
Lucyan, goniąc go wzrokiem, wraz i po świątyni  
Rozgląda się i różne spostrzeżenia czyni.  
Okiem znawcy styl bada zaciemniony nieco,  
Sledzi przydatki, które jednolitość szpecą;  
W wnętrznym wystroju widzi pierwiastek dwoisty.  
Gdy bowiem w presbyteryum smak przebija czysty,



W głównej nawie kościoła mnogie rażą skazy,  
Demorosłych Fidyaszów rzeźby, bohomazy.  
Snać ich okiem zazdrosnem, jak żrenicy, strzegą  
Liczne bractwa przed gustem wybrednym hrabiego.

Zaczęła się ofiara święta. Wraz organy  
Zahuczały poważnie, falą dźwięków w ściany  
Bijąc, aż piersi ludzkich bardon wielostrony  
Buchnął akordem pieśni prostej, lecz natchnionej.  
Teraz już, kto pobożny, ciekawe żrenice  
Odwołuje z pościgów i pochyła lice  
Nad książką, gdzie modlitwa każda to drabina,  
Po której myśl z padole ku niebu się wspina.  
Lucyan, co przez młodzieńczych wrzeń płynąc odmetry,  
Szczęśliwie skarb swój wiary ocalił nietknięty,  
Słucha przez chwilę pieśni znaniej z lat dziecinnych,  
A potem myśl swą w psalmach zatapia dziękczynnych,  
Nie patrząc, czy twarz jego obca jeszcze dłużej  
Oczom wiochn rozśpiewanych za przystanek służy,  
Lub czy czarne żrenice sąsiadki pobliskiej  
W ukośnem ćwierćspojrzeniu sypią nań swe błyski.  
Podniósł dopiero wzrok swój, gdy świętego Jana  
Początek ewangelii zabrzmiał z ust kapłana  
I całą rzeszą wstrząsnął, jak podmuch orkanu,  
Mieniając ją w żywych kolumn las na chwałę Panu.

Wstają wszyscy w nastroju ducha uroczystym.  
Słońce właśnie przez okno malowne barwistym  
Snopem promieni trysło ku ścianie przeciwniej,  
Zawieszając w powietrzu kształt jakoby dziwnej  
Wielkiej arfy świetlanej, którą rąbkiem skrzydła  
Błękitnym z lekka trąca wonny dym kadzidła.  
W całej świątyni pachnie dziś sakramentalna  
Aura Bożych narodzin, prawie namacalna.  
Lucyan zrazu śpiewanych słów łacińskich słucha,  
Osnowę ich w skupieniu rozważając ducha.  
Wtem mu, jako jaskółka, płocha myśl przeleci:  
Zobacz, jak na tle obcych lic twarz lubiej świeci.

Chwilę walczy sam z sobą, lecz jego źrenice  
Już samopas pobięły odszukać dziewicę.

Wśród wiejskich fizyognomii prostych a ru-  
mianych,

Dokoła po obszernej świątyni rozszianych,  
Jak klomb kwiatów w murawie, kępa ławek świeci  
Z obliczami wielmożnych, dworskich i waszeci.  
Między niemi, jak róży nawpół rozwinięty  
Pączek z dwoma lśnięciami rosy dyamenty,  
Nęci wzrok twarz Ludwini, podczas gdy Celina,  
Smagła i nieco bledsza, cudną przypomina  
Lilię, co śnieżnych listków swych kielich przeczysty  
Kąpie w jakiejś zadumie cichej, uroczystej.  
Nad głową jej chorągiew swój atlas zielony,  
Mieniający się i w złote obszyty galony,  
Rozpostarła, jak gęstwy liściowej kotarę,  
Której rąbek żar słońca ozłaca przez szparę.  
Młodzieniec patrzy dłużej w promienne jej lica,  
Bo właśnie wzrok swój w górę podniosła dziewica  
I duże lśniące oczy, jak w świętej ekstazie,  
Zawiesiła na pięknym Maryi obrazie,  
Podobna z swej postawy na tle chorągwanem  
Joannie d'Arc, gdy modły śle nad Orleanem.  
Nie spieszno mu oderwać oczy od tej twarzy!  
Zda się czekać, czy traf mu przyjazny nie zdarzy  
Ulotnego spotkania źrenic, które w tłumie  
Nieraz daleko więcej wypowiedzieć umie,  
Niż rozmowy przy świadkach toczonej godzina.

Niezadługo też wzrok swój spuściła Celina,  
A jak chyżych jaskótek para wśród połowu  
Zleci się ze szczebiotem i rozleci znowu,  
Podobnie ich źrenice, sypiąc wzajem skrami,  
Zbiegły się, by za chwilę spocząć nad książkami.

I ponownie głos gruby, lecz dźwięczny kapłana  
Z modlitewnej zadumy obudził Lucyana.  
Po kilkukrotnym księdza rozhovorze z chórem  
Umilkł organ, jak grzesznik zgromiony, z ponurem

Łkaniem potężnej piersi tonąc we łzach skruchy.  
Niby szum wody wielkiej rozlega się głuchy  
Postępek jego, aż okna drżą, a trwoży rzesza.  
Książd na nim, jak na kanwie, basem swym zawiesza  
Niekunsztowny, a dziwnie wzniosły, gregoryański  
Śpiew prefacyi odświętnej, co modlitwy Pańskiej  
Dziecięcą rzewność łączy z świętej wiedzy głębią,  
Serafickie natchnienie z pokorą gołębią  
I jest kadzidłem wonnem, jakie z anielskimi  
Chóry Kościół przed Pana tron śle codzien z ziemi.

Gdy skończył, trzykroć „Sanctus“, szepcąc nad  
kielichem,

By odtąd w rozmyślanu pogrążyć się cichem,  
Przez odmęty fal ludzkich jasna płynie struga,  
Niby prąd zatokowy — świta starców długa;  
A każdy gorejącą ma w dłoni gromnicę,  
By uczyć niepojętą wiary tajemnicę.

Wtem dzwonek przy ołtarzu zaczął głośny  
lament,

Po którym się w kościele nagły zrobił zamęt.  
W pół strofy z organami umilkł śpiew choralny.  
Zda się, że w las tatrzański wiatr uderzył halny,  
Co rwie z korzeniem buki, smereki i jodły.  
Chyli się kornie rzesza, zatopiona w modły,  
A łan, co się przez chwilę chwiał głowy setnemi,  
Cały w ściętych pokosach leży teraz na ziemi.  
Cisza wielka nad łanem; tylko z pozytywka  
Cieniutkim się pobrzękiem odzywa przygrywka,  
Jakoby głos przepiórki, która nieszczęśliwa  
Skoczno-rzewny zawodzi tryl ofiarom żniwa.

I znów zajęczał dzwonek, bo nadeszła chwila,  
W której kapłan nad śnieżnym opłatkiem się schyla,  
Aby cudem nad cudy w postać jego białą  
Zakląć Słowo przedwieczne, co się ciałem stało.  
Wraz w pobożnym zachwycie lud Pana nad pany,  
Co błysnął nad ołtarzem, jak motyl świetlany,

Wita głośnym okrzykiem, jakim tylko żywa  
Wiara z korną prostotą ducha się odzywa.  
Lucyan, który już dawno takiego westchnienia  
Z setnych piersi nie słyszał w chwili Podniesienia,  
Aż zadrżał lubym dreszczem, czując, że wśród łona  
Taje mu śnież obczyzny, a z pod niej zielona,  
Jak z pod śniegu w wiosennem słońcu ruń wyziera:  
Dawnych wierzeń i swojskich praktyk miłość szczerą.

Nawet młodzież w zakrystyi czei świętość tej  
chwili

I, ugiąwszy kolana, czoła w ziemię chyli.  
Bo choć ostygła w wierze i paciérza słowa  
Zaledwie jako spinkę staroświecką chowa  
W zapyłonej oddawna szufladzie pamięci,  
Teraz w okrzyku rzeszy czuje mimo chęci  
Coś z tej siły zaziemskiej, która w nawałnicy  
Hukiem gromów, a lękiem serca wśród tęsknicy  
Przedzgonnej drogich osób przemawia do duszy,  
Zapomniane wskrzeszając widma wśród katuszy.

Gdy przycichł wreszcie dzwonek, znów w wne-  
trzu kościoła,

Niby w zamku z uśpiania odklętym, dokoła  
Budzi się dawne życie, znów się ludzkie tonie  
Bałwanią i ku górze wystrzelają skronie.  
Organy różną gamą wpierw stroją gardziele,  
Zanim hasło do pieśni wydadzą w kościele,  
Co jest zwiastunką pory dla Chrześcian radosnej,  
Tak jako wonny fiołek jest symbolem wiosny.  
Zabrział ów śpiew przesławny, co w chwalińskim  
dworze

Wczoraj nad drzewkiem roztlili betleemską zorzę.  
Lecz tu on płynie wolniej na poważnej fali  
Tonów pełnych, wspaniałych o rozległej skali.

I choć częściej prześpiewem lub dzwonkiem  
podcięta,  
Zawsze Bożej Dzieciny kołysanka święta

Odrasta, jak wstrzymany wytrysk wody szklany,  
Gdy pacholę dłoń psotną odejmie z fontanny.  
Ścichła w końcu, gdy kapłan z fontanną w zawody  
W przeciągłem „Ite missa“ sztuczne jakby wody  
Puścił w wysokich tonach aż pod strop świątyni,  
Które wniebowstąpienia godłem Kościół czyni.

Zaledwie ksiądz ukończył ofiarę bezkrwawą,  
Przeleciał zda się znowu wiatr kościelną nawą.  
W gęstym tłumie dokoła ruch się jakiś wszczyna,  
Rodząc w końcu dwa prądy. Mniej liczna dru-  
żyna

Powoli się ku wyjściu krętym węzłem toczy,  
Podczas gdy ku środkowi z obydwóch uboczy  
Napiera ciżba wiernych, by bliżej być zdroju,  
Zkąd płynie mądrość Boża z słowami pokoju.  
Już wysoko nad rzeszą wykwił na ambonie  
Ksiądz wikary w komeźce, jak lilia w wazonie.  
Odczytawszy ludowi powieść z księgi świętej  
O stajni, w której cud się spełnił niepojęty,  
Jedną myśl niby ziarno wyjął z jej osnowy,  
Odsłonił rdzeń jej, potem wymownemi słowy  
Rozwijał dalszych myśli ukryte zarodki,  
Aż urosła w wspaniałą palmę, z której słodki  
Owoc nauki każdy strząsał, jak daktyle,  
Byle skrzydła uwagi natężył motyle.

Lucyan, piękne wywody chłonąc kaznodziei,  
Zadumane swe oczy puszczał po kolei  
Na grupy współsłuchaczów, które dla malarzy  
Ciekawąby mozaikę przedstawiały twarzy;  
Najeczęściej przecie wzrok swój mimowiednie prawie  
Zawieszał nad równianką lic w chwalińskiej ławie.  
Wtem, okrażając okiem pobliską chrzcielnicę,  
Ujrzał wlepione w siebie dwie bystre źrenice.  
Białły anioł drewniany dłota nie Canowy,  
Co trzymał wazę z wodą, część zasłaniał głowy  
Starcowi patrzącemu weń z zajęciem widnem.  
Młodzian jednak w obliczu jęgo nieco szydnem

Poznawał jakby rysy niegdyś już widziane.  
Jął więc w duchu przebiegać czasy zapomniane,  
Sądząc, że w tym cudownym labiryncie zdarzeń,  
Osób i wiadomości, pojęć oraz wrażeń,  
Co się pamięcią ludzką zowie, w półzapadłej  
Komóreczce jakiej, niby dawny fresk poblady,  
Odnajdzie tę twarz dziwną i pełną wyrazu.  
Lecz próżno! Więc w pogoni myśl wstrzymał od razu,  
By ją wraz z kaznodzieją z ziemi wzniesić w wyżyny  
Obiecanej wybrańcom niebieskiej krainy.

Lecz po chwili tam znowu spojrzął od niechcenia,  
Snać magicznej potędze uległszy spojrzenia,  
Które z poza chrzcielnicy z nieprzepartą siłą  
Niby szpony sokoła w twarz jego się wpiło.  
Teraz, brwi nieco marszcząc, surowszym już wzrokiem  
Zmierzył się błyskawicznie z tem natrętnem okiem  
I, plac boju zdobywszy, szybkie czynił zwiady  
Na twarzy przeciwnika zawiedłej i bladłej:  
Rysy jej dziwnie ostre, oczy przenikliwe,  
Wąs zgolony i krótkie faworyty siwe  
Nadawały jej jakiś wygląd zagraniczny.  
Przy ustach częsty pono uśmiech sarkastyczny  
Wyłobiał dość widocznie dwie bruzdy znamienne.

Teraz już i wspomnienie, pierwój jakby senne,  
Zmieniło się w wyraźną pewność u młodziana,  
Że owa twarz mu niegdyś dobrze była znana.  
Miał też jakoby w nerwach to poczucie ciemne,  
Że go z nią jakieś zajęcie wiąże nieprzyjemne.  
Lecz próżno zagmatwane rozplątać się sili  
Nici w swojej pamięci. Już też od tej chwili  
Myśl jego, tańcząc w kolo, nie wnika w wywody,  
Które dalej rozwija kaznodzieja młody:  
Bo choć wątek pochwyć wysiłkiem swój woli,  
Oczy same napowrót spadają powoli  
Ku chrzcielnicy, by spłoszyć owe dwie źrenice,  
Które widocznie także jakąś tajemnicę

Wykraść mu chcą z oblicza i również daremnie  
Nurtują zawikłanej łamigłówni ciemnie.

Skończyło się kazanie. Wraz też jak w pasiece  
Zawrzał ruch wśród świątyni. Tlum podobny rzece,  
Co przerwała swą tamę, szerokiem korytem  
Wylewa się na cmentarz; ztamtąd mniej już zbitem  
Cielskiem toczy się w sioło, by trzema ramiony  
Popłynąć w okolicę znacznie przerzedzony,  
Niosąc na falach swoich powózki i sanki,  
Niby kry, do szalonej skore pohulanki.

Pańszczyznę pokościelnych odrobiwszy witań,  
Całunków i ukłonów i grzecznych zapytań,  
Prosto chwalińskie panny siadły w swe saneczki:  
Młodzież zaś na kieliszek pospiesza wódeczki  
Do zacnego plebana, który po mszy świętej  
I po kawce swych gości wita uśmiechnięty.  
Zastali tam młodzieńca z jasno-blond czupryną,  
Tęgim wąsem i dwakroć tęższą jeszcze miną,  
Co przy swych turzych barkach, ogorzalej cerze,  
Przy śmiechu nazbyt głośnym, ale brzmiącym szczerze,  
W końcu przy swojej werwie ruchów zamaszystej  
Szlacheica-hreczkosieja typ przedstawiał czysty.

„Do stu dębów!“ — zawoła — „Jak się masz,  
Adasiu?“

No, czyś na dobre do nas już zjechał, kochasiu?  
Nie? — Cóż u licha? Z wiatrem puść twe egzami-  
mina!

Jak bogi kocham! Na cóż wracać do Berlina?  
Niech ci ojciec wystawi na Chwalinku dworek:  
Będziesz siedział o miedzę od mych Mirotworek.  
Ha, ha! ja się już naprzód cieszę na śniadanka,  
Jakie się wtedy sypną i na polowanka.  
Zajęcy bo dziś nie brak, tylko kur jest mało.  
A wiesz ty, jak mój Dogoń chodzi? Twierdzą  
śmiało,

Że wasz Grzmiłlas niegodzien podać mu i wody,  
Choć w czwartem już jest polu, a więc nie tak  
młody.“

Powitalno-myśliwską czułą tę tyradę  
Prawie jednym tchem palnął, niezłą mając swadę,  
Pan Janusz Łościborski, wpierv polskim zwyczajem  
Wyciskawszy sąsiada, co go ściszał wzajem.  
Gdy wstrzymał słów swych potok, Adam towa-  
rzyszy

Jął przedstawiać po formie wśród poważnej ciszy,  
Przy Lucyianie dodając: „Zapewne panowie  
Znacie się jeszcze ze szkół“. Na co ten odpowie:  
„W istocie!“ Lecz pan Janusz, kiwając niedbale,  
Rzekł półgłosem: „Co do mnie, nie pamiętam  
wcale.“

Zżymnął się nieco Lucyian na beztakt szlachcica,  
Lecz wnet lekkim uśmiechem rozpogodził lica,  
Bo mu zabawna scena stanęła w pamięci,  
Kiedy to obaj niegdyś wrogowie zawzięci,  
W imię się wielkich hasła w obec całej klasy  
Jako Sulla i Maryusz porwali w zapasy.

Janusz, panicz, kolegom miejskim z wielkiej  
buty

Rzucił raz obelżywe słowo, że mu buty  
Szyć będą jeszcze kiedyś, więc im teraz zasię,  
Iż on sobie na ławce herb wyrzyna w klasie.  
Obruszyły się malcy, lecz żaden do pięści  
Odwołać się nie kwapi, bo chociaż najczęściej  
Janusz w lekcjach jest trušką i z strachu się poei,  
Za to w pauzach przewodzi i potężnie grzmoci.  
Tylko Lucyian, zazwyczaj spokojny i zgodny,  
Powstał, wołając: „Cofnij twój okrzyk niegodny!“  
Janusz rozśmiał się dumnie: „Nigdy, nędzny gminie!  
Jam Sulla dla plebejów! Sam poznasz to w czynie!“

To mówiąc, z wielkim pędem mknie na  
przeciwnika.  
Lecz i ten się ku niemu odważnie pomyka;



Wraz się zwarli ze sobą jak dwa huragany,  
Tuman kurzu się wzbija, trzeszczą drzwi i ściany,  
A na ławkach wkrąg widzów żywy las wyrasta;  
Ciekawie śledzą walkę dzieci wsi i miasta.  
Wtem zajęła podłoga, runął lew zuchwały,  
Lucyanowi zwycięzcy zabrzmiał pean chwały.  
On zaś poję wrogowi wznosząc od mundurka,  
Zawołał: „Wszak na buty potrzebna jest skórka!  
Nuże ją sobie teraz garbujcie na Sulli!“  
Janusz, zaciąwszy zęby, do ziemi się tuli,  
Aż przejdzie grad pocisków. Potem z rzadką miną,  
Z piekielnym wstydem w sercu i zmiętą czupryną  
Poszedł na swoje miejsce, ale od tej chwili  
W łyżce wody-by tego utopił najmilój,  
Co urok jego pięści zniszczył niepowrotnie.

Księżyc odtąd już ziemię okrążył stokrotnie  
I oboje z pacholałt wyrosli jak dęby,  
A Janusz jeszcze dzisiaj na widok Doreby  
Aż stracił dobry humor i ledwie z rąk jego  
Krażący przyjął kordyał. Wtem przyjście hrabiego  
W powitań i przedstawień edycyi się nowój  
Odbiło; tylko papier był w niej welinowy.  
„Panie Adamie!“ — hrabia rzekł grzecznie po chwili,  
Ze pana tu spotykam, widzę to tem milój,  
Bo mogę się upewnić, czy Chwalin pamięta  
O prawach Srebrnolasek do drugiego święta“.

„Panie hrabio!“ rzekł Adam, „ojciec sądził  
z rana,

Że tradycya tym razem musi być przerwana,  
Bo Chwalin, jak pan widzisz, sam w gości bogaty“.  
„No, no!“ — odpowie hrabia — „czyż moje komnaty  
Niezdolne już pomieścić was i waszych gości?  
Niech mi radca tych młodych panów nie zazdrości,  
Ani też nóg ich krzepkich, bo w wielkim sekrecie  
Powiem przed proboszczuniem, że tańczyć będziecie.  
Wprawdzie to *tempus clausum* i żałoba w kraju,  
Lecz wiek młody chce skakać po starym zwyczaju.

W małym kółku płaś ujdzie. Córka ma przepada  
Za tańcem, a i siostróm pańskim galopada  
Milsza pewnie od *Słepój babki* lub *Talara*.  
Zresztą mam lepszy powód. Srebrnolaska stara  
Oficyna ma modne przyjąć szaty na się;  
Nasz pan majster z miasteczka strasznie mało zna się  
Na stylach; więc korzystać pragnę z sposobności,  
Że aż dwóch architektów w okolicy gości,  
By rady ich zasięgnąć. Panie inżynierze,  
Zechcesz pan jutro chwilkę przynieść mi w ofierze?“

Tu się hrabia uprzejmie zwrócił do Lucyana;  
Pytał, czy ta i owa budowla mu znana?  
Gdzie odwiedzał wszechnicę? co zamysła dalej?  
I w jakiej okolicy Księstwa byt ustali?  
Z przyrzeczeniem, że jutro do apelu stanie,  
Skoro radca da sankeyą, młódź wsiadła na sanie,  
A jadąc siołem, w pałac wzrok słała ciekawy,  
By naprzód w nim jutrzejszój snuć program zabawy.

Przy obiedzie w Chwalinie dom hrabi Leliwy  
Dostarczył wszystkim wątku do rozmowy żywej.  
Panny jeły się trochę psocić Lucyanowi,  
Mówiąc, że serca miękkie w oka mgnienu łowi;  
Widziały bowiem wszystkie, że miejsce w kościele,  
Jedynie przez hrabiankę zyskał Izabelę,  
Co rada wielbicieli czarnem oczkiem wabi.  
Doktorek nad grzecznością unosił się hrabi,  
Co od buty Janusza odbija zabawnój.  
Lucyan chwalił sąd jego o sztuce wytrawny,  
Mówiąc, że ją nietylko zna z autorów różnych,  
Lecz, że sam sobie w studyach gust kształcił po-  
dróżnych.

Pan radca zrazu milczał, ale przy pieczeni,  
Podjadłszy, dalej głosu zabrać się nie leni.  
Więc krząknął i potrząsłszy nieco siwą głową,  
Zaczął rzecz o Leliwach wykladać *ab ovo*.  
Mówił, że ród to w mienie zasobny, a stary,  
Że jedna gałąź jego zgasła, klucz Kotary

Przekazując z tytułem srebrnoleskiej linii,  
To jest hrabiego ojcu, co jak syn opinii  
Jak najlepszej używał, był dobry i zgodny,  
Niedumny i uprzejmy i dziwnie łagodny.  
„Lecz nie zawsze“ — rzekł radca — „charaktery  
spadkiem

Przechodzą na potomstwo. Wprawdzie jest to rzadkiem  
Zjawiskiem, by syn z ojcem kontrast tworzył, przecie  
Ród ich dał tego przykład jak najlepszy w świecie.  
Pierworodny syn bowiem starego Leliwy  
Był dumny i gwałtowny, zacięty i mściwy.  
Znałem dobrze Artura, na ławie z nim szkolnój  
Przesiedziawszy lat kilka, lecz nadto swawolny  
Był mi, iż wcześniej nasze rozeszły się ścieżki.  
*Piorunem* go psot wspólnych nazwały koleżki,  
A miano to do niego przyłgnęło na zawsze,  
Wslawiając się przez sprawki coraz to jaskrawsze.

„Trudnoby wszystkie jego zliczyć awantury,  
Pojedynki i zajścia drażliwej natury!  
Bolał stary Leliwa i gdy do Chwalina  
Przybył, nieraz przed ojcem mym płakał na syna.  
Toż cała okolica odetchnęła szczęśliwa,  
Kiedy wieść się rozeszła, że Piorun Leliwa  
W dłuższą nagle wyjechał podróż za granicę.  
Co tam broił, nie wyszło na jaw. Tajemnicę  
Tę tylko stary Granat zna, co z nim po świecie  
Włóczył się przez lat kilka. Wtem gruchło w powiecie,  
Że Artur, gdy na ojca spadł tytuł hrabiowski,  
Ubiega się o rękę jakiejś księżny włoskiej.  
Niespodzianie się przecie zjawił znów z powrotem,  
By szczęście swojej siostry zwichnąć, ale o tem  
Zmłcze.“ — Tu radca zyzem ku Anusi Wrzeskiej  
Spojrzał, aby tak dalej ciągnąć:

„Srebrnoleski

Klucz przypadł Michałowi, gdy hrabia zmarł stary;  
Piorun zaś ordynatem został i Kotary  
Objął na własność, przecie nie za długo niemi

Cieszył się, jak w ogóle rozkoszami ziemi.  
Raz bowiem na kwaterze sztab pułku miał cały,  
Przyjął go po królewsku, lecz gdy się rozgrzały  
Szumnym napojem pruskich oficerów głowy,  
Zaczęli drwić z Kościuszki, (co w sali godowej  
Patrzył na nich ze ściany,) mówiąc, że nie tegi  
Wódz był, bo prawie w każdej batalii brał ciężki.  
Słyszając to Piorun, krzyknął; „Granat, me bilety!  
Ze zbrojowni zaś przynieś srebrne pistolety!“  
Wszystkich na pojedynkę wyzwiał, jak tam stali,  
Przeproszenia odrzucił; w tydzień się strzelali.  
Trzech ranił niebezpiecznie, lecz i major celny  
Miał wzrok i Arturowi strzał posłał śmiertelny.  
Tak legł Piorun Leliwa. Zginął od oreża,  
Jakim mnie wydarł druha, a ojeźźnie męża,  
Co chluba jej mógł zostać. Ale o przeszłości  
Za wiele już gadałem. Wiem, że moich gości  
Więcej dziś hrabia Michał obchodzi i tany,  
Które chce jutro córce wyprawić kochanej.  
Co do mnie, jabym przyjął zaprosiny hrabi,  
Lecz może was, panowie młodzi, więcej wabi  
Ślizgawka na jeziorze i *Cenzurowany*,  
Ile że do Trzech Króli płas źle jest widziany.“

Ale młodzież — bo właśnie wstawano od stołu —  
Okrążyła już radcę i woła pospołu:  
„Jechać!“ a panny zaraz stoją tuż w odwodzie,  
Mówiąc, że *dziś* się można naślizgać na lodzie.

Jakoż, poobiedniego używszy wywczasu,  
Zaraz po wczesnej kawie z stromego tarasu  
Wesoła się czereda spuszcza ku jezioru,  
Co się cicho pod stopy położyło dworu  
I teraz, choć śnieg ziemi płaszcz zarzucił biały,  
Jasne i przezroczyście lodu ma kryształę.  
Dziwi się temu Lucyan, aż panna Celina  
Objasni go, że owa nawodna równina

Zawdzięcza gładkość swoją paszczom dwóch hy-  
drantów,  
Które, zwyczajne kwiatom deszcz niecię z brylantów,  
Wczoraj z pod lodu lały strugi wód rześiste,  
Aż płachta śnieżna w lustro stopiła się czyste.

Dziwny urok ma taka szyba zwierciadlana,  
Cała z przezroczystego jakby srebra lana,  
Której grubość zazwyczaj ukryta dla oka,  
Chyba, że ją niekiedy ujawni szeroka  
Szarfa promienna w tafli napękniętej z lekka,  
Co w dal długim floresem tuż z pod stóp ucieka.  
Gdzieniegdzie alabastrem okrągłe się bieli  
Oczko szkła matowego, jak szybka topieli,  
Która tędy ostatni dech już suchotniczy  
Wydała, by go w bańce mróz ściał tajemniczej.

Zanim młodzież się puści na żywioł wód śliski,  
Które zima w przesilne chwyciła uściski,  
Zbroi wpierw stopy swoje w koturny ze stali,  
Co rwistość dają wiatru, cichą płynność fali.  
Jeden po drugim wstaje z posadzki lodowej,  
Tnie ją łyżw ostrzem, jakby z tafli kryształowej  
Chciał sobie skrzesać ognia dla fantazyi, potem,  
Choć bez skrzydeł sokolich, sokolim mknie lotem.  
Wstać tylko referendarz, pan Ludwik, się leni,  
Zapatrzył się w lód lśniący od słońca promieni  
I pod nim osobliwe snać dostrzega dziwy,  
Bo się aż sam do siebie uśmiecha szczęśliwy.

● I cóż widzi młodzieniec ten z wyniosłem czołem  
Jasnym włosem, obliczem rumianem, lecz gołem?  
Nic więcej, jak listeczki pod lodem zielone,  
Muszelkę i żdźbła trawy, ślicznie operlone.  
Niecenne to okazy! napotkać je wszędzie!  
On z nich przecie na przedce baśń cudowną przedzie.  
Po ich śnieżnej zieleni ślizga się w głębiny,  
By wejść w progi zakłętej podwodnej krainy,  
Kędy w jasno-błękitnym kryształowym gmachu,  
O posadzce złocistej z żwiru, lśniącym dachu,

Mieszka śliczna boginka, która co dzień liczy  
Rybki srebrne, drżąc o to, że znów w tajemniczej  
Otchłani przy szuwarach, gdzie śpią bogi stare,  
Srogi Wodnik topielca złoży na ofiarę.

Pan Ludwik bowiem, chociaż prawy syn Temidy  
I jak mól się w akt suchych wgryza piramidy,  
Ma talent pieśniotwórczy, lecz wielce wstydlivy,  
Gdyż nie wierzy w poezją wielkopolskiej niwy.  
„Panie sędzio“ — wraz Ludka rzecze mu uroczą —,  
„Jakież cudy pan znalazł wśród lodu przezrocza?“  
„Patrz pani“ — odrzekł — „sama na listków topazy,  
Co tam śpią pod kryształem, może śniąc obrazy  
Smętnych lilii jeziornych, o których z topieli  
Wiesć im przyniosła rybka, co ma rubin w skrzeli.“ —  
Tutaj zaczął pan Ludwik nie stylem prawnika  
Kreślić pałac boginki i postać Wodnika.  
A dziewczę, które jeszcze w złudzeń żyło świecie,  
Niewinnemi oczyma w twarz patrzy poecie,  
Potem ku szybie lodu chyli liczko krasne,  
Jakoby chciało mary w niej wypatrzeć jasne.

Nagle młodzian zawoła: „Teraz tuż, tuż blisko  
Widzę w lodzie czarowne topieli zjawisko“. —  
„Gdzie, gdzie?“ — pyta się Ludka i schyla się niżej  
I twarz śliczną do lodu skłania coraz bliżej.  
„Tu, tu!“ — rzekł tamten, palcem wodząc po zwier-  
ciadle.

Wtem dziewczę własną pozna twarz w złudnem wi-  
dziadle.

Wraz też spłonie, jak wiśnia i podnosząc głowę,  
Skieruje na figlarza swe oczy fiołkowe,  
Słąc mu z za rzęs przyémionych płomienne już błyski  
Obudzonej z dziecięctwa snu młodej huryski.  
Teraz i on pokraśniał, lecz już jako lekka  
Sarna, którą strzał spłoszył, w dal chyżo ucieka  
Odurzona kadzidła dymem biedna Ludka.  
Raźnie miga na wietrze sukienka jej krótka,  
Ukazując wstydliwie nóżkę nader zgrabną.

Młodzian ściga oczyma kibić jej powabną,  
Lecz nie śpieszy z pogonią, wpierw-bo zakrystyana  
Czynność trzeba mu spełnić. Przechylna, świetlana  
Serca jego świątynia, jak Panteon drugi,  
Więszych i mniejszych bogiń szereg mieści długi,  
Którym przelotnie spojrzeń czułych śle daninę.  
W wielkim ołtarzu przecie ma tylko Celinę,  
Przyjaciółkę z dziecińczych lat swych, rówieśnicę,  
Dla której zwykł zapalać wonną kadzielnicę,  
Jak Petrarca dla Laury, Adam dla Maryli.  
Ale dusza pieśniarza nie od dziś już kwili,  
Bo żywsze dlań uczucia w najmilejszej sercu  
Pono spłowiwały wielce, niby haft w kobiercu.  
Brak mu wesa niestety! Roterman go pobił  
Slicznym czarnym wąsikiem, a teraz go dobił  
Ów wielki wąs huzarski Doręby Lucyana.  
„Dość już elegii!“ — szepnie „— Niech nastąpi zmiana!“  
Tutaj chwyciwszy sznurek, na dawnej bogini  
Wizerunek zaciągnął w mig obraz Ludwini;  
Potem uradowany, jako wicher, leci  
Na jezioro, a zapal w oku jego świeci.  
Pilno mu objąć służbę u nowej bogdanki,  
By pokosztować uczuć dziewiczych śmietanki.

Nie tak szczęśliwym Lucyan był w tymże momencie.  
Nie miał skrzydeł do lotu! Choć niegdyś zawzięcie  
Sport łężwiarski uprawiał, później go zaniechał  
I bez swych halifaksów z Berlina przyjechał.  
Z razu patrzy spokojnie na lustro jeziorne,  
Które złocić już słońce zaczęło wieczorne.  
Na lśniącej jego szybie, jak wartalki chyże,  
Migają harcownicy w ciągłym niemal wirze,  
To samotnie, to dłońmi związani w łańcuchy,  
Wszyscy rześcy, rumiani i pełni otuchy.  
Lecz wnet żal mu, że w pośród uskrzydłonej rzeszy  
Sam, by między konnicą żołnierz został pieszy.  
Idzie więc szklanym szlakiem, nadrabiając miną,  
By słów kilka ulotnych zamienić z Celiną.

Jakże-bo jej do twarzy w tym słicznym staniku,  
Co kibić uwydatnia i w kapelusiku!  
Jakim świeżym rumieńcem hoże kwitną lica!  
Jakież błyski w przelocie ciska jej żrenica!  
Zagadując ją, rzecze, iż w kokoszki roli  
Czuje się, co kaczętom pruć wodę pozwoli.

Lecz zaledwie Celina w czarownym uśmiechu  
Odsoniła swe ząbki, już w wielkim pospiechu,  
Niby okręt wojenny całą siłą pary,  
Snując do koła dymu błękitne wiszary,  
Nadleciał pan Roterman, by rzec: „Wszystkie statki  
Zbierają się na wyprawę zbrojną do Kameczatki.  
Od hetmana morskiego jest rozkaz dla pani,  
Płynąć na miejsce zborne do gdańskiej przystani.“ —  
Panna Celina małą namyśla się chwilę,  
Potem, główką skinąwszy Lucyanowi mile,  
Podaje dłoń tamtemu i krokiem miarowym  
Oboje wnet po torze suną kryształowym.

Pan Roterman, rogatkę włożywszy od ucha,  
Raz w raz w górę niebieskim słupem dymu bucha  
I przechylając skroń swą ku pięknej dziewicy,  
Szepece jej gładkie słówka, jakby w tajemnicy.  
Odwrócił oczy Lucyan od tego widoku,  
Targnąwszy wąs i począł bliskiemu wód oku  
Przyglądać się bezmyślnie, nad którym spokojna  
Niby sztandar zielony straż trzymała chojna.  
Patrzył w kraglę przerebę, nie widząc, jak do niej  
Napływały omdlałe rybki z srebrnej toni  
I jak na tę otwartą, siną lodu ranę  
Mróz już cienkie przykladać jął plasterki szklane.  
On jeszcze okiem ducha ścigał ową parę  
I migające za nią jakieś widma stare.

Gdy wzrok podniósł, Kameczatka snąć była zdo-  
byta,  
Cała bowiem flotyla płynęła rozbita.  
Opodał mknął pan Ludwik krokiem posuwistym  
I świstał, gdyż w tej chwili był piecem ognistym,



Ciągnąc za sobą wozów tabor przyczepiony:  
Ludwinię i Michasię, które swe welony  
Puściły z wiatrem niby wstęgi pary białej.  
Adam przed Ańdżią Wrzeską wykonywał śmiały  
Harc, jedną stopą zwolna wciąż płynąc w półkole,  
Drugą zaś wznosząc w górę, jak skrzydło sokole.  
Maryan pannę Helenę pchał w krzesła po torze,  
A Ignaś biegł przed nimi w różanym humorze,  
Trąbiąc jako pocztarek. Li Celina sama  
Odpoczywała, stojąc w pobliżu Adama;  
W koło niej pan Roterman, by wołytyżer jaki  
Wirował, przekładając stopę i gzygzaki  
Białe kreśląc na lodzie; przytem częste błyski  
Z ocz czarnych na dziewicę miotał, jak pociski.

Pan Lucyan w jednym takim spojrzeniu  
strzelistem,

Które niby gołąbka w locie przejął z listem,  
Zbyt wiele znalazł żaru i wabnej słodyczy  
I snać się w cudzym miodzie aż dopił goryczy,  
Bo skrzywił twarz nieznacznie, wzrok nieco ponury  
Na ciemniejące nieba wieszając lazury.  
Gość mu dotąd nieznany zapukał do duszy:  
Jakieś widmo złowrogie z twarzą od katuszy  
Pomiętą i wybladłą, z krwią nabieglęm okiem,  
Co w cudze szczęście patrzy krokodylim wzrokiem,  
By potem własne w dzikięj rozpaczy gryść ręce,  
Trawić się i odradzać w dobrowolnej męce.  
Ale prawa młodzieńca dusza nieprzystępna  
Dla skorpionu sere podłych! Więc harpya posepna  
Uleciała na cichych nietoperza skrzydłach.  
Lucyan zaś wzrok pogodny w krasnych malowidłach  
Utopił, w które słońce, choć już skryte oku,  
Ubrało skrawek nieba wśród śniadego zmroku,  
Podobne do zastygłej dobroczyńcy ręki,  
Co z poza grobu dary śle, próżna podzięki.

Wtem w pobliżu głos zabrzmiał: „Panie inżynierze!  
Czy nie pyszny wodozbiór? Powiedz mi pan szczerze,

Co o nim jako sztucznym rozumieć motorze?“ —  
Był to pan Włodzki. Zjawił on się na jeziorze,  
By panią do dworu odprowadzić z lodu,  
Ponieważ wiatr dość ostry zerwał się od wschodu.  
Słusznego wzrostu, ale tuszy nader miernój,  
Z sążnistym wąsem, z twarzą o cerze mizernój,  
Zięć pana radcy — nie miał gospodarza miny.  
Czoło jego, co kawał podmyło czupryny,  
Goszczące prawie zawsze jakieś chmurki lekkie,  
Oraz wzrok, zapatrzony w przestrzenie dalekie,  
Zdradzały w nim człowieka zbyt ruchliwej myśli,  
Co roi plany, ale nie sprawdza ich ściślej.

Pan Włodzki, dziedzic pięknej wioski Pomysłowa,  
W szkołach już okrzyczany jako tęga głowa,  
By pajak pajęczynę, wciąż jakiś misterny  
Snuł pomysł, zda się mianu włóści swojej wierny.  
Dzieckiem nad wynalazkiem już ślęczał maszyny,  
Coby za pociągnięciem tajemnej sprężyny  
Sama wkładała ludziom obuwie i szaty.  
Później, zdobywszy wiedzy zasób dość bogaty,  
Rozsądniejsze projekty w retorce swój smażył,  
Lecz i potem w nich zwykle czegoś nie dowarzył,  
Tak, że chociaż adeptów zyskał swą wymową,  
Zły skutek zawsze dowiódł, że znów pokpił głową.

Teraz ją przed Lucyanem plan rozwijać świeży.  
„Czemuż“ — mówił — „jeziora — teść, jak się należy,  
Nie wyzyskał od dawna? Wszakżeż siłę wody  
Mógłby przenieść w podwórze bez żadnej przeszkody.  
Z pomocą kół i pasów motor ów niedrogi  
Rzynałby mu sieczkę, zboże czyścić, młócić stogi.  
Sam widziałem w Saksonii, jak bystry, choć mały,  
Górski potok — folwarczny ruch ożywiał cały.“  
„Potok?“ odpowie Lucyan — „Tak! to siła żywa,  
Ale w jeziorze woda martwa lub leniwa!  
Trzebaby ją wpierw ogniem uduchować w parę.  
Lecz to koszt wielki! Sądzę, że w manężu stare

Dwa Rosynanty sieczkę urzną radcy tanięj,  
Niż zębata maszyna, co w pieca otchłani  
Drzewo lub wegiel drogi topi zamiast siana.“  
Pan Włodzki zaczął zbijać zarzuty Lucyana;  
Wszczęła się więc dysputa, wśród której młódź dalej  
Mimo wiatru bujała na ciżemkach z stali.

Niebawem inna postać zjawia się na lodzie.  
Po pochyłej figurze i ostrożnym chodzie  
Adam w niej z dala poznał wujaszka Cyryna.  
Że jako poseł idzie, zdradza jego mina,  
Strojna w odcień powagi. W kubraczku futrzanym  
Zwolna z laseczką w rękę stapa torem szklanym.  
Dał znak dłonią i prosto zmierza do Adama,  
By rzec: „Ślizgawka piękna, ale zacna mama  
Każe pannom i chłopcu powrócić do domu.  
Wiatr ostry, to kaszelek gotów przywiać komu.“  
Młodzieź nie zbyt wesoło przyjęła orędzie.  
Wtem pan Cyryn na dobry fortel się zdobędzie,  
Dodając: „Pod sekretem radca mi dobrodziej  
Powiedział, że gosposia poncz dla panów słodzi.“  
Zaledwie wspomniał napój ów luby, a ciepły,  
Młodzieńcom, którym ręce od mrozu już krzępiły,  
Aż się załśniły oczy. Toż nie trwało długo,  
A taras przyjeziorny znów zaczerniał smugą,  
Co w odwrotnym kierunku niby gasienica  
Pięta się ku dworowi przy blasku księżycy.

Z różnych harców po lodzie każdy doskonałą  
Oskomę wraz z sikorką przyniósł sobie małą.  
Ostatnią z nosów ciepło spłoszyło pokoju,  
Apetyt zaś dopiero wśród dłuższego boju  
Legł na placu, jak szermierz dzielny, przy wieczerzy.  
Li trzeciego ślizgawki skutku nikt z rycerzy,  
Ni z hożych harcowniczek nie pozbył się prędko.  
Ból w nogach zrazu mały, póki się gawędką  
Zabawiano, wciąż w większe urastał rozmiary.  
Gdy zaś hasło fortepian wydał do ofiary

Na cześć patronki polek, skocznej Terpsychory,  
Wyszło na jaw, że polot stóp nie dosyć skory  
Do tanecznych podrygów. Więc i dziś powtórnie  
Skreślono je z porządku dnia, lecz mniej pochmurnie.

Upadły także inne gry, oraz zabawy,  
Które nogi w ruch zwykły wprawiać nieco żwawy:  
Jako to Mruczki, Poczty, Ciuciubabki, Lisy,  
A zostały na placu gędziebne popisy.  
Cesia więc i Helena najpierw odegrały  
Nader biegle wesołą arją z „Damy białej“,  
Następnie dwie sonaty, czy może balady;  
Potem Ludka koniki swoje od parady  
Zaczeła wyprowadzać, wreszcie dla odmiany  
Pan Roterman wygłosił wiersz Pola mniej znany,  
Lucyan zaś dźwięcznym głosem na prośbę Celinę  
Wraz z nią odśpiewał duet z Moniuszki „Hrabiny“.

Wśród tych igrzysk muzycznych wielce pokojowa  
Wiała aura w salonie; żadna sprzeczka nowa  
Nie zamącała zgody obu armii, które  
Wczoraj jeszcze wydały hasła tak ponure.  
Zapomniano swych uraz; panny, jak karmelki  
Słodziutkie, unikały dziś zaczepki wszelkiej.  
Przy rozejściu życzyły panom snów przyjemnych  
O jutrzejszym baliku i jak węgiel ciemnych  
Oczach hrabianki lzy i jej śnieżnej skroni.  
Helena zaś dodała: „Niechaj panom dzwoni  
Tajemniczym instynktem w pierwospach przeczyta  
Srebrnoleskich poleczek i mazurków nuta.“

Skoro młodzież w swej górnej stanęła kwaterze,  
Adam, z papierośnicy rozdzieliwszy świeże  
Naboje, atamańską taką miał przemowę:  
„Panowie! Cisza wielka, lecz połknę swą głowę,  
Jeśli popiół pod spodem nie płonie żarzewiem.  
Czuję zdradę w powietrzu, ale jaką, nie wiem!  
Siostrzyczki zbyt potulne były mi dzień cały!  
Pewnie li naszą czujność ukoiłycie chciały,

Aby łacniej móżdż odwet wziąć za klęskę walną.  
Może już swą fanfarę ćwiczą tryumfalną.  
Lecz trzeba im przeszkodzić. Na figlach się znamy,  
Więc przetrząśniemy pokój aż do myszej jamy!“  
Wraz zaczęto przeglądać łóżka, drzwi i szafki,  
Komórki, sień, zapiecek, kufry i karafki.  
Lecz napróżno! Zasadzki nigdzie ani cienia!  
Lucyan zatem, którego natychmiast z *kurzenia*  
Powołano do *siczy*, okna wszystkie bada,  
Czyli zewnątrz ich w linkach nie mieści się zdrada.  
Ale Adam mu rzece: „Daremną twa praca!  
U Helenki powózka cudza nie popłaca;  
Ona do jazdy własnych li używa koni.  
Lecz może dziś na prawdę zawieszenie broni.“

Zaprzestała więc dalszych poszukiwań młodzież,  
Wśród żarcików i śmiechów zrzucając swą odzież,  
By, usiadłszy na łóżach w dość niedbałym stroju,  
Gwarzyć i sine chmury wieszać po pokoju.  
Tylko Lucyan ubrany siedzi przy kominku,  
A prócz niego i Maryan dotąd o spoczynku  
Nie myśli, lecz skwapliwie, choć w śnieżnym ne-  
gliżu,

Jakoby podjazd nocny wciąż krąży po Niżu.  
Pan Maryan Fletniogrodzki, z powołania leśnik,  
Najdawniejszy Adama druh oraz rówieśnik,  
Miał włosy jak len jasne i lnu także kwiecie  
Przypominał w wybitnym ócz swoich błękiecie.  
Był z natury nieśmiały trochę, niezbyt żywy  
I na razie bezbronnym, gdy nań żart złośliwy  
Spadł kiedy z ust kolegi, lecz wkrótce z nienaeka  
Oddawał cięgę z lichwą, cichy jak zasadzka.  
Niegdyś panny Celiny wielbiciel, od roku  
Zagustował w Heleny dużem, bystrem oku;  
Lubił zwłaszcza w nie patrzeć, gdy skra tajemnicza  
Nagle z niewygastłego fantazyi jej Znicza,  
Podobnie jak u brata, zabłysła w pupili,  
Zwiastując, że z ust dowcip wystrzeli po chwili.

Dziś przy rozejściu dojrzał błysk ów dobrze  
znany,

Gdy mówiła o polce w pierwospach słyszanąj ;  
A że strzał nie nastąpił, czuł lekkuchne dreszcze,  
Jak ten, co po łyśnięciu — grzmotu czeka jeszcze.  
Pułapki więc zdradzieckiej szuka wciąż wytrwale.  
Nagle w firance okna dojrzy przy powale  
Jakaś śpilkę podwójną, co dwa brzegi spięła.  
Tknięty dobrem przecuciem, zabrał się do dzieła,  
By ją wyjąć. Wraz krzyknie, rozwarłszy firankę,  
Bo w fałdach jej nielada znalazł niespodziankę.  
Lucyan, słysząc krzyk jego, natychmiast przyskoczy,  
Za nim Adam i Ludwik z przeciwnych uboczy,  
A wszyscy, skoro ujrzą okna tajemnicę,  
Stanąwszy, nieruchome w niej topią źrenice.

Sam Roterman, co już się pograżył w pościeli,  
Woła z łoża: „U licha! Czyście skamienieli?  
Toż mówcie, wszak widzicie, nie mam *ranodzieja* ;  
*Cichostępy* gdzieś zadział Smietowski sapieja!“  
Lecz oni, nieme hasło dawszy sobie wzrokiem,  
Stoją jako posągi w milczeniu głębokiem.  
Rad nie rad więc nasz medyk wypełznął z piernatów  
I, klnąc w żywe kamienie niedobrych kamratów,  
Idzie, udrapowany w koldrę niby w togię,  
Ujrzeć rzecz, co dziw taki budzi, czy też trwoję.  
Lecz i on, jakby głowę zobaczył Gorgony,  
Ostupiał, by za chwilę przecie w śmiech szalony  
Wraz z drugimi wybuchnąć. Cóż bowiem tam w górze  
Na ogromnym wisiądo haku, wbitym w murze?  
Oto wstydliwie wpośród tiulowych osłonek  
Przyczajony w framudze okna już nie dzwonek,  
Lecz dzwon potężny błyszczał, co niewiasty siola  
Rozgłośnie, jak cioteczny braciszek z kościoła,  
Trzykroć na dzień do pańskiej zwykł wołać obory.

„A to hultaj!“ rzekł Adam — „Na lasy i bory  
Umie huczeć, a jakby tutaj wśród pokoju  
Zagrzmiał nam swe rubaszne: „Do doju! Do doju!“

To pewnie wszystkich gęsiej nabawiłby skóry.  
Vivat zatem nasz Maryan, co jak Manliusz wtóry  
Ocalił dziś Kapitol! — „Żyj nam bohaterze!“  
Huknie młodzież i już go na barki swe bierze.  
Ale Adam ostrzega: „Hej! panowie, ciszej!  
Bo nieprzyjaciel pismo zwącha, gdy usłyszysz  
Krzyk tak gromki; a nam tu w przeciętym podkopie  
Kontrminę trzeba ukryć. Precz zatem cyklopie!“  
Zdejmując dzwon, wraz doda: „Na twem miejscu  
inny  
Zawiśnie ptaszek, gwiazdki sygnarek niewinny.  
Gdy ten zabrzmie wśród nocy, ja w lokaja roli  
Krzyknę z okna: „Wielmożna pani, co pozwoli?“ —  
„Lokaja?“ — szepnął Lucyan, klucz do tajemnicy  
Odnajdując, bo jakby w lunie błyskawicy  
Starca z natrętnym wzrokiem w kościele dziś z rana  
I lokaja z dziecięctwa postać nazbyt znana  
Spłynęły teraz w jedno; a fakt ten osnową  
Stał mu się do rozmyślań w długą noc grudniową.

## Pieśń III.

### Srebrnolaski.

W złotych nazajutrz młodzież budzi się humorach,  
Cały bo świat jej błyszczy w tęczowych kolorach.  
Bodaj to mieć lat tylko dwadzieścia i parę,  
Kwitnąć zdrowiem, i rygor szkolny między stare  
Rzuciwszy już rupiecie, używać swobody,  
Rozkosznie całą pierśią moszcz życia pić młody!  
Próżno chroniczna niemal anemia kieszeni  
Na świetlany szlak życia snopy rzuca cieni!  
Próżno też egzaminów roгатki natrętne  
Stają w drodze i psują widoki ponętne!  
Od czegoż bo na nici kołysz się złotój  
Balon nadziei, zawsze gotów na wyloty?  
Dość wsiąść w łódź jego lekką, by z błękitów niebnych  
Panoramę przyszłości w mgłach oglądać srebrnych.  
Jak tam wszystko nowości owiane urokiem,  
Szara zaś proza życia ukryta przed okiem!  
A jakim technie powabem domowe ognisko,  
Przy którym z czarnobrewą, nieznana huryską,  
Ma się wspólne żywota zastawić krosienka!  
Migają tam twarzyczki, śliczne jak jutruzenka;  
Dobrobyt i szacunek splatają swe dłońe,  
A sława wije wieniec laurowy na skronie.

Otóż nie o czem innem, jak o leczkach krasnych  
Marzy młodzież w pościeli, czy senne w jasnych



Zatapiając roztryskach blasku na suficie,  
Co swą złocistość traci już przy rannym świetle.  
Niebawem w górnej sieni wśród ciszy głębokiej  
Dały się słyszeć z bliska jakieś ciężkie kroki;  
Klamka skrzywnęła lekko, lecz z przygrywką cienką,  
Jakoby naciśnięta łokciem, a nie ręką;  
Poczem w drzwiach zaczerniała postać długa, chuda.  
Był to stary Śmielowski, który się na cuda  
Statyki Ganimedów ośmielił z oberzy,  
Co tuzin z potrawami aż wnoszą talerzy.  
Chcąc ulżyć starym nogom, łokcie, pachy, dłonie  
Nader szczerlnie obciążył, niby juczne konie,  
Męskiem obuwem, które blask miało lustrzany,  
A przytem niósł w swych ręku dzbanek z mlekiem  
szklany.

Stanąwszy wśród komnaty, odetchnął głęboko,  
Złożył swe brzemie, potem długo siwe oko  
W każdą kamaszy parę wlepił, nim jej stały  
Posterunek wyznaczył, rozgłosne hejnały  
Dmąc przytem na potężnym twarzy swej puzanie.  
W końcu przysunął krzesło i czarkę przy dzbanie  
Postawił przed Adamem, który parę szklanek  
Świeżuchnego udoju, jako przedśniadanek,  
Zwykł był w domu wypijać, by kleiste sosy  
Garkuchniane, jak mawiał, haustem białej rosy  
Spłukać, oraz w żołądek zdrową podwalinę  
Rzucić pod specyałów wiejskich mieszaninę.

„Czy mróz taki?“ — rzekł Adam, skroń wzno-  
sząc z pościeli —  
„Że aż dzwonom głos zamarzył w spiżowej gardzieli?  
Wszakże, do doju hasła nie było dziś z rana?“ —  
Oblicze Śmielowskiego, niby odgrzewana  
Pieczeń, gdy masło na niej już topnieć poczyna,  
Roztajało uśmiechem. Wraz też starowina  
„Phi!“ — rzekł — „Toć dzwon nie zamarzył, lecz  
przepadł z kretesem.“  
„Czy być może?“ z udanym wszyscy interesem

Krzyknęli, z swych poduszek wyrastając czołem.  
— „Zbiegłże, jak zajac, alboż uleciał sokołem?” —  
„Czort to wie!” — odrzekł stary. — „Jagodów Ma-  
rynie

Zdało się, że go kuchcik niósł w szarej godzinie,  
Bo mu nawet coś jakby brzękło pod kaftanem.  
Ale chłopak się śmieje i tylko przed panem  
Chce się tłumaczyć. Wielkie stąd były hałasy.  
Toć, jak wielmożny wstanie, będą pewnie basy....“

Teraz też młodzież raźnie z pościeli się zrywa,  
Z wieczornego zwycięstwa niezmiernie szczęśliwa.  
Pilno jej oko w oko zejść się z przeciwnikiem,  
Wieść o klęsce w twarz gromkim rzucić mu o-  
krzykiem

I na bębnach, piszczałkach, co aż w uszach wiercą,  
Sonatę drwin wygrywać z filuternem *scherzo*.  
Gdy, zabrawszy po drodze Dorębę Lucyana,  
Schodzili na dół raźnie, mina Rotermana,  
Co szedł na przedzie, takim jaśniała splendorem,  
Jakby co najmniej rzymskim był tryumfatorzem.  
Strzępiąc sobie czuprynę i wąs gładząc czarny,  
Usta już naprzód składał w uśmieszek figlarny  
I dosmażał co prędzej dowcip na patelni,  
Którym powitać panny chciał i wraz najdzielniej  
Natrzeć, by popłoch rzucić w złamane ich szyki.

Lecz nie zawsze tekst dobrym bywa do mu-  
zyki

Ułożonej poprzednio i często wyborny  
Koncept się na panewce spali, gdy przekorny  
Wietrzyk podsypkę zdmuchnie okazji koniecznej,  
Lub kiedy proch przeciwnik zamacza niegrzeczny.  
Pan Roterman zbyt mało snać ceniał hetmankę  
Armii przeciwnej, jeśli wszelką niespodziankę  
Wykluczył z swej rachuby i pewien wygranej,  
Do fanfary gotował trąby, tarabany.  
Panny Heleny talent strategiczny właśnie  
W opałach, — gdy u innych otucha już gaśnie, —

Rósł w dwójnasób i nieraz po klęsce fortelem  
W mig górę nad zwycięskim brał nieprzyjacielem.

Kiedy młodzież na kawę wchodziła do salki,  
Nie mogła z płcią nadobną rozpoczynać walki,  
Ile że pani Barska z swą córką zameżną  
Siedziała już przy stole. Toż akcyą orężną  
Trzeba było odłożyć i obiedwie panie  
Uczcić, wpierv im całując dłoń na powitanie.  
Matka, że weale świeża, starszą tylko siostrą  
Zdała się pani Włodzkiej, która nieco ostrą  
Linję profilu miała i pełne wyrazu  
Oczy, bystre, lecz barwy bladego topazu,  
Więc niezbyt sympatyczne, kiedy u radczyni  
W tęczówce oka lśniły szafiry Ludwini,  
Tylko wyblakłe trochę i bez tajemniczej  
Iskry wiosennych pragnień i kraszy dziewiczej.

Twarz pani Barskiej miała klasyczne kontury  
I, co dziwna, jakoby dwa aż garnitury.  
Raz bowiem, uprzejmości okraszona zorzą,  
Niebieskimi oczyma i cerą dość hożą  
Mile wpadała w oko, do róży podobna,  
Co, choć przekwitła, zawsze wonna i nadobna;  
Lecz bywały też chwile, że z niej chłód wiał dziwny,  
Że usta zszaurowane wyraz brały sztywny  
I wtedy się zmieniała z róży w georginię,  
Ową zimną jesiennych kwiatów monarchinię.

Dzisiaj w ładnym czepeczku z koronek  
prawdziwych  
Radczyni miała jedną z swoich chwil szczęśliwych,  
W której jakby odżyły dawniej róży wdzięki.  
Zanim jeszcze akt minął całowania ręki,  
Rzekła z miłym uśmiechem do pana Ludwika:  
„A wszak to teraz nocna w Chwalinie muzyka  
Na dobre wchodzi w modę. Lecz dzisiaj, jak słyszę,  
Panom duchy w snach błogą zakłóciły ciszę.“

„Co? nam? gdzie, kiedy?“ — młodzież krzyknie *unisono*;  
Lecz w tej chwili od stołu całe dziewięć grono  
Niby stado spłoszonych zerwie się gołębi  
I zacznie z sopranowej gardziółki swych głębi  
Na wyścigi chichotów lać srebrną kaskadę,  
Przyczem i ząbki białe mają swą paradę.

W nagłym tym wesołości panieńskiej wylewie  
Dźwięczała pewna sztuczność, niby falset w śpiewie.  
Li śmiech panny Heleny nieomal miał cechy  
Samorodności, bo jej łza w oku z uciechy  
Błysła, wilgotnym blaskiem strojąc czarnobrewkę,  
Podczas gdy rączki szydną skrobały marchewkę.  
„Jakże?“ — woła do panów — „Mazur srebrnoleski  
Wszak wart muzyki duchów? Czyż rytm jego rzeski  
Nie wpadł panom wśród drzemki w ucho, jak szmer  
zdroju,

Mrucząc swe idylliczne: Do doju! Do doju!?“  
— „Ależ, panno Heleno!“ czerwony na twarzy  
Przerwie jej pan Bolesław: „Co się pani marzy?  
Do doju nikt nie wołał, li gwiazdki sygnarek,  
Wpuszczon przez nas do klatki, słodkie jak kanarek  
Dał hasło, byśmy mogli śmiechem przeciwniczki  
Przyjąć, gdy na nas zaczną z prostej strzelać tyczki.“  
— „Kanarek? co pan mówisz?“ — zawoła Celina  
I wznosi dzwon z pod stołu. — „Prawda, to ptaszyna  
Maleńka i niewinna! a jak słodko śpiewa!  
Niezem przy niej brzęk pszczołek i szmer listków  
drzewa!“

To mówiąc, wśród wielkiego swych rączek rozmachu,  
Zacznie dzwonić, że biedny pan Cyryn z przestachu  
Aż zadrżał i wypuścił z dłoni kawał placka,  
Bo mu dzwon tuż nad uchem w głos wrzasnął  
z nienacka.

Pani Barska zaś, wielce na hałas wrażliwa,  
Zamroczywszy twarz, ręką rozpaczliwie kiwa,  
Wołając: „Dosyć, Cesi! Szanuj nasze uszy,  
Bo jeszcze z nas tu kogo apopleksya ruszy.“

Nawet pan Włodzki, skoro rozbrzęk ucił  
dzwonka,

Rzekł: „Darujcie, panowie! Chyba od postronka  
Silniejsze macie nerwy, jeżeli kanarka  
Wrzaskliwa wam ta na myśl przywiodła poczwarka.“  
Młodzież, widząc, że taki obrót bierze sprawa,  
Zaczyna rzecz wyjaśniać; powstaje ztąd wrzawa,  
Bo wszyscy razem mówią wesoło i gwarnie,  
Tłumacząc, jak przy oknie dzwon wisiał bezkarnie,  
Choć już ścisłej rewizyi uległa komnata;  
Jak dopiero druh Maryan spostrzegł pana brata,  
A Adam go niezwłocznie wypłoszył z firanki,  
By nowe w niej dla panien ukryć niespodzianki.

Pan Ludwik, korzystając z licencyi poety,  
W opisie swym najżywsze brał barwy z palety,  
By zasługę skromnego podnieść Maryana,  
Czem przecie drasnął próżność pana Rotermana.  
„Cóż z tego?“ — rzecze tenże — „że ptaki Junony  
Trwożnym krzykiem wydały hasło do obrony,  
Jeśli straż Kapitołu potraciła głowy?  
Czekano w osłupieniu, aż dzwon u posowy  
Zacznie huczeć Rzymowi dziką pieśń zagłady.  
Któż to w świetne Manliusza wstąpił wówczas ślady?  
Ten zapewne, co, miękkie rzucając wezglowie,  
Zerwał się, choć bez zbroi i tam, gdzie Gallowie  
Napierali już, huknął zdrową salwą śmiechu,  
Budząc Rzymian do czynu oraz do pospiechu?“

Koncept ten samochwalczy głośne zyskał brawa;  
Nawet panna Helena, kwaśna, że jej Sława  
Znów poskapiła lauru, teraz uśmiechnięta  
Rzekła: „Dobrze, mój panie! Gall sobie spamięta,  
Kto mu pewną zwycięstwa wydarł palmę z dłoni.“  
Na to się pan Bolesław wyniosłe pokłoni,  
Wołając: „Ja dla Galla mam szacunek wszelki,  
Lecz wiem, że zawsze Rzymian spryt go zmoże wielki.“  
„Dobrze mówi“ — rzeki Adam. — „Waria kordyahu  
Odpowiedź ta, otuchy pełna i zapahu.“

Właśnie też radykalnej stół ulegał zmianie.  
Okres kawowy minął, a drugie śniadanie  
Wywołało jakoby gminoruchy nowe.  
Więc znikwały drużyny pobite na głowę  
Placków, bab, strucl, czarek, garnuszków śmietany,  
A w ich miejsce, jak Goty, Gepidy, Alany,  
Weszły z licznym taborem półmisków, talerzy:  
Łosoś w różowych płatkach, wędzony i świeży,  
Kawior, który oskonomie służy ku podniecie,  
Sardynki w lśniących puszkach, jak damy w karecie,  
Minogi oraz różne ostrowonne sery,  
Pobiesiadne zazwyczaj smakoszów desery,  
Dzisiaj zaś w pierwszy ogień zaraz iść gotowe,  
Bo drugie święto, posty szanując piątkowe,  
Wykluczyło z zastawy wędliny i szynkę.  
Wreszcie zawsze u mężczyzna wzniecający ślinkę  
Stanął likwor na stole w sukience od święta.  
Była to z szkła grubego karafeczka rznięta,  
Nader misterna, z całym kieliszków przyborem,  
Niby królowa, licznym otoczona dworem.

Postawiwszy nalewkę w pobliżu Adama,  
Panna Anna z podstawki srebrnej jęła sama  
Wyjmować dla każdego z panów po maleńkim  
Naparstku kryształowym z brzeżkiem złota cienkim.  
Lecz Adam rzecze: „Pani, to daremna praca,  
Bo w Chwalinie niemiecka moda nie popłaca.  
Ojcu raz, gdy zagodził stary spór graniczny,  
Baron Heider w prezencie dał ten serwis śliczny.  
Mimo to my się nadal trzymamy zwyczajui,  
Który wieki w lechickim uświęciły kraju.  
Podczas gdy bowiem nasi sąsiedzi z za Odry  
Przy wódeczce na całej zaraz linii szczodry  
Za danem hasłem ogień z działobitni zieją,  
My Polacy kieliszek z likworem koleją,  
Niby wici wojenne, ślemy wśród drużyny,  
Co niepróżno kordyalu wziął miano z łaciny,

Bo, niżąc w łańcuch wszystkich, *serca* im otwiera,  
By wraz w kole serdeczność zakwitła tam szczerą.“

Z temi słowy w kieliszek Adam nalał płynu,  
Iskrzącego się w słońcu barwami rubinu  
I wznosząc go, skierował na szwagra swe oczy,  
Któremu Ludka, strojna w uśmieszek uroczy,  
Szepce coś. Ale tenże, gryząc wargę z lekka,  
Wymówił się, że jeszcze na teścia zaczeka.  
„W twe więc ręce, Maryanie!“ — rzecze Adam tedy —  
„Bo, co prawda, toś *ty* nas wczoraj wyrwał z biedy.“  
Gdy połknął jednym haustem zawartość kieliszka,  
Pokraśniał, mocno krząknął, wzrokiem bazyliuszka  
Strzelił ku pannom, ale w tejże samej chwili,  
Mrużąc powieki, wznosił twarz, jak ten, co się sili  
Trafny sąd wydać. Potem głaszcząc się po głowie,  
Rzekł: „*Piper et papaver!* Jędrny, co się zowie!“  
Nalewając powtórnie czarękę, spojrział z boku  
Ku Helenie, a skoro w jej błyszczącym oku  
Dostrzegł zdziwienie pewne obok ciekawości,  
Dał półobrót i lica wykręcił do gości,  
Co się na hasło jego zerwali pospołu  
I półkolem narożnik otoczyli stołu.

Gdy wręczał Maryanowi subtelne naczynie  
Z likworem, wskroś go przeszył wzrokiem i w swej  
minie

Wyrzeźbił gromki okrzyk starego rycerza,  
Co w pierwszy ogień wiedzie świeżego żołnierza.  
Zdziwił się z razu Maryan, lecz, gdy spełnił czarękę  
I w ustach jakby poczuł gorejącą siarkę,  
Zrozumiał, o co chodzi i kaszlnąwszy pierwój,  
Rzekł, iż kordyał paradny mile łechce nerwy.  
I prawnik, gdy się w takimż znalazł położeniu,  
Wyczytał sens moralny w siarczystem spojrzeniu  
Obu swych poprzedników i z mokrą powieką  
Pochwalił wódkę „pyszną, lecz trochę nie leką“.



Teraz z kolei Lucyan miał pić żar z kielicha,  
 Lecz on wcześniej zdradnego domyślił się licha.  
 Widząc bowiem u wszystkich tych chwackich  
 młodzieńców  
 Łzę w oku i niezwykły ogień ich rumieńców,  
 Wspomniał gadkę o herszcie zbójców na Karkiszu,  
 Co śmierć przy jedenastym w młynie towarzyszu  
 Po drgnięciu zwietrył ciała. Zatem się nieznacznie  
 Cofa pod stolik dzieci i chuścić je zacznie.  
 Wezwany zaś do czarki, rzecze, iż się może  
 Dopiero nią po słonym pokrzepi kawiorze.  
 Miast niego więc Roterman wystąpił na szaniec,  
 Co tymczasem Celinę już o jakiś taniec  
 Prosił i nie dopatrzył poznał samotrzasku.  
 Z gracyą chwycił kieliszek i, w słonecznym blasku  
 Skąpawszy go, zawołał: „Piję Rzymian zdrowie,  
 Których nigdy fortelem nie zmogą Gallowie“.  
 Lecz ledwie spełnił toast, oblał się purpurą,  
 Łypnął strasznie oczyma i z miną ponurą  
 Zawołał rozpaczliwym głosem: „Dbrum! Sapristi!  
 To nie wódka, lecz chyba pieprz i ogień czysty!“  
 Wraz też, jakby na prawdę zajął się płomieniem,  
 Poskoczył ku karafce i srebrnym strumieniem  
 Zimnej, zdrojowej wody z febrycznym pospiechem  
 Splukał gardło dwukrotnie, gdy tymczasem śmiechem  
 Zabrzmiała cała salka. Chichot zaś paniński  
 Tym razem, niby prawy płód sztuki helleńskiej,  
 Tchnął prawdą i miał oddźwięk nieklamanej werwy,  
 Której w sprawie o dzwonek brak mu było pierwej.

Panna Helena, skoro nieborak przy stole  
 Zasiadł znów cichuteńko, lecz z chmurą na czole,  
 Tak się ozwie do niego: „Panie Bolesławie!  
 Gall górą! Już po wielkiej Manliusza jest sławie!  
 Lecz wszak przy kapitole tarpejska opoka,  
 A upadku zwiastunką buta dumnooka!  
 Pan też bo już zanadto Gallom deptał karki,  
 Niepomny weale na to, iż dobre szafarki



Zazwyczaj dwa żelazka naraz w ogień kładą.  
Że dzwon mógł chybić, myśmy drugą zaraz zdradą  
Odwet zastrzegły sobie, skrycie przez noc całą  
W alembiku zrodzoną *wodę życia* białą  
Pojąc ostrością chrzanów i indyjskich pieprzy,  
By jej z rana krwią malin kolor nadać lepszy.“

Pan Bolesław milczeniem wszystkie te zaczepki  
Zbył groźnej przeciwniczki, wołąc atak krzepki  
Na plasterki łososa wykonać mięsiste,  
A potem na sardynki pulchne a soczyste.  
Ale kiedy mu nawet broni towarzysze  
Jeśli robić wyrzuty, iż, jak na Zawiszę  
Licząc, właśnie się na nim zawiedli haniebnie,  
Ile że alarm zrobił weale niepotrzebnie  
W chwili, gdy bitwa niemal była już wygrana,  
Wtenczas się żółć wzburzyła pana Rotermana.  
Więc na odlew Adama ganił krok niebaczny,  
Iż całe zaraz wojsko w bój powiodł rozpaczny,  
Zamiast, w ślad Winkelriedów wstępując wspaniały,  
W własną li pierś skierować las dziryków cały.

Zaczęto się odcinać, a panny oliwy  
Dolewały do ognia wśród rozprawy żywej,  
By rozdmuchać niezgodę w przeciwnym obozie.  
Wtem się zjawił pan radca, co przy tegim mrozie  
Obszedł już wszystkie gumna, owczarnie i stajnie,  
Czego i w święta nawet dopełniał zwyczajnie.  
Przywitawszy się z gośćmi, srebrne okulary  
Zdjął, co mu zaraz w progu bielmem zaszyły pary  
I, chcąc rozgrzać się z wewnątrz, sięgnął do nalewki,  
Bo dziś z zimnem na prawdę były nie przelewki.  
Lecz zaledwie karafkę chwycił, w której słońce  
Roztliło ognie, świtu karmazynem lśniące,  
Aliści zaraz zewsząd okrzyk zabrzmiał trwogi.  
„No, no!“ — rzecze pan radca — „skądże te prze-  
strogi?“

Czy myślicie, córeczki, żem wyprawiał tany  
I teraz zimnej wody chcę się napić zgrzany?“

Lecz skoro się dowiedział przyczyny właściwej,  
Zaśmiał się z całej piersi i, wąż gładząc siwy,  
Zawołał: „Jam od razu poznał po doktorcu,  
Że jakoś w niewyraźnym dzisiaj jest humorku.  
Ależ, panny! bo kto też widział kawalera  
Częstować eliksirem końskim, w którym szczerą  
Szumówka srebrnosiwa tło główne stanowi,  
A pieprz cechę znamiennej nadaje smakowi?“

Na to Adam: „Doktorek chciał wodą źródlaną  
Po kordyale tatarskim zgasić swą *gardlaną*  
*Pożarność*, jakby pewnie Słowacki powiedział  
Lecz wszak pomiędzy wodą a wódką jest przedział  
Większy, niż między prostą szpitalną babinką,  
A ascetką z kartuzyi lub benedyktynką.“  
„Oho!“ — rzekł radca. — „Wiem już, dokąd waść mi  
zmierza.

Pewnieś słyszał, figlarzu, iż zawczoraj świeża  
Przybyła do Chwalina mniszeczka z klasztoru  
Sławnego w Fécamp, druhna miłego humoru.“

Tu radca z atlasowej strojnej kamizelki,  
Co ślub jego pamięta, wy dobył niewielki  
Kluczyk i z cicha Ludce powiedział słów kilka,  
Która wraz też z lekkością wybiegła motylka.  
Za chwilę spora butla stanęła na stole,  
Pękata, w purpurowym kornecie na czole,  
Z fartuszkim etykiety, co w słowach łacińskich  
Tajemnicę wysławia ziół benedyktyńskich.

Gdy radca, otrzymawszy od Ludki nożyczki,  
Przecinał sznur pieczęci ślubnych zakonniczki,  
Usłużna panna Anna li jeden jedyny  
Przystawiła kieliszek z liczonej czar drużyny.  
A kiedy on o więcej zaraz grzecznie prosi,  
Z zdziwieniem nań Anusia modre oczy wznosi  
I treść świeżej Adama wspomni mu nauczki,  
Co niemal pannom całej nie zepsuła sztuczki.  
Ale radca jej rzecze: „Cudzoziemskie ptaki  
Inne mają zwyczaję, niż wróble szaraki.

Benedyktyński likwor to karmazyn jasny,  
Co wszędzie etykiety zwykł przestrzegać własnej.  
Duszkciem się go nie pije, ale przezroczystą  
Ciecz jego, jak miód słodką i jak miód kleistą,  
Na francuski się sposób zwolna cedzi tylko,  
Nie chcąc rozkoszy krótką ograniczać chwilką.“

Po tych słowach Ludwinia wciąż w roli szafarki  
Jęła plyn zachwalony lać w małeńkie czarki,  
A potem go na tacce ze srebra misterniej  
Rozniosła panom, w uśmiech zdobna filuterny.  
Wnet na życzenie ojca drugą jeszcze seryą  
Drobnych czarek przyniosła, by nową baterią  
Ustawić i dla panien po kilka kropelek  
Nalać benedyktyнки, słodszej niż karmelek.  
Poczem radca głos zabrał do przemowy walnej.

„Zacna młodzieży!“ — rzecze. — „Sąsiad ja  
neutralny

Śmiem stronom wojującym przedstawić życzliwy  
Wniosek, co kres położy wojnie nieszczęśliwej.  
Wszak wymogom honoru stało się już zadość,  
Boć smutek po przegranej i z zwycięstwa radość  
Poruszały naprzemian obydwia obozy.  
Chór baranków, muzyka nocna, pełna grozy,  
Dzwon zdradziecki i pieprzna małowazya z gorzelnii —  
Toć to, cne Amazonki i rycerze dzielni,  
Świetne bitwy, że fraszką przy nich jest Magenta.  
Jeżeli ich historia świata nie spamięta,  
Przejdą pewnie do pieśni, gdy swęgo Homera  
Znajdą w panu Ludwiku, co pono dobiera  
Gładkie słowa do rymu i tajemnie czasem  
Na skrzydlatym koniku buja nad Parnasem.  
Ale pora już zamknąć karty epopei,  
Bo inaczej wnet ład się w Chwalinie rozklei.  
Otóż mniemam, że teraz zobopólnie zmiennój  
Doświadczywszy fortuny, pokój już solenny  
Zawrzecie i to najmniej aż na lat trzydzieści.  
Nuże więc wzniescie czary, pełne słodkiej treści

Wojewódzka  
Biblioteka  
Publiczna

w  
Poznanin

I zanim je spełnicie, niech się na znak zgody  
Z skowronkami polnemi rozdźwiczą w zawody.“

Po tych słowach wznosił radca kieliszek do góry,  
A za jego przykładem poszły wszystkie córy,  
Jako i młodzież cała, by wesoło społem  
W szklaną harfę Bachusa brzęknąć ponad stołem.  
Jakby echo dalekie w tym samym momencie  
Odezwały się dzwony, co przy drugim święcie  
Z zajeziornej wyżyny na kończynach sioła  
Jeły wierną gromadkę wołać do kościoła.

Po zawarciu pokoju — w najpiękniejszej zgodzie  
Młódź do domu Bożego ruszyła po lodzie,  
A wróciwszy zeń, również w harmonii przykładnej  
Zasiadła do biesiady postnej, lecz paradnej.  
Srebrnoleska wizyta była dziś przy stole  
Osia całej rozmowy; niemałą zaś rolę  
Odgrywała w niej kwestya, czy w czamarki braku  
Miał pan Lucyan w tużurku jechać, czy we fraku.  
Poobiednią *siestę* do zera dziś prawie  
Zredukował pan radca, bo po wczesnej kawie  
Chciał zaraz ruszyć w drogę z licznym poczem sanek.

Hej! Jakaż miłą pachnie ambrą niespodzianek  
Zabawa w domu możliwym, kiedy lotna wieści  
Jaskółka o nim śpiewa, że w swem wnętrzu mieści  
Wykwint pański, wspaniałe, a liczne komnaty,  
Smak wytworny i zasób dzieł sztuki bogaty,  
A przytem, że drzwi jego na roścież otwiera  
Uprzejmość niekłamana i gościnność szczera.  
To też młodzież, sankami mknąc po śliskim torze,  
Pomimo mroźnej aury w różowym humorze  
Gwarzy, sinawym dymu nakryta obłokiem,  
I pałac srebrnoleski z dala ściga wzrokiem.  
Gdy tenże wreszcie z gęstwy drzew i bżów  
śnieżyстых,  
Wyrósł z bliska przed nimi, wdziękiem linii czystych

Wzrok nęcąc, korynckiemii portyku filary,  
Smukłą wieżą i fryzem na fasadzie starej, —  
Gracko na przekor ciężkim szubom z sań i lekko  
Wyskoczyli, by sznurkiem w sień wejść niedaleką.

Dźwięcznych głosików wrzawę — pałacu obszerne  
Atryum, w marmury zdobne i wazy misterne,  
Właśnie ostatniem echem odbiło w tęż chwilę,  
Gdy zeń wiotkie postacie damskie, jak motyle,  
Z szarego się kapotek i futer kokonu  
Wybiwszy, krasnoskrzydłe pomkły do salonu.  
Już się i młódź z pomocą służebnej drużyny  
Zaczęła, jak orzechy, z swęj ciepłej łupiny  
Wyłuskiwać, gdy żwawym ze salonu krokiem  
Wbiegł do sieni młodzianek z ślicznem, ciemnem okiem,  
Smagły, jak trzcina, z twarzą o cerze dziewiczej,  
Ale z męskiem znamieniem, bo już tajemniczy  
Meszek górna mu wargę ubrał aksamitem,  
Co przyszelego zarostu był porannym świtem.  
Był to hrabia Mieczysław, domniemany dziedzie  
Srebrnolasek i Kotar, Roztoki i Niedzie,  
Filar rodu Leliwów, przyszły lew salonów,  
Dziś cienko z majorowych śpiewający tonów.  
Uściskawszy Adama, wraz i resztę gości,  
Przedstawiając się, wita pełnym uprzejmości  
Uklonem i w zastępstwie ojca nie bez sromu,  
Lecz gładko spełnia funkcyę gospodarza domu.

Niebawem młódź wśród lśniącey stanęła komnaty,  
Ozdobnej w sztukaterye, brzozy i makaty.  
Swieża woń rozpylanych w powietrzu pachnidel,  
Jakoby balsamiczne, lekkim wiewem skrzydeł  
Zefira przyniesione róż dalekich tehnienia,  
Przyjemnie uderzyła zmysł ich powonienia.  
Lecz razem z tym zapachem jakaś niepochwytna  
Aura dystynkeyi, jakaś pańskość aksamitna,  
Nieznana dzieciom miasta, owiała ich skronie,  
Bezwiednie, jakby pewien zawstył rodząc w łonie.

Wprawdzie pan hrabia, zawsze grzeczny i jowialny,  
Włał dość ciepła w swój uścisk dłoni powitalny,  
Ale hrabianki ukłon w chwili przedstawienia,  
Chociaż uprzejmy, przecież nie był bez odcienia  
Lekkiej rezerwy pańskiej w obec obecj młodzi,  
Niby słoneczna hala, którą wietrzyk chłodzi.

Chyląc nadobną główkę, panna Izabela  
Śmiało przed się ognistą swą źrenicą strzela  
I, jednym bystrym oka rzutem błyskawicznie  
Obejmując każdego z kolei, krytycznie  
W mig kawalerskie jego ocenia przymioty  
Z zręcznością jubilera, co bada klejnoty.  
Lucyanowi, którego poznała z kościoła,  
Płomienistsze z uprzejmem pochyleniem czoła  
Oraz uśmieszkiem lekkim rzuciła spojrzenie.  
I pan Roterman w nieco wyższej u niej cenie  
Umiał zapisać swoje czarne, przenikliwe  
Oczy, podbojów słodkich żadne, jak rtęć żywe.  
Przez chwilkę małą nawet panna Izabela  
Między obu młodzieńców naprzemian rozdziela  
Wilgotnej swej źrenicy zerknięcia badawcze,  
Jakby ukradkiem studia czyniąc porównawcze,  
By w końcu przecie objąć wzrokiem nieco dłużej  
Twarz Lucyana, od mrozu lśniąca w barwach róży.

Jeśli u niej rezerwa widniała, to matce,  
Litwince i najczystszej krwi arystokratce,  
Chłód już na ściągłej twarzy wybijał się prawie,  
Przez gościnność na wodzy trzymany łaskawie.  
Atoli, gdy się wkrótce zjawiała w salonie  
Hrabina Świętorzecka w córek swoich gronie,  
Oblicze pani domu dziwnie rozjaśniało,  
Niby niebo jesienne, kiedy złotą strzałą  
Słońce z poza ciemnego całunu wystrzeli  
I grę kolorów niecię zacznie w chmur topieli.

Przy szodonie, co czarki z saskiej porcelany  
Wonnym dymkiem obwiewał i przy lukrowanej

Babce, żółtej jak szafran, a jak ciastko kruchéj,  
Młódz nasza zwolna nowej nabrała otuchy,  
Zwłaszcza gdy zacny hrabia, lubownik facecyi,  
Jakaś karnawałową przygodę z Wenecyi,  
Nawiązując do winnej polewki posilnej,  
Zaczął jej opowiadać w sposób krotochwilny.  
Zrecznie uwydatniona tej gadki *poenta*  
Rozbawiła słuchaczy, nieśmiałości pęta  
Zrywając, iż wesołym zarażeni śmiechem  
Chcieli pokrewnych fraszek odezwać się echem;  
Gdy wtem z wyżyn kanapy, jak kartaecz zdradziecki,  
Pierwsze słowo francuskie z pani Świętorzeckiej  
Ust wypadło znienacka, niszcząc bez litości  
Kiełkującą swobodę u chwalińskich gości.

Jak kiedy wiatr w drzemiące uderzy topole  
I zawichrzy je nagle, tak i w damskim kole  
Zawrzało w jednej chwili, a salonu ściany  
Jęły rozbrzmiewać gwarem z nad brzegów Sekwany.  
Zasepiły się bardzo oblicza młodzieży,  
Bo, lubo z szkolnych czasów mieli jeszcze w świeżej  
Pamięci spory zasób wyrazów tej mowy  
I choć trudne prawidła jej nie wszystkie z głowy  
Wywietrzały im, przecież w pogadance takiej  
Czuli się, jak z skrzydłami związanemi ptaki.

Lecz najwięcej pan Ludwik stracił na humorze.  
Przywykły żyć w uludy świecie, wierzył może,  
Ze pod biczem satyry wielkich piewców naród  
Dawno już w sobie stłumił ów nieszczęsny zaród  
Naśladownictwa obcych, co Polskę tak długo  
Według słów wieszczą czynił narodów papugą.  
Ceniąc sam język Franków, mniemał, że go na to  
Uczą się wyższe stany, by minę bogatą  
Piśmiennictwa współziomków Rasyne, Moliera  
Módz wyzyskać i klucz w nim znaleźć, co otwiera  
Podróżnikom na roścież wrota zagranicy.  
W domu zaś przed motłochem ciekawym ulicy,



Przed niedyskretnem uchem służby lub przed działywą  
Drzwi rozmowy poufnej zamyka tak łatwo.  
Zdumiał więc teraz biedak, widząc wśród salonu,  
Jak bez żadnej potrzeby w strój obey żargonu  
Jeły myśli swe matki i dziewice lackie  
Ubierać wzorem dziewcząt, co w strzepy cudaackie  
Odziane, rolę frajlin biorą i królowy,  
By patetyczne z sobą prowadzić rozmowy.

Lucyanowi, co, długo będąc na obczyźnie,  
Krytycznem teraz okiem wszystkiemu w ojezyźnie  
Przyglądał się bezwiednie, aż ból ścisnął serce  
Na widok, w jakiej jawnej była poniewierce  
Polska mowa u własnych kapłanek jej — w czasie,  
Kiedy świeżo rozkwitła w najpiękniejszej krasie  
I kiedy przez świątyni zburzonej zwałiska  
Dał wiatr groźny, by płomień zgasić jej ogniska.  
Gdy, kręcąc wąs swój piękny, w poważnem mil-  
czeniu

Patrzył w okno, hrabianka, skry sypiąc w spojrzeniu,  
W francuskim go języku zagadła z nienacka,  
Czy bohomaz świętego zauważył Jacka,  
Krzyczący tłem jaskrawem ze ściany kaplicy,  
W którym święty przez rzekę płynie na kapicy.

Zmieształ się trochę młodzian, widząc, jak Celina,  
A w ślad za nią i panny i młodzież z Chwalina  
Spojrzeli nań ciekawie i z niedowierzaniem,  
Czyli sobie z francuskim da radę pytaniem.  
Lucyan przecie odpowiedź dał, w skrytości ducha  
Wezwawszy wpierw na pomoc dawniejszego druha,  
Gastona Cotignac'a, z którym nigdyś cały  
Rok w Berlinie na stopie przeżył poufałej.

Był to Bretończyk niski, grzeczny, jak skra żywy,  
Co się na koncept zdobył wielce osobliwy,  
Że na studia do grodu zjechał Fryderyka,  
Ani krzyż niemieckiego nie znając języka.



Lucyan poznał go właśnie w zabawnym momencie,  
Kiedy z wspólną gospożą na migi zawzięcie  
Rozmawiał, chcąc mieć od niej mleka czy śmietanki.  
Lecz, gdy Niemka mu wody naląła do szklanki,  
Skoczył, jak oparzony, usta swe pociesznie  
Wydłużył i jak krowa *mu-hu* ryknął śmiesznie,  
A potem, wodząc wzrokiem dokoła promiennym,  
Gest dojenja nad garnkiem jął robić kuchennym.  
Parsknęli obaj śmiechem, a Lucyan z sąsiadem  
Zagał pogadankę, za jego przykładem  
Migami ją sztukując, ilekroć od razu  
Francuskiego odnaleść nie umiał wyrazu.  
Zawiązawszy w ten sposób znajomość młodzieńcy,  
Co dzień gwarzyli z sobą, a w kilka miesięcy  
Lucyan w języku Franków takiej nabył wprawy,  
Że się z Gastonem w długie mógł wdawać rozprawy.

To też teraz dość płynnie i z niezłym akcentem  
Odpowiedział hrabiance, że wzrok ponad świętem  
Małowidłem dwukrotnie zatrzymał, lecz z dala  
Nie pojął treści jego; modra przecie fala,  
Płaszcz szkarłatny, płynący na niej i mnich szary  
Sprawiły mu wrażenie jakiejś krwawej mary.  
Dźwięczny głos i szlachetna młodzieńca postawa  
Podpadły aż hrabinie obcej, iż ciekawa  
Zaczęła z panią domu szeptać o nim z cicha.  
Tylko doktorek w duszy mruknął: „Cóż u licha!  
Od kiedy ten Doreba takim jest Francuzem?  
Szasta się, jakby czuł się salonowym tuzem“.  
Sam atoli, francuskiej chcąc ująć pogadanki,  
Nieco się od zaczepnej odsunął hrabianki  
I, ku bliskiej Celinie obróciwszy głowę,  
Polską z nią dosyć głośno zawiązał rozmowę.

Wtem przybył do salonu, już od progu dworski  
Robiąc ukłon, wielmożny Janusz Łościborski.  
Wonny z dala pachnidłem, w największej paradzie,  
Z wąsem śpiczastym, dzięki węgierskiej pomadzie,

Stapał krokiem mniej ciężkim, prawie posuwistym,  
Z pretensją do wykwintu, jakby w uroczystym  
Nastroju. — Z namaszczeniem hrabiowskim koronom  
Składał hołd siedmiu pałok, dalszym zaś ukłonom  
Dla Chwalińskich już nadał poufalsze znamię,  
By w końcu młodzież z miasta nieomal przez ramię  
Ze zwykłą, prawidłową swą powitać butą.  
W pogadance francuskiej wnet fałszywą nutą  
Odezwał się, bo, chociaż w metropolii świata  
Po wyjściu z szkół zawczesnem bawił aż dwa lata,  
Z subżonktywem nieznośnym żył wciąż w nieprzyjaźni,  
A przytem często z polska słowom najwyraźniej,  
Dawał przycisk na drugiej od końca sylabie,  
Co czasem prawie z krzesła podnosiło hrabię.

Może by uszom dalszej oszczędzić tortury,  
Po polsku się Lucyana spytał hrabia, który  
W architekturze Niemiec styl wziął dziś przewagę,  
A potem, potraciwszy o Berlin i Pragę,  
Na swoją oficynę skierował rozmowę,  
Co od dziedzińca skrzydło miała dostać nowe,  
Natomiast od ogrodu utracić odwieczny  
Lamus, zgarbiony laty, nie bardzo bezpieczny.  
By lepiej rzecz wyluszczyć, w gabinet sąsiedni  
Poprowadził Lucyana i Laferma przedni  
Podawszy mu papieros, wyjął z biurka szkice,  
W których przyszłych uwieził planów tajemnicę.

Tymczasem wyjście hrabi pożądanę dało  
Hasło w pośród salonu, że już każdy śmiało  
Mógł przełamać zakłęcie nudnej etykiety  
I wstać z miejsca, na którym szodon go niestety  
Jakby przykuł, ruch wszelki zdając pod ogólną  
Kontrolę i rozmowę narzucając wspólną.  
Zaczęły się więc tworzyć mniejsze kółka, grona  
Z oddzielną pogawędką i niebawem z łona  
Pasięki młodociane wyleciały roje  
To na końcu salonu, to w dalsze pokoje.

W których dziedziczny w rodzie gust pański wybredny  
Prócz drogocennych sprzętów zgromadził z jednej  
Części świata okazy i osobliwości  
Gwoli własnej uciechy i rozrywki gość!

Lecz najpierwszą ozdobą komnat w Srebrnolaskach  
Był bezsprzecznie w ram złotych kąpiący się blaskach  
Zbiór obrazów, na ścianach rozwieszony wszędy.  
Widniały tam w dwa długie nanizane rzędy  
Portrety przodków hrabi: krajczych, podkomorzych,  
Wojewodów, starostów, matron, dziewię hożych  
W ubiorach staroświeckich, dalej sporo ślicznych  
Pejzaży i nie mało większych historycznych  
Malowideł, a w końcu mniejsze płótna, ale  
Szacowne, bo prawdziwe Rubensy, Ruysdale,  
Przy których się po kątach kryły nie bez sromu  
Kopie wcale niegorsze pędzla pani domu.

Lucyan, z swęj konferencyi z hrabią budowlanej  
Powracając przez salę, ujrzał jakby znany  
Wizerunek młodzieńca niezwykłej urody.  
W pierwszej chwili pomyślał, że to hrabia młody,  
Lecz wnet spostrzegł pomyłkę, bo hrabia blondynem  
Był, kiedy ów Kalabryi zdawał się być synem,  
Ile że włos miał kruczy i płeć ogorzałą.  
Patrzył przed się żrenicą czarną, dziwnie śmiałą,  
Z wielką pańską fantazją, lecz z jego oblicza  
Biła zarazem jakaś luna tajemnicza,  
Zdradzająca, że w pięknem tem ciele młodziana  
Dzika, rogata dusza mieszkała tytana.

Z zajęciem patrząc w portret mistrzowski, za  
chwile

Lucyan odczuł pierwiastek zły w nim, co niemiłe  
Dotknął go w głębi duszy. Wtem przy jego boku  
Przystanąła hrabjanka, by rzec z ogniem w oku:  
„Nie prawdaż? Śliczne płótno, przytem osobliwy  
Typ molojca-Farysa. To stryj nieszczęśliwy,

Co młodo za Kościuszki cześć w rozprawie zbrojnej  
Zginał od pruskiej kuli — duch zbyt niespokojny.“  
Więc to Piorun Leliwa nieświętej pamięci —  
Pomyślał Lucyan w duszy i pełny niechęci  
Wzrok ponownie zatopił w orle smutnej sławy,  
Dodając przytem głośno, że świeżo o krwawej  
Tragedyi jego słyszał; poczem przed sąsiednim  
Zatrzymał się obrazem, co też niepoślednim  
Malowany był pędzlem, a przedstawiał śliczną,  
Ciemnowłosą dziewczę z twarzą wręcz klasyczną,  
Jakby w innym portrecie niegdyś już widzianą,  
Lub w snach odbitą tylko — szybą zdroju szklaną.  
Wyraz miała łagodny, lecz w ustach różowych  
Oraz w lekkim ściągnięciu brwi jęj hebanowych  
Przebijała stanowczość, hart i siła woli,  
Która z sobą bezkarnie igrać nie pozwoli.

Lucyan dwakroć podnosił oczy na dziewczę  
I na hrabiankę spuszczał, jakby w tajemnicę  
Podobieństwa chciał wnikać, wreszcie rzekł po chwili:  
„To chyba pani sama, gdy mnie wzrok nie myli.“  
Wesoły śmiech się rozległ panny Izabeli  
I wraz perły jej ząbków błysły cudnej bieli.  
„Ha, ha! nie pierwszy pan to“ — rzekła — „co  
w portrecie  
Moją twarz mniema widzieć, a to ciocia przecie.  
Lecz żadna z dam omyłki nie popelni takiej.  
Patrz pan na krój jej sukni! chybabym ja ptaki  
Chciała straszyć w pszenicy, gdybym wdziała na się  
Podobne czupiradło z tiulów na atlasie.  
Lub czy, mając szacunek dla własnej osoby,  
Mogłabym włos dziś w śmieszne zaczesać *nioby?*“

Po tych słowach hrabianka, wręcz prawa odwetu  
Używając, zaczęła w dziewczę portretu  
Lśniącym wzrokiem, to znowu w twarz patrzeć  
Lucyana.  
Nagle wybuchła śmiechem: „Teraz rozwiązana

Zagadka, co mnie wczoraj trapiła w kościele!  
Bo trzeba panu wiedzieć, żem wzięła w udziale  
Po ojcu moim pasyą podciągania twarzy  
Pod pewne stałe typy, a choć mi się zdarzy,  
Że widzianych podobieństw nikt nie uzna inny,  
W sztuce się Lavatera wciąż ćwiczę niewinnej.  
Skorom pana ujrzała, zaraz mi w pamięci  
Błysła jakaś twarz znana, lecz jej mimo chęci  
Najszczerzej nie wykryłam. Dzisiaj, jak na dłoni,  
Widzę, że pan masz cioci oczy i skład skroni.“ —  
— „Doprawdy?“ — odrzekł Lucyan: — „nazbyt to  
pochlebne

Z delikatnym batysem płótno równać zgrzebne.  
Lecz czyli twarz — śmiem spytać — cioci lub stryjenki  
Zachowała dziś jeszcze swe dziewicze wdzięki?“  
„Niestety ciocia Róża zmarła w dni swych kwiecie,  
A w koło jej postaci mit swe baśnie plecie,  
Których dotąd przeniknąć nie zdołałam do dna;  
Gdyż tajemnic rodzinnych znać jeszcze niegodna.“

Tu hrabianka, wkrąg szybko spojrzawszy po sali,  
Cichszym cokolwiek głosem tak mówiła dalej:  
„Gdym dawniej się pytała o los cioci Róży,  
Zbywano mnie powiastką, że podczas podróży  
Zdradziecka ją sprzątnęła śmierć i pełna grozy  
W chwili, gdy dwa się z sobą zwarły parowozy.  
Później z różnych półsłówek ochmistrza Granata  
Doszłam, że naturalną śmiercią zesła z świata,  
Lecz, sądzę, mezaliansu jej to będzie wina,  
Iż o niej, jak grób, cała dziś milczy rodzina.“ —  
Chciała coś jeszcze dodać, gdy wtem porcelana  
Brzękła i przy bufecie postać starca znana  
Z siwemi faworyty i szyderczem okiem  
Bezszmernym się nieomal przesunęła krokiem.  
Wychodząc, zerknął na nich, a jego jastrzębi,  
Badawczy wzrok Dorębę poruszył do głębi.

Widząc pewne zmieszanie na twarzy młodziana,  
Szepnęła doń hrabianka: „A więc i na pana

Postać ta oddziałała nie nazbyt przyjemnie.  
On bo dziwną odrazę budził zawsze we mnie.  
To Granat, dawny sługa! Był jeszcze pod dziadkiem.  
Potem u stryja służył, a nareszcie spadkiem  
Przeszedł z Kotar do ojca, który, chociaż wcale  
Nie ma doń nabożeństwa, trzyma go tu stale  
I nawet mu ochmistrza dał urząd zaszczytny,  
Bo jest ostry dla służby, dyskretny i sprytny,  
A przytem lepsze sobie przyswoił maniery  
Wraz z językiem francuskim. Mnie jego nieszczery  
Uśmiech drażnił, gdym była małym dzieckiem jeszcze,  
Nie mniej, jak i spojrzenie szyderczo-złowieszcze.  
Raz nawet . . .“

Wtem Celina z panem Bolesławem  
I Januszem do sali weszła i ciekawem  
Oczkiem strzeliła w parę, co tak na uboczy  
Cichą wiodła rozmowę, patrząc sobie w oczy.  
Obejmując ramieniem pannę Izabelę,  
Zapytała z uśmiechem: „Czy to o kościele  
I świętym Jacku jeszcze rzecz się toczy skrycie?  
Czy też państwo o przyszłych już tańcach radzicie?“  
Z temi słowy oczęta na Lucyana śliczne  
Skierowała i jako race błyskawiczne  
Wyrzuciła z nich snopy blasków promieniste,  
By potem rzesą przyćmić źrenice swe szkliste.

Janusz, który to dostrzegł, zmarszczył bardzo czoło  
I, kręcąc wąs, w Lucyana spojrział niewesoło.  
Ten zaś, gdy podczas długiej z hrabianką rozmowy  
Czuł lubość w sereu, jaką teźnie ranek majowy,  
Teraz aż prawie zadrżał pod wzrokiem Celiny,  
Jakby nań silną wonią buchnęły jaśminy,  
A słowik z bżów kwitnących czarowną piosenkę  
Zanucił, wzajemności zwiastując jutrzenkę.  
Nim zdołał dać odpowiedź, Janusz do hrabianki  
Rzekł, iż może dla mamy jakie niespodzianki  
Pragnęła wytargować w oficynie nowój;  
Na co ta mu odparła, nie zwracając głowy:

„Nie wiele mnie obchodzą gospodarcze sprawy.  
W innej sferze bujałam. Jeśliś pan ciekawy,  
To powiem, lecz się pewnie pan Janusz wyleknie.  
Mówiliśmy o dziełach sztuki i o pięknie.“

Skrzywił się nasz hreczkosiej na ostrą replikę,  
Lecz wnet rozjaśnił czoło, bo rażą muzykę  
Posłyszał w bliskiej salce, zwykle perską zwaną  
Dla tego, że w niej perskie wisały dywany.  
Ochoczo zewsząd wszyscy pospieszyli do niej,  
Bo żwawy takt poleczki młodym uszom dzwoni  
Dziwnie rozkosznie, niby brzęk srebrny pucharu,  
Z którego można wiosny napić się nektaru.  
Poznikały z jej wnętrza kobierce i sprząty;  
Jak staw, w którym garnitur trzeć został przycięty,  
Błyszczała teraz wielkiem okiem zwierciadlanem,  
A z jednego jej rogu skrzypce z fortepianem  
Kaskadę skocznych tonów lały w wielkiej zgodzie,  
Zapraszając świat młody do piasów na wodzie.

Zakipiało też wkrótce na tym lśniącym stawie.  
I nie dziw! Bo dwa lata mijały już prawie,  
Jak krwawy bruk warszawski wszystkie w jednej  
chwili

Polki w tyleż żalobnych przemienił motyli  
I, do świątyn lud śpiewny gromadząc w wieczory,  
Interdyktem obłożył harce Terpsychory.  
A przecież po dawnemu krew w żyłach młodzieży  
Pospiesznem grała tętnem, po dawnemu świeży  
Zastęp dziewic na smutnym tym lechickim lanie  
Rozkwitał, niewymowny mając wdzięk w swem wianie.  
To też, gdy z naszej młodzi festyn dziś domowy  
Zdjął na chwilę żaloby rygor narodowej,  
Zahulała, jak tabun ukraińskich koni,  
Co raz pierwszy po zimie zieleń ujrzy błoni.

Prysnęły wkrótce z żoną kastowe różnice.  
Szlachcianki i hrabianki w proste tanecznicze



Przedzierzgnęły się w oczach tej drużyny młodej,  
By brać prym wedle lżejszych płaśów lub urody.  
Lecz skakany takt polki, chociaż weale żwawej,  
Przedstawiający w tańcach jakoby klus prawy,  
Nie wystarczył fantazyi tabunnej i dzikićj,  
Co innych chciała harców i innej muzyki.  
Urwano zatem polkę, a po pauzie krótkiej  
Odezwały się dźwięki raźniejszej pobudki.  
Strażaków z Flika-Floka galopada słynna  
Zaszumiła rozgłośnie, jak burza pustynna  
I w tempie wyścigowem na tór woskowany  
Jedna para po drugiej pofrunęła w tany.

Wkrótce prawdziwy wietrzyk z tanecznej wichury  
Wywiązał się na salce, niby deszczyk z chmury,  
I chłodząc starsze panie, złote świec płomyki  
Puścił, jak bajadery, w płaś wyginań dziki.  
Nawet panowie: hrabia, Włódzki i pan Barski,  
Przerwali swego wista, by na harc ów dziarski  
Popatrzeć, przystanąwszy u krańców areny,  
I za chwilę znów z *dziadkiem* zasiąść do *kajemy*.

Szalona galopada, która wówczas jeszcze  
W konszachty z kontredansem nie weszła złowieszcze,  
By wichrowatych figur rozplenić pokurcze,  
Dość weześnie, tak jak zwykle fale światoburcze,  
Wykipiała we własnym wrzątku, swe ofiary  
Wypuszczając z uścisków dusznych mdle, jak mary.  
Z zwichrzonemi włosami, z licem rozognionem,  
Z oddechem gorączkowym i bijącym łonem  
Zasiedli taneczniczy w fotelach dokoła,  
By chłodzić twarz i, z potu osuszając czoła,  
Krótkimi li do siebie przemawiać wyrazy,  
Lecz zawsze jeszcze w pełni tanecznej ekstazy.  
Wtem na sam środek salki z miną dyplomaty,  
W fraku, który galonów strój zdobił bogaty,  
Wystąpił stary Granat i z cicha orędzie  
Wygłosił, że wieczera wnet podaną będzie.



Przy stole miał doktorek chwilę powodzenia,  
Iż się ku niemu wszystkich zwróciły spojrzenia.  
Gdy bowiem opowiadał panie Izabeli,  
Że dziś w Berlinie każdy z Lukki wielbicielei  
*Światłoryt* jej przy sobie nosi w *zapiśniku*,  
Pan hrabia nie mógł stłumić lekkiego wykrzyku  
I rzekł doń: „Mowa pańska ma swojski koloryt,  
Ale na prawdę nie wiem, co to jest światłoryt.“

Wraz pan radca zawołał, śmiejąc się serdecznie:  
„A widzisz, mój doktorku, jak to niebezpiecznie  
Cudzoziemców, co wejdą do przybytku mowy,  
Gwałtem w kontusz i żupan stroić narodowy.“  
Adam zaś rzekł: „Światłoryt to w kolegi mowie  
Fotogram, panie hrabio. U niego się zowie  
Każda rzecz swojskiem mianem. Parter to *uziemie*,  
*Skarbnik* jest na *odlicznem*, nie na *tantyemie*;  
Kościół nieakustyczny ma lichą *odzewność*,  
Zamiast biletu *wpusztką* daje jazdy pewność,  
Biuro zwie się *pisarnią*, *mównią* gramatyka,  
Instynkt *zmusem*, bas *niżem*, a *gęźbą* muzyka.“

Na to hrabia: „O czystość dbać mowy ojczystej  
Jest świętym obowiązkiem, lecz zapal purysty,  
Przepraszam, *czystomówcy*, winien mieć granice  
I starych nie przewracać kubraków na nice,  
Ani też słów rugować, co na całym świecie  
Mają obieg, podobne w tem dobrej monecie.  
Pamiętam, jak mnie w Peszcie zgnięwały Madziary,  
Że nawet takie słowa zmienili w maskary,  
Jak telegraf, policya, poczta, teatr, które  
Wspólną aryjskich ludów cechują kulturę.“

Tu pan Ludwik w obronie kolegi nieśmiało  
Zabrał głos w tej szermierce z twarzą zróżowiałą:  
„Bez wątpienia, że strzedz się należy przesady  
I mianowicie w Czechów nie wstępować ślady,  
Co składanki słów obcych z naiwnością dziecka  
Obszyli w sierść słowiańską, naprzykład z niemiecka

Tragedyą zwać *smutnohrą*. Lecz mniemam i teraz  
Prawym kapłanom mowy wolno czerpać nieraz  
Z owej świętej krynicy, skąd w mrokach przedwiecza  
Wypłynął czysty strumień polskiego narzecza  
I do której najlepiej zna drogę lud prosty.  
Próżno stróże języka ćwiczą swemi chlosty  
Každy taki nowotwór. Toż Mroziński ieszcze  
Drwił sobie z „przyrodzenia“, a Śniadecki w kleszcze  
Krytycznej analizy brał wyraz „zaszczytny“.  
A przecież dziś te słowa już nie aksamitnej  
Tylko poezyi szacie, lecz i niewiązanej  
Mowie służą za wystrój codziennej sukmany.“ —

„No, no!“ dodał pan radca, „doktorkowi mogę  
Poświadczyć, że właściwą obrał sobie drogę,  
Bo miast kilka wyrazów sztucznie spajać kitem,  
Woli ze zrozumieniem rzeczy należytem  
Z ziarn rodzimych hodować płonki naszej mowie.  
A przecież się i na nim sprawdza to przysłowie,  
Że mistrz obuwia chodzi w podartych trzewikach.  
Bo, chociaż w cudzoziemskich mowy zaciężnikach  
Takie szczyrby orężem poczynił zwycięskim,  
Sam się dotąd nie raczył przezwąć Krnasnomęskim.“ —

Doktorek dowcip radcy, który nań motyle  
Panięskich spojrzeń zwabił, przyjął dosyć mile  
i zaczął swej sąsiadce rozwijać wymownie  
Teoryą słowotwórstwa, mówiąc o cudownie  
Giętkim kruszcu polszczyzny, co z pierwiastków  
własnych

Nowe pojęcia umie w nazwach oddać jasnych.  
Podczas gdy Francuz do nich stare materiały  
Z grecko-łacińskiej kuchni bierze zapleśniałój,  
Niemiec zaś mechanicznie bez mitregi żadnej  
Dwa lub trzy słowa sprzęga w dziwoląg nieskładny.

Po wieczery humorek pana Rotermana  
Zróżowiał, jak jutrzeńka, gdy zabrzmiała znana  
Nuta walca „*Il bacio*“, słodka i ponętna,  
A jak Włoszki miłosne spojrzenie namiętne.





Wydał, mówiąc, iż damom tchu już braknie prawie,  
By ratować dział, który z dawna miał w dzierzawie.

Wódz tedy pułk rozpuścił na zimowe leże,  
Poczem i inni mogli z kolei tancerze,  
Przebiegłszy wpierw samowtór pole przyszłej bitwy,  
Pod własny sztandar hufce zbierać na gonitwy  
I ćwiczyć z niemi figur formułki gotowe  
Lub wdzięcznych ewolucyi pleść girlandy nowe.

Gdy pan Janusz pod ster swój znów zagarnął tany  
I z hrabianką tór obiegł, jak koń rozhukany,  
Krzyknął: „Panowie wiankiem mą damę obwiną,  
A Mieczek zechce puhar dostawić i wino!“  
Młodzież rusza na środek, posłuszna komendzie,  
I na prawo wirując w wartkim nóg rozpędzie,  
Opierścienia hrabiankę, co w odwrotną stronę  
Krąży, podniósłszy śliczne swe ramię toczone.  
Kręci się kołowrotek tak przez chwilkę małą,  
Gdy wtem chusteczka branki gołębicą białą  
Wyłeci wirującej straży ponad skronie,  
Która ku niej piorunem wyciągnie swe dłonie.

Lucyan, co wszystkich przerósł o wysokość czola,  
Chwyta ptaszę i brankę uprowadza z koła,  
By z nią dwakroć wykonać pochód tryumfalny,  
A potem za jej zdrowie puhar spełnić walny.  
Czoło pana Janusza zasepiły chmury,  
Bo myślał, że *on* wyjdzie zwycięzcą z figury.  
Lecz zaraz w niego wstał znów promień nadziei,  
Gdy Maryan z Cesią harc ten powtórzył z kolei.  
Podwaja więc swą bacność, zwłaszcza że mu w łonie  
Od dawna żar miłosny ku dziewicy płonie.  
Jakoż rąbek jej chustki zdołał musnąć w locie.  
Cóż? kiedy los na jednej nie poprzestał psocie,  
Bo znów Lucyan batystów zagarnął połowę  
I z Celiną pofrunął na gonitwy nowe.

Fakt ten prawie niczyjej nie zwrócił uwagi,  
A przecież wkrótce nabrać miał niezmiernej wagi.

Był bowiem już ostatnią kroplą, co naczynie  
Przepelnia. Toż w donośnym wnet odbił się czynie.  
Kiedy Lucyan po tańcach chłodził się na sali,  
W obrazie panny Róży wzrok topiąc z oddali,  
Zagadnął go wraz Janusz: „Jakżeś pan w mazurze  
Smiał wydrzeć z rąk mi chustkę w ostatniej figurze?” —  
— „Przepraszam!” — odrzekł Lucyan — „w niewła-  
ściwym tonie

Zda mi się pan przemawiasz w tym pańskim salonie.“ —  
„To prawda, że aż nazbyt pańskie są to sfery,  
Dla tych, co gasiświeczków zdradzają maniery.“

Ciemną się twarz Lucyana powlokła purpurą  
I rzekł: „Na innym miejscu odpowiedź ponurą  
Dałbym panu na twarzy palcami mej dłoni.  
Tu go obcego domu nietykalność broni.“  
Teraz Janusz na odwrót zbladł w moment jak ściana,  
Bo właśnie nadszedł Adam na słowa Lucyana.  
„W krwi prostackiej“ — odsyknął — „będzie zmyta  
plama,  
Nim pan jeszcze przestaniesz być gościem Adama.“

---

## Pieśń IV.

### Wrzosa.

Gdy brzask wschodu różami ubrał niebo siwe,  
Złagodniało nareszcie zimno przenikliwe;  
Pod płaszczem bowiem nocy ożyweży Fawoni  
Jął wiosenny przemycać dech południa błoni.  
Toż wesółem znów okiem nad Chwalinem dzienna  
Błysła gwiazda, jak dawniej, złota i promienna.  
Wczoraj-bo jeszcze niby z łąką w szklanej źrenicy  
Patrzała wręcz bezsilna, jak po okolicy,  
Rzuciwszy polarnego pałacu kryształę,  
Przechadzał się północy monarcha, mróz biały,  
Dumny, że świat pod stopą jego wpada w dreszcze,  
Życie krzepnie, a drzewa słą jęki złowieszce.

Znalazłszy sprzymierzeńca dziś w gościu z południa,  
Słonko zaraz podjęło walkę z synem grudnia.  
Zdziera więc drzewom śnieżnych koszulek batysty,  
Praży domy, aż pot im na czoła kroplisty  
Wystąpił, który, sącząc z okapów ku ziemi,  
Obrabia je dziwacznie sopłami srebrnymi.  
Na jezioro też snopy blasków swoich ciska,  
Iż się cała rozłśniła tafła lodu śliska;  
Lecz w nazbyt ją hartowne mróz skował obręcze,  
Iżby miała wnet prysnąć, jak znikome tęczę.  
Z innej przecie dziś strony zagraża jej burza,  
Bo oto podejrzana z średniego podwórza  
Czereda ku niej sunie z dziwnymi przybory.

Rozpierzchłszy się do koła, lśniącemi topory  
Zaczyna nielitośnie ranić jej kryształę,  
Aż łód się w tren boleści rozplakał wspaniały.

Dźwięczy tafla posepnie, rój srebrnych gołębi  
Ulata z niej co chwila, woda z siniej głębi  
Wytryska, jak krew z rany, a mieszkańce wodni  
Nadpływają gromadnie, tehu świeżego głodni.  
Tylko sędziwe suny i karpie ogromne  
W zaciszny muł się kryją, zim dawniejszych pomne,  
W których podobny łoskot i dźwięk rzewny lodu  
Wróżbą był niosącego zagładę niewodu.

Coraz więcej przerebli jeziorniej głębinie  
By oczek w haftowanym przybywa muślinie;  
A nie trudno i w pierwszym już dostrzedz spojrzeniu,  
Że je dłoń uniejętna w ślāk dierzga deseniu.  
Nie brak bowiem haftarki przy owej robocie,  
Co daje hasło mężom, skroń kąpiącym w pocie.  
Jest to postać barchysta, ale nieco niska,  
W wołoszce, w butach, których glans z dała połyska,  
Z obliczem jeszcze młodem, śniadem, urodziwem,  
Z czarnym wąsem od ucha, okiem ciemnem, żywem —  
Pan Zefiryn Cieciorka, inspektor Chwalina,  
Który się sam tytułu *rzádecy* dopomina.

Głos jego brzmi doniośle z nosowym odcieniem,  
Napoiony godności własnej przeświadczeniem,  
A mina tęga zdradza, że w każdej potrzebie  
Znajdzie radę i zawsze całkiem kontent z siebie.  
Malcem będąc, już z swojej szczyił się rodziny,  
Że z Litwy rodem, przytem, że był starościny  
Chrześniakiem i w nazwisku ma reduplikacją.  
Później stąd do przechwałek lepszą znalazł racją,  
Że wąsik mu się sypnął, kiedy rówieśnicy  
Węgłem mleczny czernili meszek w tajemnicy.  
Dzisiaj żywy w nim rodzi źródło zadowolenia  
Myśl słodka, że rozblaskiem jednego spojrzenia  
Zagiew miłosnych tęsknic rzuca w serca dziewic,  
Niby w bajce arabskiej Bagdadu królewic.



W tej chwili pan Cieciorka, krocząc po jeziorze,  
 Raz po raz lśniące oko zawiesza na dworze:  
 Dziw mu bowiem, że dotąd ruch wstępny połowu  
 Na łód mieszkańców jego nie wywabił znowu,  
 A zwłaszcza hożych dziewic, którym zwykł codziennie  
 Rzucić karmelki z żrenic, błyszczących płomiennie.

Wreszcie z trzaskiem się sieni rozwarły podwoje  
 I wybiegli z nich Ignas z Michasią. Oboje,  
 Mieląc jeszcze ostatki ciast w buziach rumianych,  
 Wywijają w powietrzu parą łyżw związanych.  
 Równocześnie na lewo z dworskiej oficyny  
 Obciążone wiadrami wyszły dwie dziewczyny,  
 Za nimi zaś pospieszonym krokiem, ale drobnym,  
 Toczy się Połomosa, a przy niej w nadobnym  
 Szlafroczku granatowym, niby łania rzeska,  
 Sunie z wesołym śmiechem panna Anna Wrzeska,  
 Co dziś, stroniąc od gości, znów w roli elewki  
 Z rana dworskie przy pracy doglądała dziewczki.

Zaledwie straż ta przednia na lśniącym jeziorze  
 Zajęła posterunki, gdy wrzawa przy dworze  
 Nadejście obwieściła głównej siły zbrojnej.  
 Był to starszych chwalińskich panien orszak strojny;  
 W koło nich dziarska młodzież niby pułk konnicy  
 Krąży i na tarasie wobec ślizgawicy,  
 Którą na ścieżce zrodził śnieg słońcem stopiony,  
 Pełni służbę eskorty gwoli dam ochrony.  
 Wnet ruch na kanwie lodu zdwoił się srebrzystej,  
 Gdy pan Cieciorka haft swój ukończył wzorzysty  
 I olbrzymią niewodu kazał pajęczynę  
 Powoli w obnażoną zatapiać głębinę.

Stary polip jeziorny, co przez lato całe  
 Na słońcu cielsko swoje wędził ocieżałe  
 I zesechł jak pargamin, teraz, w zimne tonie  
 Pełznąc przez wyłom w lodzie, cheiwie wodę chłonie,  
 Pęcznieje na kształt gąbki i spuszcza się na dno  
 Czulkami swych ciężarków; ale mu nie snadno

Wszereż oraz wzdłuż wyciągnąć ramiona leniwe.  
Więc pan Cieciorka każe długie i złośliwe  
Przez sąsiednie przereble żerdzie pchać mu w zębra,  
Aż tysiąc-oką pierśią popod taflą srebra  
Rozpostarł się szeroko do krańców jeziora,  
By zwolna jak złowieszca przepłynąć je z mora.

Tymczasem młódź, stalowe wdziawszy *stopoloty*,  
Wyfrunęła na zmarzłą toń pełna ochoty  
Lekko, żwawo rybacką okrążać drużynę  
I w kryształą oprawne oczka wody sine.  
Ludka, co od pamiętnej na lodzie rozmowy  
Cudnie jęła jak pączek rozkwitać różowy,  
Sama już pogadanki wątek się ośmiela  
Zadziernąć i tak spyta swego wielbiciela:  
„A cóż będzie, mój panie, gdy skrzydła niewodu  
Śliczną boginkę pańską wyłowią z pod lodu  
I gdy ona, Świtezi naśladowując córę,  
Zacznie dzieje jeziora wieścić nam ponure,  
A potem na Wodnika białą dłonią skinie,  
By nas wszystkich wraz z siecią zatopił w głębinie?“

Pan Ludwik, słysząc szczęsny, jak dziewczę  
kochane

Dalój tak jego bańki rozdyma mydlane,  
Przystanął, by w fiołkowe jęj spojrzeć źrenice,  
W których migotnych ogni lśniły błyskawice  
I odrzekł jej z uśmiechem: „O nie bój się, pani!  
Jest bowiem w tęg podlodnęg kryształowęg bani  
Cudna grota, do któręg ani węgka dzieci,  
Ni rybaka zdradzieckie nie dosięgną sieci.  
Tam wśród konch rubinowych, wrosłe w aksamitną  
Zieleń mechów, w krąg dziewicze wodne lilie kwitną,  
Ponad niemi zaś kloszów błyszczą tulipany,  
Gdzie zarybek gatunków różnych niez mieszany  
W kolorach tęgcy igra, a w górze się pali  
Lampa blasków miesięcznych, pozbieranych z fali.

Do tej cichej świetlicy wśród błękitnej toni  
Przed niewodem urocza boginka się chroni  
I, rozpuściwszy jasne warkoczów swych zwoje,  
Z niema boleścią wlepia łzawe oczy swoje  
W płynącą sieć złowieszczą, a w dzwoneczek złoty  
Brząka na hasio rybkom, by uszły w głąb groty.“

Dalsze słowa mu przerwał pan Roterman, który,  
Widząc, jak żywo Ludce lśnią oczu lazury,  
Nadbiegł, by rzec: „Niech pani nic jemu nie wierzy,  
Každy bowiem wierszopis po trochu szalbierzy.“ —  
Nim pan Ludwik pospieszył odbić cios ten krzywy,  
Doktorek w dał pofrunął, by nie mniej złośliwy  
Koncept rzucić drugiemu koledze w przelocie,  
Skromnemu Maryanowi, co w częstym nawrocie  
To przodem, to wstecz płynął po śliskiej arenie,  
Chcąc system tylnej jazdy objaśnić Helenie.  
Roterman w wojowniczym dziś będąc humorze,  
Zaczepił ich, wołając: „Cóż to? na jeziorze  
Manliusz Pani wyklada mazura zasady?“ —  
Zaczerwienił się Maryan, pełne bowiem zdrady  
Były słowa doktorka, ile że w mazurze  
Nasz leśnik nie był ehwatem i wczoraj w figurze,  
Co ma krakowskiej miano, spudłował do tyła,  
Ze ją jakoś na modłę chciał tańczyć kadryla.

Kontent z swego dowcipu bohater walczyka,  
Głaszcząc z uśmiechem wąsik, w dał chyżo pomyka  
Ku kończynom jeziornym pod wzgórze kościółka,  
Dokąd i pan Cieciorka już nakręcał kółka  
Podwodnej maszyneryi, by w przerebli siniej,  
Jak w szopce, dzieci modrej ukazać głębinę.  
Już też ku owej stronie ciągnie ode dworu  
Ładem, snąc nie ufając śliskiemu jezioru,  
Starszyzna, by straż tylna: pani Barska z zięciem,  
Który jej jakiś projekt rozwija z zajęciem:  
Za nimi pani Włodzka, a na samym końcu  
Zacny wujaszek Cyryn, co dziś się na słońcu

Chee wygrzać i z uśmiechem patrzy dobrotliwym,  
Jak młódź na lodzie harcem zabawia się żywym.

Śladem pana Cieciorki i jego piechoty  
Pani Marta, zwinawszy nabrzeżne namioty,  
Z luzakami i całym bagażów taborem  
Ostrożnie zwierciadlanem puszcza się jeziorem.  
Przodem ciągną saneczki z obożnemi juki,  
Gospoia zaś, łyżwiarskiej nieświadoma sztuki,  
Kroczy zwolna przy Ańdzi, a co chwila trwoga  
Wywabia z niej okrzyki: „Paniusiu, dla Boga!”

Z dala ten orszak kobiet widząc osobliwy,  
Roterman świsnął ku nim, jak strzala z cieciorwy  
I przed gospoia, której lęk się odbił w oku,  
Warczące swe koturny wstrzymał o pół kroku.  
Rzuciwszy pannie Annie grzecznych słówek kilka,  
Zaczął leniwy tabor z lekkością motyka  
Okrażać, to wstecz płynąc, to sterując przodem,  
Aż nie dotarł do celu z całym korowodem.  
Wtem już prawie u brzegu podnożną swą stała  
Zawadził w kij, co latem kołysał się z falą,  
A potem z pierwszym mrozem wrósł w kryształu płytę.  
Stęknął lód i wołyżer, co tak znamienite  
Wykonywał na śliskim torze piruety,  
Z dość pociesznym koziołkiem upadł wznak niestety.

Choć się zerwał piorunem, w licznym widzów  
wieńcu

Zabrzmiały ciche śmiechy, zwłaszcza że w rumieńcu  
Lica jego zabłysły, a z odwrotnej strony  
Jakby go nagle siwe osrebrzyły szrony.

Adam, ślad ich ścierając: „Czy cię, Bolku“ — pyta —  
„Tarantula wprawila w tan świętego Wita?“ —  
„Ot chciał pokazać“ — Maryan rzekł z złośliwą  
minką —

„Jak to Abraham pisał przed Przymierza *skrzynką*.“  
Wraz się chichotów wszystkie otwarły upusty.  
Wesołą zaś Michasię porwał śmiech tak pusty.

Że musiała oburącz trzymać się Adama,  
Powtarzając co chwila: „Płasy Abrahama!”

Pan Bolesław odmruknął coś w kwaśnym hu-  
morze.

Wtem zabrzmiało Ciecioriki hasło na jeziorze.  
W koło wielkiej przerębli tuż przy brzegu blisko  
Zgromadzili się wszyscy na łowu igrzysko.  
Lucyana tylko jeszcze braknie w tej drużynie.  
Co przez starą Brygite w pobliskiej mieścinnie  
Kupiwszy lotne tyżwy, teraz na ustroni  
Powtarza kurs bujania po zamarzej toni.  
Wezwan różnym okrzykiem Adama, bez zwłoki  
Łodem puścił się ku nim, lecz, oszczędny w kroki,  
Zdwaja siłę rozmachu stóp swych, jak najdłużej  
Przeciągając sus każdy w nadwodnej podróży,  
Przez co bieg jego, trudny w punkcie równowagi,  
Wielkiej harmonii ruchów nabrał i powagi.

Wysoką swą postacią raz się w prawo chyli,  
Wyprężony by struna, to znowu po chwili,  
Jak tańczące wrzeczono ku drugiej się stronie  
Przerzuca, nieruchome wciąż trzymając dłonie.  
Wszyscy patrzą ku niemu zdziwieni niemało,  
Że piechur przedwczorajszy dziś zwinnie i śmiało  
Zahulał, do turnieju wystąpiwszy w szranki.  
Najmniej zaś był doktorek rad z tej niespodzianki,  
Zwłaszcza gdy Lucyan hare swój skończył niebez-  
pieczny,

A sama pani Barska komplement mu grzeczny  
Rzuciła na przyjęcie, iż po tafli szklistej  
Z wykwentem skończonego szybuje artysty.

Właśnie w tej chwili polip olbrzymi niewodu  
Zaczął swe gnuśne członki wynurzać z pod lodu.  
Coraz większy narasta kłęb rozmokłych sieci, szklistej tafli  
Wśród których się gdzieniegdzie drobna rybka świeci,  
Lecz dolna jego sakwa z całym łowu płonem  
Jeszcze za srebrnym lodu kryje się welonem.

Pan Cieciorka rozkazy wydał już ostatnie  
I, pokręcając wasa, czeka, aż i matnie  
Wypłyną z tajemniczój jeziora głębiny.  
Wtem się ku niemu oczki figlarne Celiny  
Skierowały i takie nań spadło pytanie:  
„A jak się nie nie złowi, co natenczas, panie?”

Rozjaśniało oblicze pana Zefiryna,  
Bo i jemu w serduszku tkwi panna Celina.  
Więc zapaliwszy w oczach wszystkie swe latarnie,  
Których, jak wierzy święcie sam, żadna bezkarnie  
Nie ogląda dziewczyna, odrzekł pewny siebie:  
„Proszę pani, nie sposób! chybaby na niebie  
Jasne słońko i nocne gwiazdy i księżyc  
Pogasły, jak żydowskie z loju szabaśnice.  
Dziś po struclu świątecznym i po kluskach z makiem  
Wszystkie ryby w tan poszły, niby z pasternakiem  
Pietruszka; toż je niewód wprost z sali balowej  
Zagarnie i na tacy złoży nam lodowej“.

Kontent z swego wątpliwój dobroci konceptu,  
Pan Cieciorka już panien złośliwego szeptu  
Nie słyszał, bo w tój chwili tyle upragniona  
Matnia z modrego wód się wynurzyła łona.  
I nikt też nie mógł śmiać się z jego przepowiedni,  
Bo rezultat połowu był zaiste przedni.

W potężnym saku, który w ślamistym zatopie  
Szary wziął kolor bronzu, wrzało, jak w ukropie.  
Obok gminu ryb drobnych, co się trzepał w mule,  
Z głośniejszym pluskiem wód tych książęta i króle  
Przewalały się, szatą błyszcząc srebrnolita  
Ze złotemi galony, szkarlatem podbitą.  
Wygarniano je na brzeg; tu je dziewczki obie  
Skladały w wielkim cebrze, niby w wspólnym grobie.  
Tylko drobiazg nieletni wracał do topieli,  
Gdzie, zbawczą chłonąc wilgoć, krwawnikami skrzeli  
Cucił się z odrętwienia w żywiole rodzinnym,  
By długo jeszcze potem śnić o całkiem innym.

Dusznym świecie nadwodnym, dziwotworów różnych,  
Światła i wrzawy pełnym i przestrzeni próżnych.

Starszynie, powrzucając do cebra gromadnie,  
Zaczęła pani Marta różniczkować ładnie,  
By, jak hetman przy brance, pościąganych z toni  
Rekrutów w poszczególne słać gatunki broni.  
*Okunie* wzrostem drobne, lecz nader czupurne,  
Których, gdy sztorcem pletwy swe najeżą górne,  
Nie połknie chciwem gardłem nawet szczupak stary,  
W nieznające pardonu pobrała huzary.  
Z *karpi*, co z swych pancerzy modre sieją blaski,  
A na grzbietach wysokich rzymskie noszą kaski,  
Ku Imci pana radcy uciesze niemaliej  
Ciężkich kirysyerów stanął pułk wspaniałej.  
Długie, chude *szczupaki*, które oble grzbiety  
W ciemnozielone szwedzkie odziały kolety  
I w natarciu swem impet zwykły mieć szalony,  
Wpisała gospodni pomiędzy dragony.  
W piechotę, co kwatere zatrzymała w cebrze,  
Poszły *liny* i *leszcze*, całe lśniące w srebrze,  
Dalej *brzany* i *wzdreği*, *ukleje*, *piskorze*.  
Nareszcie szarą gawieź tworzące w jeziorze  
*Kiełbiki* i *karasie* i *plotki* niegroźne  
Wliczone między ciury zostały oboźne.

Podczas gdy pan Cieciorka ku odwrotnej stronie  
Polipa swego w sine znów zapuszczał tonie,  
Wśród wesółych żarcików młodź i panie z dworu  
Oglądały ryb ciżbę, wydartą jezioru.  
Najwięcej ciekawości budził jeneralny  
Sztab armii upletwionej, a był nim *sum* walny  
W otoczeniu kilkorga młodszych swoich braci,  
Z straszną paszczą, otyłej i ciężkiej postaci.  
Świecąc drobnemi oczki, ruszał wąs obwisły  
Niby brygadyer, który taktyczne pomysły  
Podwładnych oficerów w manewrów arenie  
Półgłosem druzgocącej poddaje ocenie.

Opodal na samotnej deszczulce sędziwy,  
Jakoby wódz naczelny lśnił się *sędacz* siwy,  
Pełen pańskiej dystynkcyi, z srebrną łuską małą.  
Zdobny w orderów pęgi i ślifer wspaniałą.  
W pośród lamentu jeńców i wrzawy wojennój  
On sam cichy, spokojny leżał, jakby senny.  
Był albowiem z Katonów i Rejtanów rodu,  
Którzy nie mogą przeżyć pogromu narodu.

Stary Mamel, mający przydomek *Hetmana*,  
Co za stangreta służył z tytułem „*fuszpana*”,  
Chciał właśnie zanieść rybę w kuchenne regiony.  
Gdy go wesoło Ludka zagadnie ze strony:  
„A cóż, Mamelku? Sędacz okazały może  
Jest to *król ryb*, któregoś raz widział w jeziorze.” —  
Uśmiechnął się frant stary, co smalone duby  
Lubił pleść dworskim dzieciom i nieraz żart gruby  
Puszczał w obieg wśród wioski, lub śmieszne bajeczki,  
Gdy z panem z odleglejszej powrócił wycieczki.  
Pomusnąwszy wąs siwy z finezyą misterną  
Podpatrzoną u radcy, którego był wierną  
Kopią, choć pędzłem nieco malowaną zgrzebnym,  
Odparł Ludce swym tonem frantowsko-pochlebnym:  
„Toć to nie był, panienko, sędacz, lecz *król szczuka*,  
Który zaklętych skarbów po jeziorze szuka.”

Pan Ludwik ze zdziwieniem usłyszał te słowa,  
A sądząc, że w nich klechda ukrywa się nowa,  
Nalega na Hetmana, by swojej powieści  
Rozwinał przed nim wątek fantastycznej treści.  
Lecz ówik stary, nieufnym zmierzwszy go wzrokiem,  
Wymówił się i z rybą spiesznym odszedł krokiem.  
Więc Ludka go wyręcza i taką poecie,  
Mknąc z nim po łodzie, baśni osnowę rozplecie:

„Raz Mamel w swej młodości sam w północnej  
porze  
Łódką w noc świętojańską płynął po jeziorze.  
A wtem zdala od brzegu wśród ciemnej głębiny  
Dziwny go blask uderzył, zrazu mgławo-siny,



Co się rozjaśniał szybko, aż po chwili małej  
Widok się oczom jego przedstawił wspaniały.  
Z czeluści niezgłębionych na wierzch prawie wody  
Wypłynął szczupak-olbrzym niezwykłej urody,  
W pancerzu z srebrnej łuski, na tle której drżąca  
Raz po raz jakby tęcza grała barw tysiąca.  
Na głowie miał koronę złotą z brylantami,  
Z których bił blask rześisty; pletw zaś koralami  
Pruł zwolna ton jeziorną i w różane świty  
Rozpromieniał uroczo szklane jej błękity.  
Wkoło niego ryb mniejszych płynął orszak długi,  
Niby kniazie, wazale, dworzanie i sługi,  
A wszystkie w pyszczkach drogie trzymały pierścienie,  
Jaspisy i szmaragdy i inne kamienie.  
Nasz Mamel słyszał niegdyś, że kto, *króla sztukę*  
Zobaczywszy, na miejscu trudną zdziała sztukę.  
Iż ziewając zagwiźnie, ten wszystkie posiedzie  
Ryb klejnoty i skarby skryte widzieć będzie.  
Rozwarł więc usta szybko, lecz gdy innym wcale  
Ozwał się tonem, naraz pociemniały fale,  
Łódź gwałtownie zadrgnęła, iż wypadł z niej w wodę  
I zaledwie swe życie z toni wyniósł młode.”

Pan Ludwik jał swej drużynie niecić woń kadzidła,  
Że tyle świetnych wzięła barw do malowidła,  
Gdy opadał na skraj zabrzmiały dzwoneczki  
I chyżo pana radcy nadbiegły saneczki.  
Zacny dziedzic Chwalina, gospodarz zawzięty,  
Dogładnąwszy w Chwalinku młocki rozpoczętej,  
Powrócił właśnie do wsi, gdy przy drugim łowie  
Niewód znów już jezioro przepłynął w połowie.  
Wspierając się na lasce, okutej żelazem,  
Szedł po łodzie ku żonie, śląc gościom zarazem.  
Co go biegli powitać, żołnierskie ukłony,  
By skroni nie zaziębić wiekiem posrebrzonej.  
Na pełne ryby konwie lśniącym patrzył okiem,  
Ale karpie obrzucił zaiskrzonym wzrokiem,  
Bo je lubił najwięcej, zwłaszcza w sosie z piwa.

Właśnie też Połomosa, niezmiernie szczęśliwa  
Z sutego ich połowu, piękniejsze okazy  
Kładła w misę, chcąc później w przezrocza je gazy,  
Lub raczej w lody spowie galaret przejrzyste  
I w piątek jako postne zastawić piecyste.

W Jasnym, zgrabnym staniku, mocno zsznurowana,  
A mimo to okrągła, pulchna i rumiana,  
Pani Marta dziś owoc szczecińskiej jabłoni  
Przypominała, co się karmazynem płoni.  
By zaś szat nie zamaczać wśród rybackiej sprawy,  
Podkasala cokolwiek obszerne rękawy,  
Zdradzając przez to ramion dziwną wybujałość,  
Z którą się nieskalana kojarzyła białość.  
Wuj Cyryn w swym kubraczku barwy oliwkowej,  
Strojnym w obłóg z piżmowców, nie nazbyt już nowy,  
Stał obok i laseczką ryb dotykał w kadzi  
Na znak dla Połomosi, że je zabrać radzi.  
Pan Barski, który zawsze był pełen ochoty  
Do żartów i niewinne lubił płatać psoty,  
Rzekł, palcem filuternie grożąc mu na nosie:  
„Ej, ty mi bałamucisz, Cyryнку, gosposię!”

Pani Marta ze sromem przyjęła te słowa  
I w moment się z rumianej stawszy purpurowa.  
Pochwyciła za misę, by jeziora brzegiem  
Puścić się ku dworowi chyżym kaczki biegiem.  
Rezydent się zaś skwasił, lecz wraz i najśłodziej  
Rozśmiał, by rzec: „Żartuje znów kuzyn dobrodziej.”  
Pan radca wąż pogładził i ostrożnym krokiem,  
Figlarnem na obecnych spojierając okiem,  
Poszedł ku Ańdzi Wrzeskiej, która, pani Martę  
Zastępując, objęła nad rybami wartę.  
Nieboszczyka jej stryja przyjaciel serdeczny  
I sąsiad dalszy ojca, nader dla niej grzeczny  
Był zaraz w pierwszym czasie, a niedługo potem,  
Poznawszy się na cnotach i sercu jej złotem,  
Polubił ją niezmiernie i w niewinnej sprzeczce

Zwykł się był trochę psocić miluchnej dzieweczce.  
„Panno Anno“, — rzekł teraz, — „mówiono mi rano,  
Żeś nadzwyczaj gruntownie jest dzisiaj wyspaną,  
Wczoraj bowiem podobno za gosposi wzorem  
Wraz z kurkami panienska poszła spać wieczorem,  
A jam stary na hrabskich salonach w tym czasie  
Rej prowadził wśród młodych w rażnym obertasie.“ —

„Ej!“ — rzecze Ańdzia z śmiechem, — „mętne  
były zdroje,

Z których pan radca czerpał wiadomości swoje.  
Ja bowiem wczoraj późno w noc pisałam listy;  
A jeden z nich do Wrzosów był nawet sążnisty.“ —  
„Do Wrzosów, mościa panno? to szkoda mozołu!  
Będzie pewnie zbyt czuły, bo ja z nim pospołu  
Mój posłę liścik, większy, sutszy w tajemnicę,  
Któremu się serdeczniej ucieszą rodzice.“ —  
„Doprawdy?“ — spyta Ańdzia — „czy się pan nie  
myli?“

„Oho!“ — odpowie radca, — „mój list w każdej chwili  
Świeże wieści nowiny, przeszło centnar waży,  
Jest smutny lub wesoły, raz wraz, jak się zdarzy“.

Teraz Ańdzia rumieńcem zapłonęła cała  
I podbiegłszy ku radcy, wraz ucałowała  
Ramię jego, pytając: „Czy to wszystko znaczy,  
Że pan mnie do rodziców wyprawić dziś raczy?“ —  
„A jakże?“ — odparł radca, krzyżując swe ręce. —  
„Jeśli wczoraj do gustu nie przypadł paniencie  
Nasz kulig srebrnoleski, to dzisiaj jój innój  
Robię projekt przejażdżki, do wioski rodzinnej.  
Towarzyszką podróży jój będzie Celina,  
By rodzicom i babce przezacnej z Chwalina  
Zawieźć grzeczne ukłony, no! a przytém może  
I zdać raport, jak ktoś się sprawował we dworze:  
A że nieźle przy jednym ogniu aż dwie razem  
Piec huzarskie pieczenie, to z wami zarazem

Ruszy Adam, by z ojcem w mojem się imieniu  
Rozmówić o rolniczem przyszłem posiedzeniu“.

Podczas gdy Ańdzia, rada z miłej niespodzianki,  
Wśród ponownej łyżwiarzów młodych pohulanki  
Panu Barskiemu dzięki składała serdeczne,  
Celina za Lucyanem swoje niebezpieczne  
W dal puściła źrenice, zdziwiona, że znowu  
Nie mniej od harców stroni, jak od ryb połowu.  
Już bo dzisiaj przy kawie rannej zadumana  
I nieco smętna twarz jej podpadła młodziana.

W tej chwili właśnie z dala pod wzgórzem ko-  
ścielnem

Zabawiał się samotny niezwykle subtelnem,  
Jak sokół na śródniebiu, powolnem krążeniem.  
Nagle wstrzymał się w miejscu i szklanem spojrzeniem  
Utonął w starożytnym kościółku drewnianym,  
Co także wzrokiem, jakby smętnym, zadumanym  
Zdawał się dziś spoglądać w nieb błękity senne,  
Wylewając obficie z dachu lzy promienne.  
Młodzieniec go nie widział, bo ducha źrenice  
Nurtowały przeszłości mroczne tajemnice.  
Scena z panem Januszem w srebrnoleskiej sali  
Dotychczas mu złowieszczą, jak wstrętny zgrzyt stali,  
Odrzmiewała w pamięci z straszniemi wyrazy,  
Coraz ciemniejsze rodząc w umyśle obrazy.  
Wtem go panna Celina, nadjechawszy z boku,  
Zagadnie, blask wilgotny mając w piwnem oku:  
„Oj, oj, panie Lucyane! o czem pan tak marzy?  
Pewnie o czarnem oczku, co się skrami żarzy“.

Młodzian, z przykrej zadumy zbudzony  
przyjemnie,

Patrzył w piękną dziewczycę, aż w ócz jego ciemnie  
Napłynął znów blask jasny i z trochę figlarnem  
Zmrużeniem rzes jej odrzekł: „Chyba nie o czarnem!  
Ależ, panno Celino! O oczkach nie zawsze  
Wolno marzyć, bo życie czasem nam jaskrawsze

Żagwie do duszy rzuca w formie niespodzianki,  
Przy których bledną serca uroczę sielanki.“ —  
Więc dziewczę, jako córą nieodrodna Ewy,  
Próbuje wykraść sekret syreniami śpiewy;  
Ale młodzian ciekawość jej zawiódł niestety,  
Zdawkowej ogólników nie szczedząc monety.  
Gdy zaś z ust jej usłyszał, że dziś po obiedzie,  
Wraz z Ańdzą i Adamem do Wrzosów pojedzie,  
Spytał, czy jeszcze żyje stara pani Wrzeska,  
Ta „chodząca pokora“. — „Owszem, zawsze rzeska“ —  
Odpowie mu Celina — „i prawdziwie święta,  
A pana bardzo dobrze dotychczas pamięta.“

Lucyanowi wraz scena błysnęła przed okiem,  
Jak w Wrzosach, narownego konia zrzucon skokiem,  
Z krwawiącym trochę czołem i zbryzganą czapką  
Przed wystraszoną stanął panny Anny babką.  
Ona, zimną mu wodą skroń obmywszy krwawą,  
Długo się weń źrenicą wpatrywała łzawą,  
A potem jęła ręką bujne gładzić włosy,  
Iż on, któremu pieśczot odmówiły losy,  
Poczuł, jak coś mu nagłem pierś skłóciło wrzeniem  
I z ocz się lzy obfitym puściły strumieniem.  
Toż i teraz, gdy w wewnętrznej tak się bił rozterce,  
Myśl o świętej staruszce w smutne jego serce  
Balsam wlała pociechy, więc szepnął nieśmiało:  
„I jabym śmignąć z państwem miał chętkę niemalą.“ —  
„To jedź pan też!“ — natychmiast odrzekła dziewica,  
Gdy lekkuchny rumieniec okrasil jej lica.

Gościńcem od Chwalina po śnieżnej równinie  
Żwawo z głośnym rozbrzękiem łódź jakowaś płynie;  
Bez wiosel i bez żagła, kłęby snując pary,  
Unosi w swoim wnętrzu dwie dorodne pary.  
Adam, dzierżąc ster łódki, w szubie swej niedźwiedziej  
Obliczem do rumaków w tyle z Ańdzą siedzi,  
Naprzeciw nich zaś Cesia tuż obok Lucyana,  
A wspólny pled przed zimnem chroni im kolana.

Chyżo pędzą rumaki. Już na prawo dworek  
Opodal zamajaczył bliskich Mirotworek.  
Lucyan, skoro go ujrzał, sposepniał widocznie,  
Wtem piękna z nim sąsiadka gawędkę rozpocznie;  
A wrychle jej przyjazne spojrzenia i słowa  
Spędziły mu kir z czoła, iż otucha nowa  
Wstąpiła weń po chwili, zwłaszcza, że tak blisko  
Jeszcze się nigdy z cudną nie znalazł huryską.  
Ani się spodział młodzian wśród tej pogadanki,  
Jak niezadługo w nową wieś wjechały sanki.  
Kolosalne jej gumna, zbudowane z cegły,  
Których mur koronkowy i topole strzegły,  
Z niebotycznym kominem, podobnym do świecy,  
Wrażenie jakiejś małej robiły fortecy.

„To są Pszczółki“ — rzekł Adam — „Bilgorajów  
dawny

Majątek, istne cacko, z którego ów sławny  
Pan Walenty przed laty w parę siwych koni  
Dryndulką w świat wyjechał, jak rozbitek z toni,  
Podczas gdy owczarz jego, Szwab i gbur z pozoru,  
Prosto z starej owczarni przeniósł się do dworu.  
Dziś syn jego, pan Horstmann, wpływowa figura,  
Ma trzy wsie, niepodobny już w niczem do gbura,  
Wnuk zaś, rotmistrzem będąc gwardyjskich dragonów,  
Marzy o tem, by w album wpisać się baronów.“

Smętnem okiem powiedli nasi podróżnicy  
Po tej straconej twierdzy lechickiej ziemi,  
Na której już widocznie germanizmu ramię  
W nazwie *Pistolken* obce wycisnęło znamię.  
Lecz wnet ręce kasztanki przebiegły przez sióło  
I uniosły ich dalej, parszkając wesoło.

Z obu stron drogi śnieżne ciągną się równiny,  
Monotonne i ciche. Tylko jarzębiny  
Drobny owoc, w szkarłatnych gronkach ponad szlakiem  
Płonąc, czasem pod głodnym zachwieje się ptakiem.

Niekiedy i dzierlatka-trzpiotka przez staj kilka  
Fruwa przed końmi, siada i wzorem motylka  
Znów się rwie, w końcu czepiec nastrzępiwszy siwy,  
Odlatuje, zawodząc jakiś hejnał tkliwy;  
Albo kawki, w dwóch stadach prując nieb lazury,  
Kąpią skrzydła w odblasku zachodniej purpury,  
Nagle, żalosaną wznosząc pieśń, przez górne sfery  
W runiczne jakieś zacząną zwijać się litery.

Wtem w oddali na samym krańcu widnokrega  
Zarysował się borek, niby płowa wstęga.  
Ańdzia pierwsza sylwetkę brzożowego lasku  
Dostrzegła i ku niemu oczy pełne blasku  
Skierowała, a gdy już pod swój dach gościnniey  
Przyjął ich, rzekła: „Witaj, gajku rodzinny!  
Witajcie mi leszczyny i wy śnieżne drzewa!  
Pośród was mnie dziecięctwa błoga woń owiewa.”  
Więc Adam, patrząc w lśniące jej oczek szafiry,  
Jął żartować, że chyłkiem złotą strunę z liry  
Wzięła pana Ludwika i teraz zapewne  
Na cześć lasku wyśpiewa dumki - szumki rzewne.  
Ańdzia na to odrzekła, iż są położenia  
Tak poetyczne w życiu, że iskra natchnienia  
Budzi się nawet w piersi całkiem trzeźwój, zimnej;  
Lecz gdy ta chce zanucić sonety lub hymny,  
Język krwi, a myśl się trzepie, jak bezpióry  
Ptaszek, co w nieb daremnie chce się wzbić lazury.

Adam z śmiechem przyklasnął temu porównaniu,  
Bo i on raz próbował w lat swoich zaraniu  
Sklecić odę do wiosny, lecz gdy dwa wieczory  
Pocił się nad nią, prawie z umęczenia chory,  
Wypruł z siebie na zawsze wierszoklecką wene,  
Odprzysięgłszy się mętłą lykać hipokrene,  
Zaczął dowcipkować z częstochowskiej Muzy.  
Tylko Lucyan zaniemiał, jakby mu Meduzy  
Głowa nagle błysnęła w półmrocznej gestwinie.  
I choć sanki znów mknęły przez śnieżną pustynię,

Lucyan Dęchła

On ciągle wlepił oczy w las niknący w dali,  
Bo mu w duszy strzeliła, niby iskra z stali,  
Myśl dziwna, jasnowidztwem wywołana prawie,  
Że tam finał w Janusza rozegra się sprawie.

Wtem na drodze przy skrucie postać dość  
wyniosła  
Niespodzianie, jak gdyby z pod ziemi, wyrosła.  
Strzelba na plecach, torba, róg i pies legawy  
Zdradzały w niej myśliwca, co wracał z wyprawy,  
I to widać pomysłnej, bo przy jego trokach  
Bujał szarak na tylnych zawieszony skokach.  
Połyszawszy brzęk dzwonek, zeszedł w śnieg na  
stronę  
I ku sankom swe oczy obrócił zdziwione.  
Nagle na twarzy jego czerstwój, młodocianój,  
Na której z poczciwością był spokój rozlany,  
Zabłysła żywa radość. Rogatywkę z głowy  
Zdjąwszy, kilkakroć ruch z nią wykonał młynkowy.

Na ten znak Adam w miejscu rące wstrzymał  
konie,  
Panna Anna zaś z krzykiem obie zaraz dłonie  
Wyciągnęła do strzelca, poznawszy w nim brata,  
Którego już od schyłku nie widziała lata.  
Bogusł Wrzeski, najstarszy z synów pana Wita,  
Dotąd jeszcze Iliadę trapił i Tacyta,  
Ale w czasie wakacyi z psem i flintą w dłoni  
Uprawiał kunszt Nemroda wśród rodzinnych błoni.  
Gdy teraz zaczął witać siostrunię i gości,  
Wyżel jego uderzył w szczek pełen radości  
I póty się ku Anđzi rwał, szalejąc prawie,  
Aż ona, twarz ku niemu zwróciwszy łaskawie,  
Pogłaskała mu dwakroć włos jedwabny, siwy,  
Mówiąc: „No, no, już dobrze, Bekasku poczciwy!”

Brzękły dzwoneki i sanie w dalszą pomkły drogę,  
Skoro młody myśliwy wzmocnił ich załogę,



Przystanąwszy na płozie; pies zaś cesał bokiem,  
Raz wraz ku panu mądrem spozierając okiem.  
Już się też za pagórką ukazał w pobliżu  
Rząd chatek ośnieżonych, a dalej przy krzyżu  
Mała kapliczka, za nią gunna, dworek biały,  
Który girlandy krzewów i drzew zasłaniały.  
Były to wreszcie Wrzosi, niewielka wioszczyna,  
Co od kilku pokoleń z rodzica na syna  
Przechodziła i mimo gleby dosyć lichój,  
Zapewniała swym panom żywot skromny, cichy.

Gdy, okrążywszy łukiem żywopłot strzyżony,  
Zajechali podróżni w bramę, z jednej strony  
Powitał ich olbrzymi bałwan, zbity z śniegu,  
Z drugiej zaś obeliski, stojące w szeregu.  
Nieco dalej błyszcząły białe jakby mury  
Fortalicyi śniegowych z dziwnymi kontury,  
Obrąbione blankami, w których młodociane  
Roily się twarzyczki, ponsem malowane.

Tutaj brzmiał zgiewek wojenny i warczały chyże  
Granaty i kartacze w nieustannym wirze.  
Lecz, skoro się gruchawek brzęk rozległ dokoła,  
Uciechła zaraz wrzawa i malców wesola  
Wysypała się zgraja z poza baszt fortecznych,  
Zapomniawszy o bitwie i czynach walecznych.  
Jedni z nich, siostrę Ańdżię poznawszy, nieśmiało  
Zbliżali się do sanek, inni przecie, mało  
O szyk i galanteryi troszcząc się wymogi,  
Wykonali na lewo zwrot i dalej w nogi,  
By bokiem się w zaroślach przemknąć pokryjomu  
I uderzyć w alarmu dzwon na tyłach domu.

Niebawem się też z trzaskiem drzwi otwały dworu  
I jakaś ładna wiochna w spódniczce koloru  
Połnych chabrów, z stanikiem zielonym jak trawa,  
Poskoczyła ku gościom, a za nią ciekawa  
W głębi sieni twarzyczka błysnęła dziecinną,  
Aby zniknąć w momencie; lecz w też tropy inna

Siostra Ańdzi wybiegła, podlotek dopiero,  
Cecylka, tęga, pulchna, z zdrową jak rydz cerą.

Podczas gdy Boguś malców rój zabierał w sanie,  
Weszli goście w przysionek, gdzie rzędem na ścianie  
Grzeczne dla płaszców rogi sterczały potężne  
I wieniec, co ostatnie uwieczniał okrężne.  
Skoro szat ciepłodajnych otrząśnięto zbytek,  
Wwiodła Ańdzia podróżnych w bawialny przybytek,  
Lecz na to, by im siostrę przydawszy do boku,  
Wybiec zaraz w głąb domu z żywym blaskiem w oku.

Wykwintem państwa Wrzeskich nie jaśniał sa-  
lonik.

Sprzęty dobre, lecz niby karty dawnych kronik  
Staroświeckim zapachem wskroś były przewiane.  
Z ścian jego spozierały drzeworyty znane:  
Herby województw polskich z orłem i pogonią,  
Dąb Tassa, Izraela syny, którzy ronią  
Łzy nad murem świątyni starej Salomona  
I królowa Egiptu ze żmiją u lona.  
W rogu stała serwantka niemodna już wcale,  
Niby duża latarnia, co w swych ścian kryształe  
Odbijała figurki, cacka i figielki —  
Szkłany osobliwości jakby bazar wielki.  
Adam z Cesią oglądać zaczęli te fraszki,  
Przypominając sobie dziecinne igraszki,  
Do jakich tu im pochop dawać zwykł przed laty  
Filgranowych postaci śmiesznych zbiór bogaty.

Okrasiwszy prostotę codziennego stroju,  
Niebawem pani Wrzeska weszła do pokoju.  
Była to w średnim wieku ruchliwa kobiątka,  
Opiekła, niewysoka, wybitna brunetka.  
Na twarzy jej widniało chroniczne zmęczenie:  
Gesty zaś niespokojne i także spojrzenie  
Zdradzały, że się książek czytaniem nie bawi.  
Ale w wiecznym pospiechu życie swoje trawi

I nie dziw też, zadanie-bo miała niełatwe,  
By obszyć i nakarmić taką liczną dziatwę,  
A nadto ład utrzymać w oficynie, w domu,  
W ogrodzie i kurnikach, nawet pokryjomu  
Nieraz w gumna zazierać, w obory i stajnie,  
Gdyż mąż literat ślęczał przy biurku zwyczajnie.  
Trzeba się było zatem podwajać niebodze,  
Niedospać i niedojeść i nakrzętać srodze;  
A że nie schudła więcej, kluczem tej zagadki  
Była wielka otyłość nieboszczki jej matki.

Powitawszy chwalińskich gości swych serdecznie,  
A Lucyana uklonem, wraz ich jęła grzecznie  
Przepraszać za ciepłotę salonu zbyt niską,  
By ich niebawem w salkę poprowadzić bliską,  
Ile że lepiej w ciepłą powszedniość się schronić,  
Niż odświętnej paradzie hymn zębami dzwonić.  
Chętnie podróżni nasi przyjęli tę zmianę,  
Bo centrum domu było wyborzenie ogrzane  
I mimo skromnych sprzętów miało w swym wystroju  
Odrobinę lubego sielanki spokoju.  
Obszerna ta komnata z piecem kolosalnym  
I kominkiem, co właśnie ogniem gorzał walnym,  
Jak Janus, dawnych Rzymian bóstwo tajemnicze,  
Podwójne odsłaniała widzowi oblicze.

Bliżej-bo pieca, kędy w błękitnym żupanie  
Jakiś antenat butny na spłowiełej ścianie  
Wśród portretów rodzinnych świeższej wisiał daty,  
Rozesłany był dywan, haftowany w kwiaty,  
A na nim przy wygodnych fotelach kanapka  
Z staroświeckim fasonem, jak sędziwa babka  
Wpółśród licznych wnucząt rozsiadła się grona.  
Całkiem odmienna była druga salki strona.  
Tu przy stole dębowym bez serwety żadnej  
Wiankiem skupił się krzesel garnitur mniej ładny,  
Wśród których dwa sterczały laskonogie stolki  
Z poręczą, gdzie najmłodsze siadały „aniołki“.

Widocznem było zaraz, że przy piecu blisko  
Senat starszych codzienne miał swoje siedlisko,  
W drugim zaś narożniku przy dębowym stole  
Świat młody zwykł w sejmowem obradować kole.

Ledwie stół mahoniowy, rówieśnik kanapy,  
Niby skrzydła obwisłe, rozpostarł swe klapy  
I zabielał obrusem, strojnym w szlak niebieski,  
Aliści szybkim krokiem wszedł w salkę pan Wrzeski.  
Był to średniego wzrostu mężczyzna niemłody,  
Którego włosom żadnej czas nie zrzucił szkody,  
Szeroki trochę w plecach i niezgorszej tuszy,  
Z marszem w oczach niebieskich, lecz z zwierciadła  
duszy,

Czyli z twarzy niezwykła tryskała mu prawość  
I pod przybraną grozą gołębia łaskawość.  
To też o pana Wita ucziwości rzadkiej  
Rozmaite w sąsiedztwie obiegały gadki,  
A szczytem ich historia była o bułanym  
Koniu własnego chowu, do Pszczółek sprzedanym,  
Za którego, gdy w tydzień zmarniał, wpadłszy w wodę,  
Miał pan Wit zwrócić cenę, mówiąc, iż tę szkodę  
Słuszniej ponieść sprzedawcy, któremu koń służył  
Tyle lat, ile kupiec ledwie dni go użył.

Ańdzia, ujrzawszy ojca, gołębicą lotem  
Zerwie się, by go objąć drobnych rączek spletem.  
Lecz on w pierw rzadkich gości mile zacznie witać,  
Tłomaczyć zwłokę w przyjściu i o Chwalin pytać;  
Dopiero, gdy grzeczności uczynił już zadość,  
Wyzwolił z pęt przymusu ojcowską swą radość  
I pierworodną córę przytulił do łona.  
Gdy oboje zasiedli w pośród gości grona,  
Adam o gospodarstwo zagadł pana Wita;  
Lecz za chwilę, zmieniając temat, wraz go pyta,  
Jak daleko posunął wielkie swoje dzieło,  
Które całą od dawna myśl jego zajęło.

Zacny-bo dziedzie Wrzosów, choć rolnik z zawodu,  
Lubił się trochę piórkiem bawić już od młodu.  
Dawniej bezzeństwa księży zajmował się sprawą  
I studia swe obszerną uwieńczył rozprawą;  
Gdy mu ją przecie zganil przyjaciel kanonik,  
Zamknął skrypt na trzy klucze i do starych kronik  
Zasiadł, by kreślić dzieje ludów zmartwychwstałych.  
Lecz wnet od Machabejskich rapsodów wspaniałych  
Oderwał się i w dalszym lubownictw rozwoju  
Rzecz o najlepszym państwa jął pisać ustroju.

Gdy teraz, rad z pytania, zaczął Adamowi  
Prawić, że o senacie pisze, co stanowi  
Nieodzowny hamulec w państwa maszyneryi,  
Otwarły się drzwi sienne i cały „malceryi“  
Wszedł pułk w mundurkach siwych, o ciekawych  
minkach,

Bystrych ślipkach i bujnych, wilgotnych czuprynkach.  
Idąc według starszeństwa ordynkiem, chłopaki  
Robiły ukłon gościom na sposób dwojaki,  
To jest schylając głowy w postawie tanecznej,  
Albo skrobiąc posadzkę, poczem Adam grzeczny  
Dwom starszym podał rękę, trzem zaś młodszym  
główki

I buzie ucałował, lecz nie z dubeltówki.

Wraz też innemi drzwiami pod wodzą Cecylki  
Weszły młodsze dziewczynki, lekkie, jak motylki,  
W fartuszkach śnieżnej bieli, snać przed chwilą  
wdzianych,

O leczkach okrągłuchnych, świeżych i rumianych.  
Za niemi zaś, jakoby pana Wita cały  
Komplet potomstwa pragnąc okazać wspaniały,  
Weszła wiochna już znana w niebieskiej spódniczce,  
Wiodąc drobną dziecinę o bladłej twarzyćce,  
Którą areшт domowy strzegł od zaziębienia,  
Drugą zaś jeszcze mniejszą mając u ramienia.

Benjaminiek ten rodu, płci zda się niewieściej.  
Patrzył przed się oczkami ślicznemi bez treści,

Chłonąc z takim spokojem obraz salki w siebie,  
Z jakim stawek odbija obłoczki na niebie.  
Gdy przecież oko dziecka padło na Lucyana,  
Wraz się żrenica jego zaiskrzyła szklana  
I z wesołym trzepotem, na młodzieńca wąsy  
Wskazując drobną rączką, rzekło: „*ąsy. ąsy!*“  
Śmiech się rozległ do kofa, a panna Celina  
Wzięła dziecko, by usta, słodkie jak malina,  
Ucałować mu dwakroć i trochę na rękę  
Pochuścić je, a potem z ruchem pełnym wdzięku  
Podać panu Dorębie, który żywą lalę  
Wziął nie bez pewnej żeny i ust jej korale  
Musnął także wargami, chcąc świeżą nektaru  
Woń choć tylko z próżnego zachwycić puharu.  
Odbierając z rąk jego pani Wrzeska dziecko,  
Rzekła z śmiechem: „Wy, młodzi panowie, nie wiecie,  
Jak to się takie trzyma maleńkie stworzonka.“

Tu Adam czcigodnego jej zagadł małżonka,  
Czy najmłodszym odroślom, nadając imiona,  
Zawsze w moc abecadła wybierał patrona.  
„A jakże?“ — pan Wit odparł. — „Jeśli gdzie,  
to nie tu,  
Wolno z wyborych usług śmiać się alfabetu.“ —

Gdy Lucyan, nie pojawiwszy owych słów osnowy,  
Spojrzał z zdziwieniem, Ańdżia takimi się słowy  
Ozwie doń uśmiechnięta: „Rzecz się tak tłumaczy.  
Mój ojciec był za młodu nieraz stąd w rozpaczy,  
Że z bratem swym Wiktorem te same w imieniu  
Początkowe miał głoski, co nieporozumieniu  
Na roścież otwierało wrota przy adresach,  
Przy podpisach na książkach i esach floresach,  
W jakie sztuki bielizny ozdabiać się zwykło.  
Więc kiedy zład balamuctw nie mało wynikło,  
Zarzekł się, w kawalerskim będąc jeszcze stanie,  
Że, jeśli kiedy głową rodziny zostanie,  
To dzieciom swym imiona takie powyбира.  
By każdemu odmienna w podpisie litera

Za inicyał służyła. Że zaś ojciec system  
I ład we wszystkim lubi, było oczywistem,  
Że ściśle się porządku trzymał abecadła.  
Stąd mnie najstarszej jako patronka przypadła  
Święta Anna, a bratu na chrzcie świętym dano,  
Że był drugim z kolei, Bogusława miano.  
I tak dalej i dalej, aż ostatnie chrzciny  
Imię Maryi przyniosły dla tej tu dzieciny.

Lucyan, chcąc się dowiedzieć, ile chrzcin tych było,  
Nie śmiał wprost Ańdzi pytać; a że mu się émiło  
W oczach od drobnej czerni, więc, miast każde dziecko,  
Jał ukradkiem litery liczyć w alfabcie,  
Przebierając palcami niby od niechcenia,  
Tak jak wieszcz samozwaniec, co *kuje* swe pienia.  
Wtem mu pomoc w pół drogi przysła niespodzianie.  
Jeden-bo z chłopców sięgnął do półki na ścianie  
I podał mu *Dunina*, w którym wszystkie dziatki  
Były na białych nicach spisane okładki.

Zawrzał szmer oburzenia wśród młodej drużyny,  
Co będąc narażoną na koleżków drwiny,  
Głów swych liczbę w najgłębszym chowała sekrecie,  
Tem bardziej, że co wiosnę nowe zwykło dziecię  
Wraz z bocianem na większą rodziców „pociechę“  
Pod gościnną przybywać pana Wita strzechę.  
„Zdrajca, lizuś, pochlebca!“ syknęto przez zęby,  
Gdy Jacuś z sprytną minką w dłoń pana Doręby  
Wytarty modlitewnik składał, w którym cały  
Rejestr lśnił młodych Wrzeskich w glorii okazałej.

Lucyan jał staroświeckim nieco charakterem  
Wypisane z bieżącym na przedzie numerem,  
Przebiegać wzrokiem dzieci podwójne imiona.  
Przy każdym z nich w skróceniu była wymieniona  
Data urodzin, za nią znak sterczał niebieski,  
Tak jak go z kalendarza skopiował pan Wrzeski.  
A więc na czele imię Anicety Anny  
Pod pięknem zodyaku godłem lśniło *Panny*.

Po niej Bogusław Bohdan, zrodzon pod *Wodnikiem*,  
I Cecylia Czesława szła do pary z *Bykiem*.

Potem sami synowie zabrali aż cztery  
Numery w katalogu: Dydak Dezydery,

Emeryk Eugeni, Ferdynand Fulgenty

I Gabryel Gerwazy — ci dwaj pod *Bliźnięty*.

Dalej na ósmym miejscu Halka Honorata,  
Przy której czarny krzyżyk i podwójna data

Wskazywała, że biedna zaledwie trzy latka  
Żyła, przyszedłszy na świat pod znakiem *Niedźwiadka*.

Następnie pod *Baranem* ruszył w świat do pary

Z Ildefonsą Ireną Jacek January.

Jedenastą już była Kaźmira Krystyna,

Dwunastą pod *Lwa* znakiem Lucya Leontyna.

Łukasz Łazarz na końcu stał całej litanii

W towarzystwie najmłodszej Maryni Melanii,

Lecz daleki zapewne od sakramentalnej

Roli *Kiryje elejson* w modlitwie błagalnej.

Lucyan, przegląd tej Wrzosów metryki bogatej  
Kończąc, do pana Wita rzekł: „Przed kilku laty  
Zdarzyło mi się w Niemczech wśród małej miejsciny  
Natrafić na ślad — nie wiem — czy członka rodziny,  
Czyli prostego tylko imiennika pana,  
Którego mi historia nie jest zresztą znana.

„W Pasewalk na Pomorzu, jako mistrz budowy  
Pracując przez pół roku przy kaplicy nowój,  
Zapoznałem się bliżej z lekarzem tamecznym,  
Który, słysząc, że'm Polak, dziwnie dla mnie grzecznym  
Od pierwszego się zaraz okazał momentu.

Zrazu nie bardzom wierzył w szczerłość sentymentu,  
Z jakim się dla polskiego oświadczał narodu,

**He** że'm znał już naszych sąsiadów z zachodu.

**Lecz** wnet zmieniłem zdanie, gdy mi jowialny

**Pan konsyliarz** Wernekind raz **zaśpiewał** walny

**Hejnał** nasz narodowy o tej, co **nie zginie**.

Z tekstem niezrozumiałym wprawdzie i łacinnie



Więcej podobnym, ale z rytmem znakomitym  
I z zapalem, w spojrzeniu i gestach odbitym.

„Gdym go ściskając pytał, jakim się sposobem  
Wyuczył tej piosenki, co nad Polski grobem  
Wyleciała skowronkiem, by krzepić nam ducha,  
On mi jął rozpowiadać, że niegdyś miał druha  
Polaka, dla którego w ogień z sercem lekkim  
Isć był gotów, bo został li przezeń człowiekiem.

„Przy kuflu i rapirze — mówił — sześć aż latek  
Jako *syn Muz* spędziwszy, w Gryfii na ostatek  
Znalazłem się na piasku. Bez grosza przy duszy,  
Nie zdawszy egzaminów, a w długach po uszy,  
Nie wiedziałem, co począć; więc kulą króciwą  
Nabiłem, by ją sobie puścić w mózgowicę.  
W tem do drzwi ktoś zapukał. Był to sąsiad świeży  
I kolega z kliniki, wódz polskiej młodzieży,  
Co przez sień przeszedł — pierwszą uczcić mnie wizytą.  
Od razu zwąchał piżmo i za broń nabitą  
Pochwycił, by honoru wymódcz na mnie słowo,  
Że zanim samobójczą dłoń wzniosę na nowo,  
Wpierw mu na miesiąc cały zdam się pod komendę.  
Jakoż, skoro i stół mój opłacił i grzędę,  
Bez litości w żelazne pochwycił mnie kleszcze.  
Musiałem z nim na kursa chodzić, przytem jeszcze  
Wspólnie ślęczyć nad książką, a z królem Gambrinem  
Wziąć rozbrat, by li czasem pokrzepiać się winem.  
Zżywał się stary nałóg we mnie, lecz powoli  
Nową na się wdziewałem skórę siłą woli.  
Minał miesiąc, a jam już czułem się wyzdrowieńcem,  
Zwłaszcza kiedy mój lekarz z pewnym mnie mło-  
dzieńcem

Zapoznał, także z Polski, któregoś swej mowy  
W godzinach wolnych uczył za pieniądz gotowy.  
I tak dzielnego druha trzymając się ręki,  
Zdałem wraz z nim egzamin i wnet — Bogu dzięki! —  
Chleb sobiem sytny zdobył. Do grobowej deski  
Błogosławić go będę. Zwał się on Wereski.

Lecz niestety zawcześnie, może już w trzy lata,  
Mąż ów niezwykłej miary zeszedł z tego świata.

„Gdy ja“ — tak Lucyan kończył powieść swą  
ciekawą —

„Wyraziłem wątpliwość, czyli też jest prawą  
Wymowa rodowego miana jego zbawcy,  
Rozjaśniała uśmiechem twarz mego łaskawcy  
I powiódł mnie w alkierzyk, gdzie na ścianie mnogie  
W dwóch girlandach rapiry lśniły, oraz drogie  
Relikwie *bursza*, barwne, kształt mające miski,  
Miniaturki czapeczek, zwane *cerewiski*.  
Tu stał też rodzaj kosza, w którym długie fajki  
Główki swe, zdobne w twarze lub niezapominajki,  
Zetknęły, jak przy szeptach dziewczęta figlarne,  
W górze przeząc munsztuków swoich żmije czarne.  
Z pomiędzy nich konsyliarz wyjął kij sękaty,  
Dereniowy, w floresy i głoski bogaty,  
Jeden z owych, na których dłoń przyjaźni święta  
W Niemczech nazwiska druhów uwiecznia studenta.  
Liczne jego przebiegłszy wzrokiem arabeski,  
Rzekł, wskazując mi napis: „Wszakże to Werceski!  
Patrzę więc sam, lecz zaraz śmiech mnie porwałszczery,  
Gdym w polskie miano *Wrzeslki* włożył te litery.“ —

— „Nadzwyczaj mnie zajęła ta opowieść pana“, —  
Zacny gospodarz domu rzecze do Lucyana —

„W bohaterze jej bowiem rodzonego brata  
Poznaję, który w Gryfii spędził aż trzy lata  
I, jak mi sam powiadał, jakimś hulace  
Wyrwał raz z rąk pistolet, a potem mu pracę  
Za lekarstwo przepisał na obmierzłość życia.  
Takim pocziwy Wiktor był już od powicia,  
Uczynny dla każdego, prawy, punktualny,  
Cheiwy nauki, umysł na wskroś idealny.“

„W takich mi też go barwach“ — Lucyan zaraz  
doda —

„Malował pan *Wernekind*. Dusza jego młoda  
Płonęła, jak powiadał, świętym wiedzy żarem,  
A cała piękna postać dziwnym lśniła czarem.

Ale prawda, najlepsze! Nie wiem z jakiej daty  
Zacnemu doktorowi jam druha z przed laty  
Przypominał postawą, głosem, czy uśmiechem.  
Dość, że mnie raz odbiciem, czy tam wiernem echem  
Osoby Werceskiego nazwał żartobliwie.  
Widocznie wspólne cechy plemienne fałszywie  
Brał za jednostek nawet znamiona pokrewne.  
Tak nam Cygan Cygana przypomni zapewne.“ —

„O nie!“ — pan Wit się ozwie. — „Doktór się  
nie myli!

I mnieżes pan Wiktora w pierwszej zaraz chwili  
Przypomniał dość wyraźnie. Chyba pokrewieństwo  
Mogłoby wytłomaczyć takie podobieństwo  
Z domem Wrzeskich. Przepraszam. Któż to rodzi  
pana?“ —

Pokraśniała rumieńcem lekkim twarz Lucyana,  
Gdy „Granatówna“ cichszym odpowiadał głosem.

Na to Cesia: „Wiem teraz, czemu pana losem  
Tak się żywo zajmuje matka pana Wita.  
Zawsze-bo, gdy się widzim, mnie o Niego pyta.“ —  
Ledwie hoża dziewczica wyrzekła te słowa,  
Aż i ona się stała, jak mak, purpurowa.  
Szczęściem Ańdzia zabrała głos: „I mnie się teraz  
Wyjaśnia tajemnica, nad którą już nieraz  
Myślałam od lat kilku, czemu babcia nasza  
Między tymi, na których łaski niebios sprasza,  
W ołtarzyku swym kartkę z „Lucyana“ imieniem  
Umieściła, by nad nią z pobożnem westchnieniem  
Dziesięć zdrowasiek zmawiać w wieczornej godzinie  
I jeszcze się przez chwilę modlić na Duninie.  
Tak to traf podobieństwa dał panu fawory,  
Przyznane tylko wnukom, lub osobie choréj.“ —

Na to pan Wrzeski rzecze: „Babka już zapewne  
Skończyła swe wieczorne pensa modlitewne.  
Możesz więc iść, Irenko, po nią do alkierza,  
Ile że się dziś nieco opóźni wiesz.“ —

Wkrótce boczna zadrgnęła kotara niebieska  
I do pokoju weszła starsza pani Wrzeska.  
Była to dość wysoka, zawiedła matrona  
Z srebrną skronią i trochę naprzód pochylona.  
Z ocz przygastych i z twarzy, niegdyś pięknej może,  
Biła świętość w prawdziwej skąpiana pokorze.  
Jeszcze dawniejszych cierpień widniały w niej ślady  
W postaci bruzd głębokich na jagodzie bladój,  
Ale snąć już goryczy nie miały jój troski,  
Odkąd wzrok w cel żywota zapatrzył się boski.

Celinę, co naprzeciw wybiegła wesoło,  
Uścisnęła staruszka, Adama zaś w czoło  
Pocałowała: mówiąc: „Witam, witam mile!“  
A gdy i Lucyan nadszedł, patrzała przez chwilę,  
Rzewnym wzrokiem w dorodne młodziana oblicze,  
Co w niej budziło wspomnień echa tajemnicze,  
Potem na czole jego także macierzysty  
Złożyła pocałunek; on zaś, w uroczysty  
Nastrój wpadając ducha, wychudłą jój rękę  
Dwakroć do ust przycisnął, jakby na podziękę.

Gdy staruszka z pończochą, nieodstępną druhną,  
Siadła w krzesle, synowa rzekła: „Dziś, matuchno,  
Rada, nie rada musisz w wielkim sięść fotelu,  
Bo nikt cię nie wyręczy w tem, choć nas tak wielu.“  
Usłuchała ją świekra — acz z tajemnym żalem,  
Poczem ją pani Wrzeska otuliła szalem.  
A czuło się, że objaw owój troskliwości  
Nie był li teatralną kulisą dla gości,  
Ale z serca wypłynął, do którego dróżkę  
Odnaleźć nauczyła pokora staruszkę.

[Z początku nie tak było. O, bo młoda, żywa  
Małżonka pana Wita bardzo nieszczęśliwa  
Czuła się stąd, że wiecznie miała stróża w domu,  
Co mógł jój wszystkie kroki sądzić pokryjomu.  
Kaprysiła więc strasznie swój matce mężowskięj  
I całą używała sztuki białołowskiej,

By, szpilkami od rana kłując do wieczoru,  
Panią Leonardową wypłoszyć ze dworu.  
Cóż? kiedy ta na skrytych zaczepkach złościwość  
Miała niewyczerpaną baranka cierpliwość.  
Nie skarżąc się przenigdy, nie mieszając w niczem  
W rządy domu i z jasnym, życzliwym obliczem  
Znosząc wszystkie niesłuszne synowy wymówki,  
Wyrećzała ją w pracy ze skrzętnością mrówki.  
W końcu też cicha cnota, co przebija mury,  
Serce ostatniej, zresztą dość miękkiej natury,  
Skruszyła w jednej chwili, gdy świekra pocziwa,  
Połajana niesłusznie o chudość mleczywa,  
Ucałowała dłoń jej z kojącemi słowy.  
W ten moment jakby olsnął wzrok pani Witowej.  
Wybiegła, by się na klucz zamknąć w swej komnatce.  
A kiedy z niej spłakana wyszła, męża matce  
Padła do nóg, by odtąd z dziatkami licznemi  
Służyć jej równie wiernie, jako Ruth Noemi.]

Po wieczerzy pan Lucyan musiał zaciej babce,  
Na jednej z bocznych przy niej usiadłszy kanapce,  
Powtórzyć szczegółowo opowieść doktora;  
A sędziwa matrona, co syna Wiktora  
Ukochała nad wszystkich i od nieszczęśliwej  
Śmierci jego swój żywot wiodła świątobliwy,  
Słuchała z nateżeniem wieści zadawnionej,  
Wlepiając w twarz młodzieńca wzrok łzami przy-  
ćmiony.

„Ach! jakbym chętnie widział portret syna pani.“  
Rzekł przy końcu pan Lucyan, — „Ale wtedy ani  
Zdjęć, jakimi nas ciemna obdarza *camera*,  
Ani jeszcze płyt lśniących nie znano Daguerra.“  
Więc staruszka, na jego wsparłszy się ramieniu,  
Powiodła go w alkowę, co w śniadym półcieniu  
Z swą lampką, migocącą przed obrazem świętym,  
Z ołtarzykiem, girlandą festonów opiętym,  
Cała ascezą wonna, tajemnicza, cicha,  
Lśniła jako legenda średniowieczna mnicha.

Tutaj przy złotym świecy zapalonej blasku  
Ujrzał Lucyan na ścianie w niewielkim obrazku  
Twarz młodzieńca dorodną z szlachetnym wyrazem  
Z źrenicą pełną ognia i wdzięku zarazem.  
Zapatrzył się w nią cheiwie całą siłą wzroku,  
Pragnąc jednym spojrzeniem — ducha swego oku  
Przyswoić ją na wieki, niby czuła płyta,  
Co z chyżością błyskawic skrycie obraz chwyta.  
Gdy podniósł wreszcie w górę czarną swą źrenicę,  
Spostrzegł ponad ryciną — czarowną dziewicę,  
Co z ram złotych ku niemu twarz zwróciła znaną,  
Zda się ożywszy nagle pod falą świetlaną.  
Wraz zawołał zdumiony: — „Co za niespodzianka!  
Skąd się tu wzięła w Wrzosach Róża Leliwianka?“  
— „Nic dziwnego!“ — staruszka rzecze — „To sy-  
nowa,

Co nazbyt wczesnie zgasła, jak jutrznia różowa.  
Dla niej to właśnie, dla niej legł na mecie krwawej  
Mój sokół, gdy po wieniec chciał szybować sławy.“  
Młodzian nie pytał dalej, widząc, jak dwie rzeki  
Cichych łez z pod sędziwej wybiegły powieki.

---

## Pieśń V.

### Wyzwanie.

Po rannem nabożeństwie wróciwszy do dworu,  
Pan Cyryn Oslinowski zziębły, bez humoru,  
Minał salkę, co głośną rozbrzmiewała wrzawą  
I ze sieni w kurytarz wykręcił na prawo,  
By wejść w boczny pawilon, kiedy mu przed laty  
Pan radca dwie pomniejsze wyznaczył komnaty.  
Stanąwszy w swej zacisznej i ciepłej kwaterze,  
Pocziwiec zdjął wraz z futrem i mankiety świeże,  
Następnie korzystając z dosyć wczesnej pory,  
Miał tużurka wdział szlafrok długi, różnowzory,  
Z dziwaczными kwiatkami, z jakich słyną Chiny,  
A na głowę piuskę, kapłankę łysiny.  
Poczuwszy łube ciepło, spokojniejszym wzrokiem  
Spojrzał przed się, a potem jednym zerknął okiem  
W murek pieca, zamknięty na drzwiczki blaszane,  
Kiedy w niedzielę piwko zwykł znajdować grzane.

„Będzie — nie będzie!“ z lekkim zachmurze-  
niem skroni

Szepnął do siebie, sztorcem jeden z każdej dłoni  
Wystawiając kościsty palec nakształt piki.  
Gdy zaś w akcie wyrocznym oba zapasniki  
Chybiły się, na ostre godząc z naprzeciwka,  
Westchnął z komiczną miną: „Ba! nie będzie piwka!  
Dowcip radcy zakwasił serce pani Marty.  
Lecz czy też to potrzebne stroić z bliźnich żarty?“ —

Z temi słowy pan Cyryn rozwarł drzwiczki murka,  
By wraz czule jak młoda zagruchać przepiórka :  
„Serdeńko, zacna dusza! Pamiętała o mnie,  
Choć radca tak się o nas wyraził nieskromnie.“ —  
Skosztowawszy zaś z kubka słodkiego napoju,  
Z inną całkiem fantazyą wejrzał po pokoju.  
Właśnie też doń z ukosa słonko jasnym okiem  
Zajrzało z za firanki i blasku szerokiem  
Przepierzeniem go jakby rozcięło na dwoje,  
Kąpiąc w potoku światła lotnych pyłków roje.

Wraz też schludna alkowa w poźłocie słonecznej  
Odmłodziła i polysk przybrała świąteczny.  
Wiszące ponad biurkiem krewnych fotogramy,  
Luźne obrazki koni i oprawna w ramy  
Rycina, co baletnie przedstawiała grono,  
Wychyliły się z mroku z krasą odświeżoną.  
Złota rybka na oknie w bani kryształowej  
Plusnęła raźniej w wodzie przy gałązce bzowej,  
Co w niej mokła, daremnie siląc się listeczki  
Rozwinąć i drobniuchne zabarwić kwiateczki.

Pan Cyryn, by czar chwili tej uroczej zdwoić  
I znów mary tęczowe z lat młodzieńczych roić,  
Nałożył suchych drewek na kominek mały,  
Gdzie już rubiny węgla z wolna dogasały,  
I zapalił fajeczkę, którą li w niedzielę  
I w święta zwykł się z rana pieścić po kościele.  
Otuliwszy się wkrótce w kłęby dymu płowe,  
Wpadł w zadumę głęboką; wtem jego różowe  
Marzenia mile przerwał czyżyk w domku z stali,  
Co ze wstydem dla dwojga swych żółtych rywali  
Zaśpiewał, napełniając cały pokój śliczną  
Pieśnią gajów i razem ambrawą poetyczną.

Tkliwa dusza Cyryna na to echo wiosny  
Odbrzmiała harmonijnie w ekstazie radosnej.  
Uśmiechnął się i dłonią z lekka dotknął twarzy,  
Jak ten, co w głębi duszy zamiar jakiś waży;



Wnet, trzepnąwszy palcami, musnął się po czole  
Na znak, że wziął dyspensę na małą swawolę :  
Jakoż, skoro nektaru popił znowu z murka,  
Wyjął z kieszeni kluczyk od starego biurka  
I otworzył szufladę, gdzie różne pamiątki  
Przechowywał starannie : jakieś syplkie szczątki  
Kwiatów od dawna zwiędłych, wyblakłe wstążeczki,  
Bilety, kilka listów, z piosnkami karteczki,  
Rejestry — własnej niegdyś relikwie dzierzawy —  
(Chudopsic pod Łęczycą) i klucz śpichrza rdzawy.

Lecz dziś na te pomniki swoich dni zielonych  
Nie patrzył, by do bardziej sięgnąć utajonych  
Klejnotów swej skarbnicy ; więc z skrytej przegródki  
Dobyl ze zwitkiem włosów — zeschę niezabudki  
I w chwarszczący, jedwabny papier owinięty  
Dagerotyp dziewicy mile uśmiechniętej.  
Nie pomnąc, że dziś ona wnuki pieści może,  
Lśniącym wzrokiem w jej liczko wpatrywał się hoże  
I pił zeń odmłodnienia eliksir cudowny,  
Bo wnet poczuł się znowu rzeski, śmiały, mowny,  
Jak ongi, kiedy, kręcąc swój wąsik zadarty,  
Pędził drogą z Chudopsic konno z dwoma charty.

Gdy tak stary rezydent dawnej swej bogdance  
Hołd oddawał spóźniony w marzeń kołysance,  
Zakołatano z lekka w drzwi pokoju z sieni.  
Zadrzał biedak i w nagłej lic błysnął czerwieni,  
Jak podlotek przy książce ostro zakazanój,  
Lub student z cygaretem w ustach przydybany.  
Ledwie zdołał swe skarby złożyć do szuflady,  
Kiedy w komnatę Lucyan wszedł nadzwyczaj bładny,  
Jak gdyby noc dziś całą przepędził bezsenną.  
Pan Cyryn ochłonawszy, z twarzą już promienną  
Biegnie go witać, nagle na swój szlafrok wspomni  
I w tęż chwilę na nowo spłonie jak najskromniej  
I rzecze : „Co za łaska, panie inżynierze!  
Ale niech mi pan za złe negliżu nie bierze.“

Niebawem z gościem swoim zasiadł przy kominku,  
Częstując go cygarem, które w upominku  
Dostał od pana radcy, jako dar z podróży  
I rok chował w torebce, zdobnej w kwiatek róży.

Lucyan wypuścił dymu obłoczek niebieski,  
I spytał: „Czy był panu znany Wiktor Wrzeski?  
Wczoraj go w wizerunku poznawszy we Wrzosach,  
Chciałbym dziś coś o jego dowiedzieć się losach.“ —  
— „Wiktor Wrzeski!“ — pan Cyryn westchnie. — „Miły  
Boże!

Toż w poznańskim liceum przez dwa lata może  
Stykałem się z nim codziennie, lubom był w *infirmie*,  
On zaś w najwyższej klasie już, w tak zwanej *prymie*.  
Lecz żem wspólną kwaterę miał wówczas z Marcinem,  
Przepraszam, panem radcą, zacnym mym kuzynem,  
Więc Wiktor do nas zawsze przychodził wieczorem,  
Żyjąc z mym towarzyszem, by Pollux z Kastorem.

„Przystojny był to młodzian, smukły jak świerk  
młody,

Z bystrem okiem, prawdziwie sarmackiej urody.  
Wszystkich sobie ujmował miłym wysłowieniem,  
Uśmiechem swym łagodnym i ciepłym wejrzeniem.  
To też cała do niego młodzież dziwnie lgnęła  
I raz go na majówce królem okrzyknęła.“ —

— „A jakież“ — spyta Lucyan — „pan Wrzeski  
koleje

Po wyjściu z szkół przechodził? Czy ziścił nadzieje,  
Które z młodu rokował?“ — „Jam go stracił  
z oczu“, —

Rzekł pan Cyryn — „lecz tyłem słyszał na uboczu,  
Że w Wrocławiu i Gryfii znów podobną rolę  
Wpółśród polskiej młodzieży grał, jak ongi w szkole.  
Gdym go ujrział powtórnie w Przemysława grodzie,  
Był lekarzem i w takiej lśnił męskiej urodzie,  
Że aż zwracał uwagę przechodniów w ulicy  
Wzrostem swym, pysznym wąsem i blaskiem żrenicy.

Co do wąsów, figury, gdy mam wyznać szczerze,  
To pan go przypomina, panie inżynierze.  
Wejrzenie tylko inne miał Eskulap młody,  
Śmiałe, swobodne, pełne wiosennej pogody.  
Zasłynął on też wkrótce jako lekarz dzielny,  
Zwłaszcza gdy Marcinkowski, znawca serc subtelny,  
Zaczął go niby ręki swej używać prawej  
I brać nawet na konne do chorych wyprawy.“ —

— „Lecz wszak panu“ — rzekł Lucyan —  
„i zgonu zapewne

I ożenku doktora znane dzieje rzewne.“ —  
Na to Cyryn odpowie: — „O tak, bez wątpienia!  
Ale to już niezmiernie zawile zdarzenia,  
O których ciemne tylko zasłyszałem wieści,  
Iż bodaj dziś z nich wątek wysnuję powieści.  
Wiem, że się w jedynacze srebrnoleskiej zdawna  
Kochał w skrytości serca. A była to sławna  
Piękność na owe czasy, dowcipna i żywa,  
Podobno energiczna, lecz razem i tkliwa.  
Wiktor przez wzgląd na wielką majątków różnicę  
Z dała tylko uwielbiał uroczą dziewicę.  
W Srebrnolaskach nie bywał, chociaż ojciec jego  
Był towarzyszem broni starego hrabiego,  
Bo syn, co miał Pioruna nazwisko ponure,  
Zawsze go już od dziecka nie cierpiał przez skórę.

„Później los, co częstokroć lubi niespodzianki,  
Szlachetnego młodzieńca zbliżył do hrabianki.  
Raz-bo ojciec jej popadł w tak ciężką chorobę,  
Iż już dom srebrnoleski miał przywdziać żałobę,  
Gdy wezwany sztafetą z Poznania wieczorem  
Nadjechał Marcinkowski konno wraz z Wiktorem.  
Wykonali niezwłocznie jakieś trudne cięcie,  
Poczem pierwszy ze względu na ciągłe zajęcie  
Wrócił sam, zostawiając przy chorym młodziana,  
Ażby się niebezpieczna nie zgoiła rana.  
Tak więc Wiktor w pałacu zatrzymał się dłużej,  
Pielęgnując pacyenta obok panny Róży.

Od razu wszystkich sobie zjednał swym urokiem.  
Tylko co do hrabianki z dużem, lśniącym okiem  
Nie wiem, czy już nie dawniej w serduszkach dziewczęcem  
Tłała skrycie, w żarzewiu jakby tajemniczem,  
Owa miłość namiętna, co teraz płomieniem  
Wybuchła, by nie zgasnąć aż z ostatniem tchnieniem.

„Rychło odniósł zwycięstwo hart woli hrabianki  
I świat się tej doczekał wielkiej niespodzianki,  
Że cel westchnień panińskich, piękny doktor Wrzeski,  
Narzęczonym królowy został srebrnoleskiej.  
Już wyszły zapowiedzi, kiedy wtem, o dziwy!  
Nadleciał kruk Jobowej wieści nieszczęśliwej,  
Że hrabia związek zerwał. Dziwiono się zrazu,  
Powód się przecie wszystkim wyjaśnił od razu,  
Gdy znów się na widowni po włoskiej podróży,  
Jako chmura gradowa wśród nawalnej burzy,  
Zjawił Piorun Leliwa, by siostrze łez rzeki  
Wycisnąć i powtórnie frunąć w świat daleki.  
Nie tak prędko ucichły gadań ludzkich fale,  
Wyrzuciwszy wnet świeżych nowinek korale.  
Wiktor bowiem bez śladu znikł pewnego ranka,  
A wraz szeptać zaczęto, że i Leliwianka  
Przepadła w Srebrnolaskach; więc oba wypadki  
Spleciono w wykradzenia skandalik dość rzadki.

„Hrabia zbiegów nie ścigał, a mówiono nawet,  
Że żądło niespodzianki, zrobionej wet-za-wet,  
W której panna sprężyną była pono tajną,  
Nie skłóło go boleścią duszy nadzwyczajną,  
Ile że wpierw doktorka sam polubił szczerze  
I tylko Arturowi złożył go w ofierze.

„I mijaly miesiące i minął rok prawie,  
Aż w końcu już przestano mówić o tej sprawie.  
Wtem ktoś w niemieckich pismach wyczytał w Po-  
znaniu  
O krwawem dwóch Polaków nad Renem spotkaniu,

W którym padł młody lekarz, nazwiskiem von Wreski.  
Zrobił się wielki popłoch, a stary pan Wrzeski,  
Co już zdawna od syna nie miał żadnej wieści,  
Legł rażony niemocą, skoro smutnej treści  
Wyczytał doniesienie w poznańskiej gazecie.

„Jeszcze się pocieszano nadzieją, boć przecie  
Synowa nic o śmierci małżonka nie pisze,  
Aż niebawem w tę duszną oczekiwań ciszę  
Nowym gromem strzeliła wieść zła o niebodze,  
Że zmarła w dzień po mężu i że ciało w drodze.  
Później pan Wit, gdy ze szkół list go wezwał matki,  
Pisał do władz, by smutne akt światłem wypadki  
Rozświecić i wiadomość zyskać, że nieznany  
Z nazwiska hrabia polski, w sposób niesłychany  
Znieważywszy Wiktora, na honoru mecie  
Zmusił go stanąć, kulkę w *srebrnym* pistolecie  
Chowając dlań morderczą i że po tej krwawej  
Rozprawie ze świadkami wraz brzeg Renu prawy  
Opuścił, by się schronić w obcy kraj sąsiedni.

„Nie wątpił brat i chwili, ni rodzice biedni,  
Że zabójcą Wiktora był Piorun Leliwa,  
Którego dzika dusza, wyniosła i mściwa,  
Nie mogła strawić myśli, że wbrew jego woli  
Wstrętny mu zdawna rywal szwagra dopadł roli.  
Wielki był żal po śmierci dzielnego młodzieńca,  
Który budził nadzieje, że do zasług wieńca  
Niemaló złotych liścików w dalszem życiu wplecie.  
Toż sławny Marcinkowski podobno jak dziecko  
Zapłakał, gdy o smutnym wieść go doszła zgonie.” —

Słowa te zacny Cyryn w rzewnym wyrzekł tonie,  
A pomusnąwszy ręką gładkie swoje lice,  
Nieznacznie otarł palcem wilgotną źrenicę.  
Lucyan, co chłonał powieść w tem skupieniu ducha,  
W jakim się testamentu lub wyroku słucha,  
Rzekł teraz, zapatrzony w żar ogniska krwawy,  
Głosem głuchym i pełnym tajemnej obawy,

Którą budzi nadziei ostatnia już słomka:  
„A czy też doktor Wrzeski zostawił potomka?“ —  
Pan Cyryn ramionami wzruszył, twarz wydłużył  
I, wznosząc dłoń, pocziwe oczki swoje zmrużył.  
By przeczącą odpowiedź dać mu; lecz za chwilę  
Dorzucił, trąc policzek: „Jeśli się nie mylę,  
Były pono widoki; wszakże nieraz przecie  
Wicher obali drzewo, nim plon wyda kwiecie.“ —

Po tych słowach pan Cyryn, słysząc dzwonki  
sanek,  
Wstał z krzesła i muśliny rozsunał firanek.  
„Hem!“ — rzekł. — „Gość pono zjechał. Nie po-  
znałem, jaki?  
Lecz w momencie z powrotem przemkną znów  
rumaki.  
Tymczasem się ogarnę.“ — Słów tych rezydenta  
Nie pochwycił już młodzian. Myśl jego, zajęta  
Obfitością szczegółów słyszanej powieści,  
Obiegała je szybko, nie zgłębiając treści.  
Tak podróżny, co w obcy gród zawita, zrazu  
Błądzi tylko w ulicach, tło główne obrazu  
Chcąc wpieryw poznać, nim gmachy, kościoły i zbiory  
Zacznie zwolna by deseń badać różnowzory.

Wtem pan Cyryn przy oknie mruknął: „Hem, karosze  
I sanki z Mirotworek! ale cóż to? proszę.  
Stangret konie zawraca znów na taras dworski,  
Więc nie wyprzeże. Czyliż pan to Łościborski?  
Ej nie! Ta sama wprawdzie była wyśmienita  
Mina, ale nie tusza. Cóż to za wizyta?“  
Ledwie Cyryn część swego wyrzekł monologu,  
Aliści myśl Lucyana wstrzyma się u progu  
Świeżo rozwartej przed nią dumania świątyni,  
Bo wraz jakby posępna Tartaru bogini  
Odemkła czarną bramę dzierżaw swoich ciemnych,  
By mu w świetle błyskawic ukazać podziemnych  
Węże u stóp strzaskanej syczące kolumny,  
Bratobójcze żelaza i niesławne trumny.

Szybko powstał z siedzenia i, serdeczne dzięki  
Złożywszy Cyrynowi z uściśnieniem ręki,  
Wyszedł jeszcze dość wczesnie w sień, by przed salonem  
Dojrzeć postać przybysza, którego z ukłonem  
Ceremonialnym nieco Adam w półotwarte  
Drzwi zapraszał, trzymając w dłoni jakąś kartę.  
Lucyan poznał go zaraz. Nie dawno w Berlinie  
Widział go wśród wesolej kompanii przy winie,  
Kędy z mocno przesadnym podniesieniem głowy  
Opowiadał o szkole w Cuneo wojskowej  
I prawił wśród czar brzęku i nożów hałasu,  
Że zbrojny wybuch w Polsce jest li kwestyą czasu.  
Niezmierna pewność siebie i zapach tężyzny,  
Nie mniej jak na obliczu trzy wybitne blizny,  
Obudziły ciekawość Lucyana, że z cicha  
Zapytał towarzysza: „Któż to jest, u licha?” —  
Wraz usłyszał nazwisko dobrze w Księstwie znane,  
Przy każdym pdjedynku zdawna wspomniane.

Był to sławetny Julian Ostrogot Brzeszczański,  
Pierwszy kawaler templa i rębacz poznański,  
Zwany zazwyczaj Julem, albo też Brzeszczotem,  
Co, choć na seryo twierdził, że jest Ostrogotem,  
Czyli potomkiem Gotów, przydomek w istocie  
Nosił od włości przodków, zwanej Ostrogocie.  
Już w szkołach — pojedynku rzadkiego był świadkiem  
Dwóch niedorostków, co się na lodzie przypadkiem  
Poróżniwszy, strzelali, przy czem w pierwszym strzale  
Jeden drugiego zabił w junackim zapale.  
Straszny był w całym mieście rozruch o tę sprawę,  
A Jul fortecą skaran, smutną zucha sławę  
Poślubił już na zawsze i na krwawej mecie  
Kilkakroć odtąd stawał, — winu, grze, kobiecie  
Służąc z gracyą, dopóki starczy ojcowizny, —  
Coraz bogatszy w rozgłos i marsowe blizny.  
Z czasem powagą taką stał się u młodzieży,  
Że, gdy dwóch z Księstwa w szranki miało iść szam-  
pierzy,



Jul Brzeszczot wraz na turniej zjeżdżał nieszczęśliwy,  
Jako amfiktyon, kodeks praw rycerskich żywy.

Lucyan, ujrawszy teraz mistrza ceremonii,  
Wiedział, że wrychle zegar godzinę wydzwoni  
Na harc z panem Januszem, więc poszedł na górę,  
By w swym pokoju przyjąć poselstwo ponure.  
Jął się przechadzać po nim dużym, wolnym krokiem,  
Nasłuchując raz po raz w milezeniu głębokiem.  
Wreszcie szmer się na schodach rozległ, potem w sieni;  
I wraz w komnatę weszli seryo nastrojeni  
Panowie, których widział przed chwilą na dole.

Adam, zwykle pogodny, miał chmurę na czole  
I niespokojnie targał wąsik swój młodziutki,  
Jak wtedy, gdy się gniewał, lub gdy szły nań smutki.  
Towarzysz jego w fraku, z kapeluszem w dłoni,  
Miał kresę od pałacza na wysokiej skroni,  
Co już dwoma szlakami w niezgorszą czuprynę  
Zapuşciła zagony; zuchowatą minę  
Dwie jeszcze ozdabiały szramy z lewej strony.  
Oczy miał ciemne, lśniące, a wąs uczerniony;  
Przytem pod dolną wargą spora okiś z brody  
Przyczaiła się, która dość rzadko urody  
Dodając męskiej twarzy, najczęściej ją stroi  
W zbytnią pewność, co żadnych myłek się nie boi.

Adam, skoro dopełnił aktu przedstawienia,  
Wymieniając każdego z nazwy i imienia,  
Chciał odejść, lecz go Lucyan wstrzymał: „Zostań  
chwilę,

Bo pan Brzeszczański do mnie, jeśli się nie mylę,  
Ma interes ciekawy i pewnie niedługi,  
W którym twej przyjacielskiej zażądam przysługi.“ —  
Więc prawnuk Ostrogotów do pana Doręby  
Zwróci się uroczyście i trochę przez zęby  
Rzecz, zrobiwszy pierwaj ukłon grzeczny, dworski:  
„Przyjaciel mój, pan Janusz Pobóg Łościborski,  
W zachowaniu się pańskiem u hrabi Leliwy,  
W wydarciu chustki z ręki i wzmiance zelżywej



O palcach i o twarzy ujmę czci swej widzi.  
A że jako dżentelmen doraźnym się brzydzi  
Odwetem, więc przezemnie śle panu orędzie,  
Że go w szrankach rycerskich oczekiwać będzie.  
Zechciej pan zatem wybrać i wskazać mi drużbę,  
Co wraz zemną w turnieju mógłby pełnić służbę.“

Lucyan z wielkim spokojem słuchał tej tyrady,  
A potem do Adama rzekł, niezwykle bładny:

„Czy zechcesz dziewosłębem zostać twego druha  
W zalotach, w których lubą — śmierć lub sława  
zucha?“ —

A gdy Adam w znak zgody uściśnął mu rękę,  
Dodał, serdeczną jemu składając podziękę:

„Ja się usunę teraz, skoro powiedziano,  
Ze swaci bez kochanków traktują o wiano.“ —

— „To dobrze!“ — odparł Adam — „Idź na dół, Lu-  
cynie,

Gdzie pewnie z ciekawości schną już wszystkie panie.  
Niechaj o waszej schadzce nikt nie wie we dworze,  
Boby się awantury domyślono może:

A tu trzeba rzecz całą w największym sekrecie  
Chować, póki na placu obaj nie staniecie.

Tylko ojca uprzedzić musimy niestety,  
By nam dał sanki, konie i swe pistolety.“ —

Po tych słowach pan Lucyan wyszedł, z Ostro-  
gotem

Zmieniwszy grzeczny ukłon z dwukrotnym nawrotem.  
Teraz w swoim Jul Brzeszczot znalazł się żywiote.

Ręką ozdobną w sygnet musnął się po czole

I, wzięwszy cygareto z Adama torebki,

Rzekł: „Pojedynek musi być jędrny i krzepki.

Cielesna-bo obraza w symbolicznej formie

Wszędzie u dżentelmenów, czy to w uniformie,

Czy cywilnych, uchodzi za ciężki *gravamen*,

Po którym krew przyjść musi, jak po *Zdrowaś amen*.

Lecz nie wiem, w pojedynkach czy system francuski

Wolisz pan, czy węgierski, czy konnicy pruskiej?“

Na to Adam: „Przepraszam, kursu pojedynków  
Nie brałem, zatem nie znam różnych tych kominków,  
Jakie sport zabijania zrodził za granicą.  
Co do mnie, tobym wołał, by z polska szablicą  
Spór się rozstrzygł; lecz któż dziś, naśladować nasze  
Antenaty, potrafi bić się na pałasze?“ —  
— „Panie Barski!“ — z uśmiechem Brzeszczot mu  
odpowie:

„Racz się tylko przypatrzeć twarzy mej i głowie,  
A poznasz ostatniego we mnie z Mohikanów,  
Rębajkę na odstawce z gwardyi weteranów.  
Raz o konia się biłem z Kuhlweinem rotmistrzem,  
Co choć niski i szczupły, był w szermierce mistrzem.  
On to mi skroń nazaczył, alem też na sucho  
Nie puścił tej pieczętki, podciawszy mu ucho.“ —

Po takiej zapatrywań przedwstępnej wymianie,  
By dawni dyplomaci, mający zadanie  
Kojarzyć stadła królów, zaczęły wysłannicy  
Radzić nad tem, gdzie? kiedy? w wielkiej tajemnicy  
Zejdzie się młoda para; w jakim oddaleniu  
Da sercom swoim ulgę w *strzelistem* westchnieniu,  
Oraz jaka, nie strzałą Kupida zadana,  
Dalszej schadzce kochanków kres położy rana.

Stanęło w końcu na tem, że w wczesnej godzinie  
Spotkanie to we wtorek nastąpi w brzezynie,  
Co przy drodze ku Wrzosom w pana Wita błoniu  
Zdała od mieszkań ludzkich leży na ustroniu.  
Na sędziego, co wszelkie miał rozstrzygać spory,  
Wybrano pana Leszcza, dziedzica Zawory.  
Prócz tego miała każda z stron po jednym świadku  
I lekarzu dostawić od złego przypadku.

Po spisaniu kartelu pan Julian Brzeszczański  
Z godnością, w jaką grand się odziewa hiszpański,  
Powstał, a niezadługo ruszył lotem strzały  
Ku Mirotworkom, w burnus otulon wspaniały.

Ledwie Adam za chwilę w progu stanął sali,  
Kędy wszyscy już właśnie do stołu siadali,

Aż tu nań grad się sypnął pytań, kto to taki  
Z pociętą w zrazy twarzą, co stąpa, by jaki  
Książę udzielny, przytem synom tylko domu  
Sztynne wizyty składa, prawie pokryjomu?  
Adam, co już odzyskał zwykłą swą swobodę,  
Uśmiechnął się i, gładząc młodocianą brodę,  
Zyzem ku Smielowskiemu spojrział, by rzecz z cicha:  
„Microsławski! Tra-ta-tra! Więc sekret u licha.“ —  
Lecz radca mu pogroził: „Terefere kuku!  
Kochany mój Adasiu, kiepsko strzelasz z łuku.  
Czy myślisz, że nikt nie zna Brzeszczańskiego Jula,  
Kontura templaryuszów, zabijaków króla?  
Co tu chciała w Chwalinie ta złowróźbna mewa,  
Która, gdziebądź się zjawi, nieszczęście wyśpiewa?“ —

„Ależ, ojczy“ — ze śmiechem Adam mu od-  
powie —

„Nie zgadniesz, jakie teraz Jul ma rzeczy w głowie.  
Wszakże w Cuneo siedział, więc się z dawnej skóry  
Mógł wylinić i lepszej tam nabrać natury.  
Wykształcony na przyszłej armii instruktora,  
Pewnie przywiózł w kufierku patent na majora.“ —

„Tem gorzej!“ — rzecze radca, aż kładąc swą  
łyżkę. —

„Prze Bóg żywy, Adasiu! Tylko się w intryżkę  
Nie daj wplątać półgłówkom, co z gołą niestety  
Pięścią chcą naród pędzić na carskie bagnety.“ —

— „Ho, ho!“ — Adam odeprze — „chybabym ja  
synem

Nie był ojca i wodę kładł na równi z winem.  
Gdy wielki dzień nadejdzie, to w szeregu stanę,  
Lecz, gdyby mnie kto w spiski wciągał zakazane,  
To rzekłbym mu: „Pisz aspan na Berdyczów do mnie.“  
Pan Ostrogot Brzeszczański zresztą wcale skromnie  
Poczyna sobie teraz. Jako deszczu kania,  
Tak on polskiego znowu spragnion polowania,  
Zjeżdża do Mirotwerek, gdzie Janusz zamierza  
Zrobić w wtorek nagaukę na leśnego zwierza.

Prócz mnie Maryan i Lucyan — nie wiem, z jakiej daty —  
Zaproszon; chyba jako kolega z przed laty.“ —

Pan radca chciał coś odrzec i podniósł już głowę.  
Gdy Roterman ogólną nawiązał rozmowę,  
Wołając: „Wyśmienicie! Więc reszta twych gości  
Nie istnieje dla Jego Arcybutnej Mości,  
Kniazia na Mirotworkach. Ale mniejsza o to!  
Bo co do mnie, na łowy nie chodzę z ochotą.  
Wprawdzie zające, sarny i przednie bekasy  
Nader mi pożądane po wsze były czasy,  
Lecz tylko na półmisku. Jeśli zaś za niemi  
Mam się sam godzinami upędzać całemi,  
Brnąc przez błota, ścierniska, chaszczę i rozłogi,  
Mimo że głód doskwiera i chromieją nogi,  
To kwituję z tych wszystkich rozkoszy łowieckich,  
Ile że *pudel* nazbyt nie łaknę zdradzieckich.“

Na to pan Ludwik rzecze: „Choć i ja się liczę  
Do łacińskich Nemrodów, myśliwskie słodycze  
Umiem lepiej oceniać, zwłaszcza ich przyprawę:  
Manierkę oplataną i apetyt prawy,  
Co potem na bigosie walny odwet bierze,  
No! i przygodnych wrażeń niezabudki świeże.  
Wszelako i mnie żadna pokusa nie ęci  
Sprawdzać, jakie tryumfy w własnym gnieździe święci  
Prześwietny ptak Junony. Dość mam, gdy w oddali  
Z kraszy swej tęczowanym wachlarzem się chwali.“ —  
— „Oho!“ — panna Helena filuternie doda —  
„Choć pan tak się zarzeka, może jednak szkoda,  
Ze mu nadal nieznanne będą tajemnice  
Wsi, gdzie *przyszły król polski* ma swoją stolicę.“ —  
— „Przyszły król polski?“ — cała młodzież zawoła  
z śmiechem —  
„Więc pan Janusz ma zostać nowym dla nas  
Lechem?“ —

— „No! nie śmiecie się nazbyt!“ — rzecze na to Adam. —

„*Verbum nobile!* całkiem seryo wam powiadam, Ze, dzieckiem będąc jeszcze, sam nieraz widziałem Na sali w Mirotworkach pod upięciem białem Rodzaj tronu, na którym Janusz młodociany Oficjalnie, licznemi otoczony dworzany, Zasiadał tuż pod bokiem pani Łościborskiej, Która mu wówczas lekcyje etykiety dworskiej Dawiała w mowie Gallów.“ — „Jak to? czy być może?“ — Krzyknie młodzież, składając widelce i noże W znak wielkiego zdziwienia. Tu pan radca Barski, Chcąc głos zabrać, odkrząknął dwakroć w sposób dziarski

I potrząsnawszy głową, w te się ozwał słowa!

„Nie bajki to! bo zacna pani Erazmowa W istocie na tym punkcie miała i ma bzika, Choć dziś już w tej materji rozmowy unika. Rzecz się zaś tem tłumaczy, że sama pochodzi Z familii Kotowieckich, co swój ród wywodzi Od króla Stanisława przez „panią krakowską“, Zamieszkując, zda mi się, ziemię michałowską. Gdy ojciec jej, najstarszy z braci, zmarł bez syna, Umyśliła, że jako dziedziczka jedyna, Z wizerunkiem współczesnym króla Stanisława I do tronu polskiego wzięła w spadku prawa. Zaczęła więc swojego gagatka Janusza Wedle kodeksu grzecznych form Galateusza Polerować, by godnym był później korony, Którą niegdyś nosiły Piasty, Jagiellony. Póki był małym chłopcem, rzecz jej szła dość gładko, Bo Janusz, w garderobie chowan, tylko rzadko Przeniewierzał się wówczas dworskiej etykietcie.

„Ileż to ona razy w królewskim portrecie Topiąc wzrok, powtarzała w radosnej ekstazie, Że u syna te same rysy, co w obrazie, Widnieją miętko-pańskie z niewieścią słodyczą,

I finezyą wykwintu prawie tajemniczą.  
Wtedy to co niedzielę w mirotworskiej sali  
Odbywał się królewski *cercle* w odświętnej gali,  
Przy którym młody delfin w stroju zeszlówiecznym  
Z wyżyn tronu ukłonem witał zimno-grzecznym  
Męski przychówek służby oraz komorników,  
Przedzierzgnięty w najwyższych państwa dostojników.  
Po tej sztywnej recepcyi wybrancom z swej świty  
Zwykł rozdawać starostwa, wstęgi i zaszczyty  
W postaci zrozumiałej ciastek, fig, migdałów  
Oraz innych z apteczki słodkich specyałów.

„Gdy go do szkół oddano, rychło wisus młody,  
Skosztowawszy cokolwiek chłopięcej swobody,  
Pokrzyżował matczynej ambicji rachuby,  
Skoro w czynach junackich zaczął szukać chluby.  
Zjeżdżając na wakacye, nie chciał już niestety  
O przepisach monarszej słuchać etykiety  
I miast dostojeństw wolał szcutki i kułaki  
Hojnie pomiędzy wiejskie rozdzielać chłopaki.  
Z hucem swych wojewodów, krajczych i starostów  
Szturmował teraz płoty, deski zrywał z mostów,  
Prażył kaczki na stawie, rozganiał indyki,  
Psuł gniazda, deptał klomby, rył świeże trawniki.

„Najgorsze przecie było, że i do nauki  
Żadnemi zgoła nie dał zapędzić się sztuki.  
Więc mama, aby króla nie przerósł w nim *szlagon*  
Z grubej mąki, co hreczką obsiewa swój zagon,  
Wymogła na małżonku, że syna do Francyi  
Wysłał na kurs dwuletni szyku, elegancyi.  
Ale i on przysłowie sprawdził o Paryżu  
I owsie, co daremnie chciał wziąć postać ryżu.

„Przywiózł wprawdzie młodzieniec mnóstwo  
krawat modnych,  
Frazesów bulwarowych, cacek różnorodnych,  
Ale, jak był wyjechał, tak i wrócił znowu  
Prowincyonałem szczerym, tuzem swego chowu.

I nie dziw! gdyż był wiernem odbiciem rodzica,  
 Co zdala pachniał butą rubachy-szlachcica.  
 Toż mamunię aż złego nabawił humoru,  
 Że tak od królewskiego odbiegł pierwowzoru.  
 Nie mogła się biedaczka ludzi bowiem dłużej,  
 Że barczysty jej infant, wróciwszy z podróży,  
 Swem obliczem junackiem i ruchów swobodą  
 Z króla Stasia subtelną licował urodą,  
 Jak lieuje z sylwetką zaciśniętej dłoni  
 Zaeny organ, co łowi molekuly woni.

„Lecz, że pajak nadziei w miejsce zdartej sieci  
 Nową zaraz niechybnie pajęczynę kleci,  
 Więc pani Łościborska zmianą ideału  
 Wraz mrzonkę niewinnego ocaliła szau.  
 Odtąd bowiem w monarszym przestała portrecie  
 Szukać dla syna wzoru, a za to w sekrecie,  
 By nowej drwin pokrzywki nie rozsiać dokoła,  
 Wybrała mu patrona z wawrzynem u czoła,  
 Tegim wąsem od ucha, postacią atlety,  
 Co Horde tłukł na zrazy, Turków na kotlety. —  
 Słowem Jana trzeciego, którego figurka  
 Ozdobą wówczas była mężowskiego biurka.  
 Obecnie, choć jej *gościec* chodzić nie pozwala,  
 Z wypogodzonym czołem patrzy na synała,  
 Bo nad nim okiem ducha czyta na tle karty  
 W świetlanej aureoli napis: „Król Jan czwarty.“ —

Skoro radca swą powieść ukończył ciekawą,  
 Cały stół, już przy wetach, śmiechów zabrzmiał wrzawą;  
 Celina zaś dodała: „Między tylu wzory  
 Lepszym-by był dla niego typem król *Batory*.“  
 „A to czemu?“ — ktoś spytał. — „Bo pono niezgorzej“  
 Rzekła Cesia“ — „pan Janusz swą służbę *batoży*.“  
 Żarcik ten z ust dziewicy, co dowcipu ostrze,  
 Zwykła chować w pochewce, prym dawając siostrze,  
 Podwójny zrobił efekt. Młodzież na wyścigi  
 Śmiała się, jedząc cukry, daktyle i figi.



Tylko pani radczyni, która obojętnie  
Przyjęła powieść męża, teraz dość niechętnie  
Spojrzała ku Celinie, mówiąc: „Czy to ładnie,  
Mój kotku, tak dowcipem drapnąć kogo zdradnie?  
Pan Janusz salonowcem nie jest, ani słowa!  
Ani mólem książkowym, ale jego głowa  
Bynajmniej nie zakuta; mówi bowiem gładko  
I nie zły zeń gospodarz, a ze swoją matką  
Mimo jej dziwnych mrzonek żyje bardzo zgodnie,  
Więc i przykładowym mężem będzie niezawodnie.  
Że zaś porządek lubi i w ostrym rygorze  
Kawalerską swą służbę utrzymuje w dworze,  
To chyba w tem dla siebie może szukać chluby  
W czasach, gdy się karności rozluźniają kluby.“ —

Po tej perorce matki Cesia nieboraczka,  
Niezwyczajna strofowań, spiekła z wstydu raczka,  
A przytem w swem serduszku strwożyła się nieco,  
Bo nagle intuicyą prawdziwie kobiecą  
Trzy oddzielne zdarzenia w jedną spłotła całość:  
List pani Łościborskiej, dziwną wybujałość  
Słów i spojrzeń Janusza w ostatnim mazurze  
I wzmiankę o przykładowym mężu w mamy burze.  
Domysł jej dał cień chmurki jasnemu jej czołu,  
Gdy wtem na dane hasło powstano od stołu.  
Przez chwilkę ruch zdwojony kipiał wpośród sali,  
Bo wszyscy wzajem sobie grzecznie dziękowali  
Za uczestnictwo w uczcie, młódź zaś obie panie  
Aż w rękę całowała przez uszanowanie.

Niebawem starsi znikli, jak znika kamfora,  
Kiedy jej pieprz nie strzeże, bo *siesty* pora  
Zdawna w Chwalinie miała uznanie legalne;  
Nawet liczny świat młody, mimo idealne  
Pojmowanie spraw życia, wnet przestał się bawić,  
By w zaciszu swych kwater wprzód biesiadę strawić.  
Praktyczny bowiem Adam w pierwsze zaraz święto  
Wyłożył swoim druhom, że źle jest napięta



Trzymać strunę humoru w sytuacji trudnej,  
W której zbyt łatwo popaść w ton szarawy, nudny,  
Podczas gdy nieraz male w napięciu przerwy  
Potęgują wesołość i dodają werwy.

To też w chwalińskim dworze ucichło za chwilę.  
Panny siedzą przy książkach, starsi drzemią mile,  
Młodzież zaś w swojej *siczy*, niecąc chmury mgławce,  
Z kolei dykteryjki wygłasza ciekawe.  
Tylko Adam nie spoczął. Wpierw - bo z ojcem długą  
Miał naradę tajemną, potem, chyłkiem z służą  
Wyniósłszy z kancelaryi strzeleckie przybory,  
Z Lucyanem wiódł na górze ciche rozmowy.  
Wnet się obaj wymknęli w ogród, dwie króćce  
Ukrywszy w swych zanadrzach, jawnie zaś rusznice  
Niosąc na barkach swoich, jakoby na łowy  
Lub szli tylko do celu strzelać wśród dąbrowy.

Krętą ścieżką, wiodącą w oddal przed lodownię,  
Weszli w park, co przedstawiał posępną widownię  
Obumarłej przyrody. Stuletnie aleje  
Bezlistne, oprószone przez śnieżne zawieje,  
Grupy krzewów, tworzące latem gąszcz zielony,  
Dziś zaś w przejrzyste z tiulu odziane welony,  
Niewyraźne kontury klombów i rabatów  
Z garstką suchych badyłów zamiast barwnych  
kwiatów,

Smętny budziły nastrój, jak widok uroczej  
Przed laty twarzy, którą zmierzch życia zamroczył.  
Zasypane zaś śniegiem stoły i kanapki  
Wręcz trąciły śmiesznością, jak oślepiej babki  
Znaleziona w odwiecznej szafie suknia z balu,  
Albo szczątki bukietu w starych strzępach szalu.  
Bystra wszakże źrenica i w tej twarzy bladej  
Mogła jeszcze rozpoznać dawnych wdzięków ślady  
I w monottonnych kształtach drzew i krzewów sennych  
Mnóstwo ciekawych rysów odróżnić znamiennych.

Przygarbione *jablonie*, *grusze*, niskie *śliwy*  
Stały jako wieśniaczki, które, włos już siwy  
Zaplatając, wspomnieniem żyją dni wiosnianych  
I kropli swego potu, w słodki owoc zlanych.  
Dzisiaj z boleścią patrzą na biedne dzieciны,  
*Agresty* i *porzeczki* i wątłe *maliny*,  
Co, choć same na siebie pracowały latem,  
Drżą teraz boso w śniegu, gdy obok w bogatym  
Futerku pańskie dzieci, subtelne *brzoskwinie*,  
Kryją się przy schowanem pod pierzynką *winie*.  
Rozłożyście w alejach *lipy* oraz *klony*  
To wielmożne w procesyi dziedziczki-matrony,  
A przy nich, w śnieżno-białe ubrane sukienki,  
Szepeą w gromadkach *brzozy*, wysmukłe panienki.

Pilnujące sztchetów *topole* wysokie,  
Zapięte aż pod kolanem, sztywne, dumne,  
Niby dawni wojskowi nieraz krzykiem wrony  
Zakną siarczyście, beczki siejąc i furgony.  
Opodał *świerk* samotny, szumiąc, mury roi,  
Chociaż mu szron już w srebro włos zielony stroi.  
Niepoprawny marzyciel, ot stary kawaler!  
Nie dziw też, że *akacje*, co się zbiegły w szpaler,  
Na ostre go języki biorą, zeschłe stręki  
Przechowując starannie, jak spłowiałe wdzięki.  
Za to gąk *jodelek*, niby mniszek grono,  
Śpiewa chorał pobożny, a wiecznie zielono  
W dziewiczych ich duszyczkach, aseczą przejętych.  
Czasem jednak wiewiórka, jak w rozmyślach świętych  
Myśl światowa, nad śnieżnym kornetem przeleci,  
Poczem się tem żarliwiej modlą Boże dzieci.

Obaj nasi młodzieńcy nie widzieli przecie  
Owych typów w zapadłym w sen Pomony świecie,  
Myśl ich bowiem w głąb czarnej wdzierala się chmury,  
Co na ranek wtorkowy cień kładła ponury.  
Przez staw, który oponiężę grubą przywdział lodu,  
Na szczere pole wyszli z starego ogrodu

I trzymając się wąskiej, bezdrzewnej drożyny,  
Dotarli aż do lasu olsz za ćwierć godziny,  
Który się wzdłuż mokrego ciągnąc trzęsawiska,  
Nazwę Bugaj i smętny czar miał uroczyska.

Tu był kres ich wyprawy. Złożywszy rusznice,  
Urządzili na prędcie maleńką strzelnicę,  
Przytwierdzając papieru z czarnem kołem kartę  
Do pnia, co z lasu wyszedł jakoby na wartę.  
Potem piętnaście kroków Adam od tej mety  
Odmierzył i obydwu nabił pistolety;  
Lucyan zaś, biorąc jedną z rąk jego krócięc,  
Zwrócił ku niemu smętne, czarne swe źrenice.  
„Co za ironia losu!“ — rzekł. — „Wszak już od dziecka  
Wstrętną mi była wszelka broń krótka, zdradziecka,  
Jak sztylet i samopał, co w ludzką jedynie  
Piers godzi lub rozpaczy służy w złej godzinie.  
A dzisiaj w tej zacisznej Bugaju ustroni  
Mam sam do bratobójczej dłoń zaprawiać broni.  
Lecz niestety są czasem tak straszne obrazy,  
Że bezwiednie na usta niosą nam wyrazy,  
Po których z dymem idą pojednania mosty,  
A zaczepka już krwawej domaga się chłosty.“

Na to Adam: „Doprawdy nie pojmuję wcale,  
Skąd ta waśń w srebrnoleską zakradła się salę.  
Bo, choć Janusz niecznośny i rodowa pycha  
Wszystkiemi zeń porami tryska, to u licha  
W sprawie o chustkę Cesi w nieszczęsnej figurze  
Inna chyba przyczyna sprowadziła burzę.  
Sam-bo widziałem dobrze, że jej palcem ledwie  
Dotknął, kiedyś ty w dłonie chwycił je obiedwie.  
Ale *habeat sibi!* Dziś, gdy kości padły,  
Odbądź wpierw mustre, zanim w bój pójdziesz za-  
jadły.“ —

Po tych słowach Adama Lucyan, co w konnicy  
Odsłużył swą wojskowość, kurki u króciocy  
Odwiódł, wyciągnął ramię w stósownej postawie  
I wystrzelił, by kartę w środek trafić prawie.

Huk się rozległ donośny i odbił się echem  
W bliskim lesie. W tęż chwilę z niezmiernym po-  
spiechem  
Z tylnej części Bugaju w dwóch aż stadach wrony  
Podleciały, by w górze wszczać rejwach szalony. ■ ■

Lucyan, na ptasią wrzawę nie zważając wcale,  
W szybkim tempie jął wystrzał dawać po wystrzale,  
Gdy Adam broń wciąż wprawna nabijał mu dłonią,  
Że aż lasek zapachniał w koło prochu wonią.  
Nagle Lucyan się wstrzymał, by rzec: „Co za dziwne  
Echa ślą wasze bory, nawzajem sprzeciwnie!  
Bo, gdy strzelę, to naprzód las z prawej się strony  
Odezwie, a za chwilę lewy, wpierw stłumiony  
Wydawszy głos, ponownie silniej odpowiada,  
Poczem doń znów las prawy cichutko zagada.  
Tak więc huk mego strzału dąbrowy te, obie,  
Niby chłopcy w grze piłkę, odrzucają sobie.“

— „Ja zaś myślę“ — rzekł Adam — „że się te  
dwa laski

Nie bawią w ech zdwojonych nowe wynalazki.  
Lecz rozhovor prowadzą całkiem naturalny,  
Wydawając raz cichy odzew, to znów walny.  
Mirotworki-bo sławy nie pragną obrazu,  
Do którego dziad gadał, a on ani razu  
Nie przemówił. Rzecz prosta! strzelaj do warowni,  
To ona z dział ci jeszcze odpowie wymowniej.  
Ot patrz! wszak uprzedzając już zaczepki nasze,  
Huknęła, że pluć sobie nie pozwoli w kaszę.“ —  
— „Tak to?“ — zawołał Lucyan — „więc i tam do-  
bitnie

Na wtorkową batalią grają działobitnie?  
Ha! śnać tęsknim do siebie, jak rozbite w życie  
Przepiórki, co pogruchem wabią się o świcie.“ —  
Gdy wypalił do celu, Adam zamiast nowy  
Przygotować dłań wystrzał, nachyliwszy głowy,  
I chroniąc oczy dłonią przed lśniącem blaski,  
Patrzył w szlak, co z Chwalinem łączył Srebrnolaski.

„Ktoś jedzie do nas traktem!“ — rzekł i wraz po chwili

Dodał: „To zacy proboszcz, gdy mnie wzrok nie myli; Pewnie na zwykłą partyą zdąża maryasza.

Musi zatem już ustać kanonada nasza,

Boby pocziwiec skrzywił twarz swoją słoneczną.

Iż takim hukiem ciszę macimy świąteczną.“

Toż, wziąwszy broń, młodzieńcy ruszyli do domu,

Zamierzając od kuchni wejść doń pokryjomu

I nie zdradzać wojennej pod Bugaj wyprawy;

W ostatecznym zaś razie przyznać, że dla wprawy

Do wron pukali w lasku, by ujść drwinek strzelców,

Iż zwierzynie są groźni li ostrzem widelców.

Przybyli jeszcze na czas, by tuż za plebanem

Chyłkiem wejść w salę, oraz z całym już zebranem

Gronem zasiąść do kawy, przy której wyprawa

Łowcza nie przysłała na stół z laski Bolesława.

Ten-bo, znów napastniczym ożywion humorem,

Zagadł księdza, dla czego w kościele wieczorem

Nie pozwala już więcej śpiewać swojej gminie

Hymnów, co w całej polskiej brzmią dotąd krainie?

„Mój panie“, — odrzekł proboszcz, — „jeszcze przed półrokiem

Ja sam „*Boże, coś Polskę*“ nieraz z mokrem okiem

Na sznur choralnej pieśni nanizalem rzeszy,

Bo kto w czystej intencji działa, ten nie grzeszy.

Ale, gdym później przejrzał, że te wszystkie śpiewy

Mają tylko lud wzburzać, że więc jako plewy

Nie idą przed tron Pana, bo ludzie bez wiary

Pochwycili obłudnie święcone sztandary,

Tom się z gminą usunął od szturmu do nieba,

Gdyż rzeczy Bożych nigdy ześwieczczać nie trzeba.“ —

„Ależ, mój dobrodzieju!“ — Roterman odeprze, —

„Mógłby proboszcz z margrabią prawie iść o lepsze

W potępianiu tych wielkich ludowych *pokazów*,

Co demonstracyi miano w mowie wzięły płazów.

Czyż Go wspaniałą widok narodu nie wzruszy,  
Co mimo pęt i blisko stuletnich katuszy  
Wstał z mogiły swej z wieńcem cierniowym u czoła  
I na Pana zastępów ust milionem woła :  
„O skróć czas strasznej próby, wysłuchaj błaganie !  
Ojczyznę drogą, wolność racz nam wrócić Panie !  
Czemże Boga obrażać mogą takie pieśni,  
Co przed Nim płaczą, jęczą coraz to boleśniej ?  
Chyba więc w łonie tego polska krew zakrzepła,  
Komu w niem wzniosłe śpiewy już nie budzą ciepła.“ —

Na to proboszcz : „Doktorku, że ja dla ojczyzny  
Mam serce, niech mej ręki dwie zaświadczą bliźny,  
Com je pod Miłosławiem wziął — młody lewita.  
Lecz wątpię, czyli Temu, który w sercach czyta,  
Mile są wasze pienia, w łupinie pobożnej  
Kryjące zgniłe jądro: cel świecki i zdrożny.  
O ! bo Pan jest zazdrosny i z nikim swej chwały  
Nie dzieli, lecz dla siebie chce ofiary całej.  
Stąd lękam się, by naród, co się przed nim korzy  
Z obłudą w sercu, pomście wnet nie uległ Bożej.“

Nie znalazły poklasku młodzi słowa księże.  
W gwarze jej jakby nagle zasyczały węże  
I wszczęła się dyputa z dość ostrego tonu,  
Która się w głąb następnie przeniosła salonu.  
Uderzono w proboszcza naraz siłą całą.  
A tylko mu pan radca pomoc niósł nieśmiałą.  
Doktorek zaś, co z wszystkich szermował najlepiej,  
W końcu tak nawet Kościół poniekąd zaczął :

„Narodowość, mój księże, to potęga świeża,  
Co wykwiła na gruzach Świętego Przymierza.  
Nową wlewając miazgę w strupieszale ludy.  
Ona świat dziejowemi wciąż zadziwia cudy.  
Z prastarych mogiłników nie żadne upiory,  
Ale z młodzieńczym ogniem wstają nowotwory.  
Szczepy grecki, rumuński, serbski, teraz włoski  
Wpisują się z kolei niestartemi głoski

W poczet państw Europy ; stąd jak w *ludów wiosnie*  
Czechom także i Węgrom serce znowu rośnie.  
A namby wrzeć i kipieć nie miało dziś w łonie,  
Kiedy w niem niewygasły znicz od wieku płonie?  
Ej, ej ! ostrożnie z ogniem, zacni *Zagórzanie*,  
Czyli, jak was inaczej zwa, ultramontanie !  
Bo Kościół to wspaniały gmach i niebosięzny,  
Ale proch go już wieków okrywa potężny.“

Na te słowa ksiądz proboszcz, co właśnie do nosa  
Niósł czarną szczyptę prochu, wstrzymał się, z ukosa  
Spojrzał w śmiałka i spytał : „Cóż pan o opoce  
Mniemasz, której piekielne nie zwyciężą moce ?  
Setne o nią herezye i rzymskie Cezary  
Rozbiły się, a Kościół skarb ocalił wiary.“ —  
— „No, no !“ — medyk z krząknięciem odrzeczę nie-  
szecerze,

Zerknąwszy w bok ku paniom : — „Toż ja nic  
o wierze

Nie mówię, tylko sędzę, że przejawy ducha  
Stokroć są od krwawego silniejsze obucha.  
Stąd też więcej na szali prądy nowoczesne  
Ważą, niż *żywocięcia* Cezarów bolesne.  
Sam sobie li zaszkodzi, kto je dziś przeoczy.  
Ludzkość bowiem na pasku, jak ongi, nie kroczy,  
Ale śmiało podstawy wierzeń swoich bada,  
Coraz więcej tajemnie przyrodzie wykrada  
I, tętna jej w najskrytszych podsłuchując cieśniach,  
Wnika w jądro twórczości. O czem wieszczę w pie-  
śniach

Nie roili, dziś prawdą oczywistą zwie się.  
Wszak *błyskawiczność* myśl nam aż za morza niesie !  
Wszak podrażniona słońcem czuła kruszcu płyta  
Wierniej niżli zwierciadło trwały obraz chwytą,  
A woda w swej postaci lotnej setne *silnie*  
Obraca, z których każda spełnia nieomylnie  
Prace swe i budową dościga jestestwa  
Z wielkiego *ustrojowych* istności królestwa.



Czyż wobec tych zdobyczy człowieczego ducha  
W każdym razie wystarczy nam formułka sucha,  
Lub raczej *wzorzec*, który inne dały wieki?  
Czyż się wody przy ujściu zmieszczą w źródle rzeki?“ —

— Z nateżeniem książd mowy słuchał Rotermana,  
Że się aż w fałdy ścięła jasna, zwierciadlana  
Szyba jego oblicza, jak się w koła ścina  
Lustro stawu, gdy kamyk toń pochłonie sina.  
Gdy medyk skończył, proboszcz odetchnął głęboko,  
Machnął ręką i blaskiem zapalił swe oko,  
Potem lampeczkę wina spełnił do połowy  
I pokrzepion takimi odezwał się słowy :  
„Mój panie, trudno wnikać w rdzeń Jego wywodów,  
Bo myśl główna samochęcąc z słownych korowodów,  
W mglistości szat szukając dla siebie korzyści,  
Nie strzeliła tak jasno, jak kwiat strzela z liści.  
Zresztą pan zrozumienie rzeczy tem utrudnia,  
Że ruchomą galeryą myśli swych zaludnia,  
Jak w maskaradzie, mnóstwem przebranych postaci,  
Co dziwnie odbijają od swej szarej braci  
I którym dłużej patrzeć potrzeba w źrenice,  
By znajome pod maską móżdż rozpoznać lice.

„Wszelako, choć mi ciemnem zostało niejedno,  
Zapewne, mój doktorku, trafię w samo sedno,  
Gdy powiem, że pod kwiatkiem *to* stawiasz twierdzenie:  
„Odkrycia lat ostatnich — ludzkości sumienie  
Wyzwoliły z pod jarzma nowego zakonu,  
Co był dan na czas pewien, a nie dla conu :  
Otóż przeciw tej tezie błędnej i zuchwałej,  
Co wprost chce chrześcijańskie zburzyć ideały,  
Stanowczo występuję. Nasze wynalazki  
Czegoż bowiem dowodzą? te świetlne obrazki,  
Parochody i druty, które w oka mgnieniu  
Niosą pismo, a może wnuków pokoleniu  
Słuch i wzrok w dal poniosą? — Ot dwóch naraz rzeczy :  
Że Bóg, co wszystko stworzył i trzyma w swej pieczy,



Pod wagą i pod miarą każdy działał atom;  
Powtóre, że zwierciadło chcąc dać swoim światom,  
Ducha ludzkiego w mądrość hojnie wyposażył,  
By on w myśl Bożą wnikał, badał wszystko, ważył  
I, odkrywając w świecie tak cudną harmonią,  
Korzył się przed Wszechświatła niezglębioną tonią.

„Lecz ten, co ciszył wiatry i chodził po wodzie,  
Jak wiekuiste prawa dał martwej przyrodzie,  
Tak i w dziedzinie ducha zakon swój niestarty  
Wrył w sumienia i wpisał w ewangelii karty  
I rzekł, że pierwej ziemia i niebo przeminie,  
Zanim jedno jedyne z słów Jego zaginie.  
Kościół zaś, w którym nadal działa po wsze wieki,  
Ogarnia źródł i ujście tej wspaniałej rzeki,  
Którą ludzkość się toczy, a te różnorodne  
Prądy czasu, co wicherzą wierzchnie fale wodne,  
Zacierają się wzajem i nikną bez wieści,  
Granitowej dogmatu nie tykając treści.“

Wygłosiwszy tę swoją filipikę walną,  
Czcigodny proboszcz z miną spojrział tryumfalną  
W przeciwnika i resztę wychylił lampeczki,  
Gotów znów do podjęcia uporczywej sprzeczki.  
Lecz tenże wszelką do niej już stracił ochotę,  
Będąc w pozycyi wodza, co swoją piechotę  
Posunął pod warowny gród nieprzyjaciela  
I rotowym li ogniem działom się odstrzela.  
Możnaż-bo obleźniczych kolubryn bez sromu  
Z twierdz wolnodumstwa użyć w katolickim domu?

Roterman więc zatrafił zaraz do odwrotu,  
Wspomniawszy na sentencją, iż milczenia złotu  
Nie dorówna wymowy srebro w takim razie.  
Ze zaś do serca wstępu małej urazie  
Nie zamknął, zgryźć nie mogąc poniesionej klęski,  
Postanowił broń zmienić i wnet marsz zwycięski  
Zagrać nad uchem księdzu w wszystkie tarabany,  
Skoczne na przekor jemu urządzając tany.

Bo gdy bal srebrnoleski pierwsze złamał lody,  
Nie lękał się podobnej, jak w wilią, przeszkody.  
Jakoż skoro się trochę pokrzątał w salonie,  
Pod ręką pani Włodzkiej w rażnym, rwistym tonie  
Zagrzmiał śliczny mazurek, zniknęły kobierce  
I młodzież pomkła żwawo — w tanecznej szer-  
mierce

Zewrzeć się na arenie, co świetnym połyskiem  
Nęciła, w szerz urosłszy wielkim mebli ściskiem.

Lucyan, który się sztucznie ożywił nad miarę,  
Pannę Celinę w pierwszą wyprowadził parę.  
Za nim pędził doktorek przy Heleny boku,  
Dalej Ludwik z swą druhną, która w modrem oku  
Takie już dziś umiała rozniecać płomienie,  
Że poeta tak gorzał, jak gdy czuł natchnienie.  
Adam nareszcie szereg zamykał tancerzy,  
Wiodąc za rękę Ańdżię, która w skromnej, świeżej  
Sukni, z skromniejszym jeszcze zaczesaniem włosów,  
Lśniła jako bławatek wdzięczny w pośród kłosów.  
Maryan, drwinki doktorka wspomniawszy na lodzie,  
Nie chciał dziś wziąć udziału w rycerskim pochodzie,  
Choć Michasia, na palce wspinając się nieco,  
Zerkała nań z finezyą prawie już kobiecą.  
Dopiero, kiedy Adam wezwał go do broni,  
Przyłączył się z podlotkiem do żwawej pogoni.

Lucyan, płynąc z swą lubą w miarowym roz-  
pędzie,  
Zakipiał niby czara, której za krawędzie  
Szumny się napój leje, bo wbrew swej naturze  
Dłoń po wielką buławę wyciągnął w mazurze.  
Nim Roterman pospieszył pierwsze wydać hasło,  
Gromkie słowo Janusza, co jak działo wrzało,  
Powtórzył, ironicznym zdradzając akcentem,  
Że ono z cudzej książki za godło jest wziętem.  
Wszyscy to wraz poznali, śmiejąc się wesoło,  
Podczas gdy mazurowe zaplatano koło ;

Tylko pani radczyni, co na straży szyku  
 Blisko najstarszej córki siadła w narożniku.  
 Żart młodzieńca przyjęła niebardzo łaskawie.  
 Z róży już w georginię zmieniając się prawie.

Wielki manewr mazura rozwijał się składnie:  
 Li sekcyjne obroty nie nazbyt gromadnie  
 Wykonywano dzisiaj, by parom nielicznym  
 Dać wytechnienie po harcu znojnym, choć klasycznym.  
 Ańdzia, od kursu tańców nigdy do tej pory  
 Nie smakując nektaru z kubka Terpsychory,  
 Lekkiego teraz główki doznała zawrotu.  
 Jak skromny pączek fiołka, który w cieniach płotu  
 Rósł cicho wśród murawy, a gdy w słońcu wiosny  
 Poraz pierwszy się skąpie, w emocyi radosnej  
 Rozwija kwiat i w koło cudne wonie nieci,  
 Tak i Ańdzia, w tanecznej pływając zamieci.  
 Poczwała maj w serduszkach i lśnjącem już okiem  
 Spojrzała na młodzieńca, co płomiennym wzrokiem  
 Raz w raz w tańcu jej postać obrzucał nadobną  
 I jakby mimowiednie dłoń jej ścisnął drobną.

Lecz zimny podmuchi wiatru czasem kwiatek  
 zwarzy,

A dziewczę się zalęknie, nim serce rozmarzy.  
 Gdy, przez pana Ludwika pod koniec mazura  
 Wybrana do figury, z plecionego sznura  
 Urwała się, by w płasach wrócić do tancerza.  
 Natenczas, dawniejszego li pomna przymierza.  
 Do Adama znów pomkła. Dopiero Celina  
 Wskazała jej poetę. Wtedy jak malina  
 Zapłonęła przesłicznie, w duszyczce swej skromnej  
 Wstyd poczuwszy dziewiczy, oraz lęk ogromny.  
 Wkrótce się wśród panińskiej znalazła komnatki  
 I tutaj przed obrazem Przenajświętszej Matki  
 Przy słabem lampki świetle rachunek sumienia  
 Zaczęła, niżąc w myśli najświeższe zdarzenia.

Każdy żywszy błysk oczu i wesole słowo,  
Posłane Adamowi, stawały na nowo  
W pamięci jej wyrzutem. Najwięcej ją przecie  
Trapił ów uścisk ręki, przemycon w serwecie,  
Co pierwszą żagiew w serce rzucił był niebodze.  
Także i ową lubość wspominała w trwodze,  
Co ją wczoraj w saneczkach przy boku młodziana  
Ogarnęła bezwiednie, kiedy zasiłuchana  
W rytmiczny brzęk gruchawek i patrząc w Adama,  
Jakieś nikłe widziadła jęła roić sama.  
I tobież to przystało — myślała ze skruchą —  
Serce swoje zwodniczą napelniać otuchą?  
Zalewając się łzami, w modlitwie strzelistej  
Jęła szukać lekarstwa na swój afekt czysty.  
A gdy szmer w sieni spłoszył z kłęcznika dziewicę,  
Karmin miała przy oczach, lecz suchą źrenicę.

Tymczasem wśród salonu Lucyana z potu czoło  
Ocierał, patrząc oknem w ciemnię niewesoło.  
Zniknęły mu już sztucznej z lic radości blaski,  
A zwątpienie ponure wyjrzało z pod maski.  
Pograżony w zadumie, nie dostrzegł, jak z boku  
Stanęła przy nim Cesia. Wnet z współczuciem w oku  
Wśród rozlewu pieściwych tonów fortepianu  
Łagodnie go zagadła z cicha: — „Co to panu?  
A więc się nie myliłam, że pan masz strapienie,  
Choć kunsztownym rozblaskiem kryjesz czoła cienie.“ —

Młodzieniec zadrżał z lekka i w uśmiech kłamany  
Chciał znów wystroić lica. Lecz, gdy w ukochaną  
Spojrzał twarz, westchnął tylko: „Czemuż nie mam  
siostry?“ —

„Dla czego?“ — spyta Cesia. — „Och! bo, gdy cierń  
ostry

Rozedrze na wskroś duszę, to wtedy w siostrzyną  
Modlitwie jest kotwica i balsam jedyny.“ —  
Dziewica nie nie rzekła. Ale jej źrenice  
W głos mu jakąś szeptały słodką obietnicę.

---

## Pieśń VI.

### Pojedynek.

Szary mrok srebrnoleską zalega świątynię,  
Jedyny-bo w niej światła zdroj nieśmiało płynie  
Z wiszącej przed ołtarzem lampki rubinowej,  
Co, jak miesiąc w jasności ginie południowej,  
Nocą zaś blaski nieci — symbol cichej wiary,  
Krzepiącej w smutku losów zawistnych ofiary.  
Prześliczne szkła witraży, co na białe ściany  
Leją w słońcu purpurę i lazur świetlany,  
Oślepy teraz, kiry przywdziawszy żałobne,  
Zagaśłym w chmurze tęczom nadziei podobne.

Już przecie dogorywa noc zimowa, długa,  
A niebios — rozbrzasku błada stroi smuga.  
Już też przed chwilą kościół wśród ciszy głębokiej  
Wyśpiewał ranny hejnał, przez rzednące mroki  
Słąc ze szczytu wieżycy między domki sioła  
Dźwięk spiżu i modlitwę, wita z słów anioła.  
Toż i w świątyni życie tętnem bije cichem.  
Zakrystyan w szatni księżej mszał gruby z kielichem  
I cały strój kapłański wydobyl z szuflady,  
A teraz przy latarki łunie żółto-bładęj  
Leje wino w ampułkę, podczas gdy babinki  
Półgłosem w krucheie szepcą poranne godzinki.

Lecz i w nawie kościelnej z głębi spowiednicy,  
Gdzie przychodzą z win dusze obmywać grzesznicy,

Słychać jakoweś szmery i biała kapłana  
Widnieje tam komeżka, półświatłem oblana.  
Penitent ginie w mroku; li czasem blask drżący  
Zarysuje cień wielkiej postaci klęczącej  
W obszernym i fałdzystym płaszczu, która dłonią  
Zastania twarz, ku kratkom pochylona skronią.

Wreszcie ksiądz podniósł czoło, złożył ręce obie  
Do modłów, lecz nie poznać, czy tylko w żalobie  
Wyprasza dla grzesznika strumień łez pokutny,  
Czy win brzemię zdejmuje z duszy jego smutnej.  
Kiedy, złożywszy stulę, wyszedł z spowiednicy  
Wdziac strój do sprawowania świętej tajemnicy,  
Postać w płaszczu czas pewien jeszcze w ciemnym  
mroku

Klęczała nieruchoma, potem z chmurą w oku  
Poszła w pobliską ławkę, by w cichej zadumie  
Na głos sumienia szukać lekarstwa w rozumie.

Był to Lucyan nieszczęsny, który, chcąc się z Bogiem  
Pojednać, nim śmiertelną stoczy walkę z wrogiem,  
Usłyszał na spowiedzi słowa, co mu serce  
W okropnej wszystkich uczuć zwichrzyły rozterce.  
Ksiądz proboszcz rzekł mu bowiem, że żadnym sposobem  
Nie wolno na bliźniego godzić, ni nad grobem  
Własnym samo chcąc stawać, gdyż Pismo powiada,  
Że nigdy Pana Boga kusić nie wypada;  
Kto zaś łamie ów zakaz, ten przez kościół święty  
By celnik lub poganin zostaje wyklęty.

Młodzian, strwożony wielce, jał pytać się księdza,  
Czy wyjątku moralna nie stanowi nędza,  
Gdy wyzwany cześć musi utracić i sławę,  
Jeśli odważnie w szranki nie wystąpi krwawe.  
„Wszakże chrystyanizm” — mówił — „w ludzkość  
nowożytną  
Sam tchnął ową ideę wielką i zaszczytną  
Godności osobistej, co w takiej jest cenie,  
Iż dla niej się poświęca i życie i mienie.” —

Lecz wraz na to odeprze ksiądz nieubłagany,  
Że ów honor li dawne zastąpił bałwany,  
Bo mu, jak Basalowi, świat dzisiaj się kłania,  
Mało widać pierwszego pomny przykazania.

„Zbawienna rzecz to“ — dodał — „dbać o czyste  
imię

I chronić je od skazy; lecz gdy w dawnym Rzymie  
Ujm honoru najpierwsi nawet dostojnicy  
Dochodzili przed sądem, czemuż do króćicy  
Lub szabli dziś patrycyusz rwie się choć ostatni,  
By i lekkie zniewagi w krwi obmywać bratniej?  
O bo pycha żywota ponad wszelką miarę  
Wybijała już w świecie, co zatracił wiarę.  
Czyliż kościół Chrystusów dumę taką może  
Popierać, kiedy wyszło przykazanie Boże,  
Że zniewadze i drugi nadstawić potrzeba  
Policzek, a za kamień placić datkiem chleba?“ —

— „Ależ, ojcze duchowny!“ — młodzieniec odrzecz —  
„Cel to li idealny, na który człowiecze  
Plemię ma wzrok wyteżać, lecz do wzniosłej mety  
Chyba święty doleci, ogół zaś niestety  
Niezdolny w owe sfery wzbijać się podniebne,  
Bo na to orle skrzydła ascezy potrzebne.  
Wszak męczeński laur tylko ten wkłada na skronie,  
Komu niezwykły płomień Bóg zapalił w łonie.  
Od wszystkich zaś ofiary nie wymaga krwawej  
Ani nadludzkiej męstwa wysiłków laskawy  
Prawodawca, co wyrzekł, że słodkie dał brzemię  
I że kruchych trzcin łamać nie przyszedł na ziemię.“ —

— „Młodzieńcze!“ — ksiądz z serdecznym od-  
powie mu żalem —

„Wędrowcowi chromemu, co do Jeruzalem  
Ma podążać, nie wolno iść do Babilonu,  
Bo zmiana taka celu — złamaniem zakonu.  
Wszak Bóg rzekł: „Nie zabijaj!“ więc za nie głos  
świata,

Który każe żelazem w łono godzić brata.

Owo prawo zaś, niegdyś w łunie piorunowej  
Wydane na Synai i przez zakon nowy  
Obostrzone, zarówno maluczki dotyczy,  
Jak olbrzymów w ascezie ducha tajemniczej.  
Kto roztropny, nie będzie namyślał się długo,  
Czy Beljala lub Bożym lepiej zostać sługą.  
Wszak Pan, co kule nosi i rozdziela ciosy,  
Jak nas straszne Safiry pouczają losy,  
Nieraz na miejscu groźny akt kary wymierza, —  
Gdy grzesznik miłosierdziu Jego zbyt zawierza.“ —

Lucyan, któremu w myśli błysł Piorun Leliwa  
I wśród krwawej kałuży postać nieszczęśliwa  
Stryja Andzi, lęk poczuł przed dolą niepewną  
I próbował kapłana prośbą zmiekczyć rzewną.  
Lecz ten jemu, raz jeszcze kościola niezmienną  
Wyłożywszy naukę, przestrogę zbawienną  
Dał zamiast rozgrzeszenia, przyrzekając szczerze  
Westchnąć za nim do Boga przy świętej ofierze.

Teraz młodzian, pogrążon w zadumie ponurój,  
Taranami sofizmów jał uderzać w mury  
Argumentów kapłańskich, ale nadaremnie.  
Więc, gdy go coraz gęstsze ogarniały ciemnie,  
Zbudzon odgłosem dzwonka, przykląkł, by żarliwą  
Modlitwą uspokoić duszę nieszczęśliwą.  
Lecz niestety ten balsam, dotąd niezawodny,  
Okazał się mdłym dziesiątą. Niebyszało chłodny  
Nastroj myśli i dziwna, pustymna posucha  
Ołowiem mu na skrzydłach zaciążyła ducha.

Grzeszny zamiar, w głębinach woli utajony,  
Jakoby szmat calunu padł na dźwięczne strony  
Złotej arfy uczucia, głusząc jej odzewność  
I w brząk pusty zmieniając wrodzoną jej rzewność.  
Nie śmiał Boga w pacierzu nazwać ojcem więcej,  
Bo w sercu swoim zamiast ufności dziecięcej  
Poczuł w tej chwili oschłość i lęk przed Jehową.  
Co z za chmur się odzywa groźbą piorunową.



Wtem w śpiewanej przez księdza ewangelii  
świętej,

Jeden wyraz łaciński, ze związku wycięty,  
Rozwidnił w nim ciemności nakształt błyskawicy  
I poruszył go na wskroś. Był to dźwięk „*simplici*“.  
Nagle bowiem przed ducha trysnęła mu okiem  
Postać księdza, w pamięci przyćmiona lat mrokiem,  
Z obliczem o profilu subtelnie rzeźbionym,  
Z niepochwytnym uśmieszkiem, włosem pośrebrzonym,  
Którą z młodu wciąż zawsze otaczał niezmierną  
I miłością, co bywa aż do grobu wierną.  
W szybkim myśli polocie przezierał wspomnienia,  
By ją znowu na jaśnią wydobyć z półcienia.

Ujrzał się więc nasamprzód małym pacholęciem,  
Jak raz w pobliżu fary z lekkim przykleknieniem  
Uklonił się z kolei dwom świętym figurom,  
Co, za ozdobę służąc poczerniałym muirom  
Narożników, drewnianą na siebie żrenicą  
Patrzyły, przedzielone li wąską ulicą.  
Jakiś ksiądz, co przechodził, wraz się dobrotliwie  
Uśmiechnął doń i wstrzymał, aby go życzliwie  
Wypytać o nazwisko, stan ojca i czyli  
W szkole się już z łaciną poznał, a po chwili  
Zagadnąć, czyby przy nim chciał stale „u fary“  
Pełnić służbę lewity wśród świętej oliary.

Odtąd Lucyan co ranek u stopni ołtarza  
Widywał czcigodnego księdza mansyonarza,  
Który nazwisko nosił dość rozgłośne w kraju,  
Ale ojcem Symplicym zwan był po zwyczajui,  
Bo wpierw śluby zakonne złożył za granicą,  
Zatruwszy sobie serce miłosną tęsknicą.

Wkrótce ksiądz, który prawie nie przestawał  
z nikiem,  
Zrobił go swej porannej kawy uczestnikiem;  
Później z układnym chłopcem nawet i wieczory  
Jął spędzać i prowadzić dłuższe rozmowy,

By mu w sposób przystępny kościoła koleje  
 I własnego narodu opowiadać dzieje,  
 O których ledwie słówkiem wspomiano w szkole.  
 Rozwijając tak umysł, razem jego wolę  
 I serce kształcił z wolna żywym, ciepłym słowem,  
 Nie chcąc go karmić ziarnem morału jałowem.  
 A że sam był w salonów wychowany sferze  
 I stąd też druhów nie miał w domorośłym klerze,  
 Starannie młodzieniaszka wtajemniczał w cały  
 Wykwit prawej dystynkcyi, nigdy nie zwietrzałej,  
 Słowem w kodeks form gładkich, cech dobrego rodu,  
 Których się tylko w domu nabywa za młodu.

Uprzytomniając sobie dawne owe chwile,  
 Przy śpiewnym samowarze spędzane tak mile,  
 Lucyan szybko przeglądał w duchu i mieszkanie  
 Zaczęgo opiekuna, sprzęty i na ścianie  
 Wiszące medaliony, wśród których dziewięć  
 Piękną pamiętał dobrze, bo w niej swe źrenice  
 Często topił od chwili, gdy pewnego razu  
 Ksiądz mu w żarcie powiedział, że z tego obrazu  
 Pewnie on chyłkiem wykradł czarne swoje oczy.  
 Teraz w tej przypomnianej twarzyczce uroczej  
 Zaczął poznawać rysy Róży Leliwianki.  
 W innym momencie Lucyan z owej niespodzianki  
 Możeby całe pasmo cichych wysnuł marzeń.  
 Obecnie, gdy na progu stał już wielkich zdarzeń,  
 Gnał dalej myśl swą chyżą, by ją sceną pewną  
 Zaprzętałać i na chwilę wpaść w zadumę rzewną.

Było to w dzień świąteczny około wieczoru.  
 Ksiądz Symplecy, niezwykle dobrego humoru,  
 Zapytał się Lucyana, kiedy sobie srebrny  
 Myśli kupić zegarek, co mu tak potrzebny.  
 Chłopiec, nie wiele myśląc, dobył swej niebieskiej,  
 Pełnej lśniących srebrników, haftowanej kieski  
 I powiedział wesóło z błyskawicą w oku,  
 Iż go sobie już może sprawi za pół roku.

Lecz wnet sposepniał bardzo, gdy ksiądz mu niestety  
Rzekł, iż lepszy użytek zrobi z tej monety,  
Rozdając ją ubogim. Potem ksiądz niezwłocznie  
Zasiadzie do stolika i coś pisać pocznie.

Lucyan w zmartwieniu spuścił wzrok ku ziemi  
smutny,

Gdy wtem się doń obróci opiekun „okrutny”,  
By wręczyć mu zegarek szczerozłoty, śliczny,  
Który za naciśnięciem czysty, metaliczny  
Dźwięk wydawał, kwadrans znacząc i godziny,  
Z wychwyta mi strojnemi w prawdziwe rubiny.

„Weź go!” — rzecze do chłopca, co w ponsach  
stał cały,

Wahając się go przyjąć — „jeżeliś dość śmiały  
Podpisać ten cyrograf, by na rząd lat długi  
Sprzedać mi swoją wolność do świętej posługi.”

Lucyan bierze więc pismo i czyta z zdziwieniem,  
Że się na lat dwadzieścia świętem przyrzeczeniem  
Ma związać, iż na piersi mały z Częstochowy  
Będzie nosił medalik i co rano z słowy  
Archanioła — przeczystej da pokłon Dziewicy,  
Prosząc, by miłym sługą był Jej ksiądz Symplicy.  
Chłopiec, zanim podpisał rewers osobliwy,  
Przypadł do ręki księdza, nad wyraz szczęśliwy,  
Aby ją skropić łzami i święcie się zarzec,  
Iż modlić się zań będzie nawet jako starzec.

Ale kapłan z uśmiechem rzecze mu : „Kochanku !  
Nie sztuka być nabożnym, gdy skroń błyszczy  
w wianku

Siwych włosów. Ja chcę cię zahartować właśnie,  
Nim jeszcze żar wiosenny w krwi młodej przygaśnie.  
O! bo ty nie wiesz dotąd, moje drogie dziecię,  
Ile pokus na ciebie czychać będzie w świecie.  
Dziś w niewinnem twem sercu żywa wiara kwitnie,  
To też niebo nad tobą jasno i błękitnie

Roztacza swą kopulę, a wkrąg wśród przestworza  
Oczom twym i z źdźbła trawki bije mądrość Boża.

„Lecz później ci zapachnie ziemska krasa złudna,  
Nęcąc zmysły; a biada, jeśli ta obłudna  
Syrena cię omami, jeśli uszczkniesz który  
Barwny, ale trujący kwiat z drzewa natury.  
Wtedy-bo w twojem łonie zdroj ożywczy, wiary  
Wrychle jako cysterna wyschnie w letnie skwary;  
W głowie zaś ciemny chaos jednodniowych mrzonek  
Słoneczny objawionych prawd zastąpi dzionek.  
Więc, iżby czar cię zdradny nie urzekł zwodniczy,  
Noś na piersi medalik najświętszej Dziewicy.“

Lucyan zrazu nie pojął myśli księdza skrytej:  
Lecz, gdy mu maj żywota cudne roztlil świty,  
A krew żywiej zaczęła krążyć w piersi młodej,  
By w drzewach świeża miazga wiosennej przyrody,  
Wtedy poznał, jak silnym były talizmanem  
Medalik i ślub niegdyś złożon przed kapłanem. —  
Póki go ksiądz Symplicy miał pod swemi skrzydły,  
Z łatwością serce chronił przed czczemi mamidły;  
Lecz i potem je ustrzegł, gdy opiekun drogi,  
Zrażony jakimś zajściem, znów w klasztorne progi  
Powrócił i — regule wierny — zerwał z światem,  
By li sennym ascezy napawać się kwiatem.

Lucyan, choć od rygoru wolny pietysty,  
Żył zawsze i wśród obcych w atmosferze czystej,  
Bo przy rzeźkićj, właściwój wiekowi swobodzie  
Umiał z zakonem Bożym pozostawać w zgodzie.  
To też obecnie straszne przechodził katusze,  
Kiedy mu zdrożny zamysł padł trądem na duszę.  
Czuł, że dziśby inaczój wybrnął z swej rozterki,  
Znając całą doniosłość orężnej szermierki.  
Lecz czyliż z niej mógł teraz wycofać się jeszcze,  
Gdy bez ogródki przyjął wyzwanie złowieszcze?  
Wszakby jego przeciwnik plac ostrzelał butnie  
I „krew prostacką“ wszędzie wydrwiewał okrutnie!

Okropne położenie! Wkrąg zamknięta matnia,  
Bo nawet i modlitwa, rozbitków ostatnia  
Deska ratunku, jakby siłą niewidzialną  
Odpychana, zawiodła, gdy w toń wpadł fatalną.

Wraz ruchem mimowiednym za jedwabny szalik  
Sięgnął Lucyan i wyjął z napiersia medalik;  
I przy śniadawym mroku utkwil swe źrenice  
W zaledwie widniejącą tam Matkę-Dziewicę.  
Widok owęj świętości, którą czcił lat tyle,  
Zbawienny na młodzieńca wpływ wywarł w tęż chwilę,  
Niby ożywczy eter, co budzi z omdlenia  
I nowe z już zastygłych ust wywabia technienia.  
Zadrzał bowiem i w piersi poczuł nagłą burzę:  
Wrzało w niej coś gwałtownie i parło ku górze,  
Aż dobyło się łkanie silne, choć tłumione,  
A usta wyszeptaly: „Pod Twoją obronę“.

I popłynęła teraz jako strumień lawy  
Prośba do Pośredniczki w niebiosach łaskawej,  
A każdy wyraz brzmiał w niej żalością bezkresną,  
Trwogą rannego dziecka i skargą bolesną.  
Gdy skończył antyfonę, jeszcze czas niejaki  
Trwał na modlitwie niemęj, ale siły takięj,  
Że nikły przy nich głośnie pacierza wyrazy,  
Bo miała w swym bezładzie, jak kosmiczne gazy,  
Pierwiastki twórcze, wrzątek owęj myśli Bożęj,  
Z której psalmy lał Dawid, hymn — święty Ambroży.

Gdy młodzian wreszcie odjął od oblicza dłonie,  
Uspokoila się cała nawałnica w łonie,  
Bo powziął myśl, że w górę na mecie wystrzeli,  
A jeśli Janusz chybi, pierwszy się ośmieli  
Podać rękę do zgody. Toż, skoro na wieczy  
Sągnaturka do piosnki zerwała się świeżęj,  
Jasniejszem po świątyni pustęj spojrzzał okiem,  
W której dzień bój zwycięski z nocnym staczał  
mrokiem.

Już wielkie w presbyteryum okno malowane  
Jeło się zwolna w blaski ubierać świetlane  
I ronić z barwistego tła jakieś figury,  
Mętne i niewyraźne, jak szkicu kontury.  
Ołtarze i chorągwie, chór, lawka, ambona  
W grubych się już zarysach wynurzyły z łona  
Tajemniczego zmierzchu. Teraz też przy murze  
Spostrzegł Lucyan nagrobek, wykuty w marmurze;  
W rozblasku świec zaś, które do nowój ofiary  
W bocznej nawie zakrystyan zapalać jął stary,  
Leliwów godło dojrzał na głazie wyryte  
I imię „Róża“, w złote floresy spowite.  
Pod niem lśniły urodzin oraz zgonu daty,  
Ledwie dwudziestu trzema przedzielone laty:  
Data śmierci zaś swojską była jego oku,  
Bo sam właśnie dnia światło ujrzał w owym roku.  
Przez całą chwilę patrzył w glaz ów tajemniczy,  
Doznając jakiejś rzewnej, nieznanj słodyczy.  
Wreszcie powstał i kornie przed ołtarzem — czoła  
Nachylił, potem wyszedł pospiesznie z kościoła.

Na ementarzu młodzieniec spotkał okazałą  
Postać niewieścią w futrze, co woalką białą  
Zasłoniła pół lica, lecz w nią poznal zaraz  
Hrabiankę Izabelę, która go w ambaras  
Wprawila swym zdziwionym i badawczym wzrokiem.  
Uklonił się jej grzecznie w milczeniu głębokiem  
I szedł dalej. Dziewica przecie pod kościołem  
Przystanęła, by czarnem swem oczkiem wesołem  
Strzelić za nim ciekawie i przez chwilkę dłużej  
Patrzeć, jak się do konnej sposobił podróży.  
Jak lekko, elegancko wzniosł się na rumaka,  
By w dal przez ciche siolo pomknąć lotem ptaka  
I jak wreszcie uklonem niskim witał sanki,  
Co od Chwalina mknęły, zaprzężne w bułanki.

Zdała widniał na wzgórzu wśród śnieżnej równiny  
Gaj pana Wita, znany pod nazwą brzeziny.

Lecz nie same tam brzozy białe dziewczę,  
Gdyż także i leszczyna z chojną tajemnicze  
Tworzyła w nim ostępy, pełne macierzanek,  
A w czas wiosenny strojne w leśnych jagód wianek.  
Gdzieniedzie nad bezlistną młodych drzew gęstwina  
Sterczał dąb rozsochaty z poważną łysiną  
(Rówieśnik wytrzebionej przed laty dąbrowy),  
Jak baszta starożytna w dzielnicy wil nowej.  
Biały szron, którym zima drzew rozwite włosy  
Przyprószyła niedawno, pospadał na wrzosa,  
Bo w lasku tym się codzień wielki szabas wroni  
Odbywa, gdy się zachód purpurą zapłoni.

Wtedy z różnych stron świata niebieskimi szlaki,  
Piejąc hymny wojenne, czarno-siwe ptaki  
Jak drużyny kózackie do swej dążą siczę,  
Pełne dobrej otuchy i rade z zdobyczę.  
Dziś się już rozleciały na swoje futory:  
Jeden tylko wśród lasku hufiec dosyć spory  
Został jakby na straży, gniewnemi okrzyki  
Łząc kłócaące im spokój śmiałe najezdniki.  
Była to garstka wiejskich dziewcząt i chłopaków,  
Co, zbrojni w żerdzie ostrzem zakończone haków,  
Kręcili się tam raźniej od żywego srebra,  
By drzewom napróchniały dołamywać żebra.  
Gdy w pobliżu gruchawki zabrzękły na drodze,  
Z nieczystym swem sumieniem dzieci w wielkiej  
trwodze  
Chyżo jęły uciekać z lasku za pagórek,  
Jak przed kosą żniwiarza rój młodych przepiórek.

Wnet z drogi jakieś sanki zboczą i wzdłuż gaju  
Zwolna nad stromym brzegiem żeglują ruczaju,  
Aż manowcem dość wąskim wedrą się do wnętrza,  
W którym się jeden taras ponad drugim spiętrza.  
Nieomal w samym środku tej leśnej gęstwiny  
Wygladzona motyką, we wiencu z leszczyny

Niewielka się polanka rozpostarła, kędy  
Stół i kanap darniowych sterczały dwa rzędy.

Skoro sanki stanęły, Adam wraz z Lucyanem  
Wyskoczył z nich; — ostatni z licem zadumanem.  
Poznał to miejsce zaraz, gdzie przed wielu laty  
Rwał z Cesią do bukietu jakieś leśne kwiaty.  
Ale dłużej się dawnem nie bawił wspomnieniem,  
Bo w tej chwili stanowczej, jakby cień za cieniem  
W czarnoksiężskiej latarni, przed umysłu kratki  
Mkły mu znane osoby, rzeczy i wypadki.

Wkrótce bezwiednie zaczął liczyć bliskie krzaki,  
Lecz gdy wzrok na spienione skierował rumaki,  
Którym przezorny Mamel niósł osłonę w derce,  
Poczuł, że wraz mu głośniejsz uderzyło serce,  
Bo pomyślał w tęż chwilę z mimowolną grozą,  
Czy one go żywego na dół jeszcze zwiożą.  
Szklanem okiem w dal patrząc, widział własne zwłoki,  
Jak je Adam podnosi, w płaszcz tuli szeroki,  
Gdy z piersi przestrzelonej ciecz wybucha krwawa,  
A nad trumną kościelna zawisa niesława.  
Chcąc spłoszyć oczom ducha ten widok złowrogi,  
Zapytał towarzysza, czyli bliższej drogi  
Janusz nie ma do lasku, lecz Adam szlak stary  
Wskazał mu, kędy teraz sylwetki sań pary  
Zamajaczyły na tle płaszczyzny śnieżystej,  
Coraz to wyraźniejsze przez lot koni rwisty.

Kiedy Mamel z rozkazu Adama z polany  
Zbiegł na dół, by przybyłym tór wskazać nieznanym,  
Lucyan do towarzysza w te ozwał się słowa:

„Wiesz, drwilem zawsze z przeczuć! Przyszłości  
osnowa

Zbyt ciemna, iżby w mrok jej mógł wnikać — mi-  
styczny.

Nastrój nerwów lub układ liczb kabalistyczny.  
Choć mi się zatem w myśli czarne roją mary,  
Rozsądek nie pozwala dać im zaraz wiary.



Wszelako mogę zginać! Przyjm więc uścisk bratni,  
Tem szerszy, serdeczniejszy, że może ostatni.  
Wierzaj mi, przyjacielu, w pielgrzymce samotnej,  
Na którą już od dziecka los mnie skazał psotny,  
Tyś mi miejsce zastąpił i brata i siostry,  
Wplatając kwiat przyjaźni w cierń tęsknoty ostry.“

Przy tych słowach młodzieńcy, rozwarłszy ra-  
miona,

Dwukroć się przytulili nawzajem do łona,  
A w zbracie dusz — Lucyana drgnęło serce tkliwe  
I, jak fala wód wichrom, głębie swe wstydlive  
Odsłoniło na poły przed druha żrenicą.

„Adamie!“ — rzekł półgłosem. — „Może tajemnicą  
Nie było dla cię, żem ja wraz z przyjaźni kwiatem  
Inną jeszcze roślinę krył w wnętrzu przed światem.  
Wzrastała ona zwolna, a chociaż nadziei  
Nie świeciło jej słońce, choć zimno zawieci  
Podczas długiej rozłąki mroziło ją, przecie  
Rozwinęła się silnie i strzeliła w kwiecie.  
Nigdy zeń owoc szczęścia nie miał dojrzeć pewnie,  
Lecz jam na woni przestał. Toż mi teraz rzewnie  
Drży kwiat ten, że strun duszy i w przedzgonnej  
chwili

W głos — żaden pożegnalny akord nie rozkwili.“

Chciał mówić jeszcze więcej, choć z piersi ści-  
śniętęj

Każdy wyraz wychodził z trudem, jakby zmięty,  
Gdy wtem zabrzękły z bliska mirotworskie sanie  
I w momencie na górnej stanęły polanie.  
Prócz stangreta, co z tyłu w liberyi świetecznej  
Bezczynnie stał, oblicze strojąc w chłód stateczny,  
Dwie osoby siedziały w gondoli misternęj:  
Janusz i Jul Brzeszczański, jako družba wierny.  
Lecz pan młody fantazyi nie miał dziś weselnęj!  
Rumieńce jego zbladły, podczas gdy wąż dzielny,  
Nie popieszczony dłonią, obwisł dość niedbale,  
Oko zaś dumnych spojrzeń nie miotało weale.

I on widocznie odczuł położenia grozę  
I mimowolnie przybrał poważniejszą pozę.

Za to zdobnego w blizny lica Ostrogota  
Biło zadowolenie i dziarska ochota ;  
A na ustach mu igrał ten uśmiech wytworny,  
Z jakim na miejsce schadzki myśliwskiej nadworny  
Łowczy przybywa pewnie, by wśród rogów grania  
Hasło oczekiwane dać do polowania.

Powitano się grzecznie zdjęciem kapeluszy,  
Poczem z zegarkiem w rękę pan Brzeszczański ruszy  
Do kolegi w urzędzie by z odcieniem buty  
Sprawdzić, że do terminu brakną trzy minuty.  
Chciał przedwstępny rozhovor zagaić z nim właśnie,  
Gdy opodał znów jakiś biez siarczyście trzaśnie,  
A za chwilę na krągłą równinę polanki  
Trzecie jeszcze wtargnęły mniej wytworne sanki.  
Mąż, co obok Maryana siedział w nich, miał modne  
Futerko, okulary, wejrzenie pogodne,  
Twarz ściągłą, wąs potężny, rudy, lecz nie szpetny,  
Okło piękne i wyraz oblicza szlachetny.  
Adam znał go od roku i powitał grzecznie,  
A potem Lucyanowi przedstawił statecznie,  
„Pan konsyliarz Zborowicz“ mówiąc. Lecz w tej chwili  
Nieznajomi napozór — uścisk wymienili  
Dość serdeczny, bo niegdyś na lipskiej wszechnicy  
Przyjaźnili się z sobą, jako rówieśnicy.

„Atanazy, tyś tutaj?“ spytał Lucyan z cicha.  
„No, tak!“ — odszepnie tamten — „Ale skąd u licha  
Ty, kochanku, coś głosił katońskie zasady,  
Wstąpiłeś dziś w junaków niebezpieczne ślady ?  
Lecz prawda ! kiedy widzę twego przeciwnika,  
Nie dziwię się, boć trudno starcia się unika  
Z kolecami dumnych ostów lub z głógiem zadziernym. —  
Wiesz, jeśli swym zasadom chcesz pozostać wiernym,  
To ci, bratku, zapiszę flegmy granów cztery  
A półpięta pogardy myśliciela szczerój

Na butę ludzi płytkich, z których drwieć li trzeba.  
Lecz niechaj ci łaskawe teraz będą nieba.“

Podczas owej poufnej i cichej rozmowy  
Trójka sań opróżniła przysły plac bojowy.  
Ale z przeciwnej strony po chwili nań nowa  
Z trzaskiem bicza wjechała powózka zimowa,  
W której oprócz stangreta trzej jacyś panowie  
Siedzieli, wszyscy w czapkach futrzanych na głowie.  
Pierwszy, co z sań wyskoczył, młodzieniec przystojny,  
Wysmukły, w ruchach swoich trochę niepokojny,  
Był to pan Henryk Bielski, właściciel Kotusza,  
Kuzyn, a dzisiaj świadek w turnieju Janusza.  
Z drugiej strony powoli, ostrożnie jak starzec  
Wysiadł dość jeszcze młody pan konsyliarz Marzec,  
Niski, ale barczysty, co zaraz z uboczy  
Na kolegę skierował przymrużone oczy.

Na ostatku poważnie z sań zeszedł z wyraźnem  
Poczuciem swej godności we futrze pokaznem  
Mąż wyniosłej postaci, trochę w tył podanej,  
Z pośroniałym już wąsem, o twarzy rumianej.  
Był to pan Jan Chwalibóg Leszcz, dziedzic Zawory,  
Co się między prowincyi liczył matadory,  
Bo słuchał niegdyś prawa, był mowny, bogaty  
I raz nawet w Berlinie posłował przed laty.

Powitany przez wszystkich niskiemu ukłony,  
Pan Leszcz zaraz wizytą obie uczcił strony,  
Co stały na przeciwnych biegnach polanki;  
Lecz, słusznie unikając dłuższej pogadanki,  
Poprzestał na kilkorga słów grzecznych wymianie,  
Przy czem Dorębie pierwsze przypomniał spotkanie,  
Gdy za poselstwa swego wraz z nim w Prus stolicy  
Wziął raz udział w obchodzie powstania rocznicy.

Formalność tę arbitra spełniwszy statecznie,  
Pan Leszcz swe sanki na dół zesłał, potem grzecznie  
Każdemu z sekundantów skłonił się i gestem,  
Nie mówiąc ani słowa, rzekł: „Ot gotów jestem!“

Na to hasło — turnieju czynni uczestnicy  
 Pozrzucali swe płaszcze, futra i w zbroiecy  
 Nowoczesnej stanęli, to jest w czarnym fraku  
 I takimż cylindrowym składanym szyszaku.  
 Tylko Maryan czamarką i konfederatką  
 Zastąpił europejską odzież, wówczas rzadką  
 U mężczyzn w Wielkopolsce. Szczęściem niespodzianie  
 I pan Leszcz w półkontuszu błysnął i żupanie,  
 Skoro, w zahartowaniu nie szukając chluby,  
 Nieco tylko rozgarnął poły pięknej szuby.

Niebawem obaj mistrze krwawej etykiety  
 Do wymiaru rycerskiej zabrali się mety.  
 Nad polanką wraz jakby cień zawisł ponury,  
 Choć się w świetle kapały stoki leśnej góry.  
 Niebo przywdziało dzisiaj błękit jasny, czysty,  
 Gdzieniegdzie strojny w śnieżne obłoków batysty.  
 Słońce, jak świetny brylant spinki lub przepaski,  
 Skrzy się, olśniewające rozrzucając blaski;  
 A biała pół opona od jego promieni  
 Opalowych kolorów gra ślicznie się mieni.

Cisza złowroga! Czasem li brzękną dzwoneczki,  
 Lub z oddali stłumiony szmer zaleci sprzeczki,  
 Którą pod laską Mamla półgłosem woźnice  
 Wiodą, siląc się pewnie zbadać tajemnicę,  
 Dla czego ich panowie w powadze ponurój  
 Dzisiaj na szczyt tej leśnej zjechali się góry.  
 Tymczasem sekundanci, pragnąc wytknąć szranki,  
 Dwukrotnie już średnicę zmierzyl polanki.  
 Gdy stanęły dwie z tyczek niskie szubienice,  
 Pan Leszcz przelotnym ogniem ożywił źrenice,  
 Krząknął z lekka, w tył bardziej podał swą figurę  
 I w te słowa przemówił, patrząc nieco w górę:

„Panowie kombatanci! O ile mi znana  
 Geneza waszej waśni, jedynie wymiana  
 Słów porywczych, w afektu zrodzonych ukropie,  
 Postawiła was tutaj na wojennej stopie.

Cofnijcie więc nawzajem kamienie obrazy,  
A wraz obaj z zatargu wyjdziecie bez skazy.  
W przeciwnym zaś przypadku zważcie, co was czeka:  
Śmierć wczesna lub kalectwo i kara nie lekka.“

Tu pan Leszcz małą przerwę zrobił w swoim *speech'u*,  
By chustką po rumianem musnąć się obliczu,  
A potem dodał: „Nie wiem, czym z swojemi słowy  
Trafił na grunt wydajny, czy też na jałowy.  
Więc proszę panów drużbów, iżby po urządzie  
Każdy swego mandanta wybadał w tym względzie.“  
Wraz Adam Lucyanowi, posłuszny wezwaniu,  
Powtórzył myśl arbitra w poufnem pytaniu,  
Na co tenże odszepnął: „Szczерze pragnę zgody,  
Lecz niechaj na honorze nie poniosę szkody.“  
Inaczej pan Brzeszczański zrozumiał rozjemcę.  
Strząsnąwszy monokl z oka, iż zwiśł na tasiemce,  
Zakręcił wąs i ręką machnął dość niedbale,  
By mruknać Januszowi: „Niepotrzebnie wcale  
Nudził nas, by formalność czezą spełnić jedynie.  
O zgodzie nie czas myśleć. Niech wprzód krew  
popłynie!“

Janusz, na którym mowa zrobiła wrażenie,  
Spojrzał w bok i poważne zachował milczenie,  
Poczem jego sekundant kolebiącym krokiem  
Podszedł do pana Leszcza z zbrojnym w szkielko okiem  
I, stanąwszy w pozycyi drugiej, rzekł przez zęby:  
„Mój klient wprzód krew własną lub pana Doręby  
Chce widzieć, nim skorzysta z udzielonej rady  
I w pojednawczych celach zagai układy.“

„Niech i tak będzie!“ — na to arbiter odpowie —  
„A zatem przystąpimy do akcji, panowie.“  
Z temi słowy z wewnętrznej kieszeni swej szuby  
Długi, zwinięty w trąbkę dobył skrypt niegruby,  
Założył okulary i grozę w swej minie  
Wyraziwszy, jął czytać: „Działo się w Chwalinie...“  
Był to ów wywód słowny, spisany w niedzielę  
Przez obu sekundantów, który się na wiele

Rozpadał artykułów, nakształt programatu  
 Personal oraz sceny normując dramatu.  
 Głos pana Leszcza, z niskim graniczący basem,  
 Zdradzał pewne wzruszenie, drżąc na chwilę czasem;  
 W słuchaczach też, co w miejscach nieruchomo stali,  
 Wzniesił nastrój poważny, jak głuchy szum fali.  
 I nie dziw! wszak niniejszy akt, w skutki brzemienny,  
 Ogłaszał nad polanką jakby stan wojenny,  
 I zawieszając w imię bałwana Honoru  
 Prawa boskie i ludzkie, legalnie z pozoru  
 Dozwał dwom młodzieńcom — jak nie czynią kruki —  
 Wzajem godzić na siebie wedle reguł sztuki.

Pan Leszcz trzykrotnie chustką otarł z potu czoło,  
 By o broń sekundantów spytać niewesoło.  
 Więc Adam podał pierwszy lśniące pistolety,  
 Pożyczone od ojca, lecz z niemi niestety  
 Świetnie przed trybunałem przepadł pana Leszcza.  
 Obejrawszy je tenże, rzekł-bo: „Ot złowieszcza  
*Spustka* jest przy nich, zwana *sznelerem* z niemiecka.  
 Nie mogę przyjąć króćcie tych. Nazbyt zdradziecka  
 Broń to, bo zaraz bije, gdy ją palec trąci,  
 Zanim cel w oczach strzelca choć na włos się zmaci.  
 Nie godzi się nią zimno mierzyć w pierś człowieka!  
 Zresztą i kara sądów wówczas nie tak lekka  
 Dla wszystkich uczestników, jak to pan Brzeszczański  
 Z praktyki swej zapewne stwierdzi dżentelmańskię.“

Ostrogot z pogardliwym cokolwiek uśmiechem  
 Przytaknął, mrużąc oczy i zaraz z pospiechem  
 Podał drugie króćce, pełne wprawdzie gwintów,  
 Lecz pozbawione spustki i innych wykwentów.  
 Sprawdziwszy, że stan króćcie z warunkami zgodny,  
 Losowanie arbiter urządził czełgodny  
 Gdy każdy z przeciwników miał już broń swą w dłoni,  
 Obydwom się z powagą pan Leszcz lekko skłoni  
 I rzecze, strojąc nader pomure oblicze:  
 „Panowie, baczność teraz! Gdy do trzech dolięcę,

Możecie strzelać zaraz, lecz nie mierząc pierwej,  
Póki *po raz* nie zrobię maluteńkiej przerwy;  
Wolno wam też i dalej kroczyć ku baryerze  
I po drodze dać salwę, celując już szczerze.  
Skoro strzał pierwszy padnie, przeciwnik bez zwłoki  
Da odpowiedź, na miejscu wstrzymawszy swe kroki.“

Po tej przemowie zwięźlej, ale uroczystej,  
Pan Leszcz wydobyl fular znów, by pot kroplisty  
Otrzeć z pobladłej twarzy, podczas kiedy bokiem  
Stanęli przeciwnicy, mierząc się już okiem.  
Straszna nad wyraz chwila! Skoro w bitwie krwawej  
Żołnierz, mknąc do ataku wśród dymu, kurzawy  
Ujrzy oblicza wrogów nie widziane pierwej,  
Nie zadrży przy zamachu, bo przedtem już nerwy  
Ma zwichrzone, bo druhów naprzód rwie go fala,  
Bo mu miłość ojczyzny żar w łonie rozpala.  
Lecz o ileż okropniej przy rozprawie zbrojnej  
Ujrzeć twarz dobrze znaną, — dziki, niespokojny  
Wzrok jej, który już naprzód w nas, jak sztylet, godzi  
I czuć, że w piersi naszej zwierz także się rodzi!

Te myśli błyskawicznie trawił mózg Lucyana,  
Co stał mężnie, choć raz mu zadrgnęły kolana  
I choć widział, że batyst w Janusza koszuli  
Drżał, a trupio twarz bladła, jak wówczas, gdy Sulli  
Grając rolę, pobity, zmięty powstał z ziemi,  
By mu zaprzysiądz zemstę oczyma krwawemi.  
Co to za szmer dokoła? Co za dziwne brzęki?  
Boże! Czyż się nie skończą te straszliwe męki?  
Czyż zabrzmi wreszcie hasło? — Tak Lucyana dusza,  
Gdy wzrok wciąż zapatrzony był w oczy Janusza,  
Jęczała sobie, czując szумы wód ponure,  
Zuane dobrze nurkowi, co z głębi mknie w górę  
I już się wręcz doczekać nie może tej chwili,  
W której błysnie znów niebo i ton się rozchyli.

Wreszcie Lucyana z letargu w mig wytrzeźwił ducha,  
Gdy mu wielki łeb koński parsknął mimo ucha.

Spojrzał przed się, przyczyny chcąc dojść niespodzianki.  
Tuż przy nim stały lekkie, eleganckie sanki  
Z labędziem, co jakoby wyrastał z korabia,  
A w nich czeigodny radca siedział i pan hrabia.  
Nie umiał sobie zaraz zdać z widoku sprawy,  
Lecz czuł sercem, że to jest ów sukurs łaskawy,  
O który w antyfonie dziś z rana strzelistej  
Do Pośredniczki grzesznych modlił się przeczystej.

Niebawem osobliwa nastąpiła scena,  
Gdy pan Leszcz rzekł: „Przepraszam, to krwawa arena!  
Więc panowie zechcecie cofnąć się na chwilę,  
A po akcie was wszyscy powitamy mile.“  
Lecz Leliwa mu odparł: „Daruj mi, kolego!“  
(Hrabia był parem pruskim i posła dawnego  
Nazywał tak przez grzeczność.) „Lecz umyślnie właśnie  
Przybywamy, by zgodą zakończyć te właśnie!“  
„Nieskończenie żałuję“ — pan Leszcz się tłumaczy —  
„Ale kłamka zapadła. Pan hrabia wybaczy,  
Że nie mogę korzystać z dobrej jego chęci.  
Gdy kartel przeczytany, to i wszyscy święci  
Nie pomogą; spór musi zakończyć się krwawo.  
Tak wymaga rycerstwa zwyczajowe prawo!“ —

„Wszak waśń“ — odrzeczł hrabia — „w mym  
powstała domu.  
Toż każdy mi wybaczy, że przed światem sromu  
Chcę ujść, iż goście u mnie, miast znaleźć zabawę,  
Narażeni są tylko na rozterki krwawe.  
Skoro mnie dzisiaj z rana zaenę radca Barski  
Wtajemniczył w plan waszej imprezy zbyt dziarskiej  
Przybywam tu, panowie, nie z czezą i banalną  
Perorką pojednawczą, ale z namacalną  
Propozycją, z tej samej wyrosłą dziedziny,  
Co i walka orężna, krwią mążąca winy.  
Stawiam bowiem, panowie, wniosek tej osnowy,  
Byście spór wytoczyli przed sąd honorowy.



Niech bezstronne i wiekiem szanowne osoby  
Wpierw zobopólne wasze roztrząsną żaloby,  
A mam mocną nadzieję, że wnet bez przeszkody  
Uterują wam ścieżkę do zaszczytnej zgody.  
Zresztą, o ilem poznał wśród poselskiej dawniej  
Rady — pana arbitra sąd światły, wytrawny,  
Nie wątpię, że sam poprze zawieszenie broni,  
Co nas od krwi grzesznego rozlewu uchroni.“

„Wielce czcigodny hrabio!“ — pan Leszcz na to  
rzecze —

„Dziękuję za pochlebne zdanie i nie przeczę,  
Że pierwszy, gdy pan walkę zażegnasz szczęśliwie,  
Przyklasną jego akcyi, czynem ją prawdziwie  
Zowiąc obywatelskim. Toć sam co dopiero,  
Jak obecni poświadczą, wygłosiłem szczerą  
Zachętę pojednawczą po wymiarze mety,  
Lecz ujemnym był skutek słów moich niestety.  
Teraz przecie, gdy hrabia sąd swój honorowy  
Wniósł w podjętą dyskusyą jako moment nowy,  
Nie waham się poprosić obu przeciwników,  
By znów się oświadczyli przez swych pośredników.“

Więc Adam, zamieniwszy słów niewiele z druhem,  
Zdał relacyą, że tenże chętnem przyjął uchem  
Gorące pana hrabi i światłe wywody  
I na sąd ów przystaje, jako most do zgody.  
Ostrogot zaś, niekontent strasznie z całej przerwy,  
Choć Janusza o zdanie nie zapytał pierwej,  
Postąpił kilka kroków i stanął nad metą,  
By przeciwko sądowi założyć swe *veto*.

„Panowie!“ — rzekł z cokolwiek podniesioną  
skronią,

Z szkiełkiem w oku, wąs zwiśły nastroszając dłonią.  
„Od lat, jak was zapewniam, szesnastu już blisko  
Nie zaszło w Księstwie żadne rycerskie igrzysko,

Przy którym-by mnie brakło. W każdym byłem czynny,  
Bądź jako swat, lub sędzia, bądź świadek niewinny,  
A nieraz jako szermierz. Nigdy dotąd przecie  
O takiej propozycyi nie słyszał na mecie.  
Ze sądy honorowe zachodzą, przyznaje.  
Lecz kiedyż dżentelmenów cierpią je zwyczaje?  
Ot li wtedy, gdy ktoś się wymawia od akcji,  
Przecząc, iżby przeciwnik wart był satysfakcyi,  
Lub iżby naganiony postępek niegrzeczny  
Zawierał do rozprawy powód dostateczny.  
Po przyjęciu wyzwania sąd już honorowy  
Wykluczon. Zład dziś o nim nie może być mowy.“

Wyrzekłszy to pan Julian Ostrogot Brzeszczański  
Z powagą, jakby spełniał obrządek kapłański,  
Ruchem mięśni uwolnił od monokla oko  
I wrócił na swe miejsce, by tutaj wysoko  
Wzniesć brodę i, wsunawszy ręce w pantalony,  
Przyjąć pozę wyższości niezem niewzruszonój.  
Hrabia, włożywszy szkielko w oprawie ze złota,  
Dziwnym jakimś obrzucił wzrokiem Ostrogota  
I rzekł: „Przepraszam bardzo! Lecz kiedy Solona,  
Justyniana ustawy i Napoleona  
Mogły ulegać zmianom, czyż, jak dogmat święty,  
Sam kodeks dżentelmeński ma zostać nietknięty?  
Wszak sądy honorowe coraz bardziej w modę  
Wchodzą wszędzie, a pewnie nikomu na szkodę.“

Tu hrabia, porzucając ton swój oratorski,  
Rzekł ciszej do Janusza: „Panie Łościborski!  
Jeżeli dla sąsiada swego choć troszeczkę  
Masz względów, odrocź walkę i pod sąd zdaj sprzeczkę.  
Nie uwierzysz, jak bardzo byłbym nieszczęśliwy,  
Gdyby niesnaska, w domu powstała Leliwy,  
Miała kres smutny znaleźć w pogrzebnym całunio  
I odświeżyć znów gadki o bracie Piorunie.“  
Pan Janusz, tknięty wielce hrabiego wymową,  
Zwrócił się doń uprzejmie z twarzą purpurową,

Lecz zanim dał odpowiedź, w bok spojrział nieśmiało  
Na Ostrogota, który w lica jego z całą  
(Zatrzymawszy przez chwilę w palcach koniec wąsa)  
Patrzył uwagą strzelca, co już cyngiel wstrząsa.

Zafrasował się junak, bo w spojrzeniu drużby  
Przechwałki swoje świeże, groźby, butne wróżby  
Spostrzegł, jakoby w silnym zgęszczone wysokoku.  
Wraz też scena z opery błysła jego oku,  
Widziana raz w Paryżu, w której bohatera,  
Wśród efektownej gędźby mistrza Meyerbeera,  
Z jednej strony ku nocie pociąga dziewica,  
Z drugiej zaś głos wstrzymuje demona-rodzica.

Wprawdzie hrabia w swej szubie, z posrebrzoną  
brodą,

Nie koniecznie zakrawał na Normandkę młodą;  
Za to w czarnej postaci swego przyjaciela  
Dojrzał nasz Robert-Djabeł coś z Mefistofela.  
Właśnie tenże miał wyrzec potężne zaklęcie,  
Gdy się w pobliżu głośne rozległo krzäknięcie.  
Wydał je zacny radca, co słysząc mów tyle.  
Jak głodny wśród widełców szczekę, wciąż niemile  
Potykał ślinkę, póki nie nadeszła pora,  
Że mógł także wystąpić w roli oratora.

„Panie Januszu!“ — rzekł więc, zdjawszy oku-  
lary —

„Jako sąsiad najbliższy i druh ojca stary,  
Co z nim razem pod Wawrem chrzest odebrał krwawy  
I rok też w kazamatach przesiedział Torgawy,  
Śmiem prosić cię usilnie, byś hrabiego zdrowej  
Słuchał rady i przystał na sąd honorowy.  
Czy chcesz, żeby twej matce, co nad życie syna  
Jedynaka miłuje, nim minie godzina,  
Odstawiono twe zwłoki i by stąd niebodze  
Pękło na miejscu serce, dotknięte zbyt srodze?  
Lub czy mam ja z twej łaski w dom pełen uciechy,  
Gdzie brzmią jeszcze wesołe poświęteczne śmiechy,

Zawieźć smutek ponury i straszne *memento*  
I pogrzebem uświetnić noworoczne święto? —

Janusz, co, śmierci w oczy przed chwilą zajrzawszy,  
Poczuł w sercu łagodny powiew, wzrok łaskawszy  
Skierował na Lucyana i wraz sztandar biały  
Ku radości hrabiego wywiesił niemałej.  
Gdy zaczęto układy, zerknął nie bez strachu,  
Czy się jego Mefisto wśród siarki zapachu  
Nie zapadł, jak ów Bertram, w ogniste czeluście.  
Lecz szczęściem — Ostrogota w burnusie i chuście  
Ujrzał opodał w dymu błękitnym obłoku.  
Stał on majestatycznie z swym monokłem w oku.  
Niby posąg, któremu na ustach zamarły  
Dumne słowa Tytana: „Gardzę wami, karły!“

---

## Pieśń VII.

### Sąd honorowy.

Hej! jakże żartko, niby rozhukane konie,  
Wielkie, białe obłoki mkną po nieboskłonie,  
Co dziś miasto błękitnej ma oponę szarą,  
Iż słońce zeń jak lampa świeci za kotarą!  
Lecz jeśli w górnych sferach ruch wre ożywiony,  
To i ziemia się nurza w zamieci szalonej.  
Najdzikszymi bowiem z wichrów, który w mowie gminu  
W Wielkopolsce znamienną nazwę nosi *chwinnu*,  
Nadleciał z krańców świata przez morza i lądy  
I nad cichą równiną srogię objął rządy.  
Przywykły gęste wzniecać w krąg pyłu tumany,  
Trząść liście, łamać drzewa, wód spiętrzać balwany,  
Zżyma się dziś na zimę, swą krewną daleką,  
Iż pierwej kraj macoszą zniszczyła opieką.  
Stąd daremnie do tańca gra jeziornej fali.  
Woda w okowach lodu cicho się krysztali;  
Ze zmarzłych dróg i łańców żaden proch nie wzleci,  
By kurzem w napowietrznej pohulać zamieci,  
Chyba śnieg się miejscami skłębi wpośród błoni  
I wyspę oziminy zieloną odsłoni.

Więc w coraz większą wściekłość wpada orkan  
dziki.

Nie dość mu bowiem lasu ponurej muzyki,

Nie dość drobnych tryumfów, że przechodniom czasem  
Zerwie nakrycie z głowy, lub z wielkim hałasem  
Zatrzaśnie drzwi od domu. On w gniewie bez miary  
Nierównie znamienitszej zapragnął ofiary.  
Z przeciągłym świstem ludzkie okrążając strzechy,  
Zagląda w każdą lukę, niby dla uciechy  
Schnące na strychach buja płótna i muśliny,  
Lecz przytem bacznie śledzi najmniejsze szczeliny  
I krokwie próchniejące, by w nagłym zamachu  
Zwalić dom, nadpsutego czepiwszy się dachu.

Wśród straszliwych szamotań chorągiewka wieży  
Dziwi się w Srebrnolaskach, że coraz to świeży  
Zastęp gości w powozach i gondolach sanek  
Ze stron różnych zajeżdża przed pałacu ganek.  
Wedle starej tradycyi — roku imienniny  
Pan hrabia w towarzystwie całej swej rodziny  
Obchodził zawsze wspólnie z chwalińskim sąsiadem,  
Co go zwykł podejmować solennym obiadem.  
Obecnie zaszła zmiana, gdyż hrabstwo w Chwalinie  
Już wczoraj zagościli, kędy przy węgrzynie  
I tańcach powitano nowy, a na mary  
Bez pogrzebowej pieśni złożono rok stary.  
Dziś pan radca familią i całą załogę,  
Co już swoje tobołki wiązała na drogę,  
Po południu sankami zwiózł do Srebrnolasek,  
Dokąd i kilka innych przybyło kolasek.

Wielki salon od frontu, jak z wiosny pasieka,  
Zaroił się wraz gośćmi z bliska i z daleka;  
Lecz nie brzmi tym rozgłośnym, powitalnym gwarem,  
Co wizytę w sąsiedztwie zagajać zwykł starem,  
Tylko szmerem, dystynkcyi pełnym i rezerwy,  
W którym czasem milczenie drobne robi przerwy.  
Widok twarzy nieznanych w towarzyskiem kole  
Thumi żywszą wesołość i lekką swawolę,  
Co z dowcipem stanowią okrasę rozmowy.  
Ten i ów-bo z uwagą, niby książkę nowęj,

Przygląda się ukradkiem obcej fizyognomii  
I, nim się z treścią książki słowem poznajomi.  
Bada jej format, grubość, tytuł i oprawę,  
Z wszelkiego przytem sądu zdając sobie sprawę,  
Który o niej zasłyszał przygodnie, lub który  
Jakoby z podręcznika zna literatury,  
Vel opinii publicznej. Równocześnie pomny,  
Że i drudzy go śledzą, ujmująco-skromny  
Nadaje wyraz licom i w każdy ruch grzeczny,  
Mówiąc czy milcząc nawet, rytm wlewa świąteczny.

Zresztą i inny moment zachodzi dość ważny,  
Co w liczmem gronie nastroj dziś budzi poważny.  
Spotkanie dwóch młodzieńców na honoru mecie,  
Chociaż dotąd w głębokim chowane sekrecie,  
Zbyt wielki poruszyło przyrząd pomocniczy,  
By nie miało w postaci chmurki tajemniczej  
Widocznie na pogodnem zaznaczyć się niebie  
I wszystkich lunet żeńskich skierować na siebie.  
Zaczęto się domyślać jakiejś groźnej zwady,  
Zaczęto zewsząd zbierać niewyraźne ślady  
Tajemnej akcji mężczyzn i niewieścim sprytem  
Wiązać luźne posłaki, hipotezy przytem  
Budując coraz inne, w jednym punkcie przecie  
Zgodne, iż pan Doręba w tym całym sekrecie  
Główną rolę odgrywa. Toż Lucyan niebawem  
Zauważył, że panie niezmiernie ciekawem  
Scigają go spojrzeniem i w jawnej rozmowie  
Podpytują z daleka w każdym niemal słowie.

Taka ciągła kontrola na humor młodziana  
Wpłynęła niekorzystnie, tem bardziej, że z rana  
Aż dwa zrobił odkrycia, które mu niemiłe  
Zakłóciły uroczą chwalińską idylę.  
Gdy bowiem pani Barskiej młódź dzisiaj przy kawie  
Skladała swe życzenia, ona dość laskawie  
Każdemu jakiś duser oddała z uśmiechem,  
Jemu zaś tylko sucho i z widnym pospiechem

Odszepnęła: „Dziękuję“, by odwrócić głowę  
I natychmiast z doktorkiem zawiązać rozmowę.  
Zdziwił się mocno Lucyan, bo pani radczyni,  
Świadoma obowiązków dobrej gospodyni,  
Dotychczas tak dla niego, jak dla innych gości,  
I twarz i słowa miała pełne uprzejmości.

„Ha! popadłem w niełaszkę!“ — z posmutniałą  
miną

Rzekł sobie wtedy w duchu i wraz nad przyczyną  
Jął dumać, lecz napróżno, wczorajsze wspomnienia  
Obejmując wyłącznie rachunkiem sumienia.  
Gdy niebawem ostatnia z wszystkich do pokoju  
Weszła panna Celina, on w swym niepokoju  
Postanowił się duszy tej zwierzyć siostrzanój,  
U której zawsze balsam znajdował na rany.  
Lecz tu drugie odkrycie miał zrobić niestety,  
Co mu większej do smutku dodało podniety.  
Bogdanka jego bowiem grzeczne powitanie  
Przyjęła li ukłonem, a nie dała na nie  
Odpowiedzi, jak dawniej, w nagłym, migotliwym  
Rozbłysku żrenie, razem figlarnym i tkliwym.  
Potem w niezwykłym miejscu zdala od młodziana  
Usiadła, tuż przy mamie dziwnie zadumana.  
Nie śmiejąc jej zagadnąć, spoglądał z uboczy  
W nadziei, że nań wkrótce skieruje swe oczy  
I choćby go przelotnem pocieszy spojrzeniem.  
Spostrzegł wówczas, że skroń jej zasepiona cieniem,  
Że i cera jej bledsza, natomiast powieki  
Jakby odblask czerwieni uwydatnił lekki.

Przed obiadem młodzieniec w cierpkim już nastroju  
Manewrował i w sali i w radcy pokoju,  
By przy lubej przystanąć choć na moment krótki  
I stłumionem westchnieniem zdradzić jej swe smutki.  
Atoli nadaremnie. Bezwiednie czy z psoty  
Cesia mu wciąż taktyczne myliła obroty.



Teraz wśród srebrnoleskich komnat okazałych  
Bohater nasz — podjazdów nie próbował śmiałych,  
Ni fortelów wojennych, by, obszedłszy flanki,  
Niespodzianie pozycją osaczać bogdanki.  
Owszem nawet z daleka wciąż się trzymał od niej,  
Czy stąd, że pani Barska z boku coraz chłodniej  
Spoglądała na niego swym badawczym wzrokiem,  
Czy też, że, osądzony zaocznym wyrokiem,  
W sercu swem, które wolnem czuło się od winy,  
Żył leką urazę do panny Celiny.  
Kiedy niekiedy tylko zwracał na nią oczy  
I zaraz je odrywał od twarzy uroczej.

Ona nań nie patrzała, napozór ciekawie  
Żarcików o wczorajszej słuchając zabawie.  
Raz jedyny ich oczy zbiegły się na chwilę,  
Gdy Lucyan, z sędzią Ławskim omawiając style  
Poznańskich świątyń, raptem ku okna firance  
Spojrzał, za którą Cesia stała przy hrabiance.  
Pół skryta za misterną koronką dziewica,  
Mając lekkiego smutku mgłą owiane lica,  
Spozierała na niego powłoczystym wzrokiem.  
Lecz, skoro ją młodzieniec musnął tylko okiem,  
Spuściła w dół źrenice, ćmiąc je rzesą śliczną.  
Że przecież ową wolną, chociaż błyskawiczną,  
Nie zdołała wezas z twarzy jego zdjąć spojrzenia.  
Spłonęła, jak jagoda od słońca promienia,

Wkrótce hrabianka Iza, jak zawsze wesola,  
Zbliżywszy się z Celiną do młodzieży koła,  
Zawiązała postronną pogadankę żywą,  
Do której i Lucyana, lśniącą, przenikliwą  
Świdrując go źrenicą, wciągnęła za chwilę.  
Młodzian, który w Chwalinie wczoraj nader mile  
Rozmawiał z nią, sąsiadem jej będąc przy stole,  
Dziś z swoim smutkiem w sercu i chmurą na czole  
Nie podjął rękawicy. Zamiast stanąć w szranki  
I dowcipu puklerzem odbić grót hrabianki,

Dał odpowiedź bezbarwną i źrenic jej błysków,  
Spuszczając wzrok, unikał jak groźnych pocisków.

Za to rzeźki doktorek, co miał do Berlina  
Wracać wnet, by ostatnie zdawać egzamina,  
Zamykając dziś świetnie swój występ gościnnie,  
Podwoił zwykłą werwę i coraz to inny,  
Obmyślany poprzednio swojski wyraz nowy  
Ku ucieście słuchaczyw rzucał wśród rozmowy.

Wtem go spyta hrabianka: „Doprowadym cie-  
kawa,  
Jaka to myśl przewodnia w pana Bolesława  
Tchnęła ów dość szczęśliwy pomysł, lecz krańcowy,  
Iż tyle nowotworów wprowadza do mowy.“

Na to rzecze pan Ludwik: „Zdrój tego puryzmu,  
W którym doktor nasz wyżyn dosięga artyzmu,  
Wytrysnął niezawodnie w pobliżu krynicy,  
Z której od lat niewielu panowie medycy  
Czerpią w Polsce swe *dławce, krztuśce i bladaczki,*  
*Udary, gnilce, odmy, gruźlice, padaczki.*  
I zaprzeczyć nie można, że wcale udatnie,  
Wniknąwszy w ducha mowy, bogacą jej szatnię.  
Lecz wszakże lekoznawców“ — tu na Bolesława  
Spojrzał prawnik z uśmieżkiem — „cała niemal  
sława

Zasada się na trafnem ochrzceniu choroby.  
Boć wszystkie ich lecznicze środki i sposoby,  
Prócz chininy na febrę, są to parawanki,  
Za któremi natura sprawia niespodzianki.“

Słyszając taką zacepkę nauki swej świętej,  
Nasz doktorek, najgłębszą czią dla niej przejęty,  
Zachnął się na prawnika, lecz, w koło złośliwe  
Spostrzegając uśmiechy, oczy swoje żywe  
W też chwilę sarkastycznym zapalił płomykiem  
I rzekł: „Ach, prawda, prawda! wszak z panem  
*baśnikiem* —

Tak z czeska zwę poetów — na stopie wojennój  
Stoję od dzisiaj rana, kiedy w płaszcz promienny  
Bogini jego ducha kilka latek wpiąłem.  
Przed dźwięcznych słów wiązką wielu bije czołem;  
Ja zaś nie mogę nigdy wstrzymać się od szydu.  
Gdy widzę, jak składacze pieśni bez zawstydu  
Drań koty z świętą prawdą, na przykład w źrenice  
Wkładając jakieś ognie, żary, błyskawice.

„Albo, jakże się nie śmiać, skoro rączkę białą  
Wysławiają nad śniegi lub lilie wspaniałą,  
Nie pomnąc, że ta białość u osoby żywój  
We widzu wstręt by tylko budziła straszliwy?  
Toż i dobrane słówka, choć dźwiękiem *gędziebnym*  
Pieszczą ucho, zbyt często by zgrzytem haniebnym  
Rażą je, kiedy w imię *pieśniarskiej swobody*  
Zacznie *mównię* obrażać *baśnik* nazbyt młody.  
Słowem całe *pieśniarstwo* to wielka przesada,  
Mda jako chłodnik włoski, czyli limonada.“

Kiedy takie dysputy młódź wiodła na stronie,  
Wyludniło się bardzo w frontowym salonie.  
Starszyzna bowiem męska, pokrzepiona kawą,  
Wyniosła się gromadnie pod hrabi buławą,  
By rzekomo błękitne niecić dymu chmury  
I przy starym gąsiorku omawiać ponury  
Stan rzeczy za kordonem, kędy jak spiż twardy  
Margrabia rękawicę młodzi rzucił hardój.  
Tymczasem w kancelaryi hrabskiej grono gości  
Czekało zatrudnienie większej doniosłości.  
Zdradzał to już na wstępie — zielono obity  
Stół krągły wśród pokoju, na nim srebrnolity  
Garnitur do pisania i białe do koła  
Rozłożone arkusze, nad którymi czola  
Dumne z misternój rzeźby wznosiły fotele,  
Wytworne, ale twarde, jak stale w kościele.

Ze stołu, oblanego blaskiem świec woskowych,  
Zapach jakby tajemnic bił gabinetowych

Wespół z mądrością stanu, w której sublimacie  
Jędrnych mówek zarodki legły się w komnacie.

Skoro zajęto krzesła, hrabia kilku słowy  
Rzecz zagaił, tłumacząc, że na honorowy  
Sąd sprosił tutaj wszystkich, by zbadać rozterkę  
Doręby z Łościborskim i krwawą szermierkę  
Zakończyć polubownie. Po tym wstępie walną  
Przed debatą poruszył kwestyą prezydyalną.  
Trzech zaś w owem zebraniu było matadorów,  
Co na zjazdach i wiecach z okazji wyborów  
Nieraz już marszałkowską godność piastowali,  
Lecz z których każdy zwykł był jednego z rywali  
Wysuwać na plan pierwszy, chcąc, by niezadługo  
I on mu się podobną odplacił przysługą.

Był to zatem nasamprzód sam hrabia Leliwa,  
Któremu i majątek i przeszłość uczciwa,  
Lecz niemniej i uprzejme formy wraz z tytułem  
Wielkie jednały wzięcie pomiędzy ogółem.  
Drugim, co aspirował do marszałka łaski,  
Był zacny radca Barski, poselskiemi blaski  
Jaśniejący, bo co rok z trybuny sejmowej  
Dwie w Berlinie sążniste zwykł wygłaszać mowy,  
Broniąc dzielnie praw, które Polakom przed laty  
Wyrażnie poręczyły wiedeńskie traktaty.  
W końcu pan Jan Chwalibóg Leszcz, dziedzic Zawory,  
Co także był zaliczan między oratory,  
Logiczny i w prawnicze senteneye obfity,  
Częstokroć prezydyalne zdobywał zaszczyty.

Dziś jednakże pan hrabia pominął rywali,  
Inną kandydaturę składając na szali.  
„Panowie!” — rzekł — „Gdy sędziów przejąć mamy role,  
Pewnie w myśl waszą trafię, gdy sobie pozwolę  
Przedstawić na dzisiejszych obrad kierownika  
Imci pana Ławskiego, z zawodu prawnika,  
Co, siedząc w trybunale, na sądowych sprawach  
Zna się równie dokładnie, jak my na uprawach.“

— „Przepraszam“! — odrzekł sędzia, mąż dość jeszcze młody,

Lecz poważny, włos jasny głaszcząc krótkiej brody, —  
„Znajomość praw pisanych na nic się nie przyda  
Tam, gdzie obywatelska zasiada Temida.  
Żem zaś norm jój nieświadom, wyznaję bez sromu  
I radzę panom wybrać gospodarza domu.“

Hrabia chwilkę się drożył, lecz, składając dzięki,  
Przyjął w końcu przydyum i podaniem ręki  
Zobowiązał obecnych jako członków sądu.  
Potem po wygłoszeniu krótkiego poglądu  
Na zajście dwóch młodzieńców i dalszy bieg sprawy,  
W te się odezwał słowa: „Czy znów na bój krwawy  
Mają iść przeciwnicy, li od nas zależy.  
Mniemam przeto, że wpierv nam roztrząsnąć należy,  
Zali społeczność nasza ma w ogóle jeszcze  
Cierpieć dawnych barbarzyństw zabytki złowieszcze.“

„Proszę o głos!“ — natychmiast zawołał pan  
Wrzeski,

Który od śmierci brata dotąd w srebrnoleskiój  
Nie postać był gościnie, dzisiaj zaś już z rana  
Przybył z drugimi wydać sąd w sprawie Lucyana.  
„Panowie!“ — rzekł dobitnie. — „Niema, twierdzą  
śmiało,

Najmniejszej wątpliwości, iż nam nie przystało  
Dopuścić pojedynku młodych zapaśników,  
Jeśli chcemy zatrzymać miano katolików.  
Wszak dekalog wyraźnie mężobójstw zabrania!  
Trzy zaś li są wyjątki z tego przykazania:  
Gdy ktoś w obronie własnej, lub z władzy wyroku,  
Lub w bitwie krew przelewa. Więc zdroźnego kroku  
Dopuszcza się i w kłatwę popada kościelną,  
Kto prywatną uświęca rozprawę śmiertelną.“

Mężne wyzanie wiary zrobiło wrażenie,  
Lecz znalazło natychmiast silne zaprzeczenie

Ze strony najmłodszego członka trybunału,  
Rotmistrza Tłukomskiego, pana Męcikału.  
Był to rosły mężczyzna, ciężki i barczysty;  
Twarz miał śniadą, pociągłą i wąs zawieszisty.  
Lecz lewa połać jego wyżej odrobinę  
Wznosiła się od prawej, czegoby przyczynę  
W tem można upatrywać, że właściciel wąsa  
Krzywił usta, jak tetryk, co rad się natrzasa  
Z cudzych wad i śmieszności, lecz tylko półgębkiem.  
Pan rotmistrz też w istocie był jakoby kłębkim,  
Z którego szarą nicią wciąż się snuły drwinki,  
Strasznie cięte krytyki, groźby i docinki.

„Po takim *dictum*“ — rzekł on — „sprawa już  
ubita!

*Roma locuta!* Basta! i ze sądu kwita.  
Co do mnie, śmiem jednakże innego być zdania.  
Cóż-bo nada przytaczać stare przykazania,  
Gdy każdy z nas wie dobrze, że są kataklizmy,  
Których nie zażegnają żadne katechizmy?  
Niech mnie ktoś w twarz uderzy, czy pan Wrzeski  
może

Zaleci mi zuchwalca upraszać w pokorze,  
By mi pięścią na miejscu dał buzi raz drugi,  
Lub go włóczyć po sądach, które wyrok długi  
Spiszą za rok i grzywny zapłacić mu każą?  
*Prost Mahlzeit!* Czci obrazy krwią tylko się mażą!  
Honor mój to rzecz święta, której, jak żrenicy,  
Nie dekalog, katechizm ani sądownicy,  
Lecz ja sam tylko strzegę i pewnie ustrzegę.  
Kto mnie łży, tego zmiążdżę, wroga czy kolegę.  
Doświadczył tego Niemiec, któremu raz dziennik  
Wziąłem w Halli z przed nosa. Zachnął się śledziennik  
I syknął: „*Hier zu Lande, mein Herr, ist es Sitte...*“

Tu pan Tłukomski Niemca słowa jadowite  
I swe własne w teutońskiej jał powtarzać mowie,  
Aż hrabia brzęknął dzwonkiem i lekko po głowie

Skrobiąc się, prośbę wyrzekł, by długiej powieści  
Nie kończył, lecz poprzestał na podaniu treści.  
„Mniejsza o to!” — rzekł rotmistrz — „Prowadzę do tego,  
Ze pojedynki w sobie nie mają nic złego.  
Owszem są wręcz potrzebne, bo budzą w narodzie  
Rycerskość, mszczą obelgi i są na przeszkodzie  
Rozrastaniu się buty nieznośnej zwierzchników  
Wobec zacnych, lecz rangą niższych urzędników.”

Po tym szorstkim wywodzie zawrzała dysputa.  
Sypnęły się przemowy, a każda nie snuta  
Z retorycznego motka, lecz w lot jakby rwana  
Z kądzieli, jędrna, krótka, bo nie obmyślana.  
Hrabia przeczył stanowczo, iżby hart w narodzie  
Zawdzięczał wzrost swój zgubnej pojedynków modzie  
I przytoczył, co niegdyś rzekł hetman Mielecki:  
Iż w bitwie nie ten przodem idzie syn szlachecki,  
Co najwięcej na dworze krzesze swą szabelką.

Pan Wrzeski wprost za zdrożność poczytał to  
wielką,  
Dla trzymania na wodzy biurokratów pychy  
Zezwalać na krwi rozlew i rzekł, iż człek lichy  
Pozostanie nim nadal, choć w szermierce krwawej  
Zmiecie tego, co dobrej odmówił mu sławy.  
Zaprzeczył temu zaraz pan Włodzki, zięć radcy,  
Twierdząc, że w stanach wyższych podley są dość  
radcy,

A przytem, że akt męstwa to kąpiel duchowa,  
W której odpada z duszy wszelka pleśń niezdrowa.  
Na to odparł znów hrabia, że poznał raz w Rzymie  
Barona, noszącego historyczne imię,  
Co grał w fałszywe karty a, rąbiąc się dzielnie,  
Niejednego na mecie już ranit śmiertelnie.

Po tych głosach doraźnych pierwszym, który mowę  
Miał dłuższą i w debatę wniósł poglądy nowe,  
Był łmci pan Chwalibóg Leszcz, dziedzic Zawory.  
Zrobiwszy dyspozycyą, jak czynią retory,

Rozwijał myśli swoje w porządku logicznym  
I krasił tekst raz poraz cytatem klasycznym.  
W pierwszej części oracyi zestawiał powody  
Przeciw pojedynkowi, który na narody  
Nowożytnie padł plagą, tak jak rdza na zboże,  
Obrażając ład państwa, rozum, prawo Boże.  
Przeszedłszy zaś do drugiej części swojej mowy,  
Zaczął nadspodziewanie gorącemi słowy  
Wykazywać, że jednak są zajścia niestety,  
W których trzeba do krwawej odwołać się mety.

„Ja sam“ — rzekł — „choć potępiam szermierki,  
otwarcie

Przyznam, że bez wahania biłbym się zażarcie  
Z każdym, coby mi uwiódł córkę albo żonę.  
Iście obywatelską ten zyska koronę,  
Kto środek na szermierki wymyśli, oreżne;  
Dotąd-bo paliatywy znam li niedoleżne“.

Słyszac o tej nagrodzie dziedzie Pomysłowa,  
Jak wiadomo, niezmiernie wynalazcza głowa,  
Powstał zaraz, by skreślić na prędce dziwacki  
Projekt jakowejś ligi anti-zabijackiej,  
Do której-by z urzędu wszyscy należeli,  
Co przez herb, stan lub mienie mają *jus duelli*,  
Płacąc składkę niewielką, w każdym-by powiecie  
Odbywali swe zjazdy, raz zimą, raz w lecie,  
By krzywdzących cześć cudzą — skazywać na grzywny  
I wyznaczać nagrody dla strony przeciwnej.

Wśród złośliwych uśmiechów nad pomysłem  
„dziarskim“

Równocześnie do głosu z panem radcą Barskim  
Podał się sędzia Ławski. Obaj ci panowie  
Dotąd z rozmysłem tamę kładli swej wymowie,  
Lecz każdy z innych przyczyn. Radca już z początku  
Miał zamiar palnąć mówkę i w pierw do jej wątku  
Gromadził pilnie nitki. Wielkiemi litery  
Zasmarował arkusza wszystkie strony cztery,



Kreśląc rdzenne wyrazy, z których, jak z nasionek,  
Miał wyrosć las okresów, lżejszych od koronek.

Sędzia Ławski natomiast, na wskroś pozytywny,  
Trzeźwy w swoich poglądach i mrzonkom przeciwny,  
Milezał zrazu, kodeksu spiżowej podstawy  
Nie czując dziś pod sobą, ani też ustawy,  
Na której paragrafach z biegłością artysty  
Grałby sąd jego jasny, jak szkło przezroczyste.  
Zżymał się także w duchu, że hrabia Leliwa,  
Nie trzymając się rzeczy, sam zerwał ogniwa  
Łańcucha, co wszech obrad jest regulatorem,  
Wskutek czego dyskusya błędnym poszła torem.  
Później wśród zwyciężej mowy Leszcza o swej todze  
Jurydycznej zapomniał i popuścił wodze  
Wraz z drugimi refleksyom społeczno-etycznym.  
W końcu, kiedy zobaczył, że nad fantastycznym  
Projektem zięcia radcy, jak sęp nad padliną  
Sarkazm rotmistrza krążył już z zatrutą śliną,  
Powstał z miejsca i zabrał głos do mowy walnej:

„Panowie!“ — rzekł — „Plan ligi jest niewy-  
konalny,

A jednak w jej podstawie tkwi zdrowa zasada!  
W niej tylko, zdaniem mojem, szukać dziś wypada  
Rozwiązania problemu, co lat sześćset z górą  
Pośpną nad ludzkością unosi się chmura.  
Czemuż, pytam, bezsilne są wszelkie zakazy  
Krwawych rozpraw? *Bo państwo, co każe obrazy,*  
*Nie jest właściwem forum w sprawach honorowych.*  
Cześć osobista, wzrosła na bagnach niezdrowych  
Ambicyi dżentelmeńskiej, to wstydlivy czulek,  
Co oschłych sądownictwa nie znosi formulek  
I, miast szukać u władzy obrony legalnej,  
Woli sam swe urazy mścić w sposób fatalny.  
Lecz dajmy mu skuteczną opiekę tej sfery,  
Co go rodzi, a jako dwa a dwa jest cztery,  
Sam się zrzecze odwetu, co nie jest nim wcale,  
Bo na ślepego trafu składanym jest szale.

„Ujmy cześć w klasach wyższych karać tylko może  
 Sąd równienników stanu, który o honorze  
 Takie same pojęcia mając, co i strony,  
 Najlepsze znajdzie kary i środki obrony.  
 Państwo nań przelać musi prawa dość szerokie,  
 By mógł skazywać winnych na grzywny wysokie,  
 Lub kilka lat fortecy, a karać infamią  
 Tych, co krzywdząc cześć cudzą, honor własny plamią.  
 Wolny od form, któremi ściśle ogrodzono  
 Procedurę sądową, *ex aequo et bono*,  
 Jako organ opinii publicznej legalny,  
 Każdą sprawę złatwi przez wyrok finalny.  
 By zaś miał sankcją władzy i ustrzegł się błędu,  
 W obradach przewodniczyć będzie mu z urzędu  
 Starszy sędzia, któremu Sąd wyższy powierzy  
 Skład trybunału z zgodą niedoszłych szermierzy.“

Gdy skończył sędzia Ławski te bystre wywody  
 I usiadł, głaszcząc jasny włos krótkiej swej brody,  
 Zerwał się hrabia z krzesła, by podaniem ręki  
 Najszczerze mu za mowę wyrazić podziękę  
 I rzekł: „Przez lat dwadzieścia pojedynków sprawę  
 Studyowałem, a jednak trafne i ciekawe  
 Projekty pańskie dla mnie są poglądem nowym.  
 Zda mi się, swym legalnym sądem honorowym  
 Rozwiązesz pan etyczną kwadraturę koła.  
 Niech cię wnet dobroczyńcą swym ludzkość obwoła!“

Wtem, założywszy na nos srebrne okulary  
 I krząknawszy dwukrotnie, powstał radea stary,  
 By uroczystym głosem powiedzieć: „Panowie!“  
 Nie przypuszczał nieborak, że mu na tem słowie  
 Cała się mówka niby na panewce spali,  
 Jak zaenemu Junoszy, co na każdej sali  
 Przy sejmiku wyborem, wiecowej obradzie,  
 Przy chrzcinach i weselu i wszelkiej biesiadzie  
 Tym samym swą oracyą zagajał wyrazem,  
 Po którym wśród słuchaczy za każdym się razem

Zwykła burza oklasków zrywać i dopóty  
Odradzać, aż umilknął mówca, brawem struty.

Tymczasem *speech* ów rady nie żadne oklaski,  
Ale huk straszny przerwał, co ścienne obrazki  
I szyby wstrząsł, że całe zebranie zdumiało,  
Pan Wrzeski zaś rzekł na głos: „A słowo się stało!”  
Poskoczono do okien, za którymi świsty  
Wściekły wyprawiał wicher wśród nocy gwiazdzistój.  
Lecz nie nie można było w ciemnym dojrzeć parku.  
Po chwili wpadł do salki gumieny z folwarku  
I zawołał do hrabi: „Lamus, Jaśnie Panie,  
Zawalił się od *chwinu*, a tuż niespodzianie  
I ogień w czeladnicy wybuchnął z ogniska,  
Iż się odeń wnet zajmie oficyna bliska!” —  
„Panowie wybaczyćcie“ — rzekł hrabia zmieszany —  
„Że zawiesimy sesyą, bo takie orkany  
Szybko roznoszą pożar, iż pałac wraz z siołem  
Mógłby wkrótce być groźnym ogarnion żywiołem.“

Za przykładem zacnego — domu gospodarza  
Wybiegli wszyscy goście w skok do korytarza,  
By, wdziawszy na się futra, płaszcze, haweloki,  
Na widownię wypadku podążyć bez zwłoki.  
O kilkanaście kroków w lewo od pałacu  
Frontem swym do elipsy zajezdnego placu,  
Obszyta latem pięknie w gąszcz dzikiego wina,  
Wznosiła się obszerna, stara oficyna.  
Szczytem do niej przylegał starszy jeszcze domek,  
Noszący mniej właściwie lamusa przydomek,  
W którym wielka się izba mieściła czeladna,  
A na piętrze stancyjka niebardzo paradna,  
Gdzie pan ochmistrz miał swoje Lary i Penaty.

Dom ten, choć murowany, pochylił się z laty,  
Których ze sto pięćdziesiąt dźwigał na swym grzbiecie.  
Dano mu więc podpory, ale i te przecie  
Spróchniały z biegiem czasu może w jednej ćwierci  
Grubości swej, aż wreszcie padł nań wyrok śmierci,

Który zaraz na wiosnę miał być wykonany.  
 Lecz skoro to zwietrzyły jesienne orkany,  
 Zaczęły nieboraka szarpać na wsze strony  
 I rozrywać bezwstydnie dach jego zgarbiony.  
 To też, gdy dziś nadleciał ów dziki uragan,  
 Porwał go w swoje szpony, niby nędzny stragan  
 I póty go podważał, bił, tłukł i szamotał  
 I świszcząc, wyjąc, rycząc, żebra mu druzgotał.  
 Aż staruch skołatany wpadł w śmiertelne dreszcze  
 I, wydając z swej piersi rzeźenie złowieszcze,  
 Jął się słać, zataczać, chwiać cielskiem zgrzybiałem  
 I w końcu z strasznym hukiem legł rumowisk wałem.

Zastękała głucho ziemia i na dziadka zwłoki  
 Zarzuciła litośnie, niby kwef szeroki,  
 Płaszcz kurzawy odwiecznej, czarnej, nieprzebitej,  
 Co się szybko aż w górne rozpotał błękity.  
 Niebawem żalobnego kwefu rąbek spodni  
 Jął się ślicznie wyzłacać, jak kraj nieba wschodni,  
 Gdy brzask wszędzie jutrzence hołd oddać uroczej.  
 Wraz w gruzach zaświeciły jakby wileze oczy.

Był to płomień ogniska, co od wieku, z rana  
 Zażegnany siarniczką, dzień cały polana  
 Lizał złotym językiem wśród kamiennej cieśni,  
 Prażąc strawę czeladną i dziwaczne pieśni,  
 Jak niańka, nucąc sennym saganom i tygłom —  
 Pokorny zawsze służka, dzięki silnym rygłom.  
 Teraz, gdy pękło jego odwieczne więzienie,  
 Wypelzł na świat — zdziwiony i przez noce cienie  
 Rezejrzawszy się szybko, gwałtownie oddycha,  
 Jak lew, który z swej klatki wylał się z cicha.  
 Za chwilę żre już krokwi zmurszałych zwałiska,  
 Lecz zarazem ku górze wzrok swój krwawy ciska,  
 Gdzie bal wydarty z ściany padł na mur sąsiedni  
 I pod dach oficyny pomost rzucił przedni.

Znęcony gontów także drewnianych widokiem,  
 Raz się płomień wydłuża, to znów przeży bokiem.

By dostać się na górę nagłym jak kot susem  
 I złocistym wierzeh domu wystroić obrusem.  
 Widząc jego zamiary wiatr, do usług skory,  
 Dmuchał w płachtę płomienną, aż z niej niby wiory  
 Sypnęły się dokoła ulotne gwiazdzice,  
 Jaskrawsze, niż ich ciche na niebie siostrzyce  
 I nuż zaczął w przestworze krążyć niby osy  
 I gromadnie na śnieżne drzew spuszczać się włosy.

Jedna z skier, ponad świetne wzbiwszy się  
 ognisko,  
 Zamiast bujać w eterze, leci całkiem nisko  
 I przysiada na bliskim dachu oficyny.  
 Inne pogasty szybko; ona, kolor siny  
 Przywdziawszy, starą deskę tnie i tnie wytrwale,  
 Aż jej wyrosły skrzydła, krwawe jak korale,  
 Które — już nie osa, lecz motyl wspaniały —  
 Obwiewa gont, by owoc brzoskwini dojrzwały.

Tymczasem na dziedzińcu ruch zakipiał żywy.  
 Wałącego się domu trzask i huk straszliwy  
 Wywabił wszystkich na dwór; gdy zaś okrzyk „gore!“  
 Zagrzmiał podle pałacu, zewsząd głosy skóre  
 Powtórzyły go w siole wielokrotnem echem  
 I, kto żyw, z gorączkowym pędził tam pospiechem.  
 W lamusie nikt nie zginął, bo losy łaskawe  
 Zdarzyły, że kucharka, zgotowawszy strawę,  
 Wyszła właśnie z czeladni, by dworskiej drużynie  
 Dać znak wieczery — dzwonkiem, co przy oficynie  
 Ze szczytu wiekiej żerdzi dnia obwieszczwał pory,  
 Dziś zaś ciągle na wietrze jęczał, jakby chory.

Sędziwy i poważny dom mieszkalny służby  
 Na widok zgonu druha i fatalnej wróżby,  
 Jaką mu wiał nad skronią ów motyl jaskrawy,  
 Złakł się i wnet niezwyklej echem zadrgnął wrzawy.  
 Przez drzwi i okna dolne w przestrachu panieznym  
 Tłumnie i z niepokojem zaczęły febrycznym  
 Uciekać z jego wnętrza szafy, łóżka, stoły  
 I z mniejszych sprzętów zgrają pościeli toboły.

Niebawem na dziedzińcu przy starym kasztanie  
W bezładnej się znalazły ciżbie niespodzianie,  
Niby gawieź uliczna, spłowiwały garnitur  
Mebelków staroświeckich mistrza od konfitur,  
Mniej wykwintne, lecz nowsze ogrodnika sprzęty  
(Rywale ich zazdrosne!) z skromnemi retenty  
Lokaja żonatego, strzelca, gorzelnika  
I z tapezanem niższego od wszystkich kucheika.  
Między owym chaosem gratów i rupieci  
Snuły się wystraszone niewiasty i dzieci,  
Łamiąc ręce i głośno zawodząc. Raz tylko  
Uśmiech krótką oblicza rozjaśnił im chwilką,  
Gdy pani kucharczyna, wręcz straciwszy głowę,  
Jęła oknem wyrzucać talerze swe nowe.

Rój gości pałacowych pod wodzą hrabiny  
Stał opodal wśród parku w tyłach oficyny,  
By chłonać płomiennego urok topieliska,  
W które się przemieniały płonące zwałiska.  
Pan hrabia zaś, niekontent, że rządca, pan Wende,  
Nie wrócił jeszcze z miasta, sam objął komendę,  
Kazał znosić bosaki, wodę brać z sadzawki  
I zrąbać drzwi zamknięte w szopie od sikawki.

I był też czas największy wystąpić do walki  
Z rozpasanym żywiołem, co w modre woalki  
Coraz więcej obwijał gontów i pod niemi  
Gryzł już w najlepsze kozły zębami złotemi.  
Szalejąca wichura, widząc cel dopięty,  
Przestawała ogniovi dodawać zachęty,  
Lecz nim odeszła całkiem, jak zdobywca dumny  
Chciała na wziętej twierdzy sztandar zatknąć szumny.  
Więc ostatkiem sił swoich dmuchnęła w wierzech domu,  
Który się zatrzęsł strasznie, jak pod młotem gromu.

W tej chwili część wiązania zapadła się  
z trzaskiem,  
A z płomiennej otchłani wstał z królewskim blaskiem  
Geniusz ognia, olbrzymiej postaci w szkarłacie,

W dyademie z zlocistych skier, w rozwianej szacie,  
Z rozpuszczonym dokoła włosem dymu czarnym,  
Z złowieszczym szumem skrzydeł, oddechem po-  
żarnym.

Wraz na powitanie jego ozwały się dzwony  
Z wieżycy starej fary, poważnemi tony  
Zwiastując siołu oraz dalszej okolicy  
Wstąpienie na tron syna jasnej błyskawicy.  
Toż i niebo młodemu monarsze nad głową  
Rozpięło w mig baldachim luną purpurową,  
A księżyc nań z za lasu rzucił swe promienie,  
Przynosząc mu od słońca bratnie pozdrowienie.

Rozwidniało od razu, jak w samo południe  
I krajobraz zimowy przemienił się cudnie  
W oświetleniu magicznem, niby odaliska,  
Co zdejmie z lic zasłonę. Wtem z za zgorzeliska  
Rozległ się okrzyk zgrozy, długi, przenikliwy,  
Bo z mroku się wychylił widok wprost straszliwy.  
Nad gruzami lamusa, który się w złowieszce  
Roztapiał morze ognia, z brzegu sterczał jeszcze  
Samotny wielkich blochów zrab dotąd nietknięty:  
Lecz już mu żar jaskrawy zaczął lizać pięty,  
Przytem bal, co go w górze łączył z oficyną,  
Także się wzdłuż powlekał barwą ognia siną.

Na tym zrębie wysoko, przyskrzyniona belką,  
Jakowaś postać ludzka na tle luny wielką  
Znaczyła się sylwetką, od blasku czerwona,  
Między niebem a ziemią luźnie zawieszona.  
Poznano ją niebawem. Był to Granat stary,  
Co w chwili katastrofy pewnie swe talary  
Chąc ratować, w kąciku komórki ukryte,  
Pomiędzy dwa podciągi wpadł, szturmem rozbite.  
Snać już oddawna wołał darennie pomocy,  
Niepostrzeżon wśród zgielku i pomroku nocny,  
Bo ledwie dosłyszalnym jęczał teraz głosem  
Z straszliwą zgrozą w twarzy, z rozezochronym  
włosem,

Drapieżnemu ptakowi podobny, co w sidła  
Wpadłszy, próżno nastrzępia bezsilne swe skrzydła

Wkrótce tętent się rozległ i, co koń wyskoczy,  
Wjechała na dziedziniec sikawka z uboczy,  
Pędząc poprzez trawniki z całym swym rynsztunkiem,  
By spiesznym oficyny zająć się ratunkiem.  
Lecz hrabia ją zawraca i wprzód każe straży  
Gasić płomień przy zrębie, nim się on rozżarzy  
I, tracąc równowagę, runie w dół z łaskotem,  
By ochmistrza pogrzebać w morzu ognia złotem.

Odetchły piersi wszystkich, gdy sikwa stanęła  
I skwapliwie do swego zabrała się dzieła.  
Jak olbrzymia szarańcza, w której barwach błyszczy,  
Przysunawszy się śmiało do palących zgłiszczy,  
Rozwija w pierw z odwłoku nóg ruchomych dwoje,  
Co się wciąż wydłużają, aż kończyny swoje  
Oparły o przerebłą pobliskiej sadzawki,  
By mnogie w nią zapuścić wiadra niby ssawki.  
Zaczerpnawszy żywotnej siły, zaraz zacznie  
Tułów i przednie nogi poruszać dziwacznie  
I wyprężyć swą szyję cienką, arecydługą,  
By znienacka obfita w ogień bryznąć strugą.  
Z upragnieniem czekają wszyscy owej chwili,  
Lecz szarańcza niestety daremnie się sili  
Promień wody z swej paszczy wypuścić potężny.  
Nie stać ją dziś na wylew choćby niedołężny,  
Bo z spękanej jej szyi, obwisłej i śliskiej,  
Setne drobnych rozmiarów biją wodotryski.

„Waż zepsuty!“ ktoś krzyknie; wraz wszyscy  
do koła

Powtarzają te słowa, smutnie sepiąc czoła;  
Z wyżyn zrębu zaś, który brał już blask złowrogi,  
Wyszedł jęk przejmujący rozpaczy i trwogi.  
Lecz wtem inny głos zabrzmiał, silny jak dźwięk trąby:  
„Do stu dębów! gdzie drabka? Kartacze i bomby!



Hej do mnie z nią co żywo!“ I w tejże się chwili  
 Z grona widzów na przodek widowni wychyli  
 Rosła postać mężczyzny w pysznej rogatywce  
 I w wołoszce z sznurami z barankiem w obszywee.  
 A nie był to nikt inny, jak kniaź mirotworski,  
 Epigon króla Stasia, Janusz Łościborski,  
 Co dotąd na probostwie grał z księdzem w pikietę  
 I czekał, aż mu hrabia wyrok przez sztafetę  
 Przysła, bo był ciekawy, czyli mu wypadnie  
 Strzelać się znów z Dorebą, czy pogodzić ładnie.

Niebawem przyniesiono z poza oficyny  
 Potężny jeszcze fragment złamanój drabiny.  
 Nasz junak, choć dwóch chłopców niosło go z mozołem,  
 Sam go, by piórko, porwał z rozjaśnionem czołem  
 I, zwolna podźwignąwszy aż pod lunę nieba,  
 Z rozmachem znacznie większym, niż było potrzeba,  
 Spuścił na zrab wyniosły tuż obok Granata,  
 Co drżał, jak winowajca, oddan w ręce kata.  
 Niestety zbawca jego natychmiast od drabki  
 Odskoczył, własne życie ratując z pułapki,  
 Bo blochy, nadwątlone od spodu płomieniem,  
 Osunęły się w miejscu ze złowieszczem drzeniem.  
 „Księdza, księdza!“ — zaczęto wołać: — „Niech Granata  
 Śpowiada, nim go straszna śmierć zmiecie ze świata.“

Jeden tylko Doreba został przy drabinie,  
 Nieprzytomny i cichy, bo w ducha głębinie  
 Olbrzymi zamiar ważył, co o jego bycie  
 Miał rozstrzygać, gdyż w szale włożył śmierć i życie.  
 Jeszcze się moment waha, wtem ponurem okiem  
 Spotkał się ze spojrzeniem Granata głębokiem  
 I posłyszał jakoby w duszy głos tajemny:  
 „Ratuj tego, co klucz zna zagadki twój ciemnej.“  
 W twój chwili płaszc swój zrzucił, podniósł topór  
 z ziemi  
 I ruszył ku drabinie krokami pewnemi.  
 Dokoła szmer się rozległ zdumienia i trwogi,  
 Lecz młodzian, nie zważając na głośne przestrogi,

Idzie zwolna pod górę, a nim szczebla dotknie,  
Próbuje wpierw ostrożnie, czyli się nie potknie.  
Wraz poklekną niewiasty i słowa pacierza  
Zaczną zmawiać pod wodzą swego dusz pasterza.  
Lecz gdy zuch był u szczytu i w blasków czerwieni  
Wzniosłą postacią zawisł nad morzem płomieni,  
Ucichły mimowiednie modlitwy gorące,  
A wszyscy wkrąg źrenice przykuli doń skrzące.  
Nastąpiła taka cisza, iż serc uderzenia  
Możnaby prawie słyszeć wśród rzeszy milczenia,  
Gdyby nie trzask złowrogi ognia, co wytrwale  
Żarł od dołu sterczące podciągi i bale.

Młodzian, nie tracąc czasu, objął starca dłonią  
I zaczął rąbać belkę tuż nad jego skronią.  
Chwieje się drabka z zrębem, lecz po małej chwili  
Trzon topora szczęśliwie do reszty rozehyli  
Belkę i bloch, co z posad wyparte orkanem  
Uwięziły Granata z ramieniem strzaskanem.  
Bacznie z starcem po drabce Lucyana teraz schodzi  
I już się szmer radosny w pośród rzeszy rodzi,  
Bo obydwóch od ziemi li dwa szczeble dziela,  
Gdy wtem coś załomoce nad ognia topiela  
I zwolna sterta krokwi i olbrzymich bali  
Runie, zazdroszcząc siostronom szkarlatu korali.

Hej! jak ją czule chwyta w objęcia ognisko,  
Na cześć jej dżdżu złotego wydając igrzysko  
I nucąc ponad uchem jakiś rapsod dziki  
W takt marsza weselnego piekielnej muzyki,  
Od którego złom drabki w ogniu dostał dreszczy!  
Ale pieśń tę przygłuszył krzyk straszny, złowieszczy,  
Który podniosła rzesza, gdy z ochmistrem młodzian  
Spadł na ziemię, w płaszczy dymnej kurzawy przy-  
odzian.

Piorunem na ratunek skoczono, by obu  
Wyrwać z paszczy rozwartej ognistego grobu.

Lucyana, który leżał przywalony tramem,  
Dźwignął w mig z pośród zwalisk Janusz wraz  
z Adamem,

By go nieść do pałacu. Cała kalwakata  
Dam i panów ruszyła w ślad ich, wielbiąc chwata,  
Co, straciwszy przytomność, zwiśł śmiertelnie blady,  
Na skroni swej — krwi mając rubinowe ślady.  
Hrabianka przestraszona szła tuż przy młodzieńcu,  
Co w świeżym bohaterstwa jaśniał teraz wieńcu,  
Wciąż z najwyższem współczuciem w czarnej swej  
żrenicy

Patrząc w piękną twarz jego. Lecz obok dziewicy,  
Sciskając dłoń jej silnie, inna postać jeszcze  
Kroczyła nieprzytomna, blada, którą dreszcze  
Wstrząsały, ilekrotnie na rannego z boku  
Spojrzała, jasny brylant w szklanem tając oku.

Nagle w bramie zabrzmiały ostre dzwonka tony  
I pochodnia rzuciła słup światła czerwony ;  
Potem wjechał wehikuł dziwny, fantastyczny,  
Pełen czarnych postaci, rozbrzęk ustawiczny  
Siejąc w okół i lunę ciskając ku niebu,  
Chyży jak ptak, ponury jak rydwan z Erebu.  
Gdy wkrótce przed nieszczęsną stanął oficyną,  
Której dach już w połowie był ognia dziedziną,  
Lekko z niego zeskoczył wódz straży pożarnej,  
Przestojny, w lśniących butach, wąs muskając czarny.

Wraz zagrzmiała komenda krótka, piorunowa,  
Której koloratura wybitnie nosowa,  
Właściwa synom Marsa z sztabu armii pruskiej,  
Zdradziła, że ją wydał załodze powózki  
Pan Zefiryn Cieciorka, inspektor Chwalina,  
Co to się sam tytułu rządcy dopomina.  
Niebawem mąż ten dzielny posągiem na dachu  
Wyrosł i czarne ślepki mrużąc, próżen strachu,  
O kilka tylko kroków spojrział oko w oko  
Płomieniowi, co sztandar złoty wzniosł wysoko

I, postępując naprzód, chciał za moment właśnie  
Shoidować resztę dachu i wywieść na jaśnie.

Hej! jak się zżymnął mocarz na widok szaleńca,  
Co mu plocho zwycięscy pozazdrościł wieńca!  
Sycząc strasznie i ziejąc pożarnym oddechem,  
Rzucił ku niemu chustę ognistą z pospiechem,  
Iż nasz zuch wstecz się cofnął aż za mur komina:  
Lecz nie myśli ustąpić. Owszem jego mina  
Zdradza dobrą otuchę, bo dłoń jego dzierży  
Białą żmiję, co ogień swą pianą uśmierzy.  
Jakoż za małą chwilę trysnął z jej gardzieli  
Wesoły promień wody ku ognia topieli,  
I wysoko nad ziemią wśród nieba pożogi  
Zetknęły się ze sobą dwa odwieczne wrogi.

Wraz zakipiał bój wściekły pomiędzy żywiołem,  
Co, stargawszy kajdany, dumnie wstrząsał czołem,  
A przeciwniczką jego, dotąd wierną panu,  
Którą człek swym przemysłem zaprzął do rydwanu.  
Gryzą się, syczą, warczą straszni zapaśnicy;  
A córa chmur, wciąż dławiąc syna błyskawicy,  
Wydziera zeń, jak włosy, czarne dymu kity,  
Gdy on z niej białe strzępy śle parą w błękity.

Wnet przecie woda bierze górę nad płomieniem,  
Bo przezorny wódz straży silnym jej promieniem  
Nie bije w żar na oślep, ale, piędz po piędzi,  
Zdobywa pas od jednej do drugiej krawędzi.  
Wstrzymany został ognia pochód tryumfalny,  
Lecz daleko Cieciorce do wygranej walnej.  
To też z radości białe aż pokazał zęby,  
Gdy mu pomoc nadeszła z Pszczółek i z Potręby.  
Z trzech stron wzięto natychmiast najezdce w obroty,  
Iż niebawem królewski płaszcz swój zwinął złoty  
I, tchórzając, jał się chronić w popiół i szczeliny  
Bez szkarlatu rumieńca, pożółkły i siny.

Goście tymczasem w sali siedli do wieczerzy,  
Między nimi i Janusz, choć w zwykłej odzieży,  
Gdyż hrabia go zatrzymał, by pełnym puharem  
Uczcić obu młodzieńców wsławionych pożarem.  
Główny bohater przecie nie przyszedł na salę,  
Chociaż mu z czoła krwawe obmyto korale,  
Bo nie mógł powstać z łoża, odniósłszy od belki  
Obrzęk na prawej nodze silny i dość wielki.

Kiedy znów sąd prześwietny po sutej biesiadzie  
Znalazł się w swojej salce, by długiej naradzie  
Dać w wyroku konkluzją zwięzłą, namacalną,  
Przedłużyły się twarze elipsą fatalną,  
Bo rzecz, co w pierw dla wszystkich świeżość pączka  
miała,

Straciła już swój powab, jak bulka szczerstwiała.  
Nawet radca, przy stole wzniołszy jakieś zdrowie,  
Nie miał teraz ochoty w dłuższej znowu mowie  
Błyszczeć swadą, ponieważ, gdy żołądek trawi,  
I mózg się nierad w trudne zaciekania bawi.  
Szczęściem hrabia waśń całą w jednym ubił zdaniu.  
„Panowie!“ — rzekł — „jawnemu stron już pojednaniu  
Dajmy sankcyą, stanowiąc, że porywcze słowa  
Każda z nich cofnie, poczem i zgoda gotowa.“

Sarkastyczny pan rotmistrz nie chciał przystać  
na to

I zaczął się rozwodzić nad subtelną szatą  
Honoru, której plam się nie pierze mydełkiem.  
Lecz nikt go już nie słuchał. Siadł zgłuszony  
zgiełkiem

Kolegów, którzy, grupy tworząc w koło stołu,  
Bezladnie prawie wszyscy mówili pospołu.

Wtenczas sędzia wziął pióro i nad swym  
papierem  
Jął z dziwną wprawą machać, jak fechtmistrz  
rapierem,

By za pięć minut wyrok odczytać gotowy,  
Co w prawną ubrał formę wniosek hrabi zdrowy.  
Przyjęto go natychmiast z wyjątkiem nagłówka,  
Bo sędzia mimowiednie, jak stara wierzchówka,  
Co przy pługu chce z dawnym kroczyć jeszcze szykiem,  
Napisał: „W imię króla.“ — lecz zaraz nożykiem  
Oczyścił wyrok z błędu, niby bukiet z zielska,  
A „króla“ zastąpiła „cześć obywatelska.“

---

## Pieśń VIII.

### Stara powieść.

Minęły trzy tygodnie. W pana radcy dworze  
Nastąpiła znowu cisza, jak w sennym klasztorze,  
Bo rój wesółych gości dawno frunął sobie,  
A potem i młodź szkolna w grubój serce żalobie  
Rzuciła kapuańskie rozkosze Chwalina;  
W końcu i zacny radca ruszył do Berlina,  
Aby zasiąść na sejmie. Za to w Srebrnolaskach  
Został jeszcze ślad pewien po świątecznych blaskach  
W romantycznój osobie Doręby Lucyana,  
Którego wśród pałacu uwięziła rana.

Po kilku dniach już łoże z indultem lekarza  
Opuścił błądy pacjent, ufny w moc bandaża,  
I, w hrabiego chałacie złożon na leżance,  
Trawił czas na czytaniu lub na pogadance.  
Zacny bowiem Leliwa, spełniając sumiennie  
Gospodarską powinność, dwa razy codziennie  
Zachodził do przestronnej chorego komnaty  
(Na pierwszem pałacowój piętrze facyaty),  
By z światłym architektem problemy nauki  
Lub zagadki omawiać drogićj sercu sztuki.  
Skromność i delikatność niezmierna młodzieńca  
I prawość, co jak wstęga z pośród kwiatów wieńca  
Przebijała ze wszystkich słów i czynów jego,  
Chwytały nadzwyczajnie za serce hrabiego.

Nie mniej i młody Mieczek, domniemany dziedzic  
Srebrnolasek i Kotar, Roztoki i Niedzie,  
Bywał dość częstym gościem w Lucyana kwaterze.  
By mu przynosić książki i gazety świeże;  
Później, by grać z nim w szachy, a gdy zbył się żony,  
By gwarzyć o poezyi i słuchać oceny  
Przeczytanych powieści i z młodzieńczym żarem  
Unosić się nad Lillą, albo Alkhadarem.

Dam obu naturalnie nie widywał chory,  
Lecz bliskość panny domu w ranki i wieczory  
Odczuwał nader mile w dźwiękach fortepianu,  
A częściej jeszcze w ślicznych kaskadach sopranu,  
Którym włoskie śpiewała z oper kawatiny,  
Lub uroczą pieśń swojską o losach kaliny,  
Bo hrabianka, co nieraz ku zmartwieniu mamy  
Całemi tygodniami grała tylko gamy,  
Obecnie, czy z fantazyi, czy przez traf szczęśliwy,  
Skrzętnie jeła uprawiać zaniedbane niwy  
Muzyki pensyonarskiej, by wszystkie z kolei  
Popisowe swe sztuki, jak róg Amaltei,  
Rozsypywać i pieśni swojskie, ale cudne,  
Lub biegle obce arye śpiewać nie zbyt trudne.

Także i dwie doniczki z pachnącemi kwiaty,  
Przysyłane co tydzień z cieplarni bogatěj,  
Co stała pod zarządem panny Izabeli.  
Szeptaly Lucyanowi o smukłej gazeli  
Z przesłicznym, drobnym noskiem i żrenicą czarną,  
W której figlarny chochlik skrą migał pożarną.

Ilekroć przecie młodzian wśród zadumy senněj  
Puścił myśli samopas, wnet inny promienny  
Wykwitał przed nim obraz Rusalki czarowněj,  
Której oko, jak bursztyn ciemny a klarowny,  
Nie sypało skier tyle, lecz, pełne słodyczy,  
Wraz z ciepłem urok siało luby, tajemniczy.  
Patrzając w owo widzenie, zwykł rozkosznie marzyć  
I wspomnień lazurowych girlandy kojarzyć



Z tęczami trwoźnych pragnień i nadziei zorzą,  
 Póki chmury nie zaszyły na twarz lubej hożą  
 I długich przymrużonych rzęs smutna pomroka  
 Nie zakryła doszczętnie błyskawic jej oka.

Wtedy na pierś posepnie Lucyan zwieszał głowę,  
 By wciąż przeżuwać myśli gorzkie, piołunowe  
 I pytać się nieśmiało, czy nie lepiej z duszy  
 Wyrwać zawczasu obraz sprawczyni katuszy.  
 A jednak dzisiaj z rana wszakże z za firanki  
 Ukradkiem swą lunetę na chwalińskie sanki  
 Przed kościołem skierował, by z blaskiem w źrenicy  
 I biciem serca dumnej w nich szukać dziewicy.  
 Lecz daremnie! Więc teraz myślał od godziny,  
 Dla czego na mszy świętej nie było Celiney  
 Mimo dnia świątecznego. Wtem usłyszał szmery  
 W korytarzu i wkrótce z poza portyery  
 Wybłysnęło oblicze konsyliarza znane,  
 Który przybył, jak zwykle, opatrzyć mu ranę.  
 Znalazł go w takim stanie, że mu dziś na świeże  
 Pozwolił wyjść powietrze, byle na spacerze  
 Szedł drobnym, wolnym krokiem i na silnej lasce  
 Wspierał się, chroniąc nogę w bandażów opasce.

Skończywszy opatrunek, doktor Atanazy  
 Nie spieszył się z odejściem, lecz ściennie obrazy  
 Bacznie niby oglądał, potem siadł za stołem  
 I, modre dymu chmury niecąc ponad czołem,  
 Jął od czasu do czasu niespokojnym wzrokiem  
 Obrzucać pacyenta, wciąż mrugając okiem.  
 „Cóż u licha, mój Nastku? Co się tobie stało?“ —  
 Rzecz Lucyan wesoło. — „No, gadajże śmiało!  
 Nie umiem, jak ty, w cudze zaglądać czerepy,  
 Lecz, że coś masz na sercu, dojrzałby i ślepy.“ —

„Aha! mam coś na sercu!“ — wraz doktor ode-  
 prze. —

„Więc już wyobrażenie o mnie teraz lepsze

Zdajesz się mieć, niż ongi w Lipsku, gdy — pamiętasz —

Powiedziałeś, że serce me to stary cmentarz,  
W którym wygasłych uczuć ciche trumny leżą,  
Lub że to prosty mięsień, co krew pędzi świeżą.  
I dla czego? że byłem zimny, obojętny  
Na westchnienia — pamiętasz — Lizetki ponętnej,  
Co mi w zastępstwie matki przynosiła kawę,  
Czule do mnie zwracając oczki nieraz łzawe.

„Lecz cóż? Jam twardy Polak! więc do cudzo-  
ziemek

Nie mogłem się przekonać, najmniej zaś do Niemek.  
Ale Polki, mój drogi, są z przedniejszej mąki!  
Poczekaj! Wpływ twej długiej z ojczyzną rozłąki  
Zatarł w umyśle twoim uczucia wrażliwość.  
Lecz, gdy posiedzisz w kraju, wróci dawna tklivość.  
Wtedy poznasz, że Polka to krew a nie woda  
I, jak ci wpadnie w serce, to twa dusza młoda  
Ognistym spłonie żarem i w dreszczach przyjemnych  
Wraz się dobijać zacznie afektów wzajemnych.“ —

„Brawo, brawo, mój Nastku!“ — Lucyan z śmiechem  
rzecze —

„Wymowa twa zdradziła, że już ciebie piecze  
Jakiś afekt siarczasty. Lecz powiedz, mój drogi,  
Czy już targu dobiełeś u swojej niebogi?“

Na to zacny eskulap poczerwieniał nieco  
i, zdjawszy okulary, drobną, półkobietą  
Jął je przecierać dłonią, potem rzekł: „Dalipan!  
Tyś zgadł, bracie, bo świeżo przekrasny tulipan  
Wykwitł na cmentarzysku mego serca, cudną  
Szerząc w niem woń nadziei, choć może uludną.  
Przed ośmiu tygodniami poznałem dziewczę,  
Co zaraz w pierś mi dziwną rzuciła tęsknicę:  
A dzisiaj, gdym ją ujrzał w negliżu ponętym,  
Rozgorzałem na miejscu płomieniem namiętym.

Ach! ty znasz ją, Lucyanie. Domyślasz się pewnie, Iż to o pannie Barskiej kwilę ci tak rzewnie.“ —

„Pannie Barskiej? mów, której?“ — odrzeczę młodzieniec,

Gdy mu żywy na lica wytrysnął rumieniec.

— „No, czy może przypuszczasz, o pannie Helenie?

Nie, nie! ja tę Minerwę dość wysoko cenię,

Lecz przy niej nie doznaję żadnych dreszczów  
w łonie.

Nazbyt mi ona trzeźwa, a chociaż nie bronię

Uczoności kobiecie, nawet młodej, ale

Niech łaciny przez ustek nie puszcza korale,

Bo się łatwo ośmieszysz. Tak na przykład wczora

Rzekała z pretensją: „*Musis amicat Aurora*“.

„O nie! Wybranką moją jest panna Celina,

Uroczą jak sielanka, świeżą jak malina,

Coby mogła swym wdziękiem natchnąć i poetę,

Bo ma *das ewig Weibliche*, jak powiedział Goethe.

Od tygodnia ją leczę, a gdy dziś w południe

Ujrzałem ją w czepeczku, zrumienioną cudnie,

To mi serce zabiło jak młot. Na pościeli

Leżała w swej alkwowie cała w śnieżnej bieli.

Z poza czepeczka tylko ciemnych włosów sploty

Wyzierały wstydliwie; misterne zaboty

Nocnej bluzki jej drżały przyspieszonym tętnem,

Kiedym puls jej w poważnem, niby obojętnem

Milezeniu zaczął badać. — Ach, drogi Lucyanie!

Cóż cię może obchodzi moje zakochanie?

Lecz ja nie bez przyczyny tobie się spowiadam.

Wielką do ciebie prośbę mam. W twe ręce składam

Losy mojej miłości. Nie wzywam na swata,

Lecz błagam, byś ostrożnie wybadał jej brata,

Czyli ja, nieherbowy, mogę mieć nadzieję,

Iż pan radca mnie zaraz z góry nie wysmieje,

A radczyni w też tropy gwoli czarnobrewki

Nie zastawi mi czarnej z despektem polewki“. —

Lucyan słysząc te słowa, na twarzy się mienił,  
To bladł jak wosk, to znowu jak mak się rumienił,  
Wstawał ze swgo siedzenia i po chwili siadał,  
Chciał niby coś powiedzieć, ale nic nie gadał,  
Iż doktor, uderzony dziwnemi symptomami,  
Wypadł z roli kochanka i dobrze znajomy  
Zrobił gest, by druhowi zbadać puls u dłoni.  
Wtedy Lucyan otrzeźwiał; rękoma po skroni  
Bijąc się, zaczął na głos śmiać się spazmatycznie  
I wołać wśród przestanków: „To paradnie, ślicznie!  
Niech cie za to wyściskam, bracie Atanazy!“  
Gdy ten zaś z lekkim w głosie odcieniem urazy  
Ją pytał, co to znaczy? Lucyan śmiał się dalej,  
Wołając: „Na Szekspira! Niech cię woda spali!  
Co za pyszny materyał na jędrne sonety!  
Tybalt w swaty Romea ślać chce do Juliety!“ —

„Jak to?“ — ozwie się doktor i wytrzeszcza oczy  
W zamyśleniu, a potem srodze się zamroczy  
I, nie mówiąc już słowa, siada znów za stołem,  
By, oburącz podparty, spleść dłonie nad czołem.  
Wraz Lucyan, ochłonawszy z paroksyzmu śmiechu,  
Zacznie mu prawić: „Bracie, wiedz, bez cienia grzechu  
Mogę tobie odmówić. Kto nie ośm tygodni,  
Lecz tyle lat ją kochał, i to nie najchłodniej,  
Ten jęj w lot na ołtarzu nie złoży przyjaźni,  
Iżby w posadach własnej swej nie zachwiał jaźni.

„Lecz uspokój się, wrogu i druhu niedoli!  
Do strzelania nie przyjdzie! Bez herbu i roli,  
Nie my ślać będziem swaty do wróżki Chwalina.  
Zdradna to czarodziejka ta panna Celina!  
Pókim wzdychał z daleka, była dla mnie grzeczną,  
Lecz, gdym się zwierzył bratu przed mą niebezpieczną  
Imprezą, już na śmiałka i patrzeć nie raczy.  
Za to zacna mamunia, — niech jej Bóg wybaczy! —  
Takie na mnie spojrzenia wciąż rzuca surowe,  
Że mógłbym od nich uschnąć jak drzewo figowe.

Dziarską czwórką ze strzelcem niegħ jedzie w konkury,  
Kto chce wieść do ołtarza cnej radczyni córy.“ —

„Co? dziarską czwórką z strzelcem?“ — wraz  
doktór zawoła. —

„Ha, ha! ja w ciemię bity! Toż prosto z kościoła  
Przed tygodniem tak jechał ów zuch do Chwalina.  
Co chciał się z tobą strzelać. Jakaż to przyczyna  
Była waszej rozterki? Wydarcie chusteczki?

Fi, fi! Nie ten był powód honorowej sprzeczki!  
On instynktem — rywala w tobie przeczuł pewnie,  
A obecnie sam naszej hołd składa królownie.“

Teraz Lucyan gwałtownie, jakby sparzon warem,  
Powstał mimo bandaża i błyszczące żarem  
Oczy swe w przyjaciela skierował oblicze.  
Obaj przez chwilę niemi stali, tajemnicze  
W twarzach swych mając głoski błyskawicznych  
myśli,

Jakie Baltazarowe przerażenie kręśli.

Wtem zapukał ktoś do drzwi, poczem do komnaty  
Wszedł ochmistrz, by doktora do rybackiej chaty  
Zawezwać jak najspieszniej, gdzie maleńkie dziecię  
Udławiło się jakiejś wędrowniej kobiecie.  
Zborowicz wybiegł zaraz, ochmistrz zaś sędziwy  
Pozostał, na Lucyanie wzrok wieszając tkliwy.

Młodzian, który, w Januszu ujrzawszy rywala,  
W momencie się był wzburzył, czuł, że gniewu fala  
Równie szybko odpływa, aby miejsca innej  
Ustąpić zaraz fali silnej, choć niewinnej,  
Wzruszenia psychicznego. Widząc twarz Granata  
Wybladłą i pomiętą, jak podróżna szata,  
Z wyrazem jakimś obcym, bez śladu sarkazmu,  
Z piętnem skruchy, z cechami starczego marazmu,  
Zadrżał na całym ciele, bo odgadł w tej chwili,  
Że się w żywocie jego coś teraz przesili,  
Że stara, niezgłębiona rodu tajemnica  
Niebawem mu odsłoni zakwefione lica.

Rzeczę więc do Granata głuchym nieco głosem:  
„Co widzę? wszak tym samym, co ja, tknięty losem,  
Pan ochmistrz pierwej z łoża wybrnął. A czy ramię  
Boli jeszcze? czy duże zostanie w niem znamię?”

„Wybawco mój szlachetny!” — starzec z płaczem jęknie —

„Przyjm pokorne me dzięki. Nie umiem ja pięknie  
Słów dobierać, lecz wołam w głos: Niech ci sowicie  
Bóg zapłaci, żeś panie, ocalił mi życie.“ —

Wraz, ukłękawszy, ochmistrz tuż u stóp Lucyana,  
Jął mu łzami oblewać i ścisnąć kolana.

I nie chciał wstać, choć młodzian podnosił go z ziemi.

„Ach, pozwól, panie!” — jęczał. — „Pod stopami  
twemi

Miejsce me, póki ciężkiej swej nie wyznam winy.“ —

„Jakiej winy?” — ten szepnął: — „Ach, panie jedyny!

Jam cię odarł z nazwiska, rodziny i mienia!”

Tu ryknął takim płaczem Granat, że z wruszenia  
Niemal zemdlął; więc Lucyana podniósł i w fotelu  
Posadził go przemocą i po prośbach wielu  
Nakłonił do wypicia lampeczki węgryna.

Gdy otrzeźwiał cokolwiek nędzny starowina.

Zaczął szeptać po cichu: „Mój anielski panie!

Musiąło, oj! musiąło to grzechu wyznanie

Wyjść tak ciężko z mej piersi, bom je dławiał w sobie

Lat dwadzieścia pięć z górą i pewniebym w grobie

Spoczął z mą tajemnicą, gdyby nie straszliwy

Ten ogień, gdzieś o mało nie upiekł się żywy.

O Jezu! Gdy nań wspomnę, krew się we mnie ścina

I włos znów dębem staje. Okropna godzina,

W której piekło pod sobą widziałem w płomieniu,

I w głos mnie już wołali czarci po imieniu!

„Gdyś pan mnie na dół znosił z strasznej szubienicy,

Westchnąłem znów do nieba i świętej Dziewicy

Przysiągłem, że grzech wyznam przed panem i sądem  
I oczyszczę mą duszę pokalaną trądem.  
Nie wiem tylko, jak zacząć, bo to gadka długa,  
A jam nie jest uczały, tylko prosty sługa.“

Tu zamilkł stary Granat i przez krótką chwilę  
Palce swoje kościste, chude jak badyle,  
Jął przesuwać po czole, jak gdyby chciał zrobić  
Ład w myślach i powieści watek przysposobić.  
Wreszcie tak ją rozpoczął: „W wielkiej naszej sali  
Pewnieś pan widział portret hrabianki Rozalii;  
Wisi on przy zegarze i czarne z hebanu  
Ma ramy. Twarz podobna, mówią, Jaśniepanu.  
To siostra pana hrabi. Lat trzydzieści kilka  
Patrzałem w nią, ja nędznik, dzikim wzrokiem wilka.  
O! bo straszną mi krzywdę piękna ta panienska  
Wyrządziła przed laty. Dziś mi już nie pęka  
Serce z żalu, gdy wspomnę na owe zdarzenia;  
Lecz dawniej...“ — Nie dokończył i brak wyrażenia  
Nagrodził starzec gestem, potem rzekł:

„We dworze

Chowała się od dziecka Marta, dziewczę hoże,  
Mleczna siostra panienski, zabaw ukochana  
Towarzyszka, a potem jej garderobiana.  
Choć córka prostej chłopki, trochę moja krewna,  
Była tak delikatna, jak jaka królowna.  
Wysoka, biała, pulchna, smukła jak leszczyna,  
Zgrabna w ruchach, jak kotka, śliczna ta dziewczyna,  
Ubrana zawsze ładnie w suknie od hrabianki,  
Cmila urodą wszystkie w sąsiedztwie szlachciancei.

Toż nie dziw, drogi panie, żem ja, chłopak krewki,  
Zgubił w niej wkrótce serce. Lecz wzrok czarnobrewki  
Sięgał wyżej nad kredens i kamerdynerem  
Wzgardziła, gdy mi się zdradził z uczuciem swem szczerem.  
Twardą przecie naturę mając, za wygranę  
Nie dałem i niebawem dobrze obmyślane  
Rozpocząłem starania wobec niej i matki,  
By się powoli w łaski wkraść arystokratki.

Jakoż za czasem zmiećła. A gdym przywiózł z Francyi  
 Z podróży mej z paniczem trochę elegancyi,  
 Gdym jał o obcych krajach dziwy prawie różne,  
 Opowiadać figielki, przygody podróżne,  
 Sypać francuskie słówka i brząkać w talarki,  
 A matce coraz sutsze w dom znosić podarki,  
 Zgodziła się nareszcie przyjąc mój pierścionek.  
 Jam aż szalał z radości, raźnie jak skowronek  
 Wyśpiewywał i tańczył, bo miałem złudzenie,  
 Że z zaklętą z powiastki księżniczką się żenię.

Niestety, cios mnie wkrótce miał spotkać straszliwy!  
 Kiedym z drugiej podróży wrócił i szczęśliwy  
 Chciał oznaczyć dzień ślubu, Marta bez przyczyny  
 Zerwała nagle ze mną. Od matki dziewczyny  
 Wydobyłem, że córkę hrabianka mi skrycie  
 Odmówiła dla tego, że złe wiodę życie,  
 Że mam chytry charakter i mściwy nad miarę.  
 Raz-bo sama widziała, jak pieska za karę,  
 Iż mnie ugryzł, goniłem przez rowy i głogi,  
 Póki martwy pod kijem nie legł u méj nogi.  
 Próbowałem znów nici nawiązać stargane.  
 Lecz na to, by jedynie zakrwawić swą ranę:  
 Bo gdy dwakroć już celu miałem dopięć prawie,  
 Hrabianka grę zepsuła, szkodząc mojej sławie.

Chodziłem zły jak szerszeń, zwłaszcza gdy z mia-  
 steczka

Jał zabiegać o Martę jakiś tłomacz Skrzeczka.  
 Raz zrobiłem jój o to w garderobie scenę,  
 By jój zmierzić pisarka za jaką bądź cenę.  
 Lecz wtem weszła hrabianka i ostremi słowy  
 Rzeka, bym sobie Martkę raz już wybił z głowy.  
 Gdy ta w wieczór ów z Skrzeczką zmieniła pierścionki,  
 Powiesiłem się w nocy na szczycie jabłonki,  
 Co w okna garderoby zaziera, by z rana  
 Ujrzała mnie wisielcem moja ukochana.  
 Lecz powróż był za słaby; urwałem się z drzewa  
 I spadłem, a złamana noga moja lewa



Z myśli mnie samobójczych wyleczyła bólem.

Wtedy chwycił garść piasku i przed piekiet  
królem

Poprzysiągłem do grobu ścigać zemstą krwawą  
Tę, co mi lubę moją wydarła wraz z sławą.  
I dotrzymałem ślubu. Odtąd bo hrabianka  
Nieraz dla mnie lzy lała. Tak pewnego ranka  
Znalazła wszystkie kwiaty przy świętej figurze,  
Które sama sadziła, zdeptane, a róże  
Podcięte przy korzeniu. Później ktoś jej z klatki  
Wypuścił oswojone dwie śliczne dzierlatki.  
Innego razu kotek, faworyt jej wielki,  
Pływał martwy w sadzawce. Ale te figielki  
Nie zgasiły mej zemsty, co ją chciała w duszę  
Ugodzić i w podobne mym wtrącić katusze.  
Sądziłem, że ku temu nadarzy się pora,  
Gdy hrabia Rokosowski z Leśnego Kaszczora  
Zaczął do niej zajeżdżać. Lecz panna hrabianka  
Odrzekła, że ślubnego nie splecie dlań wianka,  
Zaczem panicz wyjechał, aby z zagranicy  
Powrócić za lat kilka jako ksiądz Symplicy.

Wkrótcem i ja toholki z bratem pauny Róży,  
Młodym hrabią Arturem, do włoskiej podróży  
Musiał wiązać. Dość długo po pięknym tym kraju  
Jeździliśmy, wciąż żyjąc wesoło jak w rajach.  
Jedną mi tylko wówczas myśl trapiła skrycie,  
Że nie mogę hrabiance jadu wlewać w życie.  
Dopiero w Neapolu chwila pożądana  
Zawitała, gdy z domu list nadszedł do pana  
Z króciutkiem doniesieniem, że siostra po słowie  
Z panem Wiktorem Wrzeskim i że ślub w połowie  
Następnego miesiąca odbędzie się cicho.  
Myślałem, że na wieść tę w pana jakieś лихо  
Strzeliło, bo jak burak poczerwieniał cały:  
Zaczął się trząść by w febrze, a oczy ciskały  
Nie iskry, ale raczej straszne błyskawice.

Jam od razu zrozumiał gniewu tajemnicę,  
Bom wiedział, że pan doktor Wrzeski, pierworodny  
Syn właściciela Wrzosów, człowiek zresztą godny,  
Był wielce memu panu wstrętnym już od młodu.  
Przytem świeżemu hrabi, choć z starego rodu,  
Wydawało się, jak mówił, wielkim dyshonorem  
Mieć za szwagra szlachetkę, który był doktorem.  
Wnet pan Artur okazał, że Pioruna miano  
Słusznie mu jeszcze w szkołach, jak pomnę, nadano.  
Nie tracąc bowiem czasu, w tejże samej chwili  
Kazał rzeczy w nadmorskiej swej spakować wili,  
A niebawem przy lunie gorejącej góry  
Cwałem z miasta nasz pojazd ruszył w mrok ponury.  
Dniem i nocą przez Włochy prawie bez wytchnienia  
Pędziliśmy z powrotem, iż już ze znużenia  
Ledwie się wśród popasów mógł trzymać na nogach.  
W Niemczech więcej koleją niż po bitych drogach,  
Stąd szybciej jechaliśmy również bez przestanku,  
Aż w półtora tygodnia w białej mgie poranku  
Z poza świerków nam pałac błysnął srebrnoleski.

I był też czas najwyższy. Już-bo doktor Wrzeski  
Pojechał był cukrową zamówić wiecezrę.  
Nikt się młodemu hrabi nie ucieszył szczerze,  
Gdyż nagły jego przyjazd na ślub panny Róży  
Zdał się wszystkim zwiastunem jakiejś strasznej burzy.  
Zahuczało też wkrótce w kancelaryi pana,  
Kędy cała rodzina, od rana zebrana,  
Miała przy drzwiach zamkniętych poufną naradę.  
Wśród wrzawy różnych głosów, sekretom na zdradę,  
Raz wraz pana Artura głos wybuchał grzmotem,  
Namiętny, urywany, groźny; zaraz potem  
Zrywał się płacz hrabianki, albo cichszy, drżący  
Lament starego pana, jakby waśń kojący.

Przy obiedzie potrawy schodziły nietknięte  
Wpółśród ciszy grobowej. Pan mój zaciśnięte  
Miał usta i skroń w fałdach, a twarz jego siostry  
Zaplakana w żaloszny, ale przytem ostry

Ścięła się wyraz, śnać-bo walka wrzała dalej,  
By dopiero wśród perskiej rozstrzygnąć się sali.  
Tu pan Artur po kawie, gniewem już pijany,  
Krzyknął gromko: „Przysięgam na wszystkie szatany,  
Jeśli papa nie zerwie, przed ślubem wpierw jemu,  
A potem kulą strzaskam łeb sobie samemu.  
Ot tak!“ Tu huk się rozległ, zaraz potem drugi.

Kiedym wbiegł do pokoju wraz z innymi sługi,  
Widziałem, jak się z lustra szkło sypało jeszcze.  
A pod niem w krwi kałuży śmiertelne już dreszcze  
Rzuciły biedną Scigą, angielską wyżlicą,  
Wielką hrabi i obu pań ulubienicą.  
Stara pani zemdląła, a dobre panisko,  
Dzięki astmie swej, w straszne popadło kaszlisko.  
Wieczorem list sztafetą poszedł do Poznania,  
Że hrabia cofa słowo i bywać zabrania.

Otrzymawszy plac boju, młody pan mój w domu  
Zabawił li tak długo, aż na znak pogromu  
Pan Wrzeski nie odesłał listów wraz z obrączką.  
Panna Róża, przez czas ten trawiona gorączką,  
Nie chciała widzieć brata, a w malignie pono  
Mówiła, że mu zginąć od kuli sędzono.  
Śmiejąc się z przepowiedni, pan Artur niebawem,  
Po pożegnaniu z ojcem nie bardzo łaskawem,  
Łekki, rzeźki, do Włoch znów wraz ze mną wyruszył.  
Bo sobie w Neapolu serduszko zaproszył  
Młodą, śliczną księżniczką, przy której spacerem  
Jeździł konno wraz z jakimś starszym oficerem.  
Gorzki go jednak zawód spotkał po powrocie,  
Bo zastał swoją lubą właśnie na wylocie  
Po świeżych zaręczynach z francuskim margrabią  
Rad nie rad musiał tenże wkrótce z polskim hrabią  
Strzelać się gdzieś pod Rzymem, przy czem ciężką raną  
Przypłacił pojedynek, ale ukochaną  
Zatrzymał, gdyż księżniczka, wierna słowu swemu,  
Stanowczego odkosza dała panu memu.

Strasznie pan cios ten odczuł; toż przez miesiąc cały  
 Nie wyszedł wcale z wili, chmurny, osowiały  
 Przechadzając się za dnia, w wieczór zaś w milczeniu  
 Wzrok topiąc w górze, co noc stojącej w płomieniu.  
 Raz przecie, kiedym z miasta powrócił do wili,  
 Wystraszyłem się bardzo, sądząc w pierwszej chwili,  
 Że pan mój rozum stracił, bo wszystkie wazony  
 I szkła były rozbite, a on sam czerwony,  
 Jak rak wśród wrzącej wody, wielkim chodził krokiem  
 I przed siebie spoglądał zaiskrzonym okiem.  
 Chciałem się zaraz cofnąć, lecz pan mnie zatrzymał  
 I rzekł dosyć spokojnie, choć się przytem zżymał:  
 „Granat! co na to powiesz? ten łotr wykradł Różę!  
 Lecz ja parkę odnajdę i prochem podkurzę.“

Jakoż dnia następnego już myśmy z powrotem  
 Ruszyli, by trop zbiegów odszukać, a potem  
 Rozpocząć zaraz pościg wytrwały, uparty,  
 Jak dwa z smyczy spuszczone za szarakiem charty.  
 W Srebrnolaskach wskazówki li takie nam dano,  
 Że hrabianka z swą dawną boną, madam Żano,  
 Wysłuchawszy mszy świętej, rannym jeszcze mrokiem  
 Odjechała w karecie, aby przed półrokiem  
 Zrobiony ślub swój spełnić i za ojca zdrowie  
 Najświętszej podziękować Paniencie w Ostrowie.  
 Lecz pojazd próżny wrócił po dniowej podróży,  
 A rodziców objaśnił bilet panny Róży,  
 Iż, nie chcąc gwoli brata marnieć z sercem chorem,  
 Uchodzi, by się z drogim połączyć Wiktorem.  
 Pan Artur, skoro doszedł z przesłuchu stangreta,  
 Że w Ostrowie z paniami nieznaną kareta  
 Zjechała na żwirówkę ku szląskiej granicy,  
 Podążył do Wrocławia, by z kraju stolicy  
 Schludne jego miasteczka zwiedzać po kolei,  
 W słodkiej schwytności zbiegów żyjąc wciąż nadziei.  
 Lecz wszystko nadaremnie! Więc, kiedy  
 spostrzegłem,  
 Że ślad nasz był fałszywy, jam w sercu przebiegłem

Inny obmyślił sposób na zgubę doktora,  
Co mi pochwałę pańską zjednał i lujdora.  
Do naszego miasteczka wybrałem się tedy,  
By się niby ojcowskiej dopominać schedy,  
W istocie zaś, by śledzić, z jakiej strony świata  
List od pana Wiktora do rodziców lata.  
Toż w tydzień, gdy listonosz za sztukę monety  
Pokazywał mi w torbie listy i gazety,  
Ujrzałem między niemi bilet z godłem Wrzeskich,  
Na którego kopercie w obwódkach niebieskich  
Widniał stempel „Oliva“. Szczęśliwy niezmiernie  
Opuściłem miasteczko, aby panu wiernie  
Zdać raport o odkryciu. Gdy po karnawale  
Powrócił z Drezna, wraz mnie obdarzył wspaniałe  
I wyruszył natychmiast do Oliwy ze mną,  
Bliskiej zemsty już jakby woń czując przyjemną.

Ktoś atoli poprzednio, dzięki zwłoce długiiej,  
Cały plon z listonosza wydarł nam przysługi,  
Ostrzegając w czas ptaszki. Pofrunęły dalej,  
Iż zaciszne ich gniazdko blisko morskiej fali  
Zastaliśmy już próżne, ale ciepłe jeszcze.  
Pan Artur, kłątwy na nich miotając złowieszcze,  
Do Królewca się puścił mimo wielkich śniegów,  
Odnalazłszy w urzędzie przysły adres zbiegów.  
I dość tu długo obaj miejskie zakamarki  
Przetrząsaliśmy pilnie, nigdzie śladu parki  
Nie znajdując. Gdy wreszcie pan, chybiwszy celu,  
Spostrzegł, że padł ofiarą chytrego fortelu,  
Uniósł się strasznym gniewem i związał się słowem,  
Że, póki ptaszków w gnieździe nie odszuka nowem,  
Nie poniesie do ust swych czary z szumnem winem,  
Ani dymku przezroczem obwinie się sinem.

Nowe czaty w miasteczku na list z zagranicy  
Nie wydały owocu. Strzegąc tajemnicy,  
Pan doktor nawet własnej nie zwierzył jęj matce,  
Uprowadzony zapewne o mojej zasadzce.

Rad nie rad pan znów wrócił do dawniej włóczegi,  
Nudnej nadzwyczaj dla mnie i pełnej mitregi. —  
Wypytujac podróznich w hotelach i wszędzie  
Zasiegajac języka w miejscowym urzędzie,  
Zwiedzaliśmy prowincye różne, lecz bez skutku.  
Nad panem mym zawisła ciężka chmura smutku,  
Bo, będąc do niedawna namiętym palaczem,  
Nie brał do ust cygara w swem życiu tułaczem.  
Wychudł przytem i zbiedniał i stał się drażliwym,  
A w oczach mu się palił gniew płomieniem żywym.

Nie pomnę, czy rok cały trwał pościg daremny,  
Aż wreszcie jasne światło w mrok nam padło ciemny. —  
Jadac statkiem po Renie, poznał pan Anglika,  
Co mu się sam pochwalił, że miał za medyka  
U wód w Soden Polaka. „Jest dzielnym doktorem“ —  
Rzekł lord o nim — „lecz razem i szlachcica wzorem;  
Młoda zaś żonka jego blaskiem swęj piękności  
Czaruje i wieś całą i przyjezdnych gości.“  
Skoro się pan zapytał o imię rodaka,  
Anglik — gruby pulares wydobył z rajtfraka  
I podał mu uprzejmie bilet wizytowy  
Z napisem: „Dr. Habdank, lekarz kąpielowy.“  
Niezadługo pan Artur wstał od stołu żwawo,  
By mi swą opowiedzieć rozmowę ciekawą  
I dodać z iskrą w oku: „Jutrzejszym porankiem  
Zapoznamy się bliżej z tym panem Habdankiem,  
Co pewnie godłu Wrzeskich swe miano zawdzięcza.“

Tym razem nas nadziei nie zawiodła tęcza.  
Gdy-bo nazajutrz senny po nocnej podróży  
Przysiadłem blisko źródła w Soden, krzakiem róży  
Przysłoniony cokolwiek, ujrzałem w deptaku  
W ciżbie gości męzczyznę w wykwintnym półfraku,  
Ze ślicznym polskim wąsem, co na wszystkie strony  
Posyłał i odbierał uprzejme ukłony.  
Poznałem go od razu. Był to doktor Wrzeski,  
Lepszej tuszy, jak dawniej, ale równie rzeski

I lekki w swoich ruchach, a wzniosłą postawą  
Górujący nad tłumem, jak kluczyc nad trawą.

Gdym panu do hotelu zaniósł wieść przyjemną,  
Zerwał się zaraz z łóżka i niemal się ze mną  
Chciał wyściskać z radości. Wnet kazał szampana  
Podać i najlepszego zapalił Upmana.  
Wkrótce też mknął pojazdem drogą do Wiesbaden  
Po swego sekundanta, gdyż na miejscu żaden  
Nie znalazł się w kurliście odpowiedni świadek.  
Jam pozostał w hotelu na każdy przypadek,  
Iżby pana Wiktora mieć ciągle na oku,  
Gdyby chciał się ulotnić. Dopiero o zmroku  
Poszedłem, w płaszcz otulon, przed Habdanków wilę.

Pamiętam, miesiąc świecił, a w ogródku mile  
Pachniały jakieś kwiaty. Wkrótce na balkonie  
Zasiadł doktor do cichej gawędki przy żonie,  
Co się mocno zmieniła, lecz w blasku księżycy  
Nie mniej piękne, jak dawniej, zdała się mieć lica.  
Patrząc, ukryty w cieniu, na ich spokój błogi,  
Uczulem dziką radość, jak jastrząb złowrogi,  
Co nad parą gołębi wpierw po cichu krąży,  
Nim ostre swoje szpony w ich piersiach pograży.

Trzeciego dnia w południe w wilę państwa  
Wrzeskich

Nagle grom z jasnych wyżyn uderzył niebieskich,  
Kiedy się w niej nieznany pan zjawił z Warszawy,  
Przynosząc zaproszenie do zbrojnej rozprawy.  
Lecz pan Wiktor na razie nie przyjął wyzwania,  
Mówiąc, że mu stan żony szermierki zabrania.  
Wnet też hrabia odebrał bilet izami złany,  
W którym go pani Róża na Chrystusa rany  
Zaklinała, by uraz zapomniał i obu  
W rozkwicie życia marnie nie wtrącał do grobu.  
Pan Artur dał odpowiedź za godzin niewiele,  
Od której aż mnie nawet mróz przeszedł po ciele.



Gdy bowiem w kąpielowym ogrodzie wieczorem  
Wśród licznej publiczności zetknął się z doktorem,  
Przystąpił doń i prętem, zanim się spodziano,  
W twarz go ciał, krzyżując: „Tchórz, to twej żony  
wiano!”

Nazajutrz przy ruinach starego zamczyska  
Odbył się pojedynek. Meta strasznie bliska  
I króćcie srebrzone z gwintami już z góry  
Spotkaniu temu koniec wróżyły ponury.  
Mój pan, który zazwyczaj przed orężną sprawą  
Pokrzepiał się szampanem i gorącą kawą,  
By potem śmiało, lekko w bój iść jak do polki,  
W dniu tym pozostał naczecz, skarżąc się na kolki.  
Młody doktor natomiast, choć jak kreda blady,  
Miał twarz by marmur zimną, szkarłatnymi ślady  
Naznaczoną od pręta. Cichy, nieprzytomny,  
Zdawał się w sobie tłumić jakiś ból ogromny.  
Widziałem wszystko dobrze, tuż przy samej mecie  
Obok pańskich tobołków siedząc w kabryolecie.

Gdy w obecnej mowie hasło zabrzmiało ponure,  
Pan Wiktor spojrział w niebo i wystrzelił w górę;  
Za chwilę jęknął z cicha i upadł na trawę,  
A z piersi mu potoki wytrysnęły krwawe.  
Ujrawszy to pan Artur, wdział swój płaszcz szeroki,  
Zapalił cygareto i bez dalszej zwłoki  
Wsiadł w pojazd, który zaraz ruszył w stronę rzeki.  
Wśród drogi świadek jego, — człek, jak widać,  
lekki —

Próbował z nim wesołą zawiązać rozmowę;  
Lecz pan mruknął coś tylko i odwrócił głowę.  
Toż i później na statku cichy, osowiały,  
Sam z myślami swojemi przez dzień siedział cały.  
W Bazylei zaś wcale nie wyszedł z hotelu,  
Małomówny i chmurny, choć już dopiął celu.  
Po dniach kilku rzekł do mnie dziwnym jakimś  
głosem,  
Że czas będzie się teraz zająć siostry losem.



Toż, rzuciwszy garść złota, poważny i blady,  
Kazał mi chyłkiem wracać do Soden na zwiady.

Gdym o zmierzchu tam stanął, nie bez tajnych  
dreszczy

Poszedłem wprost ku wili, na którą złowieszczy  
Cień już zdala rzuciły zwarte okienice,  
Jakby w mroku posepną kryjąc tajemnicę.  
Niebawem od przechodnia, co niósł wodę w dzbanku  
Zasięgnąłem złych wieści o panu Habdanku.  
Rzekł mi bowiem, że doktor zmarł w skutek swej rany  
W dniu trzecim po rozprawie, z Bogiem pojednany;  
Poczem i żona jego, porodziwszy dziecię,  
Poszła z mężem na tamtym połączyć się świecie.  
Za chwilę byłem w wili. Służebna dziewczyna,  
Polka z Starych Prus rodem, zda mi się z Peplina,  
Ucieszyła się bardzo, skorom Pana Boga  
Pochwalił w swojskiej mowie. Wkrótce też nieboga  
Zaczęła mi obszernie, cała w łzach skąpana,  
Opowiadać o śmierci i pani i pana.

Dziwne szły na mnie myśli, kiedy w saloniku  
W lichej trumnie przy bladym gromnicy płomyku  
Ujrzałem tę, dla której w piersi mojej mściwój  
Od dawna nienawiści ogień płonął żywy.  
Widok jej twarzy martwej z bolesnym wyrazem  
Wzruszył mnie w pierwszej chwili. Wtem szatan  
obrazem

Innej trumny przed ducha zabłysnął mi okiem,  
Mojej Martki nieszczęsnej, która przed pół rokiem  
Zmarła w srogim ucisku zazdrosnego męża.  
Wraz poczułem, jak w sercu buchnął znów jad węża  
I jak zaczął z zwłok matki przechodzić na dziecię,  
Które, pod dozór obcej oddane kobiecie,  
Zakwiliło w tej chwili — podwójny sierota,  
Jakby już przeczuwając niedolę żywota.

Wkrótce z wili poszedłem na urząd sołecki,  
By wstrzymać<sup>3</sup> pogrzeb, co miał być skromny i świecki,

Sądząc, że stary hrabia zechce córki ciało  
W grobowcu familijnym pochować wspaniało.  
Sołtys, człek całkiem prosty, bardzo kontent z tego,  
Żem w imieniu rodziny zgłosił się do niego,  
Zapytał, czy i dziecka nie zawiozę dziadkom.  
„Toć to“ — rzekł — „nigdy takim człek nierad  
przypadkom,

Gdy raport dłonią pisać ma twardą od pluga!  
A do tego ze sądem sprawa strasznie długa,  
Bo w pierw kładzie pieczęci, a potem je zdziera  
I taksami, opieką czas ludziom zabiera.“

Gdy to mówił, szatańska myśl zygzakiem gromu  
Błysnęła w moim mózgu. Zrazu nie bez sromu  
Wymiotłem ją precz z głowy, lecz wkrótce niestety  
Jęła się wciąż odradzać, jak węże rakiety:  
A kiedym w dniu następnym powracał do pana,  
Świeciła stale duszy, by luna rumiana,  
Iż, zamiast ją odpychać, jam coraz zawzięciój  
Cały się w niej zatapiać począł bez pamięci.  
Na cóż masz do rodziny odwozić to dziecko?  
Mówilem sam do siebie. Wszak tej, co zdradziecko  
Cel ci życia wydarła, nie dosięgniesz więcej:  
A toż ciebie dzień po dniu coraz to goręcej  
Będą piekły wyrzuty i żalu katusze,  
Żeś gwoli zemsty czartu zaprzedał swą duszę.  
Miej natenczas przynajmniej tę jedną osłode.  
Iż wraz z tobą też cierpi jakieś życie młode.  
Iż potomek krwi pańskiej w biedzie i zaduchu  
Na chleb czarny w skórzanym pracuje fartuchu.

Gdym panu memu, sprawę zdawając z podróży,  
Opowiadał o smutnej śmierci pani Róży,  
Pobladł, jak płótno, rozwarł szeroko powieki  
I stał, jak gdyby patrzył w jakiś kraj daleki;  
Potem zgrzytnął zębami: „Ha! gromy, szatany!  
Sprawcą tego nieszczęścia szwagierek kochany!  
Przez niego, li przez niego zmarniała Rozalka!“  
Wtedy ja spytał zdradnie: „Czy jego synalka

Jaśniepan każe niańczyć u rodziców w domu?“ —  
„Co?“ — krzyknął na mnie gromko — „Brakłoż tego  
sromu,

By stare nasze gniazdo kalaly szurgoty?  
Oddaj go gdzie na mamki. Grosza dla sieroty  
Nie poskapię, lecz niech mi ustąpi z widoku.  
Boby wciąż postać ojca wskrzeszał memu oku.“

Usłyszałem z radością ten wyrok doraźny,  
A wkrótce, skoro pan mi dał fundusz pokaźny,  
Odwiozłem wraz z służebną do Księstwa dziecinę,  
Której ksiądz jeszcze w Soden w też samą godzinę  
Dał był chrzest, kiedy ojcu kładł oleje święte.  
I dziwnie mi się wiodło dzieło me przekłete.  
Zdarzył bowiem przypadek, że siostrze mej synek  
Zmarł w kołysce, gdy z mężem miała się ze Skrzynek  
Przenosić do Poznania. Jej zatem sierotę  
Oddałem, a w wyprawce dwa rulony złote.  
Dalsza historia dziecka dobrze panu znana.  
Chowało się pod nazwą Doręby Lucyana!“

Tu przerwał stary ochmistrz, bo młodzian boleśnie  
Zawołał: „Wielki Boże!“ — Zrazu jakby we śnie  
Słuchał nieco rozwlekłej Granata powieści,  
Lecz z największą uwagą, aby nie z jej treści  
Nie uronić, gdyż wiedział, że stare mu groby  
Rozwiera i najdroższe po Bogu osoby  
Odtwarza w pełni życia, ale w oświeceniu  
Ukośnem, ztąd w fałszywym i złym światłocieniu.  
Cios, wymierzony ojcu pręcikiem Pioruna,  
Odczuł na własnej twarzy, tak iż gniewu łuna  
Oblała mu jagody: wystrzał zaś ów z mety  
W błękitny nieb, szlachetny, lecz zgubny niestety,  
Załzawił w jednej chwili synowskie źrenice,  
Poczem biedak oburącz zakrył sobie lice.  
W końcu, gdy tajemnica, długo przeczuwana,  
Zrzuciła całkiem maskę, nie dziw, że młodziana  
Piers zaczęła falować jak wzburzone morze  
I, powstając, zawołał na głos: „Wielki Boże!

Więc pochodzenia mego żaden cień nie mroczy,  
A jam dotąd nikomu patrzeć nie śmiał w oczy!  
Ach! com wycierpiał w błędnem poczuciu sromoty!“

Słyszając tę skargę, Granat jęknął: „Panie złoty!“ —  
I znów, padając z płaczem aż do stóp Lucyana,  
Jął mu łzami oblewać i ścisnąć kolana. —  
„Ach! zdepcz mą siwą głowę! Składam ją w pokorze,  
Jak wkrótce na więziennym barłogu ją złożę,  
Lecz niech twe dobre serce zbrodnię mi wybaczy!  
Inaczej bowiem moje wnet pęknie z rozpaczy.“

Więc szlachetny młodzieniec podniósł starca  
znówu  
I rzekł, ton dziwnie rzewny dając swemu słowu:  
„Ja nie szmerzę! Nieścigłe są wyroki Pana!  
Bo wszakże w swój dobroci zesłał mi kapłana,  
Co mi ojcowską rękę podał i na duchu  
Krzepił mnie, bym w sfer niskich nie zmarniał  
zaduchu.

Li jedna myśl mnie przykra trapi w tym momencie.  
Pojmuje, czemu matkę i mnie tak zawzięcie  
Ścięła dzika zemsta twa, panie Granacie;  
Zrozumiała, choć dziwna w rodzonym jest bracie  
Ta nienawiść szalona, z jaką siostry dziecię  
Ów gwałtowny wuj Piorun wyrzucił na śmiecie.  
Lecz jakże hrabia Michał, mąż prawy, szlachetny,  
Uświęcić — że tak powiem, — mógł czyn brata  
szpetny,

Gdy, miast wrócić rodzinę biednemu sierocie,  
Pańskie tylko odczepne dał mu w nędznem złocie.“ —

„Ach wuj nie skrzywdził pana. Jam jest wino-  
wajcą!“ —

Rzecz Granat znów z płaczem. — „Byłem podłym  
zdrajcą

Jaśniepana, a także i hrabi Artura.

Dzika jego, jak wichler porywecza natura

Uniosła go, gdy rzucił na łaskę mi dziecko,  
Lecz go nie chciał z praw rodu obdzierać zdradziecko.  
Gdy-bo w kilka lat potem zmarł w Wrzosach dziad  
Pana,

Pytał się mnie pan Artur, jaka na Lucyana  
Spadła scheda? a kiedy rzekłem mu, że przecie  
Nie Wrzeskim, lecz Dorębą zwie się siostry dziecię,  
Fuknął na mnie: „Co bredzisz? To byłby kryminal!”

Odrzekłem, że pan hrabia także nie wspominał  
O dziecku, kiedy z bratem świeżo robił działy  
Przez rzecznika. Natenczas pobladł i struchlały  
Patrzył na mnie, by krzyknąć po chwili: „Szatanie,  
Tyżes wszystkiemu winien!” I okiem po ścianie  
Jął wodzić, kędy srebrne wisiały króciice.  
Już myślałem, że w gniewie, jak Ścięgę wyżłięc,  
Zastrzeli mnie na miejscu, gdy przed dwór kotarski  
Wśród dźwięku trąb zajechał cały pułk huzarski. —

Zapowiedziany z dawna wojska kwaterunek  
W sam czas mi niespodzianie przybył na ratunek.  
Pan hrabia-bo natychmiast wyszedł, by przed dworem  
Przyjąć starszyznę pułku z należnym honorem.  
Otworzył im komnaty, spiżarnię, piwnicę,  
Tylko nie serce. Zimne miał dla gości lice,  
Choć w wnętrzu jego drżało. To też przy wieczerzy  
Przyszło już do wybuchu, kiedy oficerzy  
Zaczęli drwić z Kościuszki. Wyzwał ich ryczałtem  
Wszystkich sześciu, jak gdyby śmierci szukał gwałtem.  
W Dębinie pod Poznaniem stanęli u mety.  
Trzech Niemców z ciężką raną, lecz w końcu niestety  
Wynieśliśmy i pana z zagasłą żrenicą  
I z wrosłą w martwą dłoń już — srebrzoną króciącą.

Gdy później hrabia Michał w biurku nieboszczyka  
Odnalazł ślad istnienia jakiegoś chłopczyka,  
Za którego w Poznaniu brał pensją kościelny,  
Zapytał mnie o niego. Jam w uśmiech subtelny

Więc pochodzenia mego żaden cień nie mroczy,  
A jam dotąd nikomu patrzeć nie śmiał w oczy!  
Ach! com wycierpiał w błędnem poczuciu sromoty!“

Słyszając tę skargę, Granat jęknął: „Panie złoty!“ —  
I znów, padając z płaczem aż do stóp Lucyana,  
Jał mu łzami oblewać i ścisnąć kolana. —  
„Ach! zdepcz mą siwą głowę! Składam ją w pokorze,  
Jak wkrótce na więziennym barłogu ją złożę,  
Lecz niech twe dobre serce zbrodnię mi wybaczy!  
Inaczey bowiem moje wnet pęknie z rozpaczy.“

Więc szlachetny młodzieniec podniósł starca  
znovu  
I rzekł, ton dziwnie rzewny dając swemu słowu:  
„Ja nie szemrzę! Nieściegłe są wyroki Pana!  
Bo wszakże w swęj dobroci zesłał mi kapłana,  
Co mi ojcowską rękę podał i na duchu  
Krzepił mnie, bym w sfer niskich nie zmarniał  
zaduchu.

Li jedna myśl mnie przykra trapi w tym momencie.  
Pojmuje, czemu matkę i mnie tak zawzięcie  
Ścięgała dzika zemsta twa, panie Granacie;  
Zrozumiała, choć dziwna w rodzonym jest bracie  
Ta nienawiść szalona, z jaką siostry dziecię  
Ów gwałtowny wuj Piorun wyrzucił na śmiecie.  
Lecz jakże hrabia Michał, mąż prawy, szlachetny,  
Uświęcić — że tak powiem, — mógł czyn brata  
szpetny,

Gdy, miast wrócić rodzinę biednemu sierocie,  
Pańskie tylko odczepne dał mu w nędznem złocie.“ —

„Ach wuj nie skrzywdził pana. Jam jest wino-  
wajcą!“ —

Rzecz Granat znów z płaczem. — „Byłem podłym  
zdrajcą

Jaśniepana, a także i hrabi Artura.

Dzika jego, jak wichur poryweza natura

Uniosła go, gdy rzucił na łaskę mi dziecko,  
Lecz go nie chciał z praw rodu obdzierać zdradziecko.  
Gdy-bo w kilka lat potem zmarł w Wrzosach dziad  
Pana,

Pytał się mnie pan Artur, jaka na Lucyana  
Spadła scheda? a kiedy rzekłem mu, że przecie  
Nie Wrzeskim, lecz Dorębą zwie się siostry dziecię,  
Fuknął na mnie: „Co bredzisz? To byłby kryminał!”

Odrzekłem, że pan hrabia także nie wspominał  
O dziecku, kiedy z bratem świeżo robił działy  
Przez rzecznika. Natenczas pobladł i struchlały  
Patrzył na mnie, by krzyknąć po chwili: „Szatanie,  
Tyżes wszystkiemu winien!” I okiem po ścianie  
Jął wodzić, kędy srebrne wisiały króciice.  
Już myślałem, że w gniewie, jak Ściegę wyłlicę,  
Zastrzelili mnie na miejscu, gdy przed dwór kotarski  
Wśród dźwięku trąb zajechał cały pułk huzarski. —

Zapowiedziany z dawna wojska kwaterunek  
W sam czas mi niespodzianie przybył na ratunek.  
Pan hrabia-bo natychmiast wyszedł, by przed dworem  
Przyjąć starszyznę pułku z należnym honorem.  
Otworzył im komnaty, spiżarnię, piwnicę,  
Tylko nie serce. Zimne miał dla gości lice,  
Choć w wnętrzu jego drżało. To też przy wieczerzy  
Przyszło już do wybuchu, kiedy oficerzy  
Zaczęli drwić z Kościuszki. Wyzwał ich ryczałem  
Wszystkich sześcioro, jak gdyby śmierci szukał gwałtem.  
W Dębinie pod Poznaniem stanęli u mety.  
Trzech Niemców z ciężką raną, lecz w końcu niestety  
Wynieśliśmy i pana z zagasłą żrenicą  
I z wrosłą w martwą dłoń już — srebrzoną króciącą.

Gdy później hrabia Michał w biurku nieboszczyka  
Odnalazł ślad istnienia jakiegoś chłopczyka,  
Za którego w Poznaniu brał pensją kościelny,  
Zapytał mnie o niego. Jam w uśmiech subtelny

Złożył usta, by odrzec: „Miał snać ładną matkę.“ —  
Poczem pan machnął ręką i nową notatkę  
Zrobił w pugilaresie. Ódtąd przez lat wiele  
Co pół roku w Poznaniu przy farnym kościele  
Zjawiałem się z pieniędzmi, by paść się widokiem  
Hrabskiego dziecka, które pod prostaką bokiem  
Wzrastało w nędznej izbie wśród starych rupieci,  
Niby kwiat doniczkowy, przesadzon na śmieci.

Gdy zmarł mój szwagier, hrabia „młodego Lu-  
cyana“

Chcąc poznać osobiście, sam pewnego rana  
Pojechał do Poznania, bom mu nie powiedział,  
Żeś pan już wtedy w Lipsku od pół roku siedział.  
Nie wiem, co tam hrabiemu mówił ksiądz Sympley,  
Co pierwszy wpadł, jak mniemam na trop tajemnicy:  
Lecz, gdy pan wrócił z miasta, wezwał mnie do sali  
I tutaj przed obrazem hrabianki Rozalii,  
Wyjawszy fotografię Pańską, w sposób ostry  
Rzekł do mnie: „Słuchaj, Graciat! To jest syn mej  
siostry!“

Zaskoczony tak z tyłu prawie niespodzianie,  
Rzekłem, nie tracąc miny: „Nie wiem, Jaśniepanie!“

Gdy hrabia na przesłuchany wziął mnie, kłamstwem  
podłem

Zbiłem go łatwo z tropu i w pole wywiódłem,  
Bo nie znał bliższych posłak, w rok może z podróży  
Wróciwszy po pogrzebie smutnym siostry Róży.  
Mimo to poszukiwań dalszych nie zaniechał  
I do stryja pańskiego do Wrzosów pojechał.  
Tam dowiedział się tylko, że jeszcze z Oliwy  
Donosił doktor matce, iż bardzo szczęśliwy,  
Bo ma od żonki jakieś słodkie obietnice.

Lecz winienem wyjaśnić Panu tajemnicę,  
Dla czego ojciec listu nie wysłał przed zgonem.  
Oto zaczął go pisać ze sercem wzburzonym



Po swej strasznej zniewadze — wedle opowieści  
Służebnej —, gdy wtem żona popadła w boleści.  
Pobiegł więc do jej łoża, a kiedy o świcie,  
Walcząc już prawie z śmiercią, dała Panu życie,  
Zdrzemnął się wycieńczony i ocknął niestety  
Dopiero, gdy już turkot usłyszał karety,  
Co go na plac krwawego miała zawieźć boju.

Ale wracam do hrabi. Nie mając spokoju,  
Pojechał aż do Soden i tu doszedł przecie,  
Że pani Habdank-Wrzeska porodziła dziecię:  
Nie mógł atoli znikąd zasięgnąć już wieści,  
Czy potomek jej męskiej płci był, czy niewieścięj.  
O chrzcie też nie wiedziano, bo go ksiądz z sąsiedztwa  
Dał był, a sąd już dawno zniszczył akta śledztwa.  
Tylko w listach ludności po zmarłym sołtysie  
Odnalazł przekręcone w bałamutnym spisie  
Jakieś nazwisko polskie służebnej dziewczyny.  
Mając ten ślad do dalszych dochodzeń jedyny,  
Powrócił, by w Poznaniu oddać sądom sprawę.  
Lecz, o dobrą Leliwów dbały zawsze sławę,  
Chciał wpierw świadectwo ślubu sprowadzić z Oliwy.  
W tem go jednakże zawód miał spotkać dotkliwy,  
Bo ani tam, ni w Gdańsku, ani w okolicy  
Nie poślubił pan doktor swęj oblubienicy.

Gdy i z Soden nie nadszedł atest pożądaný,  
Odszukał pan w torebce dawno zapomnianej,  
Którą z ciałem przysłano, rachunki podrózne  
Uciekającej pary i notatki różne.  
Odgrzebanym w ten sposób dawnych zbiegów szlakiem  
Puścił się hrabia w podróż, lecz wrócił z jednakiem  
Zachodów swoich żniwem: nigdzie bowiem wzmianki  
Nie napotkał o ślubie z Wrzeskim Leliwianki.  
Wtedy dla Pana w banku złotych sto tysięcy  
Złożył i poszukiwań już nie czynił więcej". —

„Jak to? — zawołał Lucyan, wstając: „Prze  
Bóg żywy!

Taki przebieg wypadków jest wręcz niemożliwy.

Gdzieś koniecznie musieli ślubować rodzice!  
Panie ochmistru! znasz li i tę tajemnicę?“ —  
„Tak jest!“ — odrzeczę Granat. — „Ot pan Wiktor  
Wrzeski

Zawarł śluby z hrabianką w farze srebrnoleskiej,  
Lecz tak tajnie, że o nich nawet wieść się głucha  
Przez lat kilka do mego nie przedarła ucha.

Raz dopiero przy miodzie Cichowlaz Franciszek,  
Zakrystyan wówczas farny, a przedtem braciszek,  
Wygadał mi się, będąc w nietrzeźwym już stanie,  
Że sam był świadkiem ślubu całkiem niespodzianie.  
Mówił, że gdy chciał dzwonić przed brzaskiem jutrzeńki  
Na mszę, wpieryw zamówioną przez bonę panienki,  
Staował przed nim zniemacka starszy panicz wrzeski  
I prosił, w dłoń weiskając talara, by wioski  
Nie budził jeszcze dzwonem i drzwi boczne fary  
Zamknął, skoro ksiądz wyjdzie do świętej ofiary.  
To też chętnie uczynił. Kiedy msza się cicha  
Skończyła i ksiądz właśnie sięgał do kielicha,  
Wyszła z ławki i przed nim w podróżnym już stroju  
Uklekła panna Róża, pełna niepokoju.  
W tejże chwili pan Wrzeski, skryty dotąd w mroku,  
Wystąpił z za filaru i kląkł u jej boku.

Zanim proboszcz zmieszany pojął, co się święci,  
Zaczęli obaj zniżać przysięgę z pamięci,  
Jaką u nas odbiera ksiądz od pary młodej,  
Co małżeńskie obchodzić zamierzyła gody.  
Wymieniwszy pierścionki, nowożeńcy wstali  
I wyszli, poczem powóz zaturkotał w dali.  
Ksiądz proboszcz, dawny Cysters, zwan ojcem Ur-  
banem,  
Tak się całym tem zajściem wyląkł niespodzianem,  
Że zaniemiał na razie. Był to człowiek cichy,  
Małomówny, poważny, jak zazwyczaj mniuchy,  
Lecz strasznie bojaźliwy. — „Złe się rzeczy stały“ —  
Rzekł wreszcie do Franciszka i dziada Mrugały.

Co świece po mszy gasił. — „Jak się o tem dowie Pan Artur, to nam kolki wyciosa na głowie.“ Musieli mu więc przysiądz, że nie nie powiedzą Nikomu o tym ślubie, chyba z jego wiedzą.

„Wysłuchawszy braciszka“, — prawil Granat  
dalej —

„Jam wątpił, czy ci państwo ważnie się pobrali,  
Boć ksiądz im rąk swą stulą nie powiązał, ani  
Nie błogosławił, jak to przy ślubach kapłani  
Zwykli czynić. Lecz wnet się zdziwiłem niemało,  
Kiedy się raz w Kotarach przy uczcie zgadało  
O jakiejś świeżo wyszłej powieści francuskiej,  
Czy też włoskiej — nie pomnę — i dziekan Biedruski  
Dowodził, że jest ważnym ślub w takich przypadkach,  
Zawarty przy proboszczu właściwym i świadkach.“ —  
„Bez wątpienia!“ — rzekł Lucyan — „ślub ważny,  
jeżeli

Kanoniczna przeszkoda małżonków nie dzieli.  
Niech chwala będzie Panu, bo z kościelnej księgi  
Mogę tutaj na miejscu bez żadnej mitregi  
Dowód wkrótce na piśmie uzyskać niezbity,  
Iż rodzice zawarli związek prawowity.“

„Niestety!“ — westchnie Granat — „Hrabia na  
plebance

Przeglądał wszystkie księgi, a nie o hrabiance  
Nie znalazł. Toż Mrugała i zakrystyan stary  
Spróchnieli już w swych trumnach na cmentarzu fary.  
Co do ojca Urbana, który dla starości  
Poszedł na chleb łaskawy, to także swe kości  
Skołatane niechybnie dawno złożył w grobie,  
Boby lat ze sto dzisiaj musiał liczyć sobie.“ —  
„Co słyszysz?“ — szepnął Lucyan i posepnie głowę  
Opuścił, gdy go smutki ogarnęły nowe.

---

W dobrą godzinę potem przez park srebrnoleski  
Drogą ku Chwalinowi smukły, lecz nie rzeski

Kroczył zwolna młodzieniec, przezroczyście błąd,  
Z laską w dłoni, z potrzeby a nie dla parady.  
Słońce już do połowy ogniste swe oko  
Schowało za chmur rąbek, na niebie szeroko  
Rozpalając zachodu lunę purpurową.  
Drzewa parku bezlistne w mgły oponę płową  
Obwijały swe czoła smętnie zadumane,  
Jakby do snu, choć jeszcze zlocisto-światlane  
W dole na pniach im słońca migotały blaski,  
Sypiąc garście brylantów w śnieżne ich przepaski.  
Z oddali w ciszę lasu, dziwnie uroczyście,  
Pacierz wieczorny dzwonu płynął nutą czystą.  
Lecz młodzian go nie słyszał, tak jak jego oku  
Zakrytą była krasa leśnego widoku.

Zatopiony w swych myślach szedł i wiedział  
ledwie,  
Że mu przed ćwierćgodziną dłoń w rączki obiedwie  
W przedsionku czarnobrewa ujęła dziewica  
I, skłoniwszy ku niemu zapłonione lica,  
Powitała go słówek pochlebnych kaskadą,  
Jako chwata nad chwaty, a potem, twarz bladą  
Widząc, pytała prawie z troskliwością siostry,  
Zali mu jeszcze teraz ból dokucza ostry.

Lucyan był półprzytomny. Pożegnał Granata  
Prośbą, ażeby nadal dla hrabi i świata  
Chował sekret, dopóki sam rady prawniczéj  
Nie zasięgnie w téj sprawie trudnéj, tajemniczéj.  
Obecnie się unosił duchem nad swą własną  
Kolebką, którą ochmistrz w grubym mroku jasną  
Oblał strugą światłości, by wnet ją w złowrogie  
Schować cienie, rzucone przez dwie trumny drogie.

W oczach mu stało ojca oblicze szlachetne,  
Widziane świeżo w Wrzozach, na którym sam szpetne  
Dopełniał w myśli ślady po zniewadze krwawej.  
To znów w pamięci jego jakby z chmury mgławéj

Wyłaniało się cudne liczko krasawicy,  
Którą miał w medalionie niegdyś ksiądz Symplicy,  
By z portretem brunetki w srebrnoleskiej sali  
Zlać się w jedno i z obcej hrabianki Rozalii  
W drogą się rodzicielkę przedzierzgnąć za chwilę,  
Kochającą, kochaną, uśmiechniętą mile.

Zdawało się, że dzisiaj młodocianej duszy  
Żaden już inny afekt silniej nie poruszy,  
Niż obawa groźnego przy lubej rywala  
I płynąca z tragedyi rodu uczuć fala.  
A jednak nasz bohater w tym samym momencie  
Miał niemal potężniejsze jeszcze przejść wstrząśnięcie.  
Gdy od strony Chwalina na dwóch dróg rozbiegu  
Zaczerniała sylwetka jeźdźca, co po śniegu  
Sadził cwałem na dzielnym rumaku bułanym,  
Gdzieniegdzie już lekkuchno pianą pośrebrzanym.  
W szerokim swym burnusie, bogatym w pętlące,  
Z bujną konfederatką, kipiącą na lice,  
I z plecionym precikiem mimo Lucyana  
Pierwej przyszedł naksztalt stepów uragana,  
Nim się wzajem poznali. Wtem w swoim polocie  
Wstrzymał się nagle jeździec i w szybkim obrocie  
Wspiął konia za przechodniem, aby znanym basem  
Huknąć gromko te słowa, powtórzone lasem:  
„Pioruny! Czy pan znasz już nowinę z Warszawy?“

A gdy ze zaprzeczeniem Lucyana wzrok ciekawy  
Skierował nań, znów zaklął w żartobliwym gniewie:  
„Jak bogi kocham! Furda! Więc pan jeszcze nie wie,  
Że powstanie w Królestwie? Wielopolski nocą  
Chciał wychwytać mołojców z Moskali pomocą,  
A tu ptaszki mu fruną prosto mimo nosa  
I wraz się od nich roi puszcza Kampinosa.  
Już rządem tymczasowym komitet centralny!  
W czwartek wyszedł manifest do narodu walny!  
Do broni synów Polski, Litwy, Rusi wzywa,  
Mówi, że naszych kajdan prysnęły ogniwa,

Że stary miecz Kościuszki znów z pochwy wyjęty  
I Orła wraz z Pogonią sztandar rozwinięty.“

„Co pan mówisz?“ — wraz krzyknie Lucyan  
i przyskoczy  
I dłoń Janusza chwyci, roziskrzywszy oczy.  
Lecz wnet się łokciem oparł o siodło rumaka,  
Bo mu w nerwach zagrała nawałnica taka,  
Że się zatrzęsł jak w febrze. — „Czy ja marzę we śnie?“  
Dodał. — „Więc będziem bić się? lecz czy nie  
zawcześnie?“ —  
„Wcześniej, nie wcześniej! O to nie nam łamać głowy!“  
Wrzaśnie Janusz. — „Od czegoż rząd jest narodowy?  
I niech mnie, do stu dębów! — ciężki czad ogarnie.  
Jeśli tu będę dłużej wódkę palił marnie.  
Za Prosnę, hej! za Prosnę kopniem się niebawem,  
By z Moskwą w pohulankę pójść na błoniu krwawem!“

Krzepkim swoim okrzykiem rozgrzał się zuch tegi  
I wraz dziwnej doświadczył zapału potęgi,  
Gdyż wielka jego buta w jednej chwili prysła,  
Jak łód, który na wiosnę z hukiem łamie Wisła,  
I z głębin jego serca prąd fali rodzimy  
Raźnie buchnął, z okowów wyzwolony zimy.  
Skoro-bo Lucyan krzyknął, dłoń mu gniotąc: „Razem  
Pójdziemy na Moskale z ogniem i żelazem!“  
To nagle Januszowi błysnął przed oczami  
Jakiś obraz z chłopięcych lat, gdy, z Niemczykami  
Na Garbarach grunwaldzką odtwarzając bitwę,  
Doręba w bój Koronę, a on sam wiódł Litwę.  
Więc z hasłem, zmartwychwstałem z pamięciowych  
gruzów,

(Co od dalszych chroniło koleżeńskich guzów):

„Pix, pax! Dawalagiri!“ zeskoczył z bulanka  
I, objawszy za szyję druha, jak kochanka,  
Krzyknął: „Jak bogi kocham! dajmy sobie pyska!  
Furda na nasze gniewy! Niechaj Moskaliską  
Zapłacą koszta sprawy, gdy razem do dzieła  
Zabierzem się pod hasłem: „Jeszcze nie zginęła!“

---

## Pieśń IX.

### Powstanie.

„Ojczyzna wstaje z grobu!“ Okrzyk ten, jak burza,  
Przeleciał kraj, co niegdyś wschodniego przedmurza.  
Nosił miano w Europie, by w urągowisku  
Upaść i zostać ziemią klasyczną ucisku.  
Starecy, klęsk dawnych pomni, zachmurzyli czoła,  
Wątpiąc, azali naród bezbronny podola  
Carowi, co na krocie liczy swe bagnety,  
Gdy przedtem z bitną armią uległ mu niestety.

Za to młodzi z zapalem, który „cuda tworzy“,  
Jęli kruszyć pierścienie żelaznej obroży.  
Nie darmo-bo od dziecka, pieśń im narodowa  
I wieszczów brylantowe, a płomienne słowa  
Napawały pierś smętną, bezbrzeżną tęsknicą  
Za ową nieśmiertelną ludów krasawicą,  
Co to, skąpana w Styksie, jako z jednej bryły  
Posąg olbrzymi miała wstać z swojej mogiły.  
Nie darmo naddunajskich narodków plejada  
W oczach się ich, jak ongi półdzika Hellada,  
Wybiła z zapomnienia pleśni przez krwi morze.  
Nie darmo też na niebie czarodziejskie zorze  
Zapłonęły, gdy stary, lecz wiecznie rozdarty  
Szczep, którego dotychczas geografów karty

Nie znały jako całość, nagle niby cudem  
Zrósł się, by jednolitym zostać odtąd ludem.

To też po wojnie włoskiej wśród polskiej ziemi  
Zakipiało, jak w kotle, gdy hasło z stolicy  
Wśród świstu kul moskiewskich i jęku bezbronych  
Wyszło do pień błagalnych, co kadzideł wonnych  
Miały brać lot i niebios przenikać lazury,  
By wyjednać ojczyźnie kres doli ponurój.  
Wnet nad Wisłą i Wartą w wieczornej godzinie  
Jeły hymny choralne rozdźwięczać świątynie  
I w mnogich rzeszach budzić żar i dreszcz zachwytu,  
Żadę czynu i razem niepokój przedświtu

„Boże!” — w łzach wołał naród — „Wszak inne  
plemiona

Myśl swoją rdzenną, którą sam tchnąłeś im w tona,  
Mogą, jak krzew swe liście, swobodnie rozwijać,  
Mogą kwitnąć i w niebo swe zapachy wzbijać!  
Czyliż my sami, Panie, jak kłos żyta ścięty,  
Omlócony ze ziarna i na słomę zmięty,  
Mamy zastąpić w głąb ziemi, by obce narody  
Mogły z nas ciągnąć miazgę na wiosenne gody?  
A wszak czujem wyraźnie, że iskra żywota  
Nie zagasła nam w piersi! wszakże jakaś złota  
Zorza dni jasnych, ciepłych wśród krainy Lecha  
Z poza czarnych chmur nieba do nas się uśmiecha?”

Tak płakał lud, żalobnie wdziawszy na się szaty  
I póty łzami zlewał więzienne swe kraty,  
Aż wróg, pokutnem jego szlochaniem zmieszany,  
Zardzewiałe — cokolwiek rozluźnił kajdany.  
I nastał wówczas moment wiekopomny w dziejach,  
W którym naród, w tężowych rozkochan nadziejach,  
Miał wobec konieczności, twardszej od granitu,  
Zrzec się jagiellońskiego świetności zenitu  
I, odwracając oczy od mary błękitnej,  
Pożywać samorządu chleb sniady, lecz sytny.



Jak na rozdrożu — Grecyi bohater bajeczny,  
Wahał się geniusz Polski w chwili niebezpiecznej.  
Z jednej mu bowiem strony szlak wskazywał nowy  
Mąż stanu trzeźwy, zimny — jak marmur, surowy,  
Ale kość z kości naszej, co o gmach ogromny  
Caratu chciał nasz własny domek oprzeć skromny.  
Z drugiej zaś strony zastęp młodzi niedojrzałej,  
Żyjącej w świecie mrzonek, dawne ideały  
Oświecał mu latarnią magiczną i żary  
Budził w krwi, siły własne „mierząc na zamiary.“  
Ważyli się dwa prądy, wtem dumny margrabia,  
Chcąc silniej ster uchwycić ojczyzny korabia,  
Skazał oporną młodzież na branke fatalną,  
Niepomny, że krew mamy, jak hubka, zapalną.

Niebawem wśród dział huk i salw ręcznej broni  
Zaczerwieniał posoką śnieg lechickich błoni,  
Skoro podobny na nich zawrzał płas wojenny,  
Jak przed wiekiem za czasów owej sturamiennój  
Partyzantki szlacheckiej, zagajonej w Barze,  
Co się po całym Polski rozlała obszarze.

Wraz Europa, na inne obojętna sprawy,  
Skierowała wzrok ku nam życzliwie-ciekawy,  
Bo w moskiewskim zaborze do nierównej walki  
Stały znów dwie dawne słowiańskie rywalki.  
Jedna z nich, pochłonawszy bez mała ćwierć świata  
I sto plemion półdzikich, potężna, bogata,  
Różem oświaty lice malująca srogie,  
Wiodła w bój rotę karne i jak piasek mnogie.  
Druga słaba, stuletnią znękana niewolą,  
Bez wojska, bez zasobów, li żelazną wolą  
Stwarzała drobne hufce, by z dorywczą bronią  
Słać je w ogień i z krzepką, lecz niewprawną dłońią.  
To też w spotkaniach krwawych powstańcze oddziały,  
Choć z ogniem do napaści kwapiły się śmiałej,  
Rzadko mogły przełamać zbite Moskwy szyki  
I zwykle znów się w lasów chowały tajniki.

Natenczas wróg ogłaszał szumne biuletyny  
O rozbięciu w puch „bandy“, przy czem jak na drwiny  
Nieodmiennie, z ścisłością Gaskonii junaka,  
Przyznawał się do straty jednego kozaka.

Podobny też miał przebieg bój w kniejach Kaź-  
mierskich,

Wbrew rozpaczny wysiłkom wodzów bohaterskich.  
Jeszcze w nocnej pomroce w nadjeziornym lasku  
Spotkały się dwa wojska i w gwiazd słabym blasku  
Zaczęły z trzaskiem na się z czarnych jednorurek  
Puszczać seciny długich, ognistych jaszczurek,  
Od których się na ziemię z poza drzew kaszkiety,  
Ale i rogatywki sypały niestety.  
Świt zapłonął i słońce marcowe niebawem  
Oblało bojowisko światłem złoto-krwawem.  
Carskie hufce, jak mrowie gęste, długim pasem  
Wyciągnięte, wciąż grzmiąły pod olszowym lasem;  
Polski zastęp zaś drobny, ledwie trzystogłowy,  
Częścią z pod przeciwległej sędziwej dąbrowy,  
Częścią z poza tartaka, co się rozsiadł przed nią,  
Odpowiadał im salwą słabszą, ale przednią.

Między obu borami, niby tafle szklane  
Lśniły się dwa jeziora, w półkolach rozlane,  
Co mimo grobli z traktem, dzielącej ich tonie,  
Trojgiem rowów braterskie zaplatały dłonie.  
Opar ranny nad niemi w jakieś fantastyczne  
Zakłębiał się postacie, niktę, eteryczne,  
Które gasły przy białych, jak dziewicze śniegi,  
Iluzjach, zarzuconych na strzelców szeregi.  
Za rozsochatym dębem, na krawędzi lasu  
Stał Lucyan i z za drzewa od czasu do czasu  
Wychylał się nieznacznie, aby z karabina  
Za jezioro, gdzie młoda szumiąca olszyna,  
Wycelowawszy dobrze, postać strzał, po którym  
Zwijal się zawsze Moskal z podrygiem ponurym.

Obok z poza jałowca młody Boguś Wrzeski  
 W rogatywce ogromnej, jak modrak niebieskiej,  
 Z starej swej dubeltówki, lecz wypróbowanej,  
 Pukał częściej, pomimo lekkiej w nodze rany.  
 Raz w raz im koło ucha niewidzialne osy  
 Zabrzękły, albo z dęba na powiedle wrzoso  
 Posypały się drzazgi, ale obaj zuchy  
 Rozmawiali swobodnie i pełni otuchy.

„Bo i cóż?” — rzecze Boguś. — „Niech i zginę  
 nawet,

To jeszcze z tuzin Wrzeskich na krwawy wetzawet  
 Zostanie w świętych Wrzosach, choć dzisiaj jedyny  
 Z rodu mogłem do chwackiej stanąć strzelaniny.“ —  
 Na to Lucyan odpowie, po celnym wystrzale  
 Kładąc znów nabój w lufę: „Nie jedyny wcale!  
 Jest tu albowiem jeszcze syn pańskiego stryja  
 I Róży Leliwianki, co tę broń nabija!“

„Jak to?“ — zawoła Boguś i powstawszy z ziemi,  
 Spojrzy w swego sąsiada oczy zdziwionemi. —  
 „Nie pora teraz“ — Lucyan odrzecze z uśmiechem —  
 „Bezładnie całą sprawę objaśniać z pośpiechem!  
 Lecz jeśli legnę w bitwie, to się, drogi bracie,  
 Od starego Granata reszty dobadacie.“ —  
 Słyszac to nieodrodny syn zacnego Wita,  
 Już o dalsze szczegóły Lucyana nie pyta,  
 Lecz, jakby krwi poczuciem wiedzion tajemniczem,  
 Obróci się ku niemu z promiennem obliczem  
 I szczęsny chce starszego witać w nim kuzyna.  
 Wtem się wstrzyma w pół kroku i kolana zgina  
 I, przyłożywszy rękę pospiesznie do skroni,  
 Pada na ziemię, strzelbę wypuszczając z dłoni.  
 Lucyan wraz doń przyskoczył i podniósł mu głowę,  
 Po której dwie splywały nitki purpurowe.  
 Jeszcze błękitne oczy chłopak utkwil w niebie  
 I powoli znak krzyża wziął bez słów na siebie,  
 Potem drgnął całym ciałem i na mehu pościelił  
 Wyciągnął się, jak struna, z twarzą dziwnej bieli.

„Bogusiu, drogi chłopcze!“ — jęknął Lucyan  
z cicha —

„Takiż to jeszcze mego wpływ złowieszczy licha,  
Ze pierwszy, który z rodu uścisk dla mnie bratni  
Niósł w dłoni, wraz też ruch nią miał zrobić ostatni?“  
Przez chwilę klęczał niemy, wzrok utkwivszy łzawy  
W młodzianku, co tak pięknie legł na polu sławy,  
Gdy wtem go rogatywka od razu mniej czule  
Usposobi, zdmuchnięta przez moskiewską kulę.  
„Ha! poczekaj, psi synu! Dam ci ja!“ — rzekł

z gniewem

I ze strzelbą nabitą ukrył się za drzewem.  
Potem chyłkiem w gotowej do strzału postawie  
W stronę olszynki wyjrzał z poza pnia ciekawie.  
Dostrzegłszy bystrem okiem w nadjeziornej łozie  
Kaprała moskiewskiego w znanej strzelca pozie,  
Co skutek strzału śledzi z przyćmieniem źrenicy,  
Wygarnął doń dwukrotnie z Bogusia rusznicy.

I trafił oba razy zabójcę kuzyna;

Bo się wpierw zachwiał Moskał, jak na wietrze  
trzcina,

A po drugim wystrzale runął niby kłoda,  
Ze aż srebrną fontanną trysła nad nim woda.

Tymczasem przy tartaku wrzawa niespodziana  
Skierowała na groblę źrenice Lucyana.  
Dotąd owo szerokie usypisko wodne  
Z gościńcem o trzech mostach, więc przejście wy-  
godne

Dające obu wojskom, ale bez osłony,

Żadnej jakoś do siebie nie zuciło strony.

Dopiero, kiedy Moskwa przerzedzone szyki

Podwoiła rezerwą przy dźwiękach muzyki,

Pluton się tyralierów z olszynki wykrada

I chyłkiem, jak robactwa czarnego gromada,

Lub jak kot, co z ubocza podejść pragnie ptaka,

Pelźnie po długiej grobli w kierunku tartaka.

I już się im udało dwa osaczyć rowy,  
Gdy ich spostrzegł wódz polski, Callier piorunowy.  
Wraz też z gromkim okrzykiem: „Za mną ko-  
syniery!”

Wyskoczy z poza młyna. Raptem tylko cztery  
Błysły kosy na grobli, lecz na przedzie zuchów  
Pędzi mąż, jak dąb rosły, z dziwną werwą ruchów.

Lucyan poznał od razu w tym tegim junaku  
Janusza z Mirotworek, który przy tartaku  
Z wykwintnej lefoszówki dotąd Moskwę kropił,  
A teraz, jak sam mniemał, poniekąd się schłopił,  
Bo po własnym kowalu ogromne kosisko  
Porwał, by wyprzeć wroga, co podszedł zbyt blisko.  
Wnet, wyprzedziwszy wodza, przebiegł przez most  
zwawo

I ku kępie wikliny zwrócił się na prawo,  
Gdy z niej jak na sprężynach trzech drabów wystrzeli.  
Lecz, nim się bagnietami zastawić pośpieli,  
Janusz ciał najbliższego z potężnym rozmachem.  
Wraz zaszło coś, co widzów nappełniło strachem,  
Bo kosa wyżej pasa przenikła Moskala,  
Iż górna część korpusu z nóg się zaraz zwała  
I biustem przy nich staje w morzu krwi, gdy usta  
Belkocą jakieś słowa, a twarz, niby chusta  
Wybladła, wstrętnym skurczem i szaleńcem spojrzenia  
W ohydłą twarz bajecznej Gorgony się zmienia.

Widząc to, dwaj Moskale okrzyk wzniosą zgrozy  
I, rzuciwszy bagnety, w ponadbrzeżne łozy  
Skoczą jak oparzeni, poczem tyralierzy,  
Przedzierzgnięci w momencie w zajętych rycerzy,  
Zerwą się hurmem z grobli i pod wpływem trwogi  
Ku obronnej olszynie zwrócą chyże nogi.  
Była to chwila, w której akt wielkiego męstwa  
Mógł na razie aż szaleńce przechylić zwycięstwa,  
Gdyby wódz polski w wrogach zdołał skrę paniki  
Rozdmuchać, śląc kos więcej na zmieszane szyki.

Lecz brakło ich niestety! wraz też setne strzały,  
Skierowane ku grobli, w olszynie zagrzmiały.  
Janusz upadł na ziemię, by się zerwać znowu,  
I zwolna się zacząłgać do pierwszego rowu,  
Podczas gdy towarzysze i wódz, ranny w nogę,  
Wrócili do tartaka, krwawiąc suto drogę.

Niezrażony tem Callier na nowo robotę  
Rozpoczyna i z lasu ściaga swą piechotę,  
By wzmocnić lewe skrzydło, naprzód je wysunąć  
I, zwałliwszy wpierw wroga, przez groblę nań runąć.  
Plan był niezły, wtem w wodza wręcz nieprzewidziana  
Uderzy wieść fatalna, gdy się młodociana,  
Lub pacholeca raczej przed nim zjawi postać  
I z płaczem się poskarży, iż nie może dostać  
Więcej nabojów, które na linii bojowej  
Roznosił w swej czamarki polach granatowej.

Był to dobry znajomek nasz z wili w Chwalinie,  
Ignas Barski, najmłodszy w uczniowskiej drużynie,  
Która wprost z ławy szkolnej do krwawej majówki  
Pokwapila się chyłkiem, zbrojna w lefoszówki.  
Gdy z szablicą i ojea olbrzymiami buty,  
Z nadsztukowanym wzrostem, dzięki czapce sutój,  
Stanął w rzędzie, Mielęcki uśmiechnął się dzielny,  
(Wielkopolskich oddziałów wówczas wódz naczelny)  
I rzekł mu: „Niech kawaler wpierw w domu poczeka,  
Aż pod nosem pierwszego dochowa się mleka.“ —  
Chłopiec w prośby i wodza jużby zmiękczył prawie,  
Gdyby brat Adam dłoni nie umaczał w sprawie  
I, adjutantem będąc, tacno pułkownika  
Nie skłonił, że z obozu wprost wydalil smyka.  
Oddając biedak oręż, w głos mrucał na brata,  
Że mu z czystej zazdrości figla tego płała,  
Boć wie, iż strzela lepiej, niż on sam, zajęcy  
Ubiwszy aż dwadzieścia, a *kur* jeszcze więcej.

Wykluczony tak z wojska dziarski niedorostek  
Schował się bez namysłu pod najbliższy mostek

I przez noc całą z tyłu derdał za oddziałem,  
Aby się z nim połączyć za pierwszym wystrzałem;  
I proch roznosić strzelcom, choć mu mimo czoła  
Nieraz mordercza kula świsnęła jak pszczoła.  
Teraz Ignasz wodzowi doniósł zapłakany,  
Że proch w głównym jaszczyku całkiem wyczerpany.  
Callier załamał ręce, gdy wtem w wielkim pędzie  
Nadbiegł Adam z dąbrowy i przyniósł orędzie  
Od wodza naczelnego, by bez straty czasu  
Oddział swój z pod tartaka wycofał do lasu.  
Ignasz, tak zaskoczony, zląkł się trochę brata,  
Lecz ten, nie rzekłszy słowa, li wyściskał chwata.

Zaczął się tedy odwrót ku kończynom boru,  
Ale z ładem i składem, by nie miał pozoru  
Ucieczki, coby Moskwie dodała podniety  
Do stanowczej rozprawy, walki na bagnety.  
Gdy przetrzebieni dobrze polscy tyralierzy  
Z pod tartaka wrócili do lasu, by szerzej  
Obrąbić jego krawędź, Callier na ostatku  
Puścił się w ślad za nimi, jak kapitan statku,  
Co wpierw całą załogę umieści na łodzi,  
Nim w chwili zatonięcia sam na nią uchodzi.  
Wtem wpół drogi się wstrzymał, bo go piorunowy  
Okrzyk z grobli doleciał z dźwiękiem polskiej mowy.  
W tej chwili celna kula przeszyla mu ramię,  
Lecz ledwie że na drugie to rycerskie znamię  
Zwrócił uwagę, śledząc źrenicą ciekawą  
Scenę przy pierwszym moście świetną, ale krwawą.

O słup mostu oparty, w rowie nade drogą  
Siedział waleczny Janusz z obwiązaną nogą  
I patrzył niespokojnie na strzelców drużyny,  
Co się ku grobli sypać zaczęły z olszyny,  
By zająć próżny tartak. Wtem jeden z Moskali,  
Zobaczywszy rannego, krzyknął nań z oddali:  
„Ha, nie ujdjosz, sobako!“ — i z bagnetem pędzi,  
By zakłóć bohatera na rowu krawędzi.

„Do stu dębów!“ — ten huknie — „Czy nie wiesz,  
[gałganie,  
Że się pardon należy ciężkiej mojej ranie?“ —  
Lecz żołdat, chcąc śmierć straszną pomścić swego druha,  
Z większym jeszcze rozpędem wali się na zucha.

Wtedy Janusz, zebrawszy sił swoich ostatki,  
Powstanie, dźwignie kosę na złowieszcze jatki  
I, jak machnie nią w porę z ogromnym impetem,  
Spadła ręka Moskala na dół wraz z bagnetem.  
Krzyk się zrobił niemały i cała gromada  
Rozwścieklonych żołdatów na niego napada.  
Podniósłszy swe bagnety jakby do ataku,  
Pędzą przez most, by wszystkie utopić w junaku.

Ten przecie nieulekły — w małe Termopyle  
Nędzny ów pokład desek zmienia w jedną chwilę.  
Bo nie ustąpił kroku, lecz długie kosisko  
W błyskawicznym rozmachu puścił całkiem nisko  
I w mig nią napastników polechtał w kolana,  
Że trzej pierwsi tak padli, jak w komin polana.  
Wtedy nadbiegł oficer z okrzykiem komendy  
I tłumną kupę strzelców sformował w dwa rzędy.  
Huk się rozległ, gdy potem nowe wydał hasła  
I wraz w obłoczkach dymu czeruń cała zawrzała,  
Bo mężny Leonidas leżał już na ziemi  
Nieruchomy i cichy z oczami szklanemi.

Choć pierś jego krwawa nakształt była sita  
Tuzinem kul co najmniej na wylot przeszyta,  
Jeszcze kilku Mongołów nadbiegło, by śmiało  
Kłóć bagnetem bezbronne kosyniera ciało.  
On już nie drgnął, ni syknął, lecz wzrok jego hardy  
Rzucał im w oczy wyrok bezgranicznej wzgardy.  
Niebawem mimo trupa całe strzelców roty  
Jęły gościńcem grobli do krwawej roboty  
Płynąć szybko pod tartak, a wszystkich źrenice  
Patrzyły mimowolnie na marsowe lice



Sarmackiego rycerza w wykwintnym mundurze,  
Z turzą piersią, błyszczącą w królewskiej purpurze,  
Co z królewską też dumą, jakby hołd odbierał,  
Martwym okiem na wraże zastępy spozierał,  
W niedbałej leżąc pozie, o kamień oparty —  
Butny książ mirotworski, niedoszły Jan IV.

Los bitwy w tejże chwili był już rozstrzygnięty.  
Moskwa, dufna w swą liczbę, odważnie na pięty  
Nastawała powstańcom, którzy w głąb dąbrowy  
Cofali się, lecz z szykiem, bo z linii bojowej,  
Strzeliwszy jednocześnie na odgłos komendy,  
Szli pierwsi tyralierzy za następne rzędy,  
By odsłonić rezerwę, a za małą chwilę  
Znowu się w łańcuch strzelców sformować na tyle.  
Nad drobnym tym oddziałem niby zmora błada  
Zdawała się już w powietrzu unosić zagłada.  
Naboje w ładownicach wciąż jak śnieg topniały.  
Ciężko ranny w odwrocie padł Mielecki śmiały,  
A, nim zdążył buławę zdać w ręce Calliera,  
Los Polakom i tego dowódcę wydziera.

Gdy bowiem dziarskiem słowem chwata wiarę  
zagrzewa,

(Dwukróć ranny i przeto wsparty o pień drzewa)  
Swisnęła trzecia kula, nad inne złośliwa,  
Co mu niemiłosiernie policzek rozrywa  
Oraz druzgoce szczękę, tak, iż krwią się usta  
Zalały, twarz zaś w moment pobladła jak chusta.  
Wraz też jakiś młodzianek z walczących szeregu  
Wyskoczy z lękiem w oku, z cerą barwy śniegu  
I ściśnie dłoń wodzowi z krzykiem: „Bracie drogi!“  
Ale ten, przybierając wyraz twarzy srogi,  
Ręką mu próżne miejsce w strzelców wskaże rzedzie,  
A potem na pniu ściętym opodal przysiedzie.  
Był już bliskim omdlenia, bo strudzone ciało  
Krew — potrójną krynicą na mchy leśne lało.  
W oczach mu migotała jutrznia tajemnicza  
I roily się wstrętne kalmuckie oblicza

Oprawców Januszowych. W téj chwili rozstroju,  
Widząc odwrót swych strzelców, w strasznym niepokoju  
Siegnął za pas i rękę uzbroił króciwą,  
By ją do ust przyłożyć, gdy wtem błyskawicą  
Nadbiegł Lucyan i inni towarzysze broni  
I mordercze narzędzie wyrwali mu z dłoni,  
Wołając: „Tak nie wolno, panie pułkowniku!“ —  
On się wstrząsnął cokolwiek wobec tego krzyku  
I otworzył szeroko — zapadłe powieki,  
Lecz po chwili je zamknął. Wraz też dreszcz go lekki  
Przebiegł po całym ciele, poczem skłonił głowę  
I runął z pnia, tło ziemi dając purpurowe.  
Złożono go natychmiast na dwa karabiny,  
By zanieść do podwoju, co z leśnej gęstwiny  
Nadjechała po rannych. Już też siła grzmotu  
Jęła słabnąć, a wzrastał wciąż pośpiech odwrotu

Pozbawiony swych wodzów polski hufiec mały  
Uchodził wciąż na północ, aż go nie spotkały  
Świeże siły moskiewskie na polach Slesina.  
Wtedy ostatnia jego wybiła godzina,  
Bo, nie mając czem strzelać, dał wnet za wygraną  
I rozsypał się szybko za leśną polaną.

Taki był smutny koniec walki całodziennéj!  
Oddział poznańskich dzieci, w nadziei promiennéj  
Zrodzony i w Kaźmierskich wyniańczony lasach,  
Po półmiesięcznych mustrach, marszach, niewy-  
wczasach

W ogniowej próbie bitwy nie ostał się walnéj.  
A jak dawno po przejściu już burzy nawalnéj  
Świadeżą o niej drzew łomy, kałuże i strugi,  
Tak też z owéj potyczki przez czas jeszcze długi  
Został ślad krwawy w trupach oraz rannych licznych,  
Rozsianych w krąg po dworach wiosek okolicznych.  
Nad tymi groźne widmo wisiąło Sybiru.  
Lepszego od nich w bólach doznawali miru  
Ci, których wezas zdołano przez granicę pruską  
Przenieść lub potajemnie przedostać powózką.

Do liczby tych ostatnich należał waleczny  
Pułkownik Callier, Ignaś, ranny w niebezpiecznej  
Rejteradzie z tartaka, pan rządca z Chwalina,  
Co dowodził plutonem w marszu do Slesina,  
Dalej Lucyan i młody hrabia z Srebrnolasek,  
Którym stał się pamiętnym góraniński lasek.  
Ci wszyscy oraz innych junaków trzydziestu,  
Co w potyczce krwawego dostąpili chrzestu,  
Przytułek w skasowanym znaleźli klasztorze  
Tuż przy komorze celnej we wsi Białodworze.

Była to królewszczyzna, z włości pocysterskich  
Wykrojona z prawami majątków rycerskich,  
Z wielkim, pięknym kościołem i ogromnym gmachem,  
Gdzie niegdyś grono mnichów enót cichych zapachem  
Napawało pobożny lud okolicy.

Teraz w fasadzie jego mieszkali celnicy,  
Podczas gdy oba skrzydła, pełne cel przestronnych,  
Alków i korytarzy, z dala pleśnią wonnych,  
Stały od dawna pustką, świadcząc swym wyglądem,  
Że asceza z nich uszła w świat pod nowym rządem.  
Skarb państwa, nie chcąc dłużej naprawiać tych  
murów,

Zamieszkałych przez kuny i legiony szczerów,  
Skazał je na zagładę. Już przed kilku laty  
Miał je za wartość cegły kupić żyd bogaty,  
Gdy szlachcie okolicznej gmach ów w poniewierce  
W ostatniej chwili zmiękczył tkliwe zawsze serce.

Zawiązał się komitet, co na lat dziesiątek  
Zadzierżawił od państwa zagrożony szczytek  
Dawnej architektury i za grosz zebrany  
Wyłatał dach i podparł pękające ściany.  
Nawet biedny lud wiejski sypał swe miedziaki  
W nadziei, że, da Pan Bóg, czas nadejdzie taki,  
W którym biali ojcowie w dom swój wrócą stary,  
By w kościele znów święte odprawiać ofiary.  
Tymczasem, gdy za Prosną raz jeden i drugi  
Bratnia krew się polala na zmarzłe pól smugi,

Uradzono na walnej sesyi komitetu  
Zamienić cichą pustkę w rodzaj lazaretu.

Zaczęto więc z sąsiednich dworów i plebanek  
Zwozić pościel i łóżka przed klasztorny ganek  
I płądować gościnne pokoje i strychy,  
By cele w sprzęt opatrzyć potrzebny, choć lichy.  
Toż, kiedy krwawa kośba pod tartakiem leśnym  
Zasłała znowu łany plonem nazbyt wczesnym,  
Była już w Białodworze samotnia sędziwa  
Gotową do przyjęcia ponurego żniwa.  
Wraz z pierwszą zwózką rannych do wioski spokojnej  
Nadleciały, jak białe gołębie wojny,  
Dwie siostry miłosierdzia; w ślad ich niezadługo  
Podążył młody lekarz z stósowną obsługą  
I grono zacnych matron ze skubanką miękką,  
By pielęgnować rannych macierzyńską ręką.

Lucyan dostał kwaterę w podprzeora celi,  
Obszerniejszej i w świeżej jaśniejącej bieli,  
Współ z Mieczkiem Leliwą, z którym jednocześnie  
Został rannym w potyczce i równie boleśnie.  
Oddział polski był wówczas w pełnym już odwrócie.  
Żwawym krokiem po wyrwach i wiosennym błocie  
Uchodził w luźnych grupach tuż ponad jeziorem,  
By coprędzej ślesińskim zasłonić się borem.  
Moskwa bowiem, ściągawszy jazdę swą z Konina,  
Zaczęła pościg, w którym dość rzadka olszyna  
Stawiała jej na razie niejakię przeszkodę.

Trafiony już poprzednio w udo hrabiec młody  
Opóźniał się wciąż w marszu, krwią bluzgając z rany,  
Aż wreszcie ustał biedak, całkiem wyczerpany.  
I pewnieby tam zginął domniemany dziedzic  
Srebrnolasek i Kotar, Rostoki i Niedzie,  
Gdyby nie nadbiegł Lucyan i swego kuzynka  
Nie zawlókł ku jezioru, gdzie mała dolinka  
Dozwalała go ukryć za krzewy leśnemi.  
Lecz zaledwie młodzianek spoczął był na ziemi,  
Kiedy nadjechał kozak i spisał go długą

Zranił w pierś, iż krew trysła purpurową strugą.  
„Czekaj, łotrze!“ — wraz krzyknął Lucyan i kozaka  
Przebił swoim bagnietem i zwałił z rumaka.  
Lecz wtem drugi się Doniec znienacka pojawił  
I wzajem Lucyanowi pierś piką zakrwawił.  
Zatoczył się chwyt dzielny, lecz jeszcze dwukrotnie  
Na napastnika swego z pistoletu grzmotnie,  
Poczem obaj na ziemię runęli z loskotem,  
Iż w dolinee aż czworo ciał legło pokotem.

W tejże chwili opodal zagrały kopyta,  
Skoro po luźnych jeźdźcach cała sotnia zbita,  
A potem jeszcze druga w pospiesznej pogoni  
Przemknęła z drzeniem ziemi i parskaniem koni.  
I długo wśród kotliny we krwi czwórka nasza  
Leżała, jakby zgodnie grając gerylasza, —  
Ale właściwie z *dziadkiem*, gdyż jeden z Moskali  
Był już sztywny i twarz miał jakoby ze stali. ■ ■  
Chłodny wietrzyk z omdlenia zbudził żywych jeszcze,  
Poczem ich ból dotkliwy porwał w swoje kleszcze.  
Szczęściem, gdy zmierzchał zapadał, rybak z Góranina,  
Usłyszał ich stękanie, a zanim godzina  
Minęła, wóz sprowadził, co rannych do dworu  
Odwiózł zwolna przez pole w półmroce wieczoru.

W więzach mocnej gorączki tydzień przeleżeli  
Obaj bracia cioteczni w podprzeorskiej celi,  
Poczem młodość siew śmierci, w krzepkie ciała  
wsiany,

Zgłuszyła, iż wnet goić poczęły się rany.  
Biedny Mieczek atoli, któremu nóż srogi  
Musiał moskiewską kulę wypruć najpierw z nogi,  
Był słaby, wycieńczony, że o własnej sile  
Nie mógł z łoża boleści podnieść się na chwilę.  
Lucyan natomiast szybko do siebie przychodził,  
Bo go kozak swą piką li z dala ugodził,  
Przyczem jeszcze zrządzeniem dobroczynnem losu  
Pas tornistra osłabił wielki impet ciosu.  
To też wnet wyzdrowieniec jał opuszczać łożę

I zwolna się przechadzać po całym klasztorze,  
Albo po innych celach towarzyszym broni  
Nieść ranne pozdrowienie wraz z uściskiem dłoni.

Raz też w jednym krużganku małe niedomknięte  
Dostrzegł drzwiczki, z za których jakby na ponętę  
Przekradały się nitki złocisto-promienne,  
Rzucając smugę światła na płyty kamienne.  
Gdy, zdjęty ciekawością, rozwarł drzwi szeroko,  
Niespodziewany widok olśnił jego oko.  
Ujrzał bowiem przed sobą świątynię obszerną,  
Pełną kaplic, ołtarzy, stał z rzeźbą misterną,  
W którą pomimo grubej na szybach kurzawy  
Słońce gotykiem oknem blask lało jaskrawy.  
Z wysokości galeryi, co wiodła do chóru,  
Zawieszanej pod stropem wzdłuż białego muru,  
Patrzył Lucyan przez chwilę na przybytek senny  
I cichy, choć w światłości skąpany promienną.  
Przywykły w domach Bożych widzieć ludu tłumy,  
Z kadzidłem pieśni, albo na skrzydłach zadumy  
Wznoszące myśl ku niebu, zdziwił się niemało  
Widokiem pustki, w której nawet już nie drgało  
Szkłane serce kościoła, lampka tajemnicza,  
W znak obecności Bóstwa tła na kształt znicza.

Wraz potok myśli smętnych trysnął na miodziana.

Staneła mu w pamięci inna, dobrze znana  
Świątynia, w której nieraz przy „rodzica“ boku  
Dzieckiem w ciszy południa kroczył lub o zmroku.  
Urzeknięty ogromem okazałej fary,  
Zwykł trwożnem rzuceć okiem między jej filary  
Na ołtarze poboczne, gdzie świętych postacie  
Zdawały się poruszać w swej kamiennej szacie,  
A mrugający w dali płomyk wiekuisty  
Budził wśród głuszy nastrój dziwnie uroczysty.  
Tutaj życie zamarło, a choć blask słoneczny  
Pięknej nawie kościoła dawał strój świąteczny,

Przypominała ona li zastygłe lica,  
Które ułudnym brzaskiem wyłóci gromnica.

W bujnej przecie fantazyi Lucyan puste mury  
Wnet zaludnił, z posepną katakumb klauzury  
Wywiódłszy cały orszak cichych, białych mnichów,  
Aby ich obok mszałów i świętych kielichów  
Rozstawić przy ołtarzach, dziś z ozdób odartych,  
Albo do presbyteryum wwieść w szeregach zwartych.  
Przebiegając oczyma siedzenia ich próżne  
W stalach, wyciętych z drzewa w desenie przeróżne,  
Z niezmiernym dziwem w głębi habit ujrzał biały,  
W którym tkwiął, by w lupinie, Cysters skamieniały.  
Zatopion jakby w modłach, w klęczącej postawie.

Gdy się Lucyan zjawisku przyglądał ciekawie,  
Wstał nagle cichy posąg ze zagasłem okiem,  
By wyjść na środek nawy wolnym, chwiejnym krokiem  
I, przed wielkim ołtarzem robiwszy pokłony,  
Zniknąć wnet w bocznej ścianie za kirem zasłony.  
Wyteżoną źrenicą, czując lekkie dreszcze,  
Przeprowadził młodzieniec to widmo złowieszcze,  
A potem długo w myśli zwichrzonej dochodził,  
Czy to majak pustynny marę mnicha zrodził,  
Czy też obrzask gorączki niewystygłej w ciele,  
A podnieconej grozą w umarłym kościele,  
Pajęczce ducha w tkance mózgowej wytwory  
Odblł mu złudną wizyą na tęczówce chorój.

Zbudziwszy się a zadumy w głębi korytarza,  
Zeszedł Lucyan po schodach i do refektarza  
Krok zwrócił, gdzie młodzieży drużyna wesola  
Z rękoma na temblakach, z bandażem u czoła,  
Zwykła się zbierać z rana, by przy cygarecie  
Gawędzić, albo szukać nowinek w gazecie.  
Wtem znajomego w ganku napotkał proboszczą,  
Który tu co dni kilka z bliskiego Ugoszcza  
Zjeżdżał jako gorliwy prezes komitetu,  
By o wszystkich potrzebach radzić lazaretu.



Gdy się z zycznym kapłanem nasz młodzian przywitał,  
Wraz go bez długich wstępów o mnicha zapytał  
I rzekł: „Ot, jak tu stoje, przed kwadransem może  
Widziałem mumję starca w zakonnym ubiorze,  
Co wśród dawnej świątyni w postawie pokornej  
Zdał się modlić, a potem znikł w ścianie klasz-  
tornej“.

„Ha, ha!“ — proboszcz się zaśmiał. — „Bardzo  
temu wierzę!“

Tylko, że owa mumja, panie inżynierze,  
To człek żywy, ostatnia pszczoła z tego ula,  
O której zapomniata zda się śmierć matula.  
Lat czterdzieści minęło, jak pasiekę cichą  
Podkurzono i mnichów z „kompetencyą“ lichą  
Rozegnano po kraju, by plastrami miodu  
Wycieńczony skarb państwa wzmocnić bez zachodu.  
I ten starzec, ostatni kanafarz klasztoru,  
Zrzuciwszy biały habit, musiał z Białodworu  
Uchodzić z gorzkim płaczem, gdy przyszła kasata,  
I być świeckim kapłanem het przez długie lata.  
Lecz, gdy go wiek przycisnął, wziął emeryturę  
I powrócił w te pustki klasztoru ponure,  
Nie bez wielkich zabiegów w gabinecie króla  
Uzyskawszy znów wolny wstęp do swego ula.  
Własnym kosztem swą dawną wyporządził celę,  
A z czasem nawet jedną z kaplic przy kościele.  
Tam codziennie z pamięci dla słabego wzroku  
Odprawia *de beata* mszę o rannym mroku,  
Do której mu klasztorny służy ex-pastuszek,  
Wówczas mały sierota, dziś siwy staruszek.

„Niespożyty ten Cysters, choć zeszłej jesieni  
Setny rok życia skończył, jeszcze się nie leni  
Spełniać wszystkich przepisów swej dawnej reguły.  
Więc wstaje o północy i, na mróz nieczuły,  
Nawet wśród ostrej zimy w habicie swym lichym  
Idzie na chór samotny, by tam głosem cichym



Śpiewać, lub raczej mrużyć przy świeczki płomieniu  
Nocne *officium*, kiedy straszna w otoczeniu  
Zieje pustka, bo bracia, od pół wieku niemi,  
Snem kamiennym posnęli wśród głuchych podziemi.  
Nie dość na tem! Dziś jeszcze i klasztorne święta  
Obchodzi, jak przed laty i nawet pamięta  
O odpustach dawniejszych, garść drobnej monety  
Sypiąc wówczas ubóstwu z swej chudej kalety.  
To też w całym powiecie dobrze dziadom znana  
Długa, zawiedła postać jest ojca Urbana.“ —

„Urbana?“ — krzyknie Lucyan — „czy ten mnich  
sędziwy  
Nie był proboszczem w dobrach hrabiego Leliwy,  
W Srebrnolaskach?“ — Ksiądz na to: „A tak, nie  
inaczej!  
Lecz cóż pańskie niezmierne to wzruszenie  
znaczy?“ —  
„Ach, mój księże proboszczu, zlituj się nademną!“ —  
Rzecz młodziak — „Wnet całą zagadkę ci ciemną  
Ów staruszek wyjaśni, lecz do jego celki  
Zechciej mnie zaprowadzić sam bez zwłoki wszelkiej.“

Poszli więc w zakamarki klasztoru odludne.  
W drodze zaś ksiądz tłumaczył, że czeka ich trudne  
Zadanie, by na słowo wywieść zakonnik,  
Co wszelkich wspomnień z świata skwapliwie unika.  
Zastali go wśród celi po posiłku skromnym,  
Jak, uzbroiwszy dłoń swą różańcem ogromnym,  
Zabierał się do modłów. Gości swych widokiem  
Nie ucieszył się zbytnio, bo oziębłym wzrokiem  
Powiódł po nich, a zwłaszcza po obcym Lucyanie,  
By im ręką siedzenie wskazać na tapczanie.  
Lecz wnet wzmianka o ślubie w Srebrnolaskach tajnym  
Wstrząsnęła nim widocznie, blaskiem niezwyčajnym  
Zapalając mu blade, nieco mętne oko,  
Co się pod brwią krzaczastą schowało głęboko.

„Czyś pan starszym jest synem hrabiego Leliwy?“ —  
Zapytał głosem, w którym brzmiał odcień lękliwy.  
Więc Lucyan odpowiedział, że Artur jest w grobie  
Od lat może dwudziestu, a potem o sobie  
Wspomniał, że jest doktora synem i hrabianki,  
Co, nie mogąc o ślubie w księgach znaleźć wzmianki,  
Pozbawion jest praw wszelkich rodu i imienia.  
Słyszając to mnich stuletni, wątlejszy od cienia,  
Zadrżał całym aż ciałem, a na twarzy bladej,  
Jak śmietanki kożuszek pomarszczonej, śniadej,  
Zaczął mu się powoli pons wybijać żywy.  
„Boże! com ja uczynił?“ — szepnął nieszczęśliwy.  
„Teraz wiem, czemu ślub ten sny me przez lat tyle  
I godziny rozmyślań wciąż klócił niemile.“

Ochłonawszy z wzruszenia, starzec opowiedział,  
Jak po zejściu w kościele z początku nie wiedział,  
Co uczynić z tym fantem; jak łaciński długi  
Raport do konsystorza wysłał raz i drugi,  
Jak ślub uznany ważnym zapisał do księgi,  
Lecz potem w niej niestety, aby ujść mitregi,  
Gdy powtórnie syn hrabi wrócił z włoskiej ziemi,  
Zlepil szczelnie dwie karty galki woskowemi.

Wesół wyszedł nasz młodzian z pustelni ascety,  
Co go pobłogosławił, mówiąc, że do mety  
Snać dobiegł dni swych długich, gdy u śmierci  
proga  
Zdołał jeszcze naprawić błąd swój z łaski Boga.  
Dzień szczęśliwie zaczęty nową dla Lucjana  
I miłą niespodzianką przyniósł jeszcze z rana.  
Bo kiedy, pożegnawszy swego towarzysza,  
Szedł ku łożu kościelnej, by wśród jej zacisza  
Przetrawić w głębi duszy świeże wieści ważne,  
Spotkał w ganku lekarza, co właśnie poważne  
Snać wypełnił zadanie, bo niósł swe puźderko,  
Fartuch mając skrwawiony i nóż z taką ścierką.

„No, chwała Bogu!“ — krzyknął — „Już po  
*rękoczynie!*  
Syn Mamla — wiesz, co z radcą zwykł jeździć  
w Chwalinie,  
Chwat tegi! Nie chciał wcale wziąć pod nos *uśpiku*,  
No, niby chloroformu, — a potem bez syku  
Dał mi się rznąć jak baran. Kulkę mu z pod ziobra  
Wydobyłem; patrz jeno, mała, ale dobra!  
Niechybnie z *wielostrzału*, czyli rewolwera!  
Lecz gdzie ty się wałęsasz? Ta stara rudera  
Przyrosła ci do serca, ale serce przecie  
Mogło ci także szepnąć, kto w pięknej karecie  
Zajechał tu przed chwilą. Ot nasze boginki!  
Bywaj zdrów, nie mam czasu dziś ani godzinki.“

Po tych słowach doktorek skręcił się na pięcie  
I znikł, a nasz bohater w tym samym momencie  
Stracił wszelką ochotę do samotnych marzeń.  
Z biciem serca, w przeczuciu jakby lubych wrażeń,  
Udał się do swej celi, by tu aż trzy panie  
Zastać u łoża Mieczka, niby niespodzianie.  
Najstarsza z nich we futrze prześlicznem z soboli,  
Ujrzawszy go, powstała z krzesła i, powoli  
Idąc ku niemu, obie wyciągnęła ręce.  
„Panie“, — rzekła — „wręcz nie wiem, jaką mej  
podzięce  
Nadać formę, gdy serce uczuciem wezbrane,  
Żeś mi ocalił syna i odniósł dlań ranę.“  
To mówiąc, zaena Polka na młodzieńca skroni  
Złożyła pocałunek wśród uścisku dłoni.

Lucyan o powinności coś szepnął żołnierza,  
Gdy doń znów druga dama, jak konwalia, świeża,  
Przystąpi, by mu swoją rączkę podać białą  
I, patrząc weń źrenicą łzawą, ale śmiałą,  
Rzec z gracyą i uczuciem: „Ja wybawcę brata  
Witam wdzięczna, lecz razem i polskiego chwała.“  
Lucyan zmieszał się trochę po tym komplemente  
I, nie wiedząc, co zrobić w krytycznym momencie,

Do ust prawie bezwiednie poniósł dłoń hrabianki,  
By wraz się bardziej zmieszać i znów niespodzianki  
Doznać miłej, gdy owo drobne uchybienie  
Zjednało mu silniejsze ręki uściśnienie.

Teraz i trzecia postać, co stała na boku,  
Zbliżyła się i z blaskiem dziwnie wilgnym w oku  
Z daleka wyciągnęła rękę do młodziana,  
By mu po prostu tylko szepnąć: „Witam pana.“  
Hrabina opowiadać jęła, że dziekczynny  
List dlań wiezie od męża, który jako „winny  
Zbrodni stanu“ w poznańskiej siedzi cytadeli,  
Do której też o mało i radcy nie wzięli,  
Lecz że go wczas sejm pruski zastawił puklerzem.  
Lucyan zaledwie słuchał pod wrażeniem świeżem  
Spotkania się z Celiną, którą po pożarze  
Raz tylko z dala widział w chwalińskiej landarze.  
O ile zauważył w spojrzeniach przelotnych,  
Miała znów dawną słodycz w żrenicach wilgotnych,  
A na twarzy jej, krasnym rumieńcem oblanęj,  
Widniał lekki niepokój z radością zmieszany.  
Wraz rzekła: „Muszę odejść, bo mnie czeka mama,  
Lecz nie wiem, czy relektarz odnajdę już sama.“ —

„Ja panią zaprowadzę“ — rzekł Lucyan skwapliwie  
I wyszedł z nią na ganek. Tutaj w oczy tkliwie  
Spojrzał slichnej bogdance i rzekł: „Lód niechęci  
Czy już stopniał u pani? Ach, ciągle w pamięci  
Mam wieczór przed pożarem. Jakież moje winy,  
Że mnie tak srogi spotkał gniew panny Celinny?  
Ach, pani, com ja cierpiał!“ — Zadrżała dziewica  
I jeszcze żywszy karmin w mig powlekl jej lica.  
„Gniewu, niechęci“ — rzekła — „nie było, mój Boże.  
A jeżeliś pan cierpiał, o! to nie sam może“ —  
Wraz poczuła biedaczka, że za wiele rzekła,  
Więc spuściła woalkę i prawie uciekła,  
Bo właśnie w głębi ganku czcigodna radczyni  
Z chłodną się ukazała twarzą georgini.

---

## Pieśń X.

### Rozwiązanie.

Minął straszny rok bojów. Pobita, zmiażdżona,  
 Lejąc całe krwi morze z rozdartego łona,  
 Padła Polska nieszczęsna, a zwycięzca srogi  
 W cięższe łańcuchy ręce jej zakął i nogi.  
 Daremnie inne ludy, nim uległa w walce,  
 Z prośbą i groźbą nawet ku silnej rywalce  
 Wyciągnęły za siostrą dłonie bezoreźne.  
 Car, z sąsiadem zawarłszy przymierze potężne,  
 Wraz odtrącił Europy pośrednictwo z szydem  
 I, żadnym nie skrepowan względem ani wstydem,  
 Na powaloną w boju nierównym ofiarę  
 Dzikiego swego gniewu pełną wylał czarę.  
 I wtedy w bratniej Litwie z ciepłej krwi odmetu,  
 Wpośród skrzypu szubienie i niewiast lamentu,  
 Straszny jak widmo Alby, z nabiegłem krwią okiem,  
 Z kamiennem sercem w piersi, szczerniałe lat mrokiem  
 Murawiew swe oblicze wychylił złowieszcze,  
 W obcych nawet narodach budząc trwogi dreszcze.

Lecz i nad ziemią polską, którą rosi Wisła,  
 Chmura czarna i ciężka jak olów zawisła,  
 Thumiąc wszelkie słoneczne nadziei promyki  
 I rzucając w umysły rozpacz i ból dziki.

Toż i w innych dzielnicach posepnej krainy  
Lud usiadł na popiele i, świadom swej winy,  
Jał zgłębiać cały ogrom zwiększonej niedoli  
I resztki mgieł zwodniczych rozwiewać powoli.  
Więc niezdolny na razie do myślowej przędzy  
Lud-rozbitek, chcąc strasznej swej zapomnieć nędzy,  
Zasklepił się w obrębie domu i rodziny  
I zaczął jakby cichy wieść żywot rośliny.

Jedynie w Wielkopolsce żywiej były łona,  
Bo w nadsprewskiej stolicy znowu osławiona  
Hausvogtei pochłonęła kwiat obywatelstwa  
I to nie pod zarzutem błahym marzycielstwa,  
Lub obrazy sąsiada, tylko kraju zdrady,  
Poza którą cień kata rysował się blady.  
Zeszli się tam za czasem prócz hrabi Leliwy  
Czcigodny radca Barski, co póty szczęśliwy  
Mógł używać swobody, póki sejmu stało,  
Dalej pan Leszcz, Ostrogot z miną zawsze śmiała,  
(Choć prochu moskiewskiego nie powąchał wcale,  
Niby przy Mierosławskim będąc generale  
Szefem sztabu), pan rotmistrz Tłukomski i inni;  
Z młodych zaś Lucyan, Maryan, choć obaj niewinni.  
Ci, idąc w bój za Prosnę, żołnierze zwyczajni,  
Nie byli żadnem oczkiem w sieci, jak najtaniej  
Rozpiętej przez *Centralny* nad Księstwem *komitet*,  
Co mądrze „rządzącego“ odrzucił epitet.  
Zaszkodziły im zradne nazwisk inicjały  
W zapiskach Działyńskiego i jakieś szpargały,  
Które w dworze chwalińskim przy rewizji nocnej  
Znalazł pan pocztmistrz Rogge, jako drab pomocny  
Osławionego Dreksa, co z węchem nielada  
Śledził, gdzie tylko polska zapachniała „zdrada.“

I mijały miesiące i rok nawet minął,  
A jeszcze wszystkich swoich kregów nie rozwinął  
Waż olbrzymi procesu, któremu znów miano  
*Polskiego*, jak przed laty, w Berlinie nadano.

Wreszcie z wiosną na wielkiej Moabitu sali  
Zaczął sąd czyny więźniów odważać na szali  
I badać po wymownym obrony wywodzie,  
Czy się w nich zbrodnia stanu nie mieści w zarodzie.  
Ze zapartym oddechem kraj wyroku czekał,  
Z którym trybunał państwa czas niejakiś zwlekał,  
Aż zabrzmiała rozgłosnie znów sędziów Berlina  
Sława z przysłowia znana, bo Polaków wina  
Stopniała pod ich lupą arcysprawiedliwą.  
Więc miast karać na gardle lub kaźnią dotkliwą,  
Wskazano na fortecę winnych, z nadmieniem,  
Komu z nich kara śledczem gładzi się więzieniem.

Lagodny wtedy wionął zefirek po kraju,  
Kojąc zbolące serca i, jak zwykle w maju,  
Budząc w nich znów pragnienia i wiosenne dreszcze.  
Raz po raz nowych haseł niewyraźne jeszcze  
Wpółśród głuszy się słyszeć dawały zadźwięki.  
A choć z luźnych tych tonów nikt nuty piosenki  
Nie mógł złożyć, to przecie widocznem już było,  
Że organizm narodu z nispożytą siłą  
Przetrwą kryzys i, patrząc w przeszłość niepowrotną,  
Dalej swą nie przez wieki snuć będzie żywotną.

Lecz, wyrwawszy żalobną myśl z murów wię-  
ziennych,  
W miesiąc już po wyroku do słońcem promiennych  
Pofruńmy błoni swojskich, gdzie gościńcem z rana  
Podróżna karyolka unosi Lucyana.  
Uwolnion całkowicie od kary i winy,  
Zaraz się do nadreńskiej udał był krainy  
I póty tam kościelne wkrag przeglądał księgi.  
Aż wreszcie w Höchst w nagrodę niemałej mitregi  
Metrykę swą odnalazł, poczem do Poznania  
Ruszył, by urzędowe rozpocząć starania  
O prawa swe rodzinne. Lecz tu cios bolesny  
Uderzył weń, gdy wieść go doszła o przedwczesnej  
Śmierci Granata, który bez ślubu dowodu  
Nie miał nikomu zdradzać tajemnicy rodu.

Zanim młodzian popsute znów nawiązał plany,  
Odebrał od hrabiego list niespodziewany,  
Co go do Srebrnolasek zapraszał serdecznie  
Z dodatkiem, że natychmiast ma przybyć koniecznie.  
Więc, nie leniąc się, Lucyan ruszył zaraz w drogę  
Koleją, potem końmi, które mu pan Rogge  
Z ekstrapocztą dostawił, dwakroć w swe oblicze  
Puściwszy wpierw, jak zwykle, drgawki tajemnicze.  
Choć przed źrenicą jego śliczny dzionek lata  
Roztaczał wszystkie wdzięki, myśl jego skrzydłata  
Nie czeptała się teraz ani nieb błękitu,  
Ni łąków, dzięki bujnej pszenicy i żytu,  
Chwiejących się jak morza szmaragdowe fale,  
Ani przydrożnych klonów, co z wiosną wspaniale  
W świeży maj wystroiły swe wyniosłe czoła,  
Lecz poleciała naprzód, nienazbyt wesola,  
W srebrnoleskie komnaty, by snuć nie rozmowy,  
Po której okres życia miał rozpocząć nowy.

Ileż razy w Berlinie młodzian w cichej celi  
Układał apostrofe, którą się ośmieli  
Zagadnąć z cicha hrabię, by po wstępie pewnym  
Wyjaśnić mu, jak bliskim jest Leliwów krewnym!  
Lecz gdy podczas przechadzki w dziedzińcu wię-  
ziennym  
Spotkał się z wzrokiem hrabi, zawsze dlań pro-  
miennym  
I skoro z nim słów kilka przyjaznych wymienił,  
Zaraz się zwykle zmieszał, nawet zaczerwienił  
Na myśl, że greczny magnat w jednej może chwili,  
Zaledwie mu się rąbek zasłony odchyli,  
Spoważnieje i twarzy wyraz nada ostry,  
Miał z ciepłem w nim powitać syna zmarłej siostry.  
Teraz się jeszcze bardziej Lucyan w duchu  
trwożył,  
Bo wszakże stary Granat chwili tej nie dożył,  
W której mógł jego powieść piśmiennym dowodem  
Poprzeć, zdobytym świeżo z niemalym zachodem.



A nuż — pomyślał nagle — i wzgląd majątkowy  
Zaważy tu na szali, czyż w drodze sądowej  
Miałby praw swych dochodzić i schnać całe lata,  
Nim wstęp sobie do obu rodzin wykołata?  
Pociemniało mu w duszy na tę myśl tak wstrętą,  
Lecz szczęściem nie na długo, bo zbyt doń ponętą  
Uśmiechała się krasą młodziutka przyroda.  
Z bliskiej łąki — jeziorka cicha, jasna woda  
Rzucała nań zalotnie garść blasków srebrzystych;  
Nad nią rojek błękitnych ważek przezroczystych  
Bezwiednie w płas swój lekki rwały smętne oczy;  
Z drugiej znów strony łubin wiał zapach uroczy  
Ze złotych trybularzy, jakby sianokosów  
Chciał słabszą woń przytłumić, a wpośród niebiosów  
Ledwie widny skowronek piosnkę nucił raźnie  
I: „Wszystko będzie dobrze!“ wołał doń wyraźnie.

Z weselszą więc już twarzą jął patrzeć młodzieniec,  
A gdy bryczka minęła drobnych wzgórzy wieniec,  
Wykręcił się nieznacznie, by okiem płonącym  
Prześliznąć się pospiesznie po jeziorze lśniącym  
I powitać z daleka dwór Chwalina biały,  
Co się w jasnej zieleni zdawał nurzać cały.  
Im bliżej doń dojeżdżał, tem mu w łonie silniej  
Kołatało, a oczy tem bystrzej i pilniej  
Śledziły w bzach i oknach liczko krasawicy,  
Do której przez rok długi tak wzdychał w tęsknicy.

Lecz próżno wzrok wyteżał i siał w dwór zakłęcia.  
Prócz gosposi, co szybko od swego zajęcia  
Wracała z oficyny, tocząc się jak kula,  
Nie dojrzał innych pszczołek wśród gwarne go ula.  
Gdy dwór minął, w ogrodzie twarz pana Cyryna  
Wyblęskła mu słodziutka z poza krzewów wina.  
Skłonił mu się, a tenże uklon oddał wzajem,  
Lecz, że się doń swym starym nie zaśmiał zwyczajem,  
Dostrzegł Lucyana, iż zacny „wujek-konfiturka“,  
Jakoś go z odległego nie poznał pagórka.

Poznał go zato zaraz jeździec dziarskiej miny,  
Który na trakt z przydrożnej wjechał koniczyzny  
I, białe szczerząc zęby, z spojrzeniem wesołym  
Krzyknął doń trochę przez nos: „Witam! czołem!  
czołem!”

Gdy Lucyan z ust usłyszał pana Zefiryndę,  
Iż do hrabstwa Leliwów dziś państwo z Chwalina  
Ruszyli z całym dworem, wraz kazał woźnicy  
Zaciąć konie, bo teraz lotem błyskawicy  
Zapragnął do uroczych przybyć Srebrnolasek,  
Które mu przed oczyma krył sosnowy laszek.

Gdy w pół godziny potem z bitego gościńca  
W starym gnieździe Leliwów ku bramie dziedzińca,  
Bzem wonnego, zjeżdżali, uwagę Lucyana  
Zwróciła oficyna świeżo zbudowana.  
Lecz nie mógł teraz bliżej badać jej struktury,  
Bo pod gankiem pałacu dostrzegł hrabię, który  
Dawał jakieś zlecenia strażnikowi lasu  
Szybko, jakby nie wiele wolnego miał czasu.  
Skoro ujrzał młodzieńca, twarz swą rozpromienił,  
O wysłanym po niego koczku coś nadmienił,  
Potem się z nim przywitał nadzwyczaj serdecznie,  
Zaprowadził do salki i tutaj rzekł grzecznie:

„Zechęcej pan przedewszystkiem zjeść śniadanko  
małe.

Ja wyjść muszę, przepraszam. Dzisiaj rano całe  
Strasznie jestem zajęty; komisya sądowa  
Robi u mnie przesłuchy, że aż skwierczy głowa.  
Mam przytem dużo gości, co, zjadłszy śniadanie,  
Poszli w park, albo może w las na grzybobranie.  
Skoro się pan posilisz, pewnie bez zachodu  
Odszukasz ich po głosach u krańców ogrodu.“ —  
To mówiąc, wyszedł żwawo, Lucyan zaś z ochotą  
Pokrzepił się wędliną i nalewką złotą,  
Ale w tempie niezwykłym, prawie błyskawicznym,  
Cheąc co prędzej raj znaleźć w pewnym oczku ślicznym

Tymczasem wpierw w przedsionku z innym, miłym  
okiem

Spotkał się niespodzianie, które przed półrokiem  
Z współzuciem go w więziennej pożegnało celce.

Był to przyjaciel Adam, co się spieszył wielce  
Wrócić w park, z rąk lokaja wzięwszy klucz ma-  
lutki.

„Witaj, druhu kochany, wyzwolon z pod kłódki!” —  
Zawołał wśród uścisków. — „Ale nie znać, bracie,  
Ześ rok cały przesłęczał w pruskiej marynacie.  
Ojciec-bo stęka jeszcze wciąż po Moabicie.  
Skądżeś tu wyrósł nagle? Lecz to wyśmienicie!  
Nie znudzisz się, gdyż gości jest tu zatręsenie.  
Poszli w las, by się bawić „w elizejskie cienie.”  
Scilicet zbierać grzyby; ja zaś pannie Wrzeskiej  
Wraz z Cesią pokazuję ogród srebrnoleski.  
Pójdź ze mną; właśnie niosę kluczyk od gondoli,  
To sportu wioślarskiego użyjem do woli.“

Obaj zatem młodzieńcy wśród żywej rozmowy  
Udali się do parku, który w szacie nowój  
Ukazał się dziś oczom zdumiałym Lucyana.  
Długa aleja, w zimie śniegiem zasypiana,  
W świeżej lśniła zieleni; kasztanów korony  
Biało-różowych stoczków zatknęły miliony,  
Jakby iluminacją urządzając wiosnie,  
Na cześć której chór ptaszków piał hejnał radośnie.  
Śliczne, wielkie trawniki, przycięte przy ziemi,  
Błyszczały jak aksamit; klomby między niemi  
Do różnobarwnych były podobne dywanów,  
Pełne floksów, stroiczek, werben, tulipanów.  
Wszędy pachniało cudnie, bo akacje w górze,  
Dołem zaś lak, goździki i wysokie róże,  
Każda z drażkiem zielonym, niby służebnicą,  
Rozlewały woń w koło inną kadzielnicą.

Pojąc wzrok krasą kwiatów, a piersi balsamem,  
Szczęśliwy, szybkim krokiem wgiął parku z Adamem

Szedł nasz młodzian tam, kędy jasna szyba wody  
Przeświała miejscami gąszcz leszczyny młodej.  
Gdy w oddali mignęły dwie barwne sukienki,  
Wraz Adam znak milczenia dał mu ruchem ręki  
I przez trawę go powiódł do ławeczki małej,  
Ku której obie panny powoli zmierzały.  
Za chwilę zabrzmiał okrzyk z dwóch piersi  
dziewicznych,

Gdy tuż obaj młodzieńcy z gąszczów tajemniczych  
Znienacka ku nim swoje wychylili czoła.

„Ach, pan Lucyan!“ — wraz Anđzia radośnie zawoła  
I z wszelką doń swobodą wyciągnie swe rączki.  
Na Celinę natomiast jakby żar gorączki  
Padł nagle, powlekając lica jej rumieńcem,  
Iż, miast grzecznie się także przywitać z młodzieńcem,  
Pierwej wstydnie za główką przyjaciółki jasną  
Na momencik ukryła twarz jak wiśnia krasną.

Niezadługo kanałem łódź lekka, nadobna,  
Unosząc obie pary, do ptaka podobna,  
Sunęła w żartkiem tempie ku błyszczącej wodzie,  
Co z polnego ruczaju urosła w ogrodzie  
W staw obszerny i krągły, by drzewom nadbrzeżnym  
Być zwierciadłem, jak niemiętej i obłokom śnieżnym.  
Okrażywszy łódź brzegi, na średnie głębiny  
Strzeliła, kędy krzewów zielone gęstwiny  
Na dwóch sztucznych wysepkach lśniły, jak oazy,  
Lub dwa w tarczę ze srebra oprawne topazy.  
U bliższej z nich stanęli, by wśród jej jaśminów  
Czytać napis na głazie, co nie wielkich czynów  
Głosił sławę, lecz świadkiem był pamięci tkliwój,  
Jaką miał dla swej suczki dziad hrabi Leliwy.

Gdy Lucyan rdzę jał zbierać, co w litery wrosła,  
Krzyknęła z lekka Cesia, bo wraz pusty wiosła  
I łódź z przodem łabędzim, lśniąca barwą śniegu,  
Z drugą przystojną parą odbiła od brzegu.  
Adam z śmiechem zawołał: „Bawcie się tu mile!  
Jadę na tamtą wyspę i wrócę za chwilę,

Skoro mej towarzyszcze w bzach i dzikiem winie  
Skrytą Mieczka ukażę *dumania świętynie*."

Teraz dziewczę i młodzian na wyspie odludnej  
Wśród woni balsamicznej i przyrody cudnej  
Znaleźli się sam na sam, a gdy ich źrenice  
Zbiegły się, znów pons żywy oblał Cesi lice,  
Lucyan zaś rzekł, drżąc z lekka: „Więc rajskie  
marzenia

Mogą się czasem ziścić. Wśród ciszy więzienia  
Jam nieraz taką chwilę w swej fantazyi roił,  
Lecz brak jej rozwiązania, którem duch się poił.“ —  
„Jakiego?“ — szepnie Cesia, w dół spuszczaając oczy.  
„Ach, pani“, — odrzekł młodzian — „sen był zbyt  
uroczy,

Iżbym go teraz w słowa mógł ubrać niepłochę,  
Jeśli mnie twa źrenica nie ośmieli trochę.“ —  
Więc dziewczę w pół rozemknie rzęsy swoje czarne  
I pospiesznie mu rzuci spojrzenie pożarne.  
Wtedy przyklął młodzieniec, dłoń chwycił Celiny  
I rzekł: „Więc zostań moją, skarbie mój jedyny.“

Teraz Cesia zadrżała. — „Ach, panie Lucyanie!  
Jakże mi serce bije! — To tak niespodzianie!...  
Boże, co powie mama?... Ma znów inne plany...  
Czyli nasz nowy sąsiad jest już panu znany?...  
Pan Bielski?... Mirotworki wziął po ciotce w spadku.“  
Lucyan wstał i z boleścią rzekł: „W takim przypadku  
Przepraszam; ja-bo nie mam dotąd żadnej włości.“  
Wtedy Cesia, w nim topiąc wzrok pełen miłości,  
Odszepnie: „Wszak ja tylko mówiłam o mamie.  
Co do mnie, dam odpowiedź okiem, co nie skłamię.“  
Tu jęli patrzeć sobie oko w oko z bliska,  
A snąć czasem w źrenicy swej może huryska  
Mieć wymowę ogromną, bo po chwili małej  
Klął znów Lucyan i zaczął na drobnej i białej  
Rączce Cesi całunki wyciskać gorące  
I rzucać jej wyrazy słodkie, żarem tehnące.

W tymże samym momencie na drugiej wysepce  
W gęstym bzie, tuż przy budce, łabędzi kolebce,  
Usiadł Adam wraz z Ańdżią na kamieniu siwym  
I jął do niej pospiesznie głosem szeptać tklivym :  
„Ach, tylko jedno słówko, lecz ważne niezmiernie!  
Czy chcesz, pani, bym tobie służył odtąd wiernie?  
Chcesz być moją na zawsze?“ — Dziewczę naraz zbladło  
I oburącz zakryło duszy swej zwierciadło,  
Drżąc jak listek osiny. Gdy odjęła dłonie,  
Miała dwie łezki w oczach i w bolesnym tonie  
Szepnęła: „Pan drwi ze mnie“. — „Pani“ — odrzekł  
Adam —

„Więc dla tego, że żarty wesół opowiadam,  
Miałbym igrać z świętością? Ach! z piersią wzburzoną,  
Droga Ańdziu, powtarzam: chceszli być mą żoną?“

Zapłonęło w tej chwili dziewczę, jak jagoda,  
Lecz znów się zatrwożyła jej duszyczka młoda.  
„Ach, mama pańska“ — rzecze — „nie zgodzi się  
na to!“

Jam straciła jej łaski właśnie tylko za to,  
Żeś pan mnie o kokardę przed partyą wojenną  
I zdrowaśkę za siebie poprosił codzienną.“ —  
„Cóż z tego?“ — odparł Adam — „Ojciec pani sprzyja;  
Zresztą jam pełnoletni i wkrótce niczyja  
Nie powstrzyma mnie wola. Za kilka miesięcy  
Zdam popis i zależnym nie będę już więcej.  
Więc nie wahaj się, droga, i ręki ściśnieniem  
Daj odpowiedź pomyślną lub słodkiem spojrzeniem.“  
Natenczas skromna Ańdzia, jak maczek, rumiana,  
Odwróciła się wstydnie, ale dłoń młodziana  
Ujęła ciepłą rączką i czułym uściskiem  
Zdradziła, jak jej sercu był oddawna bliskim.

Obie wyspy zielone w zwierciadlanym stawie  
W przedsiónek elizejski zmieniły się prawie.  
Cicha gęstwa, woń silna, w górze szmat błękitu  
Lały czar w szept miłosny; do pełni zachwytu

Brakło tylko uroczej piosenki słowiczej,  
By dusze w kraj ułudy porwać tajemniczy.  
Wtem miast śpiewaka wiosny gdzieś wilga płochliwa  
Z melodyjnym swem hasłem dwakroć się odzywa.  
Po chwili znów „zofija“ w innej zabrzmiał stronie,  
Echo wciąż głos powtarza, ale w innym tonie.  
Wtedy zerwał się Adam. „Już wracają z lasu!“  
Zawolał i, nie tracąc ani chwili czasu,  
Sliczną swoją bogdanekę zawiódł do gondoli,  
Którą ku drugiej wyspie chyżo mknąć niewoli.

Gdy dwie pary kochanków w modrzewiów gajku  
Tuż przy wiecznie mrużącym wysiadły strumyku,  
Liczni ku nim nadeszli panowie i panie,  
Ukończywszy obfite w lesie grzybobranie.  
Oprócz radey Barskiego i jego rodziny,  
Hrabianki Izabeli, Mieczka i hrabiny  
Była tam z gronem córek pani Świętorzeska,  
Pan Bielski z Mirotwerek, młodsza pani Wrzeska,  
Której mąż wraz z teściową miał tu jakiś termin  
I maruder z powstania, Francuz, mosje Dermin,  
Co był aniołem stróżem nad młodym hrabiczem,  
W końcu proboszcz z doktorem, zacnym Zborowiczem

Wszyscy niemal Lucyana witali serdecznie,  
Tylko pani radezyni bardzo chłodno-grzecznie  
Wyciągnęła doń rękę, gdyż z dala dojrzała,  
Że Cesia wobec niego nazbyt była śmiała.  
Zaraz go też zagadła: „Wszakże wolno przecie  
Powinszować już panu? Lecz państwo nie wiecie,  
Że pan świeżo po słowie. Kiedyż zaręczyny?“ —  
Lucyan zbladł na myśl nagle, że przez bzy, jaśminy  
Dojrzała go z Celiną wzrokiem ostrowidza.  
„Z kim?“ — więc spyta zmieszany. — „Z panną  
Schmidt z Powidza!

Dla czego pan się tai? Wiem to od Adama“. —  
Na to syn się odezwie: „Ależ droga mama  
Pomieszala nazwiska. Jam nie o Lucyanie  
Powiadał tę nowinę, lecz o Symforyanie

Otrębie, konowale sławetnym z Lutyni.“ —  
„To przepraszam!“ — ze śmiechem zawoła radczyni.  
„Wszak Otrębę z Dorębą łatwo się pomyli“.

Niesmak, którego młodzian doznawał w tej  
chwili,  
Na pięknej jego twarzy odbił się widocznie.  
Ujrawszy to hrabianka, zaraz z nim rozpocznie  
Żywą rozmowę, chcąc mu rozpogodzić czoło.  
Gdy jej grzyby odbierał, rzekła mu wesoło:  
„Dziękuję! Jeśli łaska, niech pan poda ramię,  
Jak pan Bielski radczyni, a pan radca mamie“.  
Więc złączyli się w parę niezwykle dorodną,  
Bo wysmukła hrabianka sama tylko godną  
Stanąc była przy rośłym, jak topól, młodzianie.  
W drodze z nim szczebiotała, raz go o powstanie  
Wypytując, to sama znów mówiąc o bracie,  
Że go szczerze pokochał; w końcu o Granacie  
I tajemniczym jego napomknęła zgonie.  
Gdy: „czemu tajemniczym?“ — z niepokojem w łonie  
Zagał Lucyan, odrzekła, iż spisał testament,  
Z wielką skruchą przyjąwszy ostatni sakrament,  
A potem robił jeszcze osobne zeznanie  
Przed sądową komisją i przysięgę na nie  
Snać składał, skoro sędzia — co rzecz pewnie  
rzadka —  
Posłał po krzyż i ojca zawezwał na świadka.

Słyszac to Lucyan, chwilkę przystanął i oczy  
Zdumiałe, nieprzytomne wprost — w twarzy uroczej  
Utkwił swej towarzyski, która także z dziwem  
Spojrzała nań, by potem w czarnem oczku żywym  
Skrzesać rakiętę iskier i wraz do młodziana  
Filuternie zawołać znane: „Budzę pana“.  
Na długie tłumaczenia zabrakło już czasu,  
Bo właśnie lokaj całe towarzystwo z lasu  
„Na rozkaz jaśnie-hrabi“ zaprosił do sali,  
Kędy panowie z sądu dziś świadków badali.



Ponieważ te przesłuchy niezwykle, tajemne,  
Zaciekawiały wszystkich ze względu na ciemne  
Wieści krążące o nich, skwapliwie ruszono  
Do pałacu i wkrótce liczne gości grono  
Zasiadło w perskiej sali, do której po chwili  
Hrabia wszedł z babką Ańdzi, a za nim wkroczyli  
Sędzia Ławski, pan Wrzeski i pisarza rolę  
Grający dziś pan Ludwik, z zadumą na czole.

Uroczyste milczenie nastąpiło w około,  
Gdy pan hrabia głos zabrał i tak rzekł wesoło :  
„Cieszę się niewymownie, zacni moi goście,  
Ze dziś po całorocznym mym więziennym poście  
Wielkanoc wyzwolenia chcecie święcić ze mną.  
Cieszę się zaś tem bardziej, że mogę przyjemną  
Podzielić się nowiną, co mego dotyczy  
Rodu i jest osnowy wielce tajemniczej.  
Znane wam, że miał siostrę Różę, co zawarła  
Śluby z Wiktorem Wrzeskim i w Niemczech umarła  
Dzień przed tem, zanim męża jej złożono w grobie.  
Jak wszyscy, tak mniemały, i familie obie,  
Ze stało to, rok z sobą żyjąc, wciąż ogromnie  
Prześladowane losem, zeszło bezpotomnie.  
Otóż dziś wyszło na jaw, że zostało dziecko,  
Które zły człowiek na bok usunął zdradziecko.  
Stary mój ochmistrz Granat, co u mego brata  
Był lokajem podówczas, zanim zeszedł z świata,  
Zeznał w obliczu śmierci pod przysięgą świętą,  
Że, z dawna nienawiścią palając przekłętą  
Ku siostrze mej, gdy ciało jej poszło do domu,  
Zabrał biedne niemowlę z mamką pokryjomu  
I chował je u krewnych pod obcym nazwiskiem.  
Dziecię to dotąd żyje i jest nam tu bliskiem.  
Dziś to naturalnie już młodzian dojrzały.“

Tutaj hrabia przystanek musiał zrobić mały,  
Bo lekki szmer się rozległ w jednym kącie sali.  
Wszyscy, choć z nateżeniem powieści słuchali.

Bezwiednie prawie wzrok swój zwrócili w tę stronę,  
By ujrzeć ze zdziwieniem sędziwą matronę,  
Matkę pana Wrzeskiego, jak obok Lucyana  
Przystanęła promienna, lecz łzami zalana  
I, chude mu na szyję zarzuciwszy dłonie,  
Z łkaniem do jego piersi przytuliła skronie.

Na ten widok rzekł hrabia: „Ot już państwo wiecie,  
Gdzie jest tutaj to cudem znalezione dziecię.  
Niech więc i ja powitam mojego siostrzeńca.“ —  
To mówiąc, szybkim krokiem ruszył do młodzieńca,  
By go czule wyściskać, skoro babka siwa  
Puściła go z swych objęć, nad wyraz szczęśliwa.  
W też tropy i pan Wrzeski rozwarł swe ramiona  
I nie mniej go serdecznie przycisnął do łona,  
By rzec: „Widzisz, kochanku, głos serca nie myli!  
Matka moja od pierwszej już poznania chwili  
Krew swą w tobie przeczula, bo, mówiąc pacierze,  
Codziennie i za ciebie modliła się szczerze.“ —  
Chciał dalej pan Wit wspomnieć owego doktora,  
Co upatrzył w nim wierne odbicie Wiktora,  
Lecz już radca przystąpił zluzować sąsiada,  
A za radcą się cała cisnęła gromada  
Przyjaciół i życzliwych i znajomych osób,  
Co witaly młodzieńca, każda w inny sposób.

Wtem, pozbierawszy z stołu słowne swe wywody,  
Sędzia Ławski włos jasny krótkiej musnął brody  
I rzekł głośno: „Nie wątpię, panie inżynierze,  
Że królewska regencya, gdy ten plik odbierze,  
Pozwoli ci rodowe przyjąć Wrzeskich miano.  
Fakt bowiem, że w obydwóch rodzinach uznano  
Krewieństwo twe, zakryje dwa aż niedostatki:  
Brak piśmiennych dowodów na ślub z ojcem matki  
I brak metryki twojej.“ — Słyszając to nasz młodzian  
Ze zanadru czamarki, w którą był przyodzian,  
Wydobył jakiś papier z pieczęcią i w dłonie  
Złożył go pana sędzi, co w poważnym tonie  
Zaczął czytać dokument, spisany w Niemców mowie,  
By go po polsku w krótkiej powtórzyć osnowie.

Opiewał on, że tego a tego dnia w maju  
Zmarł w Soden Wiktor Habdank, Wrzeskim zwan  
w swym kraju,  
Dalej, że w dwa dni po nim żona nieszczęśliwa,  
Róża imieniem, zgasła, a hrabia Leliwa,  
Ojciec jej, do Prus kazał zawieźć zmarłej ciało.  
Na odwrotnej zaś stronie dokumentu stało,  
Że się syn im obojgu w związku prawowitym  
Urodził i na świętym chrzcie, w domu odbytym,  
Dostał imię Lucyana, a chrzestnymi byli  
Anna Błędzka z Pelplina i doktor Aemili.

„Prawowitym? wybórnice! atest ślubu będzie  
Pewnie już niepotrzebnym?“ — spytał hrabia sędzię.  
Gdy zaś Lucyana o księgi kościelne poprosił,  
Rzekł mu, że sam już trudów nie mało ponosił,  
By znaleźć zapis ślubu: lecz nową młodziana  
Prośbę o księgi z skutkiem poparł u plebana,  
A potem tak się ozwał: „Więc tyś wszystko wiedział,  
A wujowiś i słówka o tem nie powiedział?“ —  
Zaczerwienił się Lucyana i głosem niepewnym  
Tłomaczył, czemu nie chciał narażać się krewnym,  
Nim na piśmie niezbitych nie zyska dowodów,  
Iż zdradnie się do obcych nie chce wdzierać rodów.

Hrabia mu za to palcem pogrozi na nosie  
I rzecze dobrotliwie: „Teraz o twym losie  
Musim, kochany chłopcze, pomyśleć. Wiedz zatem,  
Że wedle testamentu Roztoka z Zabratem  
Ślubne nieboszczki matki twej stanowi wiano.  
Dochody z niej od śmierci dziadka, jak dziś rano  
Obrachował pan Wende, blisko o połowę  
Przenoszą stare Listy Ziemstwa kredytowe,  
Którym spłacił w tym roku. Weźmiesz więc majątek,  
Czysty by lza, jak mówią, przytem na początek  
Gospodarki swej sumkę, z której okazały  
Możesz sobie wystawić dwór, gdyż zbyt jest mały  
Domek mieszkalny rządcy. — Po stryju twym schedy  
Niema dla ciebie żadnej; owszem dosyć biedy

Narobiły mi jego długi osobiste;  
Kotary-bo musiały nadal zostać czyste,  
Jako klucz ordynacki. Lecz za to w nagrodę  
Mściwy Granat, co tobie zwicznął życie młode,  
Cały ci w testamencie swym zapisał spadek —  
Więcej niż ośm tysięcy na każdy przypadek“. —

Zaledwie hrabia skończył rachuby z siostrzeńcem,  
Aliści pan Wit zaeny stanął przed młodzieńcem,  
By ojcowiznę jego obliczać na Wrzosach.  
Lecz ten, duchem już prawie bujając w niebiosach,  
Nie chciał słyszeć o działach i całą część swoją  
Przeznaczał tym, co w Wrzosach, jak pszczoły,  
się roją.

Skoro zaś nie przystawał na to stryj sumienny,  
Rzeczę Lucyan do babki, której wzrok promienny  
Wciąż się na nim wygrzewał: „Rozsądź, babciu  
droga!

Gdyby mój biedny ojciec z łaski Pana Boga  
Sam tu stanął, czyż działałby chciałby robić z bratem,  
Otrzymałszy przed chwilą Roztokę z Zabratem?“

Wyciągnęła ku niemu dłoń siwa matrona,  
By, gdy ukląkł, przycisnąć skroń jego do łona  
I rzekła: „Krew Wiktora przemówiła w synie!  
Niech ci zdrój łask niebieskich tem hojniej popłynie!  
Ustąp mu, drogi Wiciu.“ — Nim stryj na podziękę  
Zdążył czule uścisnąć bratankowi rękę,  
Zbliżyła się stryjenka, co z boku nieznacznie  
Słuchała ich rozmowy, ale nader baczenie,  
By ze łzami na twarzy pocałować w czoło  
Szlachetnego młodzieńca, a potem wesoło  
Rzec do córki: „Chodź, Anđziu, i podziękuj szczerze  
Krewnemu, co pół Wrzosów składa wam w ofierze.“

Gdy dziewczę z łśniącym oczkiem i wdzięcznym  
uśmiechem

Dłoń ścisnęła młodzieńca, matka jej z pospiechem  
Szepnie: „A złóż pieczętkę całunkiem serdecznym,  
Bo wszakże Lucyan odtąd bratem ci stryjecznym.“ —

Więc Ańdzia, na paluszki wspiąwszy się troszeczkę,  
Zapłoniona, różową jak koral buzieczkę  
Zbliżyła do kuzynka ust, co niespodzianie  
Spadł jej dzisiaj jak z nieba, bez szkody na wianie.  
Wraz hrabianka, na scenę tę patrząc rodzinną,  
Spyta ojca półgłosem z minką dość niewinną:  
„A jakież, papo, skutki ta w rodzinie zmiana  
W moim sprawi stosunku do pana Lucyana?” —  
Wtem z dwoma foliałami, zbrojny w okulary,  
Na progu drzwi się zjawił zacny ksiądz wikary.  
Wraz proboszcz, co miał w twarzy zaciszną pogodę,  
Uśmiezek jowialny i podwójną brodę,  
Zawoła do Lucyana: „Choć szperać nie lubię,  
Wiem, że w księgach nic niema o rodziców ślubie.“

Lecz młodzian niezrażony, mileząc wciąż uparcie,  
Bierze jedną z ksiąg w ręce, by kartę po karcie,  
Przepuszczać zwolna młynkiem z takim nateżeniem,  
Iż na chwilę aż lekkim skroń zasępił cieniem.  
Nagle mu blask radości zajaśniał na czole,  
A dłoń spiesznie ujęła leżący na stole  
Nóż ze słoniowej kości, z szponą w rękojeści,  
Co hrabinie francuskie rozcinał powieści.  
Wśród ogólnej uwagi w jedną kartę księgi,  
Grubszą nieco od innych, pomarszczoną w pregi,  
Naprzód koniuszek noża, potem brzeszczot cały  
Wsunął nie bez trudności, by po chwili małej  
Raźnie go z rozprutego wyjąć karty łona,  
Co woskiem z dwóch sąsiednich kart była zlepiona.

Wraz młodzieńcowi serce gwałtownie zabiło,  
Twarz karminem nabiegła, w oczach się zaćmiło,  
Bo w piśmie, co się wewnątrz chowało wstydliwie,  
Znalazł wzmiankę o ojcu i dziadzie Leliwie.  
Chciał je przebiezdz oczyma, lecz głoski niepotem  
Jęły przed nim ianecznym wie się kołowrotem,  
Iż ledwie z nich nazwisko ułożył Mrugały.  
Więc księdzu proboszczowi oddał foliant cały,  
Co, znając dobrze pismo, skrypt odczytał gładko,  
By nadal go dla kobiet zostawić zagadką,

Dopóki go powoli, drapiąc się aż w głowę,  
Z łaciny na ojczystą nie przełożył mowę.

Był to akt urzędowy dawnego plebana,  
W którym historia ślubu, Lucyanowi znana,  
Na tle teologicznych wywodów ponurem  
Była suchem skreślona kanonisty piórem.  
Oprócz nazwisk rodziców, świadków, młodej pary  
Znalazła się w nim wzmianka, że sam hrabia stary  
Dał był na zapowiedzie i nigdy formalnie  
Nie cofnął zezwolenia, ani oficjalnie  
Nie kazał ścigać zbiegów, lecz owszem wotywę  
Później za ich pożyte zakupił szczęśliwe.  
Po tem skreśleniu faktów był dalej podany  
I dekret konsystorza, gęsto przeplatany  
Cytatami z kanonów, z długimi wywody,  
Że „*raptus*“ nie zachodzi, oraz że przeszkody  
Do uznania kościelnej ważności małżeństwa  
Nie tworzy kapłańskiego brak błogosławieństwa.

Gdy proboszcz skończył przekład, otarł z potu  
czoło,

Hrabia zaś z zamyślenia ocknął i wesóło  
Zawołał: „Wszakże Granat, czując śmierci dreszcze,  
O jakimś tajnym ślubie chciał mi mówić jeszcze!  
Snać w Soden od służebnej coś zasłyszał o nim.  
Niemniej mi jasno teraz, że siostra w Manzonim,  
Znanym wszystkim pisarzu, walny zaczerpnęła  
Pomysł do swych zaślubin, bom jej przekład dzieła  
*Narzeczeń* rok przed tem na dzień świętej Róży  
Jako wiązarek z włoskiej mej przysłał podróży.  
Lecz skądżeś ty, siostrzeńcze, dociekł tajemnicy  
Dyskretnych ksiąg plebańskich, kiedy ich strażnicy  
I kolator kościoła nigdy do tej chwili  
Nie znali jej na jawie, ani o niej śnili?“ —

Więc Lucyan zaczął powieść o ojcu Urbanie,  
Ostatnim białodworskich mnichów Mohikanie,  
Co jak zegar, kół własnych nakrećcał ciężarem,  
Chodzi od wieku w pustce zniszczonej pożarem.

Kiedy rzecz skończył, hrabia rozmowę znów zwrócił  
Na zaślubiny siostry, przytem okiem rzucił  
Filuternie na panny i dodał z uśmiechem:  
„Śluby tajne, jak widzim, nie zawsze są grzechem  
I mogą do małżeńskiej prowadzić ostoji,  
Kędy rząd na nie ręki nie położył swojej.  
Lecz strzeżcie się, panienki, iść mej siostry śladem,  
Bo właśnie los jej smutny świetnym jest przykładem,  
Jak krzyżyka rodziców i brak study księżej  
Zbyt wczesnie nowożeńców śmiertelnie mitreży.  
A zresztą bodaj kiedy rzecz się tak ułoży,  
Jak w tym właśnie przypadku, by z pośród bezdroży,  
Na jakie zawsze wiedzie wykradzenia zamęt,  
Ważny ślub i prawdziwy wyniknął sakrament.“

Nie wywołał wrażenia w licznych dziewic kole  
Trzeźwy moral hrabiego, li po Andzi czole  
Przemknął leciuchną chmurką, a pięknej Celinie  
Jakby się w lic przelotnym odbił karmazynie.  
Za to Lucyan, co dotąd blaskiem szczęścia jaśniał,  
Spowaźniał nadzwyczajnie i trochę pokraśniał,  
Gdy wzrok jego, jak motyl, to radcy oblicze,  
To znów pani radczyni zawsze tajemnicze  
Jął trącać kwiecie twarzy, niepewny, czy w różę  
Zmieni się, czy w mniej miłym błysnie garniturze.

Nagle w serdecznym śmiechu hrabiego Leliwy  
Nasionko myśli nowej i zda się szczęśliwej  
Znalazł młodzian, bo twarz znów rozjaśnił pogodą  
I wąż z kawalerską pokręcił swobodą.  
Korzystając z zamętu, który sprawił w sali  
Roznoszący owoce lokaj w wielkiej gali,  
Przystąpił do hrabiego i, skłoniwszy głowę,  
Cichą w okna framudze zaczął z nim rozmowę.  
Snać ważną treść jej była, kiedy obojętnie  
Odsunęli płon sadu, co do nich ponętnie  
Uśmiechał się z kryształów i aż rzucał w oczy.  
Zaczem czereśnie, strojne w rumieniec uroczy,  
Zapłonęły jak wiśnie z wstydu, gdy maliny  
Głębiej w śniegu cukrowym skryły swe rubiny,

Truskawki zaś poblady wraz z złotym melonem;  
Tylko agrest olbrzymi okiem mdłym, zielonem  
Patrzył nadal bezmyślnie z flegmą niespożytą.

Lecz niedługo ze sobą pogawędkę skrytą  
Wiedli obaj panowie; wnet hrabia prawicę  
Wyciągnął do siostrzeńca, jakby obietnicę  
Czynił miłą i dodał: „Wybór dobry chwale,  
Rad, że nim gust Leliwów stwierdzasz doskonale.“ —  
Niebawem wuj czeigodny sąsiada z Chwalina  
Oderwał od gąsiora starego węgrzyna,  
Przy którym proboszczowi druha z lat wiosennych  
W oświetleniu swych wspomnień malował pro-  
miennych.

Bacznie Lucyan z pod okna śledził starych panów,  
Gdy przy ścianie, tło niby badając dywanów,  
Jeli z cicha rozmawiać. Wnet dostrzegł wyraźnie,  
Ze radca dłoń hrabiego uściśnął przyjaźnie  
I, pokręcając węsą, spojrział ku Celinie,  
A potem na swą żonę, co właśnie hrabinie,  
Siedząc przy niej na jednej z bocznych otomanek,  
Pokazywała modne desenie firanek.

Po chwili hrabia z radcą ruszył w ową stronę  
I, pod jakimś pozorem oddaliwszy żonę,  
Zasiadł tuż przy radezynie, by z miną subtelną  
Nawiązać z nią rozmowę snąć nie bagatelną.  
Teraz Lucyan się zmieszał i, spuściwszy oczy,  
Poszedł usiąść przy swojej bogdancie uroczej,  
Bo wręcz nie miał odwagi, by śledzić naocznie,  
W jaki kwiat pani Barskiej twarz rozkwitać pocznie.  
Celina, z którą nie mógł od wyjścia z gondoli  
Pogruchać mimo nowej swej kochanki roli —  
Choć ją raz peraz wzrokiem obrzucał wymownym —  
Powitała go szczęsna uśmiechem czarownym.  
Bukiet róż karmelkowych w wspaniałym wazonie  
Wyświadczył im przysługę, że ukradkiem dłonie  
Mogli zbliżyć do siebie, gdy go razem w górę  
Wzięśli, by kwiatów lepiej oglądać purpurę.



„Niedobry pan“, — wraz dziewczę szepnie za-  
płonione —

„Boś dla świeżych kuzynek rzucił narzeczoną!  
Czyli pan Lucyan Wrzeski w położeniu nowem  
Już Lucyana Doręby nie jest związany słowem?“ —  
„Królowo ma!“ — młodzieniec odrzecz po cichu —  
„Na kolanach przeproszę, skoro tylko lichu  
Wymknę się z szpon otwartych. Ale powiedz pierwój,  
Czyli mama w tej chwili ma spokojne nerwy?“ —  
„Ot wygląda, jak zwykle i panu hrabiemu  
Odpowiada coś grzecznie szepciem. Ale czemu  
Pytasz pan teraz o to?“ — „Ach, najdroższa pani,  
Chwila to tak doniosła, że warta litanii.  
Spojrz raz jeszcze, czy mama ma uśmiech na twarzy.  
Królestwo za ten uśmiech! Wszak nasz los się waży!“ —

Usłyszawszy to, nagle pobladła dziewczica,  
Wargi jej drżeć zaczęły, podczas gdy źrenica  
Patrzała przed się, z lekka zabarwiona lękiem,  
Co cudną twarz jej nowym prawie ubrał wdziękiem.  
Lucyan zaś, zasłonięty plecami Adama,  
Chwycił ukradkiem dłoń jej, którą napót sama  
Podsunęła i czekał, aż w swej lubej oku  
Będzie mógł treść radczyni odczytać wyroku.  
Nagle hrabia sąsiadce ucałował rękę  
Dwukrotnie, jakby składał jej za coś podziękę.  
Ona mu zaś dygała grzecznie, uśmiechnięta  
I z wyrazem oblicza od wielkiego święta.

Taki obrót pomysłny — w Celiwy źrenicy  
Wraz się odbił radosnym ogniem błyskawicy,  
Podczas kiedy jej rączka, za wachlarz schowana,  
Bezwiednie uściśnieła silnie dłoń młodziana.  
Elektryczny stos, z spojrzeń poczwórnych uwity,  
Wydał prąd prawidłowy, przez Voltę odkryty,  
Bo w tejsze samej chwili i Lucyan niechęący  
Na rączce swej bogdanki całunek gorący  
Wycisnął, powtarzając czyn hrabi Leliwy,  
Jak przyrząd, na prąd każdy z drugiej stacyi tkliwy.

Lecz całus był zbyt głośny, iż Anusia Wrzeska,  
Helena i hrabianka Laura Świętorzeska  
Usłyszały go dobrze i oczy zdumione  
Równocześnie zwróciły w czulej pary stronę.  
Był to moment fatalny. Celina w płomieniu  
Stała wraz z Lucyanem, a w widzów spojrzeniu  
Malował się dziw razem i zakłopotanie.

Wtem na szczęście pan hrabia zawołał: „Lucykanie!”

Zerwał się więc młodzieniec, zmieszany ogromnie,  
I zbliżył do wujaszka, jak studencik, skromnie.  
Ten mu obok radezynie krzesło wskazał ręką  
I rzekł rozpromieniony: „Najżywszą podzięką  
Ukoronuj me swaty, bo jesteś przyjęty.”  
Więc Lucyan, nie czekając powtórnej zachęty,  
Jął panią Barską w obie aż całować dłonie.  
Ona zaś doń w słodziutkim ozwała się tonie:  
„Cieszy nas, panie Wrzeski, że Jego życzenia,  
Które nam wuj objawił, mozem i bez cienia  
Obawy lub skrupułu spełnić, gdyż nam znany  
Charakter jego prawy i ród nieskalany.  
Ufamy, że się Cesia na Nim nie zawiedzie.”

Tu pan radca przy zacnym swym stanął sąsiedzie.  
I silniejszym niż zwykle oznajmił krząknięciem,  
Że tak że słówko z przyszłym chce pomówić zięciem  
Wstał więc Lucyan i dwakroć z atencją niezmierną  
Ucałował go w ramię, poczem rolę bierną  
Zamienił teś na czynną. Skoro z dubeltówki  
Dali salwę całunków, już do małej mówki  
Radca wstęp właśnie zrobił, lecz szczęściem Celinie,  
Przywołanej przez mamę, w czułości lawinie  
Udało się pograć krasomówstwo tatici.

Naturalnie oświadczyn akt, przy gościach rzadki,  
Dawno już był ogólnej uwagi przedmiotem.  
Hrabia go jako herold obwieścił, a potem  
Zewsząd do narzeczonych panowie i panie  
Spieszyli życzeń drugie dziś składać wydanie.  
Gdy wreszcie młoda para z tych uścisków fali  
Wyszła żywo, zaczęła przechadzkę po sali,

By, zapomniawszy zgoła o ludziach i świecie,  
W cichym szepcie — miłosnych ssać upojeń kwiecie.

Wtem się u progu zjawi nowych gości dwoje.  
Pierwszy miał bujne włosów jak len jasnych zwoje  
I oczy jak lnu kwiecie, drugi wąsik czarny  
I kir w źrenicy, z której blask świecił pożarny.  
Byli to skromny Maryan i doktorek śmiały:  
Obu depesze hrabi tajemnie wezwały,  
By siostrzeniec w dniu ważnym przyjęcia do rodu  
Miał u boku tych, którzy z nim żyli od młodu.

Roterman, w małym mieście świeżo osiedlony,  
Dotkliwie jńż odczuwał brak posażnej żony.  
Toż, jadąc dziś przez Chwalin, wspomniał na dziewicę,  
Za którą aż dwa razy czuł w sercu tęsknicę.  
Wraz do niej tak rozgorzał, że już w półgodziny  
Powziął zamiar o rękę starać się Celinę.  
Lecz, gdy ją teraz ujrzął przy Lucyana boku,  
Zwąchał od razu pismo i, skry niecąc w oku,  
Mruknął do towarzysza sierzdście przez zęby:  
„Ze mi też zawsze w drodze cień staje Doręby!“  
Mimo to, gdy usłyszał wielką dnia nowinę,  
Niedoszłej swej bogdane, gęstą strojąc minę,  
Sypnął kopę grzecznostek; nawet dla Lucyana  
Znalazł taki komplement: „*Smoła* moja znana!  
Czemu i mnie los z jakim nie zetknął Granatem,  
Bym dziś w kieszeni znalazł Roztokę z Zabratem!“

Nagle od wielkiej sali rozwarto podwoje  
I stół w kształcie podkowy dwa ramiona swoje,  
Gnąc się cały od srebra, kwieciem balsamiczny,  
Ku drużynie wyciągnął gości nader licznęj.  
Wraz ruszono parami do uczyt wspaniałej.  
A wkrótce przednie wina, rzadkie specyały,  
Blask słońca, zapach kwiatów, szmer damskich jedwabi,  
Urocze liczka panien, w końcu humor hrabi  
Podniosły nastrój gości, i tak już świąteczny,  
Iż w kolo zabrzmiał w gwarze dźwięk struny serdecznęj.

Nie dziw, że wnet w zawody z szampanem złościstym  
Mówki biesiadne prądem popłynęły rwistym.

Pierwszy toast pan hrabia na cześć srebrnowłosej  
Wzniósł matrony, co smutna opuściła Wrzoso,  
By lać tu łyzy radości, skoro niespodzianie  
Dziecię syna w dorodnym znalazła młodzianie.  
Pan Wit z podzięką — hrabi i hrabiny zdrowie  
Wzniósł, a radca w sążnistej, lecz świetnej przemowie  
Ucecił szczęśliwą parę; wreszcie do wiwatów  
Przeróżnych i doktorek z krasomówczych kwiatów  
Upleciony dołączył wieniec poetyczny  
Dla dziewic, których zastęp był tu dziś tak liczny.

— Na wszystkich twarzach jaśniał blask wesela złoty,  
Bo <sup>w</sup>nawet i Zborowicz lepszej się ochoty  
Dopił w oczkach Michasi i szumiącym winie,  
Chociaż w sercu żalobę nosił po Celinie.  
Helena swą rozumną, a bystrą źrenicą  
W wzrok doktorka sypała iskry błyskawicą,  
Lub Maryanowi w słabszym z ubocza pocisku  
Platoniczny nieciła żar w serca ognisku.  
Śliczna Ludka, z przystojnym Janusza kuzynem  
Gwarząc z cicha, raz poraz płonęła karminem,  
Bo dziwne jej uczucia budziły wśród łona  
Mirotworki i tytuł wstydlivy barona,  
Którym król z nieuwagi ucecił jego dziada,  
Choć heroldya pomyłek uświęcać nierada.  
Hrabianki Izabeli brakło już przy stole,  
Gdyż migrena złośliwa na jasnym jej czole  
Jeszcze przed ucztą chmurki rozpostarła smętne  
I przyćmiła spojrzenia ócz czarnych ponętne.

Poważną pozostała tylko twarz poety,  
Któremu los — dotkliwy cios zadał niestety.  
Schwytany na granicy, gdy wiózł karabiny,  
Umknął z kozy niepoznany, ale nie w dziewczyny  
Stroju, jak to rozgłaszał doktorek z przekazem.  
Więc, by ująć dalszych drwinek, młodocianym wąsem  
Okrasił twarz swą wreszcie w tej nadziei słodkiej,  
Iż lepiej się zapisze u cudnej pieszczotki.  
Lecz niedawno ze smutkiem doświadczył w Chwałinie,  
Iż w serduszkach podlotków czasem prędzej minie

Pierwsze płochę uczucie, niżli w życia wiosnie  
Marzycielom po brzytwie wąs męski odrośnie.  
Odcierpiał bardzo zawód, przecie wśród katuszy  
W jedną noc nieprzespaną wyrwał miłość z duszy,  
W którą nieszczęścia kraju na długo przedwczesny  
Rzuciły jad zwątpienia i zamęt bolesny.  
To też obecnie nie chciał, pomny świeżej rany,  
Toastu: „kochajmy się!“ wznieść w mowie wiązanej.  
Niezwykłe dnia wypadki w wrażliwym umyśle  
Kotłowały jak z wiosną kry w wzburzonej Wiśle,  
Budząc w nim niewyraźne przyszłych pieśni dreszcze,  
Mistyczne, jak szmer liści, który może jeszcze  
Żołądz w cudownej dęba odczuwa osnowie,  
Nim ją światu setnemi konary wypowie.

A cóż Lucyan z Celiną? O! ta szczęsna para  
Już dawno z łez padółu na skrzydłach Ikara  
Wzleciała w niebiańskiego przezrocza błękitu,<sup>5</sup>  
Kędy się z lekką piersią ssie nektar zachwytu.  
Z wielką miłością w oczy patrząc sobie wzajem,  
Spajali uświęconym kochanków zwyczajem  
Karbowe laski wspomnień z przeszłości niedawnej,  
By każdy szczegół dla nich był już odtąd jawny,  
Co dotychczas w domysłów krył się jeszcze cieniu,  
A rozjaśniał się zaraz w karbów dopełnieniu.  
Gdy pod koniec biesiady lśniący wzrok młodzieńca  
Padł na cudną twarz matki, która z ram i z wieńca,  
Zdobiącego je, mile zwracała doń oczy,  
Jął Lucyan opowiadać bogdance uroczej  
O pięknym medalionie nieznaney dziewicy,  
Który niegdyś u siebie miał ojciec Symplicy.  
Nie przeczuwał w tej chwili, że mu traf życzliwy  
Do różnych niespodzianek hrabiego Leliwy  
Jeszcze jedną dorzuci, by dziś szczęścia czarę  
Pełną wylać na losów przeciwnych ofiarę.

Już bowiem przed kwadransem wuj był wstał  
od stołu  
I nie wracał, aż obie hrabiny pospołu,

Mrugnawszy na się, dały do powstania hasło,  
 Bo na stropie niebieskim słońce zwolna gaśło.  
 Skoro Lucyan niebawem stanął na werandzie  
 I, pół skryty w zielonej powojów girlandzie,  
 Miłosne z swoją lubą odnowił gruchanie,  
 Szmer się kroków w pobliżu rozległ niespodzianie.  
 Gdy wznosił oczy, przed sobą ujrzał z wielkim dziwem  
 Obok hrabiego — mnicha z okiem czarnem, żywym,  
 Ale pełnem słodyczy, z zawiędłą jagodą  
 I długą, gęsto srebrem przetykaną brodą.  
 Patrzył przez chwilę w twarz tę bladą i pomiętą,  
 Lecz piękną, jakby rylcem w onyksie wyrzniętą.  
 Wtem radośnie zawołał w głos: „Ojciec Symplicy!“  
 I, puściwszy natychmiast białą dłoń dziewicy,  
 Jął ścisnąć i całować zakonnika ręce,  
 Czując się znów w swe czasy przeniesion chłopięce.

Mnich, głęboko wzruszony, w drobne, pańskie dłonie  
 Ujął głowę młodzieńca i obie mu skronie  
 Ojcowskim pocałunkiem znacząc, rzekł: „Mój drogi,  
 Jakżeś zmężniał! Patrz! oto Bóg dobry w te progi  
 Zawiodł mnie właśnie w chwili, gdy po czasie próby  
 Dał ci dom i nazwisko, mienie i dłoń lubej.“  
 W koło postaci starca, niezwykle czcigodnej,  
 Jęli się kupić goście, których zefir chłodny  
 Znęcił już do ogrodu; a ojciec Symplicy  
 Mówił, że, prowincyałem dla polskiej dzielnicy  
 Mianowany, z Włoch świeżo przybył do Krakowa,  
 Poczem go tu zawiodła sprawa urzędowa.  
 Umarłszy-bo cywilnie, jak Piotrowin drugi  
 Miał świadczyć, że fundacyi jego poczet długi  
 Ważnym jest wobec prawa, gdyż robiąc legata,  
 Nie był po ślubach, zatem jeszcze żył dla świata.

Na przestronną werandę krzesła wyniesiono  
 I w gaju pomarańczy liczne siadło grono,  
 Nakryte kryształowym lazuru namiotem,  
 Którego jedna ściana cała lśniła złotem.  
 Z bliskich klombów rezeda, przesycona żarem,  
 Dyszała balsamicznie, a park nowym czarem

W blasku luny wieczornej twarz krasił, jak młodzian,  
W domino fantastyczne pomroki przyodzian.  
Gdy paniom dano lody, do mężczyzn z piwnicy  
Przyszedł stary pustelnik w grubej włosienicy  
Prawić o dawnych czasach, bo go jeszcze w celi  
Zamknął ojciec hrabiego, gdy małej w bieli  
Rozalce kapłan piętno dał był chrześcijanki.  
Niewypitą przy ślubie złowróbnym hrabianki  
Treść swą cenną przechował krzepki starowina  
Do nierównie szczęśliwszych zaręczyn jej syna.

Rozgrzały się do reszty przy tym kordyale  
Serca panów, iż pewnie w płomiennym zapale  
Jęliby Polskę wskrzeszać od morza do morza,  
Gdyby świeżo nadziei nie zgasła im zorza.  
Wtem radca, od pełnego powstawszy kielicha,  
Rzecz z łzawą źrenicą do cichego mnicha:  
„A coś ty na to mówił, towarzyszu broni,  
Gdy cię doszedł oręża szczęk z ojczystych błoni?“ —  
„Jam się modlił i płakał, bo wiedziałem z góry,  
Ze znów na kraj nasz biedny cios spadnie ponury.“ —  
„Księżę?“ — zapyta radca — „więc nie mamy siły,  
By potargać łańcuchy, co się w ciało wpiły?“ —  
„Niestety!“ — mnich odpowie. — „Któż potęgą duszy,  
Gołoręcznie kamienny mur więzienia skruszy?“ —

„Ha, wtedy!“ — krzyknie radca — zawołajmy: biada!  
I niech się prędzej nasza dokona zagłada.  
Przeznaczeni przez fatum na kompost dziejowy,  
Sami w sobie rdzeń burzmy różnicy szczepowej,  
By dzieci nasze, zamiast ginąć pod obuchem,  
Wnet się w zwycięskie plemię przerodziły duchem.“ —

„Nie bluźń!“ — przerwie mnich żywo — „czy  
myślisz, Marcinie,  
Że wolno i kwiat Boży niszczyć, gdy naczynie  
Pękło formy państwowej? Czyż sam Pan żywota  
Wątka bytu nie przedzie i, jak chce, nie mota  
Tak ludziom, jak plemionom? Zuchwale więc grzeszy,  
Kto sobie, lub drugiemu, kres życia przyspieszy.  
Nigdy ja messyanistów nie podzielał błędu,

Lecz wierzę, że nasz naród, z państw wymazan rządu,  
Jeszcze w swojego łona najtajniejszej cieśni  
Nieznana chowa nutę cudnej jakiejś pieśni,  
Którą kiedyś wyśpiewa na pożytek świata,  
Aby lud jeden w drugim zawsze widział brata,  
By zniknął z polityki egoizm pogański,  
A w świecie zapanował mir znów chrześcijański.“ —

„Ojczy!“ — zawołał Lucyan. — „Słowa twe jak rosa  
Spływają w nasze serca. Więc nam jeszcze kosa  
Nie podcięła korzeni?“ — Na to ksiądz Symplify:  
„Ja wielkiej przyszłych czasów nie znam tajemnicy,  
Lecz skądże ta żywotność w owym biednym ludzie,  
Iż powalony trzykrotnie, w ucisku i trudzie  
Coraz piękniejsze z siebie wciąż wydaje kwiecie,  
Z którego się woń świeża rozchodzi po świecie;  
Iż zdrów i rośnie w liczbę i stan trzeci tworzy,  
Pogłębia myśl i cichych cnót dorobek mnoży?  
*Lecz niech się nigdy więcej nie zrywa do broni,  
Tylko w legalnej walce swą odrębność chroni,  
A resztę zda na Pana.*“ —

„Ojczy prowincyałe,“ —  
Szepnie ktoś — „więc zmartwychwstać nie możemy  
już wcale?“ —

„Czyż ja wiem, co w tajnikach przyszłych wieków  
drzymie?“

Pan czyni wielkie rzeczy! Święte jego imię!  
Wszakże to On na niskość wejrzał służebnicy.  
Rozproszył pyszne myślą i złożył z stolicy  
Mocarze i podwyższył pokorne, dobrami  
Napełniając łaknące. On może nad nami...“

Tu przerwał ksiądz Symplify i, złożywwszy dłonie,  
Zaczął szeptać modlitwę, bo w poważnym tonie  
Ozwał się dzwon kościelny. W ciszy uroczystej  
Zmawiano „Aniół Pański“, a na błękit czysty  
Wyplłynął w tejże chwili miesiąc i magiczne  
Rozlał światło na pałac, park i sioło śliczne.

*Poznań, dnia 12 marca 1897 r.*

Wojewódzka      Ludwik Mizerski.

Biblioteka

Publiczna

w

Poznanii